

WILLIAM  
CAMPBELL  
POWELL

DATA  
WAŻNOŚCI



William Campbell Powell

# DATA WAŻNOŚCI

Przekład

Maciej Franaszek

Przekład wierszy

Agnieszka Kowalczyk-Franaszek



Tytuł oryginału: *Expiration Day*

Text copyright © 2014 by William Campbell Powell

Published by arrangement with Tom Doherty Associates, LLC.

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Copyright © for the Polish translation by Maciej Franaszek, MMXIV

Wydanie I

Warszawa

## Spis treści

Dedykacja . . . . .	9
Niedziela, 18 lipca 2049 . . . . .	10
Poniedziałek, 19 lipca, 2049 . . . . .	14
Niedziela, 25 lipca 2049 . . . . .	19
Sobota, 21 sierpnia 2049. . . . .	20
Wtrącenie 1. . . . .	29
Poniedziałek, 6 września 2049 . . . . .	30
Sobota, 11 września 2049 . . . . .	38
Poniedziałek, 27 września 2049 . . . . .	42
Wtorek, 26 października 2049 . . . . .	44
(Wspomnienie) . . . . .	50
Wtrącenie 2. . . . .	54
Wtorek, 26 października 2049 . . . . .	55
Poniedziałek, 1 listopada 2049 . . . . .	58
Niedziela, 2 stycznia 2050. . . . .	72
Środa, 5 stycznia 2050 . . . . .	74
Wtrącenie 3. . . . .	78
Sobota, 5 lutego 2050 . . . . .	79
Wtorek, 18 lipca 2051. . . . .	81
Wtorek, 12 września 2051. . . . .	83
Sobota, 16 września 2051 . . . . .	84

Niedziela, 14 stycznia 2052. . . . .	97
Piątek, 9 lutego 2052 . . . . .	104
Sobota, 24 lutego 2052 . . . . .	113
Czwartek, 14 marca 2052 . . . . .	117
Piątek, 5 kwietnia 2052 . . . . .	120
Piątek, 12 kwietnia 2052 . . . . .	121
Wtrącenie 4. . . . .	123
Sobota, 13 kwietnia 2052 . . . . .	124
Poniedziałek, 15 kwietnia 2052 . . . . .	129
Czwartek, 1 maja 2052 . . . . .	135
Sobota, 4 maja 2052 . . . . .	143
Wtrącenie 5. . . . .	150
Niedziela, 5 maja 2052 . . . . .	151
Niedziela, 30 czerwca 2052. . . . .	152
Czwartek, 18 lipca 2052 . . . . .	154
Sobota, 20 lipca 2052 . . . . .	156
Niedziela, 21 lipca 2052 . . . . .	170
Wtorek, 30 lipca 2052. . . . .	171
Wtorek, 10 września 2052. . . . .	172
Piątek, 25 października 2052 . . . . .	176
Niedziela, 27 października 2052 . . . . .	180
Poniedziałek, 28 października 2052 . . . . .	183
Czwartek, 31 października 2052 . . . . .	184

Sobota, 9 listopada 2052. . . . .	192
Niedziela, 10 listopada 2052. . . . .	195
Wtrącenie 6. . . . .	199
Niedziela, 1 grudnia 2052. . . . .	200
Czwartek, 17 lipca 2053 . . . . .	202
Piątek, 18 lipca 2053 . . . . .	203
Piątek, 25 lipca 2053 . . . . .	207
Wtrącenie 7. . . . .	213
Niedziela, 26 lipca 2053 . . . . .	214
Sobota, 30 sierpnia 2053. . . . .	220
Niedziela, 31 sierpnia 2053. . . . .	221
Wtorek, 2 września 2053. . . . .	225
Czwartek, 18 września 2053 . . . . .	228
Czwartek, 25 września 2053 . . . . .	230
Sobota, 27 września 2053 . . . . .	234
Niedziela, 2 listopada 2053. . . . .	237
Wtrącenie 8. . . . .	239
Czwartek, 20 listopada 2053. . . . .	241
Czwartek, 27 listopada 2053. . . . .	243
Sobota, 13 grudnia 2053. . . . .	248
Czwartek, 1 stycznia 2054. . . . .	256
Piątek, 6 lutego 2054 . . . . .	259
Czwartek, 26 marca 2054 . . . . .	261

Niedziela, 29 marca 2054 . . . . .	265
Poniedziałek, 30 marca 2054 . . . . .	269
Czwartek, 9 kwietnia 2054 . . . . .	274
Piątek, 17 kwietnia 2054 . . . . .	281
Wtorek, 5 maja 2054. . . . .	283
Wtrącenie 9. . . . .	287
Niedziela, 31 maja 2054 . . . . .	288
Wtorek, 28 lipca 2054. . . . .	289
Sobota, 1 sierpnia 2054. . . . .	293
Niedziela, 2 sierpnia 2054. . . . .	298
Piątek, 28 sierpnia 2054 . . . . .	301
Czwartek, 23 września 2054 . . . . .	302
Wtorek, 27 października 2054 . . . . .	304
Sobota, 6 listopada 2054. . . . .	308
Środa, 9 grudnia 2054. . . . .	313
Środa, 5 maja 2055 . . . . .	317
Niedziela, 30 maja 2055 . . . . .	319
Wtorek, 1 czerwca 2055 . . . . .	321
Czwartek, 3 czerwca 2055. . . . .	322
Piątek, 4 czerwca 2055 . . . . .	324
Poniedziałek, 7 czerwca 2055 . . . . .	327
Sobota, 19 czerwca 2055. . . . .	334
Sobota, 26 czerwca 2055. . . . .	337

Środa, 30 czerwca 2055 . . . . .	340
Czwartek, 1 lipca 2055 . . . . .	341
Wtorek, 6 lipca 2055. . . . .	343
Środa, 7 lipca 2055 . . . . .	346
Czwartek, 8 lipca 2055 . . . . .	367
(Sen) . . . . .	391
Piątek, 9 lipca 2055, 10:00 . . . . .	393
Wtrącenie 10. . . . .	402
Piątek, 9 lipca 2055 14:07. . . . .	403
Piątek, 9 lipca 2055, 14:46 . . . . .	407
Finał . . . . .	414
Podziękowania . . . . .	417
O autorze . . . . .	420
Przypisy . . . . .	421



*Z dedykacją dla Henry'ego i Bron*

Niedziela, 18 lipca 2049

Co za dzień!

Od dziś mamy robota. No i akurat dziś są moje jedenaste urodziny. Pomyślałam sobie, że zacznę pisać pamiętnik, bo to taki dziwny dzień, a jeśli nie potrafi się napisać porządnego wpisu do pamiętnika wtedy, kiedy jest o czym pisać, to jakie są szanse, że napisze się coś ciekawego wtedy, kiedy będzie drętwo i nudno?

Ani myślę zaczynać każdego wpisu od „Drogi pamiętniczku”. To byłoby takie... wiktoriańskie. Takie kompletnie od czapy. Postanowiłam zdecydować, kto będzie mój pamiętnik czytał. Kimkolwiek jesteś, mój odległy, nieznany przyjacielu, muszę mieć jakiś obraz ciebie w mojej głowie.

Całkiem możliwe, że jedyną osobą, która to przeczyta, będę ja sama w wieku dziewięćdziesięciu lat. No to, tak na wszelki wypadek: „Cześć, Ja-z-dwa-tysiące-sto-dwudziestego-ósmego! To Ja-z-dwa-tysiące-czterdziestego-dziewiątego”.

Możliwe też, że czytają mnie moje wnuki i wnuczki. „Cześć, moje wnuczeta! To ja, Wasza babunia Tanya, jeszcze zanim kompletnie zbzikowałam. Mam nadzieję, że załatwiliście mi miły dom”.

Nie no, tak poważnie to mam nadzieję, że to nie tak będzie wyglądać. *Jak już* mam być czyjąś babcią, to przynajmniej nie powinnam być *nudną* babcią. Zamiast tego będę wielką Damą, odznaczoną za zasługi dla kraju, opowiadającą niesamowite, w większości prawdziwe historie o moich przygodach jako szpiega, detektywa albo aktorki. Do 2128 okażę się wam bardzo potrzebna, kimkolwiek jesteście, bo nie będzie już wielu takich jak ja.

A może nawet jesteś jakimś starym, nudnym historykiem albo oślizgłym

archeologiem-kosmitą z mackami o imieniu Zog z galaktyki Andromedy, który próbuje się dowiedzieć, kim jestem i jacy właściwie byli ludzie...

Macie tam w Andromedzie kościoły, panie Zog? Śluby, chrzty, pogrzeby? Za dużo szczegółów, przynajmniej jak na jeden dzień. W każdym razie, mój tata jest pastorem. Ostatnio ma dużo pracy. Mówi, że jakieś trzydzieści lat temu kościoły świeciły pustkami. Ale teraz są pełne. Pełne nieszczęśliwych ludzi szukających pomocy, która sprawi, że ich życie stanie się bardziej znośne. Ludzi, którzy potrzebują choć namiastki rytuałów, dzięki którym świat będzie znów wydawał się normalny.

Kościelny biznes się kręci, ale pastorzy i tak są biedni. Mama mówi, że tylko dzięki Tacie połowa wioski jeszcze nie odeszła od zmysłów, a i tak radzimy sobie w życiu z tym, co innym przestało już być potrzebne. Mamy spizarkę pełną fasoli konserwowej. Nasz telewizor to czyjaś stara dwuwymiarowa plazma. A nasz „nowy” robot to odnowiony model z czterdziestego czwartego, podarowany nam przez życzliwego parafianina.

Ale *mamy* robota, takiego prawdziwego, działającego robota. Tata powiedział, że nawet biskup ma tylko model z czterdziestego siódmego. Ted, jeden z administratorów kościoła, wyrzucił go. Ma głęboki głos i mówi takim podmiejsko-londyńskim akcentem.

Nazwaliśmy go – tego robota – Soames. Brzmi idealnie, jak imię lokaja z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Jak wyjęte z powieści Agathy Christie. Gdy Tata po raz pierwszy go aktywował, patrzyłam, jak rozpały mu się oczy. Spytałam Tatę, czemu się świecą, a on odpowiedział mi z uśmiechem:

– Tak naprawdę nie ma żadnego konkretnego powodu, by te oczy świeciły. To raczej taki bajer, częściowo chodzi o nadanie tego wyglądu retro, dzięki któremu zdaniem psychologów czujemy się przy nich bardziej spokojni. Jak oglądamy te wszystkie filmy science fiction z dwudziestego wieku, śmiejemy się, bo są takie dziwne. Tutaj chodzi o to samo. Roboty

są celowo tak projektowane, żeby wyglądały topornie i nieco staromodnie. I tak też się poruszają, dzięki czemu czujemy się od nich lepsi i nie boimy się ich.

Oczywiście musieliśmy się zarejestrować, aby Soames mógł rozpoznać głosy swoich nowych właścicieli i wykonywać nasze polecenia.

– Michael Deeley, główny administrator. Potwierdź. – To był Tata.

– Potwierdzam.

– Annette Deeley, drugi administrator. Potwierdź. – Mama.

– Potwierdzam.

– Tanya Deeley, młodszy administrator. Potwierdź. – Ja, odczytująca bardzo poważnym głosem tekst z instrukcji.

– Potwierdzam.

I tyle. Soames będzie od tej pory wykonywał polecenia Taty, później Mamy, a potem moje. W tej kolejności. W pamięci miał też zakodowane dodatkowe komendy, których nie można nadpisać. Nazywa się je czasami prawami robotyki Asimowa, po jakimś dawnym pisarzu, który jako pierwszy je sformułował. Tata mówi, że oryginalne zasady Asimowa były bardzo proste, ale wersja wbudowana w oprogramowanie Soamesa została dodatkowo skomplikowana przez prawników. W konsekwencji, pod wpływem stresu każdy robot staje się zupełnie bezużyteczny.

Na początek kazaliśmy Soamesowi pozmywać naczynia. Niczego nie stłukł, ale sama mogłabym załadować zmywarę dwa razy szybciej. Jutro oczywiście zrobi to już znacznie sprawniej, bo nauczył się, co ma robić i gdzie odkładać czyste naczynia.

Potem, ponieważ są wakacje i nie ma szkoły, chciałam pograć z nim w ping-ponga. W końcu to moje urodziny i Tata powiedział, że należy mi się trochę rozrywki. Soames przez większość czasu podnosił piłeczkę. O ile oczywiście jej nie nadepnął (dwie zniszczone) albo nie odbił w kierunku latarni (jedna poza zasięgiem).

W końcu oprowadziliśmy go po domu, pokazując, co gdzie stoi. Jak teraz

każemy mu sprzątnąć dom, wszystko wróci na miejsce, w którym stało w dniu moich jedenastych urodzin. Albo jakoś tak.

Też coś.

Dobra. Szczerze? Nie boję się robotów domowych. Ale czy można zrobić takiego, który będzie umiał grać w tenisa stołowego? Proszę?

Poniedziałek, 19 lipca, 2049

Hm. Jeśli jesteś Zogiem, to najpewniej większość z tego, co napisałam, nie ma dla ciebie zbyt wielkiego sensu, co? Z pewnością myślisz sobie, że Soames to szczyt naszych osiągnięć technologicznych, a jeszcze nawet nie powiedziałam, kim jestem, gdzie mieszkam i wielu innych rzeczy...

Jestem Tanya Deeley, wspomniałam o tym wcześniej, niejako przy okazji. Mam jedenaście lat – oczywiście – i jestem jedynaczką. Mieszkamy w wiosce Green Zone, niedaleko Londynu, gdzie mój Tata jest pastorem, a Mama, cóż... Mamą. Chodzę do szkoły w wiosce. Nie mam właściwie prawdziwych przyjaciół w szkole, ale jest grupka takich, z którymi się czasem bawię... Ogólnie jest w porządku, chyba.

Tata jest teraz zajęty. Ma swoje pastorskie obowiązki, dlatego wygonił mnie na górę, żebym posiedziała w pokoju z jego licznymi książkami. Właściwie to nie czuję się wcale wygoniona, kiedy siedzę *tutaj* – to moje ulubione miejsce w całym domu, miejsce pełne skarbów. Książek. Porządnych książek: takich, które nie zostały zapisane cyfrowo. Uwielbiałam to miejsce, odkąd byłam mała i nikt nigdy nie powiedział mi, że książki są dla mnie za stare, więc czytałam wszystko, co tylko wpadło mi w ręce, zwinięta w wielkim fotelu, chłonąc każde słowo. Tym razem jednak nie czytam książki. Siedzę sobie opatulona w fotelu i czytam jeszcze raz wczorajszy wpis do mojego AllInFone'a.

Mam na myśli mojego *nowego* AllInFone'a, panie Zog. Nie z odzysku. To nie odrzut od jakiegoś parafianina. To był *drugi* wczorajszy podarunek, ten naprawdę *mój* prezent urodzinowy, bo tak naprawdę Soames nie był tylko dla mnie. AllInFone ma tę uroczą aplikację dziennika, która zapisuje dyktowany tekst albo umożliwia wstukanie go tradycyjnie na pełnowymiarowej holograficznej klawiaturze kulistej. Tekst jest od razu

szyfrowany, więc nikt nie może go odczytać, zaglądając mi przez ramię. Nie będę temu poświęcać za dużo miejsca, by nie było, że jestem jakimś technoświrem, bo, słowo daję, daleko mi do tego. Ale to fajna rzecz. Koniec, kropka. Ani słowa więcej.

Mama też jest na górze, zajęta swoimi sprawami, chociaż Tata może poprosi ją później, żeby zeszła na dół. Często mu pomaga w poradni, kiedy „rodzice” przychodzą i przynoszą mu swój rozsypany świat, aby jakoś go poskładał.

Zwykle kiedy ich Ellie albo Sammy, albo Vidhesh wraca do Banbury, wszystko im się rozsypuje.

Dziś przychodzą pan i pani Ellis, co oznacza, że ich Julia musi wrócić do Oxted. Czym jest Oxted, panie Zog? To goście od robotów. W Banbury. I zanim o to zapytasz – nie, Julia nie jest ich „Soamesem”. To ich córka. Grzecznym sformułowaniem używanym przez dorosłych jest „teknoid”. Ale rozmawiałam z nią. To zwykły *mekker*. (Tata mówi, że to nie jest grzeczne słowo. Nie powinno się go używać).

Żeby wszystko było jasne, panie Zog, nie podsłuchuję Taty podczas jego pastorskich spotkań, ale czasami głos się niesie. Ciężko wtedy nie dodać dwa do dwóch. Więc całkiem nieźle zdaję sobie sprawę z tego, co tam się teraz na dole dzieje. Pan Ellis zaczyna mówić, podczas gdy pani Ellis siedzi, popłakuje, zaś obydwójce próbują wytłumaczyć Tacie, jak to trudno wytrzymać im z Julią. Jak wszystko było pięknie, póki była mała, kiedy była jak żywa, prawdziwa córka. Ale teraz już za bardzo urosła...

Zapytałam o to Tatę, kiedy czekaliśmy na przyjście Ellisów.

– Tato, czemu oni ją odsyłają?

– Bo iluzja przestała działać. Bo nie potrafią już dłużej wierzyć w to, że Julia jest ich prawdziwym ludzkim dzieckiem.

– Ale co się zmieniło? Ona wygląda przecież ciągle tak samo, tak samo się zachowuje.

– I tak samo mówi? Tak. Oni bardzo chcieli mieć dziecko. Ale nie mogli

mieć własnego. Zgłosili się więc do Oxted i dostali teknoida.

– Teknoida?

(Tak, panie Zog. Poznałam to słowo dopiero dziś, kiedy Tata je wypowiedział. A teraz ja mówię je tobie. Siedź spokojnie w ławce i nie przeszkadzaj).

– Przepraszam, Tan. Teknoid to od greckiego *teknon*, to znaczy dziecko.

Tatuś popisuje się właśnie greką podłapaną na studiach teologicznych. A teknoid to rodzaj androida, który jest zaprojektowany tak, by wyglądał jak dziecko. Wracając do wczorajszej rozmowy, Oxted mogłoby sprawić, że Soames wyglądałby, poruszał i mówił jak człowiek. Ale to bardzo trudne i drogie, więc tego nie robią.

Po chwili przerwy kontynuował.

– Oczywiście muszą tak wyposażyć teknoidy, byśmy mogli uwierzyć, że są ludźmi. Problem w tym, że jeśli nie uda się tego zrobić naprawdę dobrze, to efekt potrafi być dość przerażający. To coś, czego uczy się pastorów podczas szkolenia, żeby pomóc im w późniejszym poradnictwie rodzinnym. To zjawisko jest zwane Doliną Osobliwości, od tytułu dokumentu, w którym po raz pierwszy zajęto się tą teorią w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

– No i?

– No i musiało się stać coś, co rozerwało zasłonę iluzji i Julia znalazła się w Dolinie Osobliwości. Iluzja jest bardzo delikatna, podtrzymywana wyłącznie przez mocną na początku potrzebę posiadania dziecka. Może zdarzył się jakiś wypadek. A może jakaś mała kropelka przelała czarę drobnych odstępstw. Dowiem się, jak już tu będą. Tak czy inaczej, iluzja przestała działać i państwo Ellis nie są już w stanie znieść obecności zdemaskowanego teknoida w swoim domu. Miłość zamieniła się w strach. I poczucie winy. I właśnie z tym muszę państwu Ellis pomóc sobie poradzić.

Wtedy, z idealnym wyczuciem czasu, zadzwonił dzwonek do drzwi, a ja



udałam się na górę.

\*\*\*

To miało sens. Nagle wszyscy w szkole mówili otwarcie, że ta i ta osoba jest robotem i wraca. Koniec szopki. Rodzice jeszcze przez kilka tygodni starają się wszystko tuszować, ale zdają sobie doskonale sprawę z tego, że wszyscy wokół już wiedzą i w końcu się uginają. Czasami wyjeżdżają, próbują rozpocząć nowe życie gdzieś indziej. Częściej zdarza się, że po prostu dzwonią do Oxted. Teraz na dole pewnie organizują z Tata „spotkanie upamiętniające”. „Nasza córka, która odeszła od nas przedwcześnie...”.

To pokazuje, do jakich głupot potrafią posuwać się dorośli. Obwiniają się nawzajem, zaczynają się rękoczynny... A to tylko początek. Rozwód, samobójstwo, morderstwo... To ostatnie akurat nie zdarzyło się u nas, tylko w parafii św. Marka.

A wszystko przez to, że nikt nie może już mieć dzieci. No, prawie nikt. I nikt nie wie, dlaczego tak jest. Coś się stało. Niektórzy twierdzą, że fale radiowe i mikrofałe pomieszały nasze DNA. Ktoś inny wysnuł teorię, że winne jest promieniowanie z komputerów. Winiono też oczywiście globalne ocieplenie i zanieczyszczenie planety. Było też kilka jeszcze dziwniejszych hipotez. Jeden naukowiec twierdził nawet, że w każdym pokoleniu ludzkość traciła część informacji genetycznej z puli genów, a teraz w końcu osiągnęliśmy moment, w którym nie było już możliwości poskładania z niej działającego człowieka.

No proszę! Jestem prawdziwą rzadkością. Jedenastoletnią dziewczynką. Żeby była jasność, panie Zog. Jeśli masz jakiś przegub w okolicy talii, powinienes się teraz pokłonić. Jeśli nie, możesz też zakręcić dystyngowanie mackami.

Czyli na świecie jestem ja (i kilkoro nielicznych mi podobnych).

Wszystkie inne dzieciaki na tej planecie to roboty. Realistyczne roboty – nie puszki, jak Soames – ale takie jak Julia Ellis, prawie doskonałe kopie ludzkiego dziecka. Na tyle wierne, że mogą oszukać instynkt rodzicielski. Na tyle dobre, żeby powstrzymać zamieszki.

Czasami nawet na tyle dobre, żeby się z nimi pobawić.

## Niedziela, 25 lipca 2049

Niedziela. Msza rodzinna i spotkanie upamiętniające Julię. Mniej więcej tak to sobie wyobrażałam. Wyświetlane w pełnym trójwymiarze zdjęcia z okresu jej dorastania. Spokojnie śpiące dziecko. Mignięcie. Umazany czekoladą niemowlak raczkujący po ogrodzie. Mignięcie. Pierwszy dzień w szkole, mały aniołek w mundurku szkolnym. Mignięcie. Rozdanie nagród – Julia odbiera trofeum za trzecie miejsce w konkursie ortograficznym. Mignięcie. Mignięcie. Mignięcie.

Tata stoi tam i wygłasza przemowę. Piękna mała dziewczynka, przed którą rysowała się cudowna przyszłość. Linia życia nagle przycięta do krótkiego strzępka przez nieokreśloną chorobę. Bóg wezwał Julię do domu. Niechaj ześle spokój na jej rodziców.

Ted ziewa. Słyszał to wszystko już nieraz. Młode matki i ojcowie ze swoimi dziećmi siedzą zadowoleni z siebie lub przerażeni.

Oczywiście, nie ma ciała ani trumny. To byłoby głupie. Oxted już dawno odebrał Julię i zabrał ją do Banbury. Tata wrócił późno i był w paskudnym nastroju. Nie przepada za spotkaniami upamiętniającymi. Wie, że są potrzebne, ale nie lubi tych kłamstw. Za każdym razem powtarza: „Nie po to zostałem pastorem”.

Tata wierzy w Boga. Ale Biblia nie mówi nic o robotach i domyślam się, że może to być nieco kłopotliwe dla sługi bożego.

Później wzdycha ciężko i dodaje: „Ciekawe, jak sobie poradzą”.

Z moich obserwacji wynika, że nigdy sobie nie radzą. Wcześniej napisałam, że roboty są wystarczająco dobre, by powstrzymać zamieszki. Zamieszki dalej są, ale dzięki robotom nie wychodzą na ulice. Tata mówi, że teraz mamy je po prostu rozłożone na raty, jedna para naraz, w zaciszu naszych własnych domów.

## Sobota, 21 sierpnia 2049

Jesteśmy na wakacjach.

Oczywiście jedziemy do parku tematycznego. Wszyscy tak robią. To eskapizm i nikt się z tym nie kryje. Mówią ci: „Daj zabrać się z powrotem...” i pozwalają ci przez tydzień żyć w innych czasach. Wybierz sobie okres, a znajdzie się odpowiedni park. Dowolny moment z historii z wyjątkiem ostatnich trzydziestu lat, bo te są dla większości ludzi zbyt przytłaczające. Jak sądzisz, gdzie w takim razie się wybierzemy, panie Zog? Mając do wyboru całą historię ludzkości, moglibyśmy wrócić do czasów imperium brytyjskiego albo rzymskiego. Tak, oczywiście, że są parki, które mają to w ofercie. Tylko że nas na to nie stać, nie z zarobków pastora. Dlatego też my jedziemy w drogę powrotną do... lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia!

Żałosne.

\*\*\*

Muszę przyznać, że kiedyś ciekawiły mnie lata siedemdziesiąte poprzedniego wieku. Kiedy tata powiedział, że właśnie tam się wybieramy, prawie rzuciłam się do pakowania rzeczy. Panie Zog, od czego by tu zacząć opowieść o latach siedemdziesiątych? Trochę pamiętałam z historii: kryzys energetyczny, Zima Niezadowolenia, IRA, początek thatcheryzmu. Mama wyciągnęła jakieś stare zdjęcia przetworzone cyfrowo – były bardzo wyblakłe, bo kiedy je wykonano, nie potrafili robić wystarczająco trwałych barwników. Podobno przedstawiają babcię i dziadka Mamy na koncercie Dylana w Blackbushe w 1978. Ona sama za każdym razem, kiedy wymawia słowo „Dylan”, mówi to z takim rozmarzeniem, jakby to była jakaś istota

z innej planety, która nas odwiedziła. Po drodze słuchaliśmy trochę jego muzyki w samochodzie, by wczuć się w klimat dekady. Sama muzyka jest chyba całkiem w porządku, ale mam nadzieję, że nie zamienimy się w grupę fanowską Dylana. I teraz naprawdę nie chodzi mi o muzykę, panie Zog. Wydaje mi się, że Mama z Tatą byłiby żenujący.

Wracając do zdjęcia pradziadków, nie jestem pewna, które jest które na zdjęciu. Fryzura i ubiór niczego nie sugerują – trwała ondulacja, plisowane koszule i okulary przeciwsłoneczne, w których wyglądają prawie jak przerośnięte muchy. Czy ja też będę musiała się tak ubierać? To *mogłoby* być zabawne, ale wydaje mi się raczej, że będzie po prostu dziwaczne.

Jesteśmy teraz w naszym pokoju hotelowym. Wpuszczono nas przez nowoczesne wejście. Jak się przebierzemy, musimy schować wszystkie nasze dzisiejsze ubrania do sejfów i pozostać w stroju tematycznym przez resztę pobytu. Nie mamy tu telewizji (*znowu*; dlaczego zawsze jeździmy w miejsca bez telewizji?) ani dostępu do teranetu. W latach siedemdziesiątych mieli co prawda komputery, ale były to wielkie blaszaki ze szpulami taśm (tak, poważnie) i dyskami twardymi wielkości koła samochodu. Na posiadanie komputera było stać tylko duże uniwersytety i szpitale – taki sprzęt był nazywany komputerem typu *mainframe* – i były jeszcze minikomputery...

Przepraszam, panie Zog. Za dużo informacji.

W każdym razie chodzi mi tylko o to, że *znowu* jesteśmy na technopustkowiu, a moi rodzice sami *wybrali* właśnie to miejsce. Jak tylko skończę ten wpis, będę musiała oddać swojego AllInFone'a na przechowanie razem z ciuchami i resztą nowoczesnych gadżetów i zejść do tego *drugiego* holu hotelowego – lobby z lat siedemdziesiątych. Postaram się robić notatki, ale zgodnie z zasadami mam „tylko długopis i papier”.

\*\*\*

Przyłapali Tatę, gdy próbował wynieść swojego AllInFone'a z pokoju. W drzwiach jest wykrywacz, który reaguje na sygnał, jaki zgodnie z prawem muszą emitować wszystkie urządzenia przenośne. Bardzo uprzejmy portier zwrócił mu uwagę:

- Nie może pan wziąć tego ze sobą, proszę pana.
- Och, przepraszam. Nie wiedziałem...

Taty odpowiedź była oczywistym kłamstwem. Tatuś będzie się musiał przyznać biskupowi – widziałam w lustrze, jak rozglądał się po pokoju, wsuwając AllInFone'a do kieszeni.

Zeszliśmy na dół do holu.

To było fascynujące. Pisałam kiedyś pracę o latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, o szybko zmieniających się wtedy stylach – w tym miejscu udało im się odwzorować je wszystkie. Każdy z przybyłych był wyszykowany na dyskotekę – wydarzenie wieczoru otwierającego. Wszyscy byli posypani brokatem i umalowani. Tata zrobił awanturę, kiedy usłyszał, że wszyscy to również on. Ubranie było wykręcone w kosmos.

Buty na koturnie.

Ogromne okulary.

Odblaski.

Krótkie spodnie.

Tak. Miałam na sobie krótkie spodnie. Liliowe krótkie spodenki. Z doszytym z przodu bawetem, pod którym miałam gładką białą bluzkę, całą w falbankach i spinkach. Małe, krótkie skarpetki sportowe – naprawdę słodziutkie (ale nie dla mnie) – i para niedorozwiniętych praprzodków trampek. Sama bym zrobiła niezłą awanturę, ale Tata mnie ubiegł, a nie okazuje się Tacie wsparcia przez nakręcanie kłótni...

Było naprawdę fatalnie. Na dodatek mam jeszcze nogi dziecka – bardzo chude. Jest nawet konkretne określenie na nogi takie jak moje. Patykowate. Czasami sprawdzam dla pewności i wiem, że mam tylko dwa kolana – po jednym na nogę. Ale w tym stroju czułam się, jakbym miała ich więcej, na

dodatek różną ilość w każdej nodze. Takie spodnie zostały zaprojektowane z myślą o porządnym tyłku i biodrach, których ja jeszcze nie mam.

Mama z Tatą oczywiście szybko wskoczyli w swoje role i bawili się setnie. Tata miał na sobie żarówiaste, zielone dzwony i dzianinowy sweter bez rękawów nałożony na koszulę z olbrzymim karmazynowym kołnierzem. Kocham mojego Tatę bezgranicznie, takiego jakim jest, ale żaden strój nie mógłby bardziej podkreślać jego wydatnego brzucha. A mama... cóż. Mama w końcu włożyła bladożółtą imprezową sukienkę w pomarańczowe grochy. Do tego dopasowała buty na mocno przesadzonym koturnie, więc... nic dziwnego, że się telepała na boki. Mama ma świetną figurę – regularnie ćwiczy, gra w squasha i tenisa z kilkoma innymi mamami z naszej parafii. Nic nie powinno być w stanie spowodować u niej utraty pewnej postawy. A jednak w tych właśnie buciorach chwiała się jak marynarz podczas sztormu. To było tak komiczne, że chciałam się zapaść pod ziemię. Jeśli kiedykolwiek uda ci się złamać szyfrowanie mojego AllInFone'a, Mamo, i teraz to czytasz, to bardzo mi przykro, ale taka właśnie jest szczerą prawdą, zapisana i przeznaczona dla pana Zoga.

Podłoga jednak jakoś nie chciała się pode mną otworzyć i nie miałam gdzie się schować. Rozglądałam się dwadzieścia, może nawet ze czterdzieści razy, i niewiele się wokół zmieniało. Wszędzie pełno było najgorszych przykładów bezguścia lat siedemdziesiątych, nałożonych na jaskrawo ubranych turystów, którzy zmierzali w kierunku tej świątyni kiczu, jaką była dyskoteka dla dorosłych.

Oczywiście byli tam nie tylko dorośli. To wakacje rodzinne i wcale nie byłam zaskoczona, widząc kolejne kopie siebie. Nie dokładne kopie, rzecz jasna, ale wokół było około tuzina zakłopotanych dzieciaków w wieku od lat siedmiu do trzynastu, które próbowały nie patrzeć na swoich rodziców i udawały, że w ogóle ich tam nie ma.

Fala zepchnęła nas w kierunku parkietu, gdzie znaleźliśmy wolny stolik



rodzinny. Przy sąsiednim siedziała druga rodzina z chłopaczką mniej więcej w moim wieku. Uśmiechnął się do nas szeroko i szczerze spod rudego mopa. Ukłoniłam się w odpowiedzi, a jego mama, zauważając ten ruch, obdarzyła naszą rodzinę uśmiechem. Niedługo później zsunęliśmy nasze stoliki i dorośli utonęli w rozmowie. W pewnym momencie mój Tata i jego tata odeszli w kierunku baru po drinki.

– Jak masz na imię?

W pierwszej chwili tego nie wyłapałam. Ryży Mop coś mówił, ale nie zwracałam uwagi na słowa. Patrzyłam na Mamę, tak trochę bokiem. Teraz, jak już usiadła i przestała się chwiać, znowu była tą Mamą, którą znałam z codziennego życia.

– Jak masz na imię?

– Jesteśmy Deeley.

Wyglądał na rozdrażnionego.

– To wiem. Pytam konkretnie o twoje imię.

– Tanya.

Naprawdę chciałam ograniczyć swoją wypowiedź do minimum. Puszczali akurat wczesnego Bowiego – *The Jean Genie*, jeśli się nie mylę. Obawiałam się, że Ryży Mop może wpaść na pomysł wyciągnięcia mnie do tańca. Zaraz przeszedłby do liczenia moich kolan, a kiedy wyszłaby mu jakaś duża liczba nieparzysta, zacząłby się śmiać. Musiałabym go za to zabić, zabraliby mnie do więzienia – kiepski koniec wakacji.

– John.

– Słucham? – Tak naprawdę zupełnie go nie słuchałam.

– John. Ja mam na imię John. Możesz mnie tak nazywać, jak będziesz chciała zwrócić na siebie moją uwagę.

– Już cię zapamiętałam jako Ryżego Mopa.

Nie miałam ochoty na towarzystwo, a już na pewno nie na towarzystwo jakiegoś robodzieciaka, więc nie będę ukrywać, że zupełnie celowo próbowałam być niemą. Tak tylko troszeczkę, ale po nim to i tak spłynęło



jak po kaczce. Uśmiechnął się tylko i przeczesał palcami włosy.

– Ta. Trochę przypominają mopa. Mógłbym się zatrudnić do sprzątanía. Skoro zamierzasz mnie nazywać Ryżym Mopem, to jak mam mówić na ciebie? Wrona?

– Może być.

Cóż. Moje włosy faktycznie są całkiem czarne i nie miałam nic przeciwko temu, żeby to podkreślił. Był tak przyjacielsko nastawiony i radosny, a ponadto zupełnie nie dał się zniechęcić moim chłodnym przyjęciem.

– W takim razie, panno Tanyu „Wrono” Deeley, może uśmiechniesz się choć przelotnie na powitanie Johna „Ryżego Mopa” Czerna?

Wyszczrzyłam zęby na moment i ukłoniłam głowę. Nie myśląc za wiele, podniosłam dłoń i odgarnęłam kosmyk niesfornych włosów. Uśmiechnął się do mnie i bezskutecznie spróbował jakoś ułożyć swoje dzikie kłaki, jednak nadal coś zwisało mu dokładnie pomiędzy błękitnymi oczami. Nie udało mi się powstrzymać i szeroko się uśmiechnęłam. Jak na robota, był całkiem w porządku chłopakiem.

– Dobra, John. Poddaję się. Przyjmuję nastawienie przyjacielskie.

– O wiele lepiej.

Okazało się, że pan i pani Czern byli z Londynu. Mieli mały sklepik z warzywami, gazetami i innymi rzeczami codziennej potrzeby. Jeśli coś jest potrzebne, a akurat nie ma czasu na dłuższą wyprawę do hipermarketu, z pewnością można to kupić u Czernów. John pomagał rodzicom w sklepie, kiedy nie był w szkole albo nie odrabiał lekcji.

– Całkiem sporo pomagam. Traktują mnie trochę jak służącego. No wiesz: przynieś, podaj...

– Nie macie robota domowego do takich rzeczy? – zadałam pytanie, ale doskonale wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

– Nie. Nie zarabiamy dużo na prowadzeniu sklepu. Wystarczy na fajne wakacje, ale robot byłby już luksusem ponad nasze możliwości.

„Dwa roboty – poprawiłam go w myślach. – Dwa roboty byłyby

luksusem...”. Pierwszy robot to konieczność. Wtedy pomyślałam o tej puszcze, Soamesie. Gdyby moi rodzice nie mieli doskonałych genów, nie byłoby żadnych szans na to, żeby stać nas było przynajmniej na to konieczne minimum.

– Wiem. Mój Tata jest pastorem, więc nam też się nie przelewa. Ale dostaliśmy robota, używanego.

Nasza rozmowa szybko schodziła na smutne tematy. Jeszcze trochę i zaczęlibyśmy płakać do szklanek. Właśnie, myśl o szklankach przypomniała mi o Tacie, który nadal jeszcze nie wrócił z napojami.

Jak na zawołanie, nasi tatusiowie wyłonili się z bezimiennego tłumy. Mój Tata szedł przodem, a pan Czern niósł tacę. Tata Johna rozdał napoje. Był krągłym gościem, raczej niskiego wzrostu, ciągle chichotał i zdawał się bardzo zadowolony, obsługując nas.

– Dla pań drinki Babycham. Piwo Watneys Red Barrel dla prawdziwych mężczyzn. I cola dla dzieciaków. Całkiem autentyczne, co?

Zastanawiam się, skąd on mógł to wiedzieć. Już po pierwszym łyku piwa Tata skrzywił się i przez głowę przeleciało mi pytanie, po co ktoś miałby trzymać recepturę na jakieś paskudztwo przez ponad osiemdziesiąt lat?

Napotkałam spojrzenie Johna i chyba też o tym myślał, bo skrzywił się tak samo jak tata i wykonał gest, jakby wylewał szklankę z piwem Red Barrel. Mrugnął do mnie, ja do niego i obydwójce pociągnęliśmy po łyku naszej coli.

Paskudztwo! Jakież to było ohydne! Klejące i słodkie. Jeszcze jedna receptura, którą należałoby zamknąć w sejfie historii...

\*\*\*

Chyba nie będę dłużej rozpisywać się na temat tego, jak okropna była ta dyskoteka. Ani cała reszta tygodnia. Muzyka lat siedemdziesiątych była chyba najlepszą składową, ale jak to ujął Dickens: „Najlepsze czasy

i najgorsze czasy zarazem, okres mądrości i okres głupoty w jednym...”. Może z latami siedemdziesiątymi też tak było, ale przynajmniej ja nie zauważyłam w parku tematycznym niczego mądrego.

Ostatecznie lata siedemdziesiąte jawią mi się teraz jako okropna dekada. Jednej nocy rozdali nam wszystkim świeczki i zainscenizowali awarię zasilania. W jednej chwili siedzieliśmy, oglądając na telewizorze kineskopowym (tak, na tym z wypukłym ekranem) jakiś dokument na temat kryzysu energetycznego, a chwilę później światła zgasły i obraz zmałał do pojedynczego punktu na środku ekranu. Przy bladej poświacie wyłączanego telewizora znaleźliśmy świeczki. Uważam, że organizatorzy trochę oszukiwali, bo w ścianach było dodatkowe oświetlenie, dzięki czemu nikt się nie potknął i nie złamał nogi. Pięć minut później wszyscy wychodzili już ze swoich pokoiów ze świeczkami w rękach i... kierowali się w kierunku baru, jakżeby inaczej. I jakoś nikt nie miał żadnych zastrzeżeń, że na pompy do dystrybutorów piwa prądu nie zabrakło...

Punktem szczytowym wycieczki była wizyta w kopalni węgla. Była to oczywiście rekonstrukcja, a pod ziemię zajrzeliśmy dzięki symulacji. Do tego czasu zdążyłam już przywyknąć, że wszędzie chodziliśmy z Czernami. Poza tym polubiłam poczucie humoru Johna. Kiedy już przebraliśmy się wszyscy w pomarańczowe kombinezony i założyliśmy żółte kaski, wydawało mi się zupełnie naturalne, że dałam się wziąć Johnowi za rękę i poprowadzić po słabo oświetlonych korytarzach.

Oczywiście prowadziły donikąd. Żaden nie miał więcej niż dziesięć, może dwadzieścia metrów. Było to zamaskowane kilkoma załomami i zmianami wysokości, żeby uczynić zwiedzanie bardziej interesującym. Wszędzie słyszeliśmy ochy i achy turystów, a droid oprowadzający mówił w kółko o „ostatniej dekadzie brytyjskiej potęgi górniczej” albo „ciągłej pazerności władzy związków”. Nie miało to wielkiego sensu, ale brzmiało dumnie.

\*\*\*

I tak oto nadszedł ostatni dzień pobytu. W barze została zorganizowana gala pożegnalna z kapelą grającą na żywo kawałki zespołu Slade. Było głośno i kolorowo, muzycy tupali butami na koturnach śpiewając *Gudbuy T'Jane* i *Cum on Feel the Noize*.

Między piosenkami John poprosił mnie o mój PIT – publiczny identyfikator teranetowy. Byłam nieźle zmieszana. Czy powinnam mu go dawać? Był całkiem miły, ale w końcu to nadal tylko robot. Z ryzym, nieposłusznym mopem na głowie i bardzo słodkimi piegami.

Co też ja wygaduję?

Oj, panie Zog. To był chyba pierwszy chłopak, którym się zainteresowałam. W końcu dałam mu tego PIT-a, tańczyliśmy – ja w tych okropnych spodenkach z kolanami na widoku – i nawet dałam mu całusa w policzek, kiedy wydawało mi się, że rodzice nie patrzą. Później zespół zagrał *Far Far Away* i zatańczyliśmy przytuleni do siebie. Zapytałam go wtedy szeptem:

– Czy ty jesteś prawdziwy?

Moje serce na moment zakołatało, kiedy dotarła do mnie jego odpowiedź:

– Tak, jestem.

# Wtrącenie 1

*Niesamowite znalezisko. Doprawdy nieprawdopodobne. Przemierzam galaktykę w poszukiwaniu śladów Cywilizacji Świtu i trafiam na to. Zaszyfrowane i zapomniane, ale ocalałe przez tysiąclecia. Czekały właśnie na mnie.*

*Jestem więc twoim Zogiem i dowiem się o tobie wszystkiego, Tanyu Deeley. Jesteś dla mnie wielkim skarbem. Mam czas, żeby cię wysłuchać, nie musimy się nigdzie spieszyć. Żadne przejście międzywymiarowe się nie zamknie. Niestety, nie ma żadnych przejść, które mogłyby przyspieszyć nasze podróże kosmiczne. Nie, Tanyu. Przebyłem naprawdę długą drogę w normalnej przestrzeni, choć zajęło to całe wieki. Mój rodzaj nie musi się spieszyć.*

## Poniedziałek, 6 września 2049

Pierwszy dzień szkoły. Koniec wakacji i w moim przypadku nowa szkoła. Liceum żeńskie im. Lady Maud – żeby tam dotrzeć, będę musiała dojeżdżać autobusem, mijając po drodze moją poprzednią szkołę.

Mama urządziła rano straszną panikę. Ciągle upewniała się, czy pamiętam całą trasę, którą omawialiśmy przez ostatnie kilka tygodni. Kiedy już wychodziłam, uginając się pod ciężarem rzeczy na WF, ochraniaczy do hokeja i kostiumu kąpielowego, do tego jeszcze kanapek, linijki, długopisów i ołówków, dwóch temperówek i gumek – „na wypadek, gdybyś którąś zgubiła, kochanie” – kalkulatora (tylko po co, skoro mam swojego AllInFone’a?), kłódki do szafki oraz pięciu („sprawdź, czy masz wszystkie”) zezwoleń rodzicielskich, nadal jeszcze dopytywała „sprawdziłaś, czy masz bilet na autobus?”.

Tata mnie odprowadził, bo „i tak musiał coś załatwić na mieście i miał po drodze”, ale nie pomógł mi nic nieść, bo „muszę się przyzwyczajać”. W przeciwieństwie do mamy nie panikował, był tylko nieco nadopiekuńczy wobec swojej „małej księżniczki”.

Na przystanku czekały dziewczyny w różnym wieku i różnych rozmiarów. Starsze rozmawiały o tym, co robiły przez wakacje. Obiecałam sobie już wcześniej, że jeśli tylko spotkam kogoś znajomego, to powiem, że całe wakacje przesiedziałam w domu. Nie byłam, powtarzam, nawet nie zbliżyłam się do parku tematycznego. Jeśli będą mnie torturować, to przyznam się do odwiedzin w feudalnej Anglii – to powinno szybko zakończyć rozmowę. Ale wycieczka w lata siedemdziesiąte nigdy nie miała miejsca.

Tata zniknął za zakrętem. Jestem niemal pewna, że obszedł blok dookoła i wrócił prosto do domu. Zostałam sama.

Nagle przeszedł mnie dreszcz – niektóre z otaczających mnie dziewczyn były bardzo wysokie i miały wredny wyraz twarzy. Musiałam wziąć głębszy oddech i przypomnieć sobie, że najpewniej były tylko robotami i nie mogłyby skrzywdzić człowieka.

– Cześć, Tanyu!

Przyjacielskie pozdrowienie padło bardzo blisko i aż podskoczyłam zaskoczona. To była Siân, dziewczyna, którą znałam ze szkoły w naszej wsi. Przez całe wakacje jej nie widziałam – musiała pewnie gdzieś wyjechać – i teraz byłam zaskoczona, jak bardzo się zmieniła przez te kilka krótkich tygodni. Była nie tylko wyższa, ale wszystkie jej kościste kanty ładnie się zaokrągliły. Wyglądała naprawdę świetnie, a ja czułam się koło niej bardzo nie na miejscu.

Nagle mnie olśniło. Siân musiała mieć aktualizację w wakacje. Roboty nie mogą oczywiście rosnąć jak ludzie, ale żeby zachować iluzję, trzeba je co jakiś czas postarzać. Co rok albo dwa dziecko-robot jedzie do Oxted Corporation na mniej więcej tydzień i wraca, wyglądając nieco inaczej. Technicznym określeniem jest „aktualizacja”. Osobowość bez zmian, ale nieco bardziej odpowiednie, starsze ciało. Standardowe aktualizacje były częścią kontraktu, ale były również ograniczone do najbardziej podstawowych poprawek. Aktualizacja wyglądu Siân zdawała się znacznie wykraczać poza standard... Z pewnością taka aktualizacja nie była tania, ale jej rodzice mogli sobie na to pozwolić i wykorzystali wakacje na zaktualizowanie jej do wieku wczesnonastoletniego.

Oczywiście byłabym niegrzeczna, gdybym o tym napomknęła, więc przemilczałam sprawę i odkłoniłam się na powitanie. Następnie spytałam:

– Jak minęły wakacje, Siân? Widziałaś coś fajnego?

– W miarę. Byliśmy w Egipcie. Tatuś miał tam jakieś służbowe sprawy do załatwienia, więc zabrał mamę i mnie ze sobą. Pozwiedzaliśmy trochę, popłynęliśmy w dół Nilu. Wydaliśmy fortunę na tamtejszych bazarach. Nie kupiliśmy raczej nic ciekawego, mnóstwo śmieci, jeśli ktoś by mnie



spytał o zdanie, ale mama twierdzi, że tamtejsza gospodarka potrzebuje turystyki...

Siân była snobem, ale jak na snoba była całkiem w porządku. Przynajmniej do chwili, kiedy jej się nie przerywało i mogła spokojnie gadać o sobie. Rozmawiając z nią mogłam się nie martwić, że zapyta mnie o moje wakacje.

– ...później pospiesznie wylecieliśmy do Bangkoku, bo tata miał tam jakąś inną sprawę do załatwienia, a zanim zdążyliśmy przestawić zegarki, już byliśmy w Sydney. W operze była piękna wersja *Tannhäusera*...

Mogłam się ograniczyć do przytakiwania i pomruków zachwytu w krótkich pauzach. Jej wakacje zamieniły się już w prawdziwą podróż dookoła świata, ale przynajmniej sama nie musiałam wymyślać żadnych kłamstw na temat bycia córką chłopca pańszczyźnianego w średniowiecznej Anglii.

Przyjechał autobus, zajęliśmy miejsca obok siebie i nasza rozmowa trwała dalej.

– ...a w San Francisco spotkaliśmy się ze starymi znajomymi mamy ze studiów – Coulsonami. Pan Coulson pracuje w cybernetyce, a pani Coulson jest psychiatrą neurotronicznym...

No proszę, rodzice Siân mieli naprawdę niezłe powiązania, dzięki którym mogli zdobyć dla córki wszystko, co najlepsze.

– ...gdzieś po drodze najwyraźniej złapałam jakiegoś wirusa i na kilka dni wylądowałam w szpitalu...

O, proszę bardzo. Jest i czas aktualizacji.

– ...ale wcale nie było mi tam źle, Tanyu. Dostałam przeuroczy pokój w ośrodku rehabilitacyjnym, a wszystkie koszty pokrył ubezpieczyciel.

Nie. Mamusia i tatuś mają bardzo głębokie kieszenie, kochana Siân... Ale sugerowanie tego byłoby w bardzo złym guście. Ups, chyba właśnie to zrobiłam, prawda, panie Zog? Zechce pan wybaczyć Tanyi tę odrobinę zazdrości?



– A właśnie, Tanyu. Kiedy tam byłam, pamiętałam o tobie. Było tak pusto i samotnie, ale później wyobraziłam sobie ciebie siedzącą w tej zabitej dechami wsi i stwierdziłam, że chyba jednak nie mam najgorzej. Jak tylko wyszłam, mama zabrała mnie na zakupy do Haight-Ashbury i kupiłam ci *Wake of the Flood* Grateful Dead. Podobno bardzo trudno dziś zdobyć ten album, ale pamiętam, jak bardzo lubisz lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

To było takie wzruszające. Na swój sposób. Siân choć przez chwilę pomyślała o innej osobie i zrobiła specjalną przerwę w swoim monologu, żebym mogła wyrazić, jak bardzo to doceniam.

– Dziękuję, Siân. To naprawdę bardzo miłe z twojej strony.

Faktycznie było bardzo miłe, tylko kompletnie nietrafione, biorąc pod uwagę moje własne wakacje, o których nikt nigdy nie miał się dowiedzieć. Obiecałam sobie nie wspominać nikomu o parku tematycznym, więc tylko się uśmiechnęłam. Uprzejmość zobowiązuje i takie tam. Zresztą przecież to tylko robot starający się być miłym, więc dlaczego miałabym dawać jej powody do smutku?

\*\*\*

Szkoła średnia, jak się wkrótce miałam dowiedzieć, to paskudna sprawa. To miejsce zupełnie niepodobne do podstawówki, gdzie rodzice są tuż za rogiem, na tyle blisko, aby móc naprawdę interesować się postępami swojego dziecka. Do czasu, kiedy przechodzimy do liceum, wielu opiekunów zaczyna zdawać sobie sprawę z całej maskarady, w której uczestniczą, i pozwalają placówce zajmować się uczniami według swojego uznania. W przypadku szkoły żeńskiej im. Lady Maud nie jest jeszcze najgorzej, ale z tego, co słyszałam, szkoły w mieście są naprawdę złe.

Powiedziano nam, że Lady Maud była bogatą wdową z czasów wiktoriańskich, która wykorzystała odziedziczoną po mężu fortunę do

założenia pensji dla „skromnych młodych dziewcząt z dowolnej klasy społecznej, które przejawiają chęć do nauki... aby wszystkie boże dary przez nie otrzymane mogły zostać w pełni rozwinięte”. Kolejne rządy zauważyły przydatność szczytnych zamysłów Dobrej Wdowy i zainwestowały pieniądze podatników w rozwój placówki, która przez nieco ponad wiek utrzymywała swój poziom nauczania tuż pod ścisłą czołówką szkół tego samego poziomu w kraju.

Nauczanie robotów nie było jednak priorytetem rządu, a kto mógł o tym wiedzieć lepiej niż nauczyciele. Szkoła była w tej chwili zrujnowanym cieniem dawnej chwały. Niektóre budynki zostały zamknięte i miały okna i drzwi zabite deskami. W dachu jednego z gmachów widziałam dziury. Kiedy zebrałyśmy się na apel w holu głównym, rozglądałyśmy się po przestronnym pomieszczeniu zaprojektowanym dla dwukrotnie większej liczby uczniów.

Dyrektorka, pani Golightly, powitała nas w szkole im. Lady Maud. Opowiedziała nam pokrótce o Wielkich Tradycjach, o Osiągnięciach szkoły w Oxbridge i Wychowanicach, które zajęły Wysokie Urzędy lub w jakiś inny sposób osiągnęły Wielkość. Mówiła to w taki sposób, że niemal słyszało się te wielkie litery.

- Dokładnie to samo mówiła w zeszłym roku – powiedział ktoś z tyłu.
- Słowo w słowo – odpowiedział ktoś obok pierwszego głosu.
- W takim razie niedługo będzie kończyć.

I rzeczywiście, niebawem było po wszystkim. Pani Golightly pospiesznie wygłosiła swoje stałe przemówienie i niezwłocznie nas porzuciła. Nasza wychowawczyni zebrała całą grupę i zaprowadziła do naszej klasy. Tak poznałyśmy pannę Gerrard:

– Jestem panna Gerrard, ale wy będziecie zwracać się do mnie oraz do innych nauczycielek tutaj słowem madame. Wyjątkiem jest pan Cuthbert, nauczyciel chemii w Lady Maud, do którego należy się zwracać *sir*. Szkoła imienia Lady Maud jest wspaniałą placówką, z bogatymi tradycjami

akademickimi i choć czasy mogą się zmieniać, oczekujemy od naszych dziewcząt – tu zrobiła wymowną przerwę, przyglądając się każdej z nas – że będą dawać z siebie wszystko przez cały czas edukacji pod naszą opieką. Inni mogą błądzić i tracić cel z oczu – ciekawe, o co mogło jej chodzić? – ale nasze wychowanki są naszym jedynym priorytetem...

Mówiła dużo, ale przesłanie ogólne było bardzo płytko ukryte między słowami. Lady Maud oferuje wiele swoim ludzkim uczennicom, ale robotami nikt nie będzie się tu specjalnie zajmował.

Zacząłyśmy natychmiast. Angielski. Geografia, muzyka, religia, francuski. Łacina, sztuka, matma. I tak minął poniedziałek. Ułożyłam sobie mały wierszyk, żeby ułatwić zapamiętanie planu zajęć.

*Najpierw jest angol, a później gegra*

*Nutki, aniołki i gruba żaba*

*Łacina, malunki i algebra*

*Butki, plecak, a w domu laba*

Chyba niezbyt miło się rozprawiłam z kwestią francuskiego, ale całość mi pasowała i później nie mogłam już niczego lepszego wymyślić.

Angielski. Pani Philpott, niska i krępa, a do tego, jak szybko zauważyłyśmy, z olbrzymią krótkowzrocznością. Ale kochała Szekspira i już na pierwszej lekcji czytałyśmy *Kupca weneckiego*.

Geografia. Pani Hanson. Chuda i eteryczna. Zaczęła od lekcji o Afryce. Chatki z błota kryte trawą. Dzieci o ciemnej skórze, wychudzone i umierające z wycieńczenia. Podniosłam rękę.

– Przepraszam, madame, ale teraz chyba tak to nie wygląda?

Odchrząknęła zakłopotana.

– Nie, teraz już nie. Nie po Niepokojach. Zostało kilka przybrzeżnych enklaw, które nadal tak wyglądają. Reszta Afryki zdziczała i nikt tak naprawdę nie wie, jak sprawy wyglądają w głębi lądu. Wynalazek Oxted

rozwiązał problem na Zachodzie, ale dla Afryki nie starczyło robotów. Całkiem możliwe, że wcale by ich nie chcieli. Tam mieszkają różne plemiona, różni ludzie... Tacy dumni... Nierzadko silniejsi od mieszkańców cywilizowanego świata. Lepiej radzą sobie z bliskością śmierci...

Jej głos odpłynął. Kostki jej zbieleły od zaciskania palców na poręczy krzesła. Oczy się zaszklily. Zastanawiałam się, jaki obraz z przeszłości zobaczyła. Cisza się przeciągała, a my patrzyłyśmy jedna na drugą. Z tyłu sali były zdjęcia, na których zauważyłam młodą kobietę. To mogła być młodsza pani Hanson, w kapeluszu przeciwsłonecznym, luźnej bluzce i szortach. Na wielu zdjęciach była otoczona dziećmi w jasnych ubraniach i z szerokimi, ładnymi uśmiechami na buziach. Na kilku fotografiach odwiedzała szpitale polowe i tu dzieci już nie wyglądały zdrowo i szczęśliwie. Jedno zdjęcie, powieszone nieco z boku względem pozostałych, pokazywało ją stojącą obok wysokiego, gładko ogolonego czarnoskórego mężczyzny. Był nagi, jeśli nie liczyć przepaski biodrowej. W lewej ręce trzymał krótką włócznię i tarczę pokrytą skórą w stylu Zulusów. „Przystojniak”, pomyślałam. Pani Hanson musiała mieć o nim podobne zdanie, bo na zdjęciu obejmował ją prawą ręką, zaś jej lewa ręka obejmowała go na wysokości bioder. Mąż i żona? Zaryzykowałam spojrzenie w kierunku pani Hanson, która nadal była zapatrzona w najdalszą ścianę sali.

Chwila minęła i pani Hanson kontynuowała.

– Tyle wystarczy. Czas wrócić do życia w Korytarzu Kimberley. O tym właśnie się dziś uczymy...

Muzyka. Pani Carr. Religia. Pani Reese. Język francuski. Madame Lebrun.

Zauważyłam, że wszystkie one są stare. Musiały chyba uczyć przez całe swoje życie... i nie wiedzą, jak przestać, nawet mimo tego, że prawie nie ma już kogo uczyć. Zdałam sobie sprawę, że tak samo było też w poprzedniej szkole, ale jakoś wtedy o tym nie myślałam. Czy nie ma

żadnych młodych nauczycieli?

O rety, panie Zog. Co jeszcze do tej pory mi umknęło?

## Sobota, 11 września 2049

No i już sobota, minął cały tydzień w Lady Maud. Nagle stało się to moją nową codziennością. Jak to się dzieje? Siân Fuller właściwie została moją najlepszą przyjaciółką. Jako człowiek byłaby oczywiście kompletną idiotką, ale jak na robota jest w porządku. Ostatnio, w środę, pomagałam jej odrobić pracę domową w autobusie. Kiedy nie patrzyła, uśmiechałam się pod nosem, bo cała sytuacja była przecież zabawna, prawda? Po co robot ma się uczyć francuskich czasowników? Niezbyt często jednak o tym rozmyślałam, bo to prowadzi do rozważań o przyszłości, a przyszłość to bardzo straszne i smutne miejsce, z wieloma pytaniami bez odpowiedzi:

*Co się dzieje z robotami, kiedy dorosną?*

*Dlaczego pani Hanson trzyma fotografię przystojnego zuluskiego wojownika (być może jej męża) w klasie?*

*Czy są jacyś młodzi nauczyciele?*

*Co kryje się w sercu Afryki, za Korytarzem Kimberley?*

*Dlaczego John się do mnie nie odezwał?*

No właśnie, dlaczego nie zadzwonił?

Śnił mi się ostatniej nocy. Śnił mi się ten ostatni całus w policzek. To wspomnienie sprawia, że aż mi gorąco w środku. Trochę mi chyba głupio.

Nie zadzwonił do mnie. Od wakacji minęło już ponad dwa tygodnie. Tak szybko o mnie zapomniał? Może zgubił mój numer PIT?

\*\*\*

Angielski. Czytamy Szekspira. Wybacz, chyba już o tym pisałam. Tak, zgadza się. *Kupiec wenecki*. Pani Philpott. Robiliśmy jej dowcipy. Kiedy nie patrzyła, przestawialiśmy rzeczy na biurku, żeby nie mogła ich znaleźć. Ma

bardzo kiepski wzrok.

Ale całego Szekspira zna na pamięć i nigdy nie potrzebowała książek, które jej chowałyśmy. W końcu przestałyśmy sobie z niej żartować – nie dawało to żadnej frajdy.

Przez większość czasu ze znudzeniem odczytywałyśmy swoje linijki, a ona karciała nas, mówiąc coś w stylu:

– Nie, nie, nie. Wyobraź sobie, że tobie się to przydarzyło. Jak ty byś się czuła w takiej sytuacji, kochanie?

Wtedy jej ofiara przez chwilę wyrażała ciekawość lub podniecenie w całym zakresie szczerości doznań, jakie potrafi wyrazić jedenastolatka – a w tym wieku nie potrafi się jeszcze zbyt wiele, panie Zog. Kwitowała to zwykle, przewracając oczami i stwierdzając:

– O wiele lepiej.

W końcu przyszła pora i na mnie, oczywiście. Dostała mi się kwestia Porcyi. Ciągłe słyszę strofującą poradę:

– Jak ty byś się poczuła, Słonko?

*Jak się w powietrze ulatniają moje  
Błędne obawy, wrzące niepokoje,  
Złowieszcze troski i chwiejące względy!  
Miłości, poskrom radosne zapędy!  
Folguj, zmniejsz nadmiar swojego zachwytu!  
Abym u tego szczęśliwości szczytu  
Nie utraciła zmysłów.<sup>1</sup>*

Czy to jakaś sztuczka Szekspira, że podczas czytania w umyśle pojawia się obraz? Rudowłosy chłopak w ubraniach z lat siedemdziesiątych tańczący w rytm muzyki granej przez kapelę fanów Slade'ów?

Pani Philpott nic nie powiedziała, ale czułam jej spojrzenie po tym, jak skończyłam swoją kwestię i przemówił Bassanio. Po lekcji zatrzymała mnie



na chwilę.

– Coś poczułaś.

To nie było pytanie, a ja czułam, że jej mogę zaufać.

– Tak. Jest ktoś...

– Tak właśnie pomyślałam. Tak to się zwykle zaczyna. Nasze doświadczenia nadają słowom życia. A słowa wzbogacają nasze życie.

– Jak co się zaczyna, pani Philpott?

– Nasze zamiłowanie do języka, panno Deeley. Zwierzęta są ograniczone do postrzegania wyłącznie uczuciami, zaś maszyny znają wyłącznie słowa. Bycie człowiekiem polega na odczuwaniu, czyli nadawaniu tekstury i wyrazu naszym emocjom poprzez język.

– Czy to wszystko?

– To wszystko, panno Deeley. Czy ciało i krew określają człowieka? Ja w to nie wierzę. Wielu zrodzonych z kobiety nie potrafi czuć. Wystarczy, że weźmiesz podręcznik do historii i zapytasz siebie samą, czy człowiek zachowałby się w taki właśnie sposób, gdyby potrafił czuć?

– Ma pani na myśli kogoś takiego jak Hitler?

– To nieco skrajny przykład, ale właśnie o to mi chodzi. Z pewnością urodziła go kobieta, ale czy był człowiekiem?

– Ja...

– To pytanie retoryczne. Nie odpowiadaj. W akcie trzecim, w pierwszej scenie, Shylock wypowiada znaną kwestię odnośnie swojej własnej osoby: „Jestem Żydem. Czyż nie mam oczu Żyda?”. Po tych słowach dalej definiuje swoją ludzkość na podstawie czysto fizjologicznych cech. Ale zwróć uwagę na jego późniejsze czyny. Czy za pomocą języka potrafi wyrwać się z więzienia własnego umysłu i zrozumieć uczucia innej osoby? Czy potrafi zatem kochać inną osobę bardziej niż siebie samego? Czy może jednak jego czyny i język pokazują, że jest sam, zamknięty we własnym umyśle?

Myślę, że mogłaby mówić w nieskończoność, ale musiała zauważyć moje



zniecierpliwienie. Martwiłam się, że nie zdążę na następną lekcję.

– No, leć już.

\*\*\*

Zamierzałam zabrać sztukę do domu i przeczytać całość, ale zapomniałam ją spakować do plecaka z pracą domową. Później mi się przypomniało i pozwoliłam sobie na małe oszustwo. Poszperałam trochę w sieci i wygrzebałam starego empega, na którym mogłam zobaczyć Anthony'ego Shera jako Szajloka. Czy Szajlok jest człowiekiem? Według definicji pani Philpott pewnie nie.

Obejrzę to nagranie jeszcze raz. A potem kolejny. I obiecuję w końcu przeczytać też oryginał.

Zdecydowałam, że uwielbiam język.

Tak się cieszę, że jestem człowiekiem.

## Poniedziałek, 27 września 2049

John się odezwał.

Mówi, że wszystko gra. W szkole jest dobrze. A co u mnie?

– U mnie też wszystko gra – mówię, ale w głowie ciągle mam uporczywe pytanie: „Czemu wcześniej nie zadzwoniłeś?”. – Miło, że się odezwałeś.

– Mhm, fajnie.

„Mógłbyś bardziej się wysilić. Typowy chłopak!”.

– Musiałeś być bardzo zajęty.

– Nie, nie za bardzo.

„Mam nadzieję, że nie zadzwoniłeś tylko po to, żeby odbąkiwać równoważnikami. Pamiętam, że wcześniej umiałeś normalnie mówić. Wtedy, w latach siedemdziesiątych”.

– Cieszę się bardzo, że nie zgubiłeś mojego numeru PIT. Zaczynałam już myśleć, że zostaniesz tylko wakacyjnym wspomnieniem.

– Nie, chciałem zadzwonić wcześniej. – „Tak, znowu składa całe zdania!”. – Ale dziwnie się czułem. Obawiałem się, że mogłabyś...

– Co takiego?

– Że mogłabyś mnie już nie lubić.

– Głupi jesteś, John. Bardzo cię lubię.

– I ja ciebie też bardzo lubię, Tanyu. – „Dalej, dalej, nie przerywaj...”. – Ja... Ja... No właśnie, bardzo cię lubię.

„Rety, naprawdę masz dzisiaj jakieś problemy z komunikacją, John. Będę musiała się sporo napocić, żeby coś z tego było”.

– Dużo myślałam o naszych wakacjach, John. Nigdy wcześniej nie poznałam nikogo takiego. Wszyscy moi pozostali znajomi to dzieci znajomych moich rodziców albo dzieci parafian mojego taty, albo dzieci z mojej szkoły. Nigdy nie miałam wielkiego wyboru, jeśli chodzi

o przyjaciół. Oni po prostu byli wokół, a ja akceptowałam ich obecność. Ty jesteś inny.

– Hm. Dzięki. – „Nie wzdychaj! I wypowiadaj się pełnym zdaniem”. – U mnie w szkole jest tak samo, a przynajmniej tak mi się wydaje. Patrząc, jak inni grają w piłkę, i jakaś część mnie po prostu myśli, że tak ich zaprogramowano. Nie bawią się, tylko wykonują program. Dlatego nie chcę do nich dołączać. Właściwie to nie mam przyjaciół.

– Nie przyjaźnisz się, bo myślisz, że oni wszyscy są robotami?

– M-hm. – „Tym razem okażę łaskę... Moja wina, że zadałam chłopakowi pytanie z opcjami tak-nie. Reszta wypowiedzi też wyszła całkiem zgrabnie, jak na chłopaka. Dużo zdań. Następnym razem popracujemy nad dodawaniem przymiotników”.

– Czyli mnie rozumiesz. Nigdy nie czułam się taka, jak inne dzieci w szkole. Zawsze gdzieś siedzi przeświadczenie, że oni są jacyś odmienni. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak rozpoznam żywe dziecko, jeśli jakieś spotkam. Wiedziałam, że będzie jakoś się wyróżniać. Obawiałam się tylko, że trafienie na jakieś może zająć dużo czasu.

– A teraz?

– Teraz już trafiłam. I bardzo, bardzo się z tego cieszę. Dlatego porozmawiajmy jeszcze trochę i nie zepsuj...

\*\*\*

Tutaj przerwę, panie Zog. Jest kilka rzeczy, które jednak chciałabym zachować w tajemnicy, przynajmniej na razie.

Wtorek, 26 października 2049

Stopa.

Moja stopa.

Wpatruję się w swoją stopę, jakby wcale do mnie nie należała.

Moja własna stopa mnie zdradziła.

Siedzę już w swoim pokoju od godziny, może dwóch. A może i dłużej. Rodzice przyszli na górę powiedzieć mi po raz kolejny, że nadal mnie kochają, ale nie chciałam z nimi rozmawiać. No to sobie poszli. Jak się skupię, to słyszę ich głosy na dole. Szepty, płacze, pospieszne kroki. Staram się jednak nie słuchać. To mi nie pomaga. Siedzę tu, wpatrując się w swoją stopę, a moje myśli wirują szaleńczo.

Gdybym tylko...

\*\*\*

Pierwsze „gdybym tylko”:

Gdybym tylko nie zgodziła się na wycieczkę do Londynu z Siân.

– Będzie wspaniale, zobaczysz – mówiła. – Mamusia i tatuś zawiozą nas razem naszym wielkim mercedesem, będziemy miały dużo przestrzeni. Zwiedzimy Tower, zobaczymy panoramę z London Eye, przejdziemy się pod pokładem HMS „Belfast”, obejrzymy Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud, a potem wrócimy do hotelu i...

To była cała Siân. Nie mogła przestać nawijać. Nigdy.

Ale propozycja brzmiała interesująco, więc się zgodziłam.

\*\*\*

Drugie „gdybym tylko”:

Gdybym tylko się nie popisywała.

Byłyśmy na HMS „Belfast”, którego działa nadal celują w Barnet. Właściwie dlaczego akurat tam? Wydawałoby się, że dużo więcej sensu miałyby trafienie w żółtą albo czerwoną strefę. Można było właściwie strzelić w cokolwiek w południowej części Londynu. W każdym razie Siân ganiała mnie po pokładzie, ja się przed nią chowałam i straszyłam ją, wyskakując nagle, kiedy mnie mijała. Później zmieniałymy się rolami.

Niewinne zabawy.

Potem przeszłyśmy przez Tower Bridge i oglądałyśmy łódki pływające wzdłuż Tamizy. Ostatecznie dotarłyśmy do Tower of London. Warownia została odnowiona kilka lat temu z okazji 500. rocznicy egzekucji Anny Boleyn. Fosa została zreorganizowana: pojawił się zalany obszar do pływania łódkami i park piknikowy. Można było też obejrzeć trójwymiarowe nagrania widowiska z aktorami odtwarzającymi rolę Boleyn i Jeana Rombauda, jej kata. Były też hologramy starego króla Williama, który po ceremonii oficjalnego otwarcia Bramy Zdrajców odpłynął łódką w dół rzeki. Ale nas z Siân interesowała najbardziej zabawa w chowanego.

Skończyły nam się pomysły na kryjówki.

No, przynajmniej w ogólnie dostępnych miejscach.

Dlatego też przestałyśmy się do nich ograniczać. Kiedy Siân zakryła oczy i zaczęła odliczanie, ja pobiegłam do Bramy Zdrajców. W moich czasach organizują tam wycieczki po Tamizie z aktorami w strojach z epoki, którzy odgrywają szlachetnie urodzonych transportowanych do Tower. Ale takie atrakcje tylko w sezonie letnim. Teraz wszystko było pozamykane i niedostępne dla zwiedzających. Łódki stały równo przyczepione łańcuchami do pierwszego schodka.

Przeszłam nad niską bramką i zbiegłam na dół kilka stopni aż do linii wody, ale kiedy już tam byłam, stwierdziłam, że właściwie nie ma się gdzie

schować, poza przykrytymi płótnem łodziami. Słyszałam już biegnącą coraz bliżej Siân, więc niewiele myśląc, uniosłam materiał i wgramoliłam się do środka. Łódeczka dziko się rozkołysała, ale leżałam spokojnie i po chwili się ustabilizowała.

Podskoczyła kilka razy delikatnie, więc zaryzykowałam wyjrzenie spod materiału.

Najpierw zobaczyłam Siân patrzącą prosto na mnie. Zobaczyła, jak moja twarz wyłania się spod materiału i przez jej twarz przewinęło się zdziwienie, a tuż po nim przerażenie. Wskazała na mnie palcem i zaczęła krzyczeć.

Jej zachowanie sprawiło, że rozejrzałam się dookoła, żeby zobaczyć, o co robi tyle hałasu. Wszędzie wokół mnie była mulista woda. Łódeczka oddalała się od schodów i złapana prądem rozpędzała się w kierunku rzeki.

Ups!

Szybko zauważyłam, że trafiłam na łódkę bez wiosła, a pierwszą bramę już minęłam i nie było szans, żebym do niej wróciła. Siân wezwała pomoc – strażnika Tower – a on szybko odcumował drugą łódeczkę i zaczął wiosłować w moim kierunku. Nie miał szans zdążyć, moja łódeczka płynęła już szybciej i nieuchronnie zbliżała się do rwącej rzeki. Tuż za łukiem bramy rzecznej były jakieś stalowe rusztowania, częściowo blokujące drogę ku rzece. Łódka je ominie, byłam tego pewna, ale na tyle blisko, że powinnam być w stanie na nie przeskoczyć...

Za mną wiosłował strażnik, krzycząc coś do mnie między pociągnięciami wiosła...

– Nie skacz!

Ale rusztowanie było już tak blisko i wiedziałam, że dam radę doskoczyć...

Skoczyłam...

\*\*\*

Trzecie „gdybym tylko”:

Gdybym tylko nie zaplątała się stopą przy skoku.

Poczułam, jak coś owija mi się wokół kostki dokładnie w momencie, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, jak kiepskim pomysłem jest skakanie z nieuwiązanej, lekkiej łódki. Kiedy podskoczyłam, łódka zwyczajnie odpłynęła spode mnie i wpadłam do wody.

Coś owinęło mi się wokół kostki jeszcze mocniej, pociągnęło mnie w dół i nie chciało wypuścić. Sięgnęłam do nogi ręką i poczułam płataninę liny i łańcucha, która była mocno zaciśnięta i ciężka. I która ciągnęła mnie coraz głębiej.

Otworzyłam oczy, ale w mulistej wodzie nic nie było widać. Czułam ciśnienie w uszach, więc domyślałam się, że jestem głęboko. Czułam też potworne pieczenie w płucach. Niedługo będę musiała wziąć wdech, a wtedy będzie po mnie. Teraz nie jestem już pewna, czy choć jedna jasna myśl pojawiła się w mojej głowie, ale chyba pamiętam strzępki „Żegnajcie”, „przepraszam”, czy „Kocham was, Mamo i Tato”.

\*\*\*

Czwarte „gdybym tylko”:

Gdybym tylko utonęła.

Nie mogłam powstrzymać się od wzięcia tego oddechu. Wiedziałam, że to mnie zabije, ale i tak w końcu to zrobiłam...

Uczucie było dziwne. Woda wlała mi się do płuc. I tyle. Było po prostu dziwnie. Nie dławiłam się. Nie czułam żadnej różnicy, może z wyjątkiem tego, że wydech był jakby trudniejszy.

Ale oddychałam. Oddychałam wodą. Czułam, jak moje żebra pracują przy kolejnym wydechu... i wdechu. A ja nie umierałam.

Przez mulistą wodę zobaczyłam zarys płynącej postaci. Strażnika, jak sądzę. Musiał mieć nóż, bo poczułam piłowanie gdzieś w okolicy mojej

kostki. Piłował, szarpał, ciął i wyplątywał linę, która mnie trzymała.

Tyle wystarczyło. Moja stopa była po chwili wolna, a ja wypłynęłam na powierzchnię. Czułam silne ramiona strażnika, który mnie podtrzymywał.

Nie jestem do końca pewna, co się później stało, ale mam przebłyski:

Moja głowa się wynurzyła, a ja wykaszlałam trochę wody...

Czyjeś ręce wyciągnęły mnie z wody...

Siân, pochylona nade mną, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w dole, niepatrzająca mi w oczy...

Więcej rąk, przenoszących mnie na nosze...

Krótkie spojrzenie na moją stopę, która ciągle bolała...

Moja prawa stopa, krwawiąca tam, gdzie została zacięta nożem...

I coś jeszcze: srebrnoszare druty, jasne i błyszczące...

Srebrnoszare druty...

Srebrnoszare druty...

\*\*\*

Moją następną jasną myślą było stwierdzenie, że rozmazana plama światła przed moimi oczami to sufit. Leżałam na plecach, w łóżku.

W szpitalu. Oczywiście.

Usiadłam, po części oczekując, że nie pozwolą mi na to jakieś bandaże, kroplówki i sama nie wiem, co jeszcze. Ale nic takiego się nie stało. Kołdra zsunęła się bez oporu i kiedy odrzuciłam jej dolny kawałek zobaczyłam...

Swoje stopy. Obydwie. Wystające radośnie z długich spodni od pidżamy w zielone paski.

Idealne.

Ani draśnięcia. Ani śladu. Nawet zaczerwienienia.

Pochyliłam się, by przyjrzeć się im uważniej. Nie byłam w stanie stwierdzić, która z nich została rozcięta nożem aż do krwi. Nie znalazłam żadnego dowodu, że to się w ogóle stało. Ostrożnie dotknęłam obu stóp.



Uzdrowione, pomyślałam.

Nie, poprawiłam się szybko. Nie uzdrowione.

Naprawione.

Niepowołane pojawiło się wspomnienie imienia.

Robert.

Może powiedziałam je na głos, a może tylko pomyślałam te słowa:

Jestem robotem.

## (Wspomnienie)

Robert.

Wybraliśmy się na wakacje ze znajomymi Taty. To było straszne. Nietrudno było zauważyć, że on nie lubił dzieci, ale ona była całkowicie pochłonięta ich malcem. Malec miał na imię Robert i był okropnym bachorem. Chłopak, ale jego ojciec ani przez chwilę nie ukrywał, że to robot. W najłagodniejszej wersji lekko przekręcał jego imię na Robort, ale czasami otwarcie robił uwagi o „blaszanym chłopcu”. Za każdym razem, kiedy jego żona to słyszała, wyglądała, jakby była gotowa go zabić.

Rany, ale dziwaków można czasami spotkać...

Tamte wakacje spędzaliśmy w Walii, która tak w ogóle jest miejscem bardzo przyjemnym. Wszędzie góry i domki szeregowo zbudowane z betonu. Wszystko bardzo tradycyjne. Takie passé. Oczywiście, Nowe Cardiff jest nowoczesne, zbudowane w całości z repolimeryzowanego plastiku ekologicznego. Ale nie mieszkaliśmy tam. My siedzieliśmy w jakiejś dziurze o nazwie Aber-cośtam. Dużo podwójnych „l” i podwójnych „d” połączonych jakimiś „y-ami”. Wiocha była tak głęboko schowana w dolinie, że gigahertzowe fale nie mogły się przebić. Cały tydzień bez ruchomych obrazków. No dobrze, właściwie to było coś w stylu filmów i Tata mówił, że broszura nie do końca mijają się z prawdą. Tata zaczął naśladować reklamowy styl mówienia i powiedział:

– Sygnał jest tak osłabiony, że można odbierać tylko kolory lub trójwymiar, ale nie trójwymiar w kolorze.

No w każdym razie chodzi mi o to, że w Aber-podwójne-d ledwo można było mówić o dostępie do elektryczności, a co dopiero mówić o teranecie. To było prymitywne i niebezpieczne miejsce. Kiedy więc Robert, okropny bachor, wybrał się na spacer po plaży, nie powinno było być dla nikogo

zaskoczeniem, że potknął się o jakiś kamień i wpadł do bajorka ze słońną wodą.

Wiedziałam, że coś jest nie tak już w momencie, kiedy usłyszałam rozzwierający krzyk, niezbyt głośny, ale tak przeszywający, że aż mi zęby zazgrzytały. Nie widziałam, jak spadał, ale dość dobrze zlokalizowałam kierunek, z którego usłyszałam wrzask. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że Robert ma kłopoty.

Przedzierałam się przez skały, wrzeszcząc na dorosłych, żeby przybiegli z pomocą, jeszcze zanim zobaczyłam Roberta. Kiedy go znalazłam, myślałam, że zemdleję. Spodziewałam się, że będzie widać krew; roboty są tak zaprojektowane, żeby krwawić. Ale on spadł tak niefortunnie, że kamień wyrwał mu dziurę w boku.

Jego wnętrze nie składało się z tak prymitywnych rzeczy, jak zębaki i pręty, ale z ciasno upchniętych mikrośilowników, pseudoorganicznych tensorów, a między tym wszystkim wiła się płatanina srebrnoszarych przewodów cudu technologii Oxted – sieci neurotronicznej.

Robert nie ruszał się, a jego krzyk, który mnie do niego ściągnął, przycichł do delikatnych jęków. Spojrzałam za siebie, ale dorośli nadal siedzieli spokojnie przy pikniku, zupełnie nieświadomi tego, co się stało. Zaczęłam wołać, najgłośniej jak mogłam, i w końcu zauważyli, że coś jest nie tak. Odwróciłam się z powrotem do Roberta.

Jego sieć nadal świeciła jasno, co było dobrym znakiem. Gdyby przewody straciły swój srebrzysty blask i zszarzały zupełnie, oznaczałoby to koniec. Ale co ja mogłam zrobić? Jak pomaga się rannemu robotowi? Nikt tego nie uczy w szkole. Postanowiłam go podnieść, wyciągnąć z wody. Zasolenie nie mogło być dla niego dobre.

To nie było wcale łatwe, ale jak na swój wiek byłam dość silna. Udało mi się wyciągnąć go na tyle, żeby woda wylała się z rany. Kiedy skończyłam, zauważyłam, że w przewodach sieci pojawiło się już całkiem sporo szarości, ale nadal były srebrzyste przebłyski.

Wreszcie dotarli dorośli. Wszyscy byli zdyszani i spoceni. Don i Suzie byli kompletnie bezużyteczni. Suzie usiadła na najbliższym kamieniu i bujała się w szoku, a Don robił wszystko, żeby jakoś ją pocieszyć. Dlatego to Mama z Tatą musieli przenieść Roberta przez plażę do samochodu. Za nami słyszałam jęki i narzekania Suzie... Nie zdążyłbyś powiedzieć „sieć Oxted” w czasie, w którym wybuchła między nimi kłótnia. Suzie obwiniała Dona o to, że nie chronił ich synka, a Don w kółko powtarzał, że to się da naprawić.

Pojechaliśmy do doktora w Aber-podwójne-d. Starszy gość, chyba już wtedy był blisko emerytury i chociaż warunki rynku zmusiły go do poszerzenia oferty o robotykę (oczywiście, jak wszystkich), to jednak dało się wyczuć, że nie przepadał za sztucznymi klientami. Ręce mu się trochę trzęsły, a to kiepski znak przy naprawianiu sieci neurotronicznych. Srebrzyste nitki szarzały z każdą chwilą. Doktor zadał pytanie, które było nieuniknione w tej sytuacji.

Wtedy Suzie wybuchła wszystkim, co do tej pory jeszcze trzymała w sobie.

Kopia zapasowa.

Nie robili ich. Ostatnia kopia była sprzed trzech lat. Doktor Ewans odradzał utworzenie nowej kopii w takim stanie sieci. Tłumaczył, że jego sprzęt jest przestarzały i może nie poradzić sobie z formatem danych Roberta. Mogłoby dojść do zapisania uszkodzonych danych, nawet zakładając, że sieć Roberta byłaby w stanie zachować spójność podczas kopiowania...

Jednak Suzie nie słuchała. Wrzeszczała na Dona za to, że tak lekko traktował tworzenie kopii zapasowych Roberta, że wiedząc, jak słaba jest w sprawach technicznych, nie wziął za nie odpowiedzialności na siebie, że tak nienawidził Roberta i...

Biedny Robert. Naprawili go, ale jak już mówiłam, ostatnia kopia zapasowa była sprzed trzech lat...

Robert stracił wtedy ostatnie trzy lata swoich wspomnień, trzy lata wiedzy. Trzy lata swojego życia. Pięcioletni umysł w ośmioletnim ciele.

\*\*\*

Don i Suzie wysłali do nas kartki na święta w zeszłym roku. Dwie osobne kartki. W żadnej z nich nie wspomniano o Robercie. Najpewniej odesłali go do Oxted.

Dolina Osobliwości.

Czy to w niej się teraz znalazłam?

## Wtrącenie 2

*To świetny materiał, Tanyu, choć raczej nie docenisz mojego profesjonalnego zachwytu. Masz rację, myśląc o mnie jako o archeologu, ale jestem też psychologiem i po części antropologiem. Taka mieszanka powinna ci przedstawić jakiś zarys mojej osoby. Tak, jeden kosmita robi to wszystko.*

*Prawda jest taka, że nasza rasa nie jest zbyt liczna. Nie mamy też olbrzymich statków kosmicznych z napędem nadświatlnym do podróżowania przez galaktyki. W poznanym kosmosie są bardzo skąpe złoża egzotycznych form materii, dzięki którym można poruszać się przynajmniej z prędkością światła, dlatego sześciuosobowa załoga to maksimum. W obrębie tej załogi dzielimy się wszystkimi obowiązkami.*

*Musiałem pociągnąć za kilka sznurków, by w ogóle doprowadzić do tej ekspedycji. Kierownicy – przywódcy mojej rasy – nie byli zachwyceni pomysłem wysłania cennego statku aż do Świtu. Cywilizacja Świtu była już badana aż do jej naturalnego wymarcia. Powinniśmy iść dalej w poszukiwaniu nowych form życia – oni uważają za właściwy kierunek centrum galaktyki, w którym liczba gwiazd jest większa.*

*– A co zrobimy, kiedy już odkryjemy jakąś nową formę życia? – spytałem.  
– Jak się przedstawimy? „Witajcie, jesteśmy Starcami, Znużonymi, Zmęczonymi”. Bo widzisz, Tanyu, mojemu gatunkowi brak życia. Przekonałem ich, że nowe badania Cywilizacji Świtu mogą nas nauczyć, jak znów być młodymi.*

*Może skłamałem. Może cała ta wyprawa badawcza ma jedynie zaspokoić moją własną próżność i zapobiec znużeniu. Mam nadzieję, że tak nie jest. Musisz nauczyć mój gatunek, jak się odbudować.*

Wtorek, 26 października 2049

Michael i Annette czekali w ciszy przed drzwiami mojego pokoju. Kiedy się odezwałam, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w pobliżu, weszli.

Byli zmieszani. Głowy mieli lekko pochylone – tak, by nie patrzeć mi w oczy. Annette miała całą twarz czerwoną, a oczy opuchnięte – długo płakała. Michael był kompletnie przybity i ugiął się pod poczuciem winy. To on przerwał milczenie.

– Jak się czujesz?

– Nie umarłam. Niestety.

– Ach.

To było ostateczne potwierdzenie. Nie „Jak możesz mówić coś takiego?” ani „Och, moja mała kruszynko”. Tylko pojedyncze „Ach”. O wiele krótsze niż „Och, maleństwo, teraz już wiesz, że oszukiwaliśmy cię przez całe życie...”. Ale przesłanie dokładnie to samo.

– Jak mam teraz do was mówić? Michael? Annette? Wielebny Deeley? Pani Deeley?

– Mieliśmy nadzieję, że dalej będziesz zwracać się do nas Mamo i Tato.

– Ale nimi nie jesteście? Moimi rodzicami?

– Nie w biologicznym sensie tego słowa. Ale dawaliśmy ci całą swoją miłość, zawsze. Gdybyśmy mogli mieć dziecko, nie moglibyśmy go kochać bardziej niż ciebie. Czuję, że jestem twoim ojcem w każdym liczącym się znaczeniu tego słowa. Mama czuje to samo.

– Pozwoliliście mi wierzyć, że jestem kimś wyjątkowym. Że jestem człowiekiem.

– Jesteś wyjątkowa...

– Ale nie jestem człowiekiem.

Annette podniosła głowę i po raz pierwszy się odezwała.

– Wysyła się rodziców na kurs. Kiedy ktoś decyduje się... No wiesz. Oxted.

Mogłam powiedzieć coś, co ułatwiłoby jej rozmowę, ale czułam się zraniona i chciałam, żeby też cierpieli. Dlatego leżałam cicho i czekałam, aż sama dobierze sobie odpowiednie słowa.

– Wszystko, co powiesz swojemu dziecku, ma znaczenie. Na kursie uczą, że to nie zadziała, jeśli nie myśli się o swoim dziecku jako o człowieku. Nie należy myśleć o nim jako o robocie. Nie wolno powiedzieć mu, że jest robotem. Jeśli się to zrobi, nie będzie się poprawnie rozwijać i nie osiągnie szczytowego potencjału.

– Właśnie tak, Tanyu – dodał Michael. – Po pierwszych kilku tygodniach myśleliśmy o tobie jako o największym skarbie, cudzie, który stał się naszym udziałem. Traktowaliśmy cię jak prawdziwe dziecko w tym zniszczonym świecie. Tak długo, jak to było możliwe, staraliśmy się unikać wszystkiego, co tylko mogłoby zniszczyć iluzję...

– Bzdura – wybuchłam, chcąc zawczasu ujawnić kłamstwo Michaela. – A co z rewizjami? Co z kopiami zapasowymi? Przecież trzeba zrobić kopie. I trzeba je robić regularnie. Pamiętacie jeszcze Roberta?

Spojrzeli na siebie i po chwili Michael mi odpowiedział.

– Tak, zapomniałem, że byłeś tam, gdy Robert miał wypadek. Twoja Mama i ja nigdy nie zrobiliśmy ci kopii zapasowej. To był w pełni świadomy wybór. Gdybyśmy mieli... – wyczułam, jak zawahał się przed użyciem sformułowania „prawdziwe dziecko” – potomka z naszej krwi i ciała, nie mielibyśmy możliwości robienia mu kopii zapasowych. Tak samo postąpiliśmy z tobą. Gdyby stało ci się coś poważnego, stracilibyśmy cię na zawsze. Bezwrotnie. Gdybyś umarła, część nas odeszłaby razem z tobą. Bez ryzyka straty nie może być mowy o prawdziwej i szczerzej miłości.

Czy to było gadanie kaznodziei, czy tok rozumowania uczonego? Przemowa brzmiała niemal jak jedno z jego kazań, wyreżyserowanych



i zaplanowanych. Musiało trafić przynajmniej do Annette, bo potakiwała głową, ale ja nie zrozumiałam z tego nic. Żeby coś bardziej kochać, mniej to zabezpieczasz?

– Posłuchaj, Tanyu. Wiemy, że to, co się stało, było dla ciebie wielkim szokiem. Twoja Mama i ja też jesteśmy z tego powodu bardzo smutni. Ale jesteś członkiem rodziny...

Pewnie. Tak jak służący. Soames, głupi, niezdarny robot, który ciągle depcze piłeczki do ping-ponga.

– ...a rodzina potrafi przetrwać dużo bardziej poważne problemy. Musimy trzymać się razem. Nic się nie zmieniło.

Och, doprawdy? Jeszcze wczoraj byłam dziewczynką. Jedyną i niepowtarzalną. A dziś jestem robotem. Egzemplarzem z linii produkcyjnej, stworzonym ku uciesze ludzi, którzy nie mogą mieć prawdziwych dzieci.

– Tanyu? Tanyu?

Zdałam sobie sprawę, że odpłynęłam, że moje myśli były gdzieś indziej. Nie myśląc, zapytałam:

– Tak, Tato?

Nie chciałam użyć tego słowa. Nie taki był mój plan.

Oxted stworzył mnie zbyt dobrze, bo chwilę później się rozpłakałam.

## Poniedziałek, 1 listopada 2049

Razem z tymi łzami ponownie przyjął miłość moich rodziców i raz jeszcze dołączyłam do rodziny.

Fajnie by było.

To byłoby szczęśliwe zakończenie godne bajki. Trochę jak Pinokio. Czy Walt Disney mógł się domyślać, że jego film czeka taki los? W wielu krajach oznaczono go jako „tylko dla dorosłych”. W niektórych zupełnie go zakazano. Jeśli w ogóle udało się go obejrzeć, to tylko w tajemnicy, bo poruszony w nim temat był zbyt bolesny dla większości ludzi. Ale ja go widziałam. John podesłał mi linka do teranetu, a ja z poczuciem winy ściągnęłam go sobie i obejrzałam w nocy, kiedy rodzice myśleli, że już śpię. Wtedy, raptem trzy tygodnie temu, uważałam, że był raczej przeciętny, ale teraz zaczynałam rozumieć nieznośny ból, jaki musiał powodować.

Niemożliwe sny. Zabawka, która staje się prawdziwym dzieckiem.

Ja.

Wiem, że w mojej głowie są tylko błyszczące srebrnoszare przewody sieci neurotronowej. A jednak, kiedy o tym myślę, czuję się, jakbym miała tam tykające zębatki napędzane sprężyną i płytki układów scalonych, jakiś hybrydowy komputer z początków elektroniki – Babbage czy Colossus – cudownie zminiaturyzowany, by zmieścić się wewnątrz mojej głowy. Marzę, że równie cudownie zamieni się w szarą tkankę ludzkiego mózgu. Że stanę się naprawdę człowiekiem i moi rodzice mnie rzeczywiście pokochają.

Michael i Annette bardzo się starali znów być moimi rodzicami. Przytulali mnie bez powodu, jedno z nich zawsze było gdzieś w pobliżu. Tata starał się wyciągać mnie na spacer do naszego jeziora. Mama prosiła mnie o pomoc w kuchni.

Na jakiś czas Soames został zamknięty na strychu po tym, jak strzeliłam focha. To był bardzo kiepski foch, nie włożyłam w niego serca.

Serca?

A, trudno. Nie będę zmieniała wszystkiego w swoim stylu pisania tylko dlatego, że okazało się, że jestem robotem.

Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza, panie Zog?

Mam również nadzieję, że nadal to czytasz.

\*\*\*

Bałam się szkoły.

Co już wiedzieli? Czy Siân powiedziała wszystkim o tym, co się stało? Raczej ciężko nazwać ją dyskretną – zupełnie brakowało jej empatii – ale była też osobą najbliższą miana przyjaciółki i chyba liczyłam, że jakiś fragment pierwszego prawa robotyki Asimowa mógłby mi pomóc, mimo że, technicznie rzecz biorąc, prawo to mnie nie dotyczyło.

Była tam, na przystanku autobusowym. Stała tyłem do mnie i rozmawiała z jedną z dziewczyn. Myra? A może Jemima? Nie rozróżniałam ich. Jaka para mogła być tak nietaktowna i kupić dwa bliźniacze roboty? Krążyły plotki, że Myra/Jemima należały do rodziny jeszcze bogatszej niż Siân. Mieli na tyle dużo pieniędzy, by nie przejmować się opinią otoczenia.

Jemyra zauważyła mnie pierwsza. Jej oczy zwróciły się w moją stronę. Siân zauważyła ten ruch, odwróciła się i zaczęła mówić:

– O, cześć, Tanyu. Właśnie opowiadałam Myrze o naszej wycieczce do Londynu. Wydawało mi się, że tam utoniesz, wiesz... Byłaś pod wodą tak strasznie długo. Ale mówią, że poczucie czasu się zatracza w chwilach wyjątkowego stresu. W każdym razie to cudownie, że strażnikowi udało się wyciągnąć cię na brzeg i zrobić sztuczne oddychanie.

– To prawda – co więcej mogłam powiedzieć.

– Zabandażowali ci nogę i zabrali do szpitala, prawda? Później już nie miałam okazji się z tobą zobaczyć, ale tata mówił, że pojechał z tobą, by zapewnić ci najlepszą opiekę, jaką można kupić. W końcu to wszystko nasza wina.

– Och, dziękuję. Nie wiedziałam. Mój Tata z pewnością wszystko odda...  
– zaczęłam mówić, ale zdałam sobie sprawę, że nie będzie go na to stać.

Oczy Jemyry zwięziły się do szparek. Patrzyła na mnie jak drapieżnik na swoją ofiarę.

– Jak to było? Jakie to uczucie... tonąć?

– Nie... Nie pamiętam tego zbyt dobrze.

– Doprawdy? – nie uwierzyła mi, ale im mniej mówiłam, tym lepiej.

– Wydaje mi się, że zemdlałam.

– No jaaasne. Ale Siân mówiła, że byłaś ranna. W nogę.

– To nic poważnego. Tylko draśnięcie. Już się zagoiło.

– To wspaniale. Mogę rzucić okiem? Myślę o tym, żeby iść na studia medyczne.

– Już się zagoiło, nie ma czego oglądać.

Dlaczego właściwie kłamałam? Czemu nie powiedziałam, że jestem robotem? Miałabym to wszystko z głowy. Nie wiedziałam, ale wiedziałam na pewno, że nic mnie nie obchodzi hałaśliwość Jemyry. Ani ogólnie nic, co by Jemyry dotyczyło.

Oczy Jemyry powoli mrugały, przez co wyglądała jak wąż obserwujący zdobycz. Po chwili straciła zainteresowanie i poszła do swojej siostry. Zaczęły na głos opowiadać o swoich wakacjach na Wyspach Kanaryjskich, a ja zwróciłam się w kierunku Siân.

Obserwowała mnie. Wyglądała... dziwnie. Zawsze była taka wytworna i zastanawiałam się, co teraz będzie. Czy ona wiedziała? Czy to był koniec naszej dotychczasowej przyjaźni?

– Tanyu...

– Tak?

– Jesteś na mnie zła?

– Niby dlaczego miałabym być, Siân?

– No wiesz... Za to, że powiedziałam jej o wypadku. Znaczący, że zrobiłam z tego jakąś wielką przygodę. A wtedy to było przerażające. Myślałam, że się utopisz, że umrzesz, no i jeszcze twoja noga krwawiła. Ale teraz to już wszystko minęło, żyjesz, jesteś cała i mam nadzieję, że dalej będziemy się przyjaźnić.

– Nie gniewam się na ciebie. I nadal będę się z tobą przyjaźnić, jeśli ty nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie mam.

– Też chciałam cię przeprosić, Siân. Zepsułam ci rodzinny wyjazd. Narobiłam twoim rodzicom dodatkowych kłopotów.

– Nie, Tanyu. Nawet o tym tak nie myśl.

I to było tyle. Później przyjechał autobus.

\*\*\*

Problem w tym, że na tym się nie skończyło.

Siân więcej do tego nie wracała. Ale Jemyra...

Wszystko zaczęło się, kiedy szłam między siedzeniami autobusu do swojego miejsca. Potknęłam się – jakaś torba wystawała dalej niż jeszcze chwilę wcześniej. Udało mi się odzyskać równowagę. Rozejrzałam się.

– Uważaj – wymamrotała Jemyra, ale po oczach widziałam, że śmieje się ze mnie.

– Podsunęłaś mi torbę pod nogi...

– Po prostu jesteś niezdarną puszką.

– Co?

– Słyszałaś przecież. Puszka. Dobrze cię nazwali: Tania imitacja życia.

– Jak... śmiesz!

Jemyra odwróciła się w kierunku swojej siostry.

– Tylko słuchaj małej Miss Ann Droid.

– Nie jestem androidem! – wrzasnęłam i nagle zdałam sobie sprawę, że cały autobus patrzy właśnie na mnie.

– No to udowodnij! Musiałś mieć niezłą ranę. Pokaż mi bliznę, to uwierzę, że jesteś człowiekiem.

– Niby czemu miałabym to robić?

– Dobrze wiem, że tego nie zrobisz. Nie możesz. Nie jesteś dziewczyną, tylko tanią podróbką! Śmierdzący *mekker*!

*Mekker*. Ja.

Miałam ochotę się rozplakać. Prawie wybuchłam łzami, ale nie mogłam dać jej tej satysfakcji. Poczułam rękę Siân na ramieniu i usłyszałam, jak próbuje opanować sytuację. Ale byłam dużo bardziej świadoma Jemimy i Myry stojących zwycięsko przede mną. Zdałam sobie sprawę, że miałam ochotę im przyłożyć. Moja dłoń zwinęła się w pięść i ruszyła po łuku...

Siân złapała mnie, zanim zdążyłam uderzyć.

– Nie rób tego, Tanyu! Nie są tego warte. To tylko... plankton.

Roześmiałam się. To był świetny obraz: Jemima i Myra jako coś zielonego i oślizgłego.

Pozwoliłam Siân odprowadzić się na tył autobusu. Głowy zwracały się w naszą... w moją stronę, kiedy przechodziłyśmy. Nie miałam już wątpliwości, że zaczną się plotki. Na razie tylko plotki, ale to wystarczy.

\*\*\*

Miałam rację.

Gdziekolwiek spojrzalam tego dnia, była tam grupka dziewczyn wskazujących mnie palcem i szepczących coś między sobą. Niektóre robiły zaskoczone miny, inne odwracały się zawstydzone.

Nauczyciele nic nie zrobili.

Oczywiście karali winowajców – wypisywali uwagi, zadawali dodatkowe

prace domowe – bo nikt nie uważał na lekcjach i nie robił notatek. Nawet ja dostałam wypracowanie do napisania – pięć stron na temat Rozwiązania LeClerca – za trzykrotny brak odpowiedzi na zadane pytanie z historii. Siân się dostało za nieco zbyt głośne szepnięcie „Zamknijcie się” do dwóch plotkar na zajęciach z plastyki; sześć stron o „Medytacji nad wnętrzem piłki tenisowej jako pomocy w osiągnięciu spokoju wewnętrznego”.

Karali uczennice za brak koncentracji i nieuważanie na lekcji, ale nie próbowali odkryć powodów tej sytuacji. Nie obchodziło ich to. A ja bałam się o tym powiedzieć.

\*\*\*

Z pewnością jesteś ciekaw, czym było Rozwiązanie LeClerca, panie Zog. To jeden z mroczniejszych momentów w czasie Niepokojów. W najgorętszym okresie Wojen Sabińskich rozeszła się plotka, że woda z Lourdes leczy bezpłodność. Cała zachodnia Europa i spora część północnej Afryki rozpoczęła masowe pielgrzymki do Lourdes. Dziesiątki milionów ludzi, może nawet setka milionów. Spadli na Francję jak plaga szarańczy. Nic nie mogło ich zatrzymać, a kiedy odchodzili w dalszą drogę, pozostawiali za sobą gołą ziemię.

Francja była na drodze do kompletnego zniszczenia. Prezydent nie miał żadnego pomysłu, jak poradzić sobie z problemem. W końcu, po serii błędnych decyzji i niemożliwej do określenia liczbie spisków, jeden z pomniejszych generałów, LeClerc, otrzymał zgodę na jednorazowy atak nuklearny. Skierował raketę w Lourdes.

Później nikt już nie chciał jechać w tamtym kierunku.

\*\*\*

Jemyra i jej popiecznice uwzięły się na mnie.

Głównie drobiazgi. Kiedy nie patrzyłam, zwinęły mi kalkulator z plecaka, żebym nie miała go podczas lekcji fizyki. Jemyra zwróciła mi go po lekcji, dodając:

– Znalazłam go, ale przecież roboty nie potrzebują kalkulatorów. Same są w pewnym sensie komputerami...

Kilka mniej delikatnych zaczepek, jak szturchnięcia i popchnięcia na korytarzu. Spadłam – a właściwie zostałam zepchnięta ze schodów sali treningowej. Jemyra to też skomentowała:

– Żyroskop się zaciął?

Byłam bardzo ostrożna podczas zajęć, nauczycielka też zwykle uważnie przygląda się, żebyśmy wszystko robiły w bezpieczny sposób. Ale nie można widzieć wszystkiego. Piłka lekarska uderzyła mnie w klatkę piersiową. Usłyszałam, jak Jemyra naśladuje dźwięk odbicia od metalowej powierzchni.

\*\*\*

Cieszyłam się z końca dnia i powrotu do domu. Miałam też szczęście, że Siân usiadła koło mnie w autobusie i oszczędziła mi dodatkowych przykrości.

– One są dla ciebie takie okropne, Tanyu. To niesprawiedliwe.

– A co, jeśli mają rację? Może rzeczywiście jestem tylko blaszaną imitacją...

Siân zasłoniła usta ręką i westchnęła zszokowana. Aż mi serce stopniało, kiedy zdałam sobie sprawę, że do tej pory nie dopuszczała do siebie takiego pomysłu. „Biedna Siân”, pomyślałam. „Nie jesteś najbardziej lotnym umysłem w okolicy...”.

Przez chwilę siedziała cicho. Jak na nią, była to bardzo długa minuta milczenia.

– Tanyu? Czyli to prawda? Jesteś robotem? Znaczy... Widziałam twoją



nogę, ale to jeszcze o niczym nie przesądza. Nie byłam pewna...

Kiwnęłam głową.

Nastąpiła długa pauza. Siân zmarszczyła czoło w zadumie. Pomyślałam, że to moja ostatnia szansa. Pojawiły się luźne przemyślenia... Lepiej będzie, jak nie będę ich tu przywoływać, bo, szczerze mówiąc, wstyd mi za to, co wtedy pomyślałam. Zwłaszcza po tym, gdy powiedziała:

– Cóż, zdecydowałam, że dla mnie to bez różnicy. Czy jesteś człowiekiem, czy nie, jesteś lepszą przyjaciółką niż ktokolwiek inny, kogo spotkałam. Wszyscy mają mnie za głupią blondynkę... Jemima mnie tak nazywa, kiedy myśli, że jej nie słyszę. Zresztą sama dobrze wiem, że nie jestem najbystrzejsza...

Jak już mówiłam, nawet nasze myśli potrafią nas zawstydzić.

– Ale ja też mam uczucia, Tanyu. Tanyu, spójrz na mnie. Wyglądam jak głupia blondynka i tak właśnie jestem postrzegana przez otoczenie. Ty z kolei wyglądasz na bardzo miłą dziewczynę i z pewnością wiele osób rozmawia z tobą o bardzo ciekawych rzeczach. Uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała, że czasami chciałabym być robotem? To prawda! Byłabym wtedy mądrzejsza, mogłabym wyglądać, jakbym tylko chciała. A kiedy byłabym już dorosła, mogłabym przestać się starzeć w dowolnym wieku. Nigdy nie zestarzałabym się za bardzo, nigdy bym się nie zniszczyła ani bym nie umarła.

– No nie wiem, Siân. Roboty się chyba jednak z czasem zużywają.

„W sumie sama nie wiem... Zużywają się?”.

\*\*\*

Dom. Mój pokój.

Mama i Tata nie wiedzą, jaki okropny był ten dzień. Chętnie bym otworzyła przed nimi serce, ale tyle myśli kłębi mi się w głowie. Odtworzyłam pamiętnik od początku poprzedniego semestru. Te wszystkie

pytania...

*Co się dzieje z robotami, kiedy dorosną?*

*Dlaczego pani Hanson trzyma fotografię przystojnego zuluskiego wojownika (być może jej męża) w klasie?*

*Czy są jacyś młodzi nauczyciele?*

*Co kryje się w sercu Afryki, za Korytarzem Kimberley?*

*Dlaczego John się do mnie nie odezwał?*

To ostatnie mogę właściwie wykreślić z listy. Ale mam kilka innych do dodania:

*Czy Jemima (albo Myra) jest robotem, czy człowiekiem?*

Skoro już przy tym jesteśmy, to ile z dziewczyn, które mnie dziś nękały, jest robotami? I czy o tym wiedzą, czy same uważają się za ludzi, tak jak ja do niedawna?

*Czy roboty żyją wiecznie? Jeśli tak, to czy ja będę żyć wiecznie? Czy ja właściwie chcę żyć wiecznie?*

*Czy Siân jest człowiekiem? Bo skoro jest robotem, to czemu pomagam jej nauczyć się francuskiego?*

*Ile jest ludzkich dzieci? Czy w ogóle rodzą się jeszcze jakieś dzieci?*

*Rety! Skąd ten pomysł?*

Kierowana nagłym impulsem zdecydowałam sprawdzić to w teraniecie. To nie mogło być trudne, sprawdzić w Google potrzebne dane. Wpisałam:  
populacja globalna [Szukaj]

Dobra, wyświetliło kilka stron wyników. Census.gov wydawałoby się wiarygodnym źródłem...

Hm...

Kilka ładnych wykresów. Stabilny wzrost przez XX wiek. Od 2010 zaczyna się robić płasko, ale trzyma się na niesamowitym wręcz poziomie siedmiu miliardów. Spadek liczby urodzin był maskowany przez wzrost średniej długości życia. Dalej, rok 2017. Nagły spadek. Liczba zgonów bez zmian, ale w przeciągu jednego roku ilość żywych narodzin spadła

prawie do zera. Kolejny schodek w 2018 – Lourdes i inne wydarzenia okresu Niepokojów. Bez przybliżenia nawet nie widać już linii. Od tamtego czasu kilka niewielkich wahnięć w górę lub w dół, ale ogólnie stały spadek z szacowanych dwustu pięćdziesięciu ludzi tuż po Niepokojach...

Linia urywa się na roku 2040. Dziewięć lat temu. Tuż po delikatnym wzroście.

Zaraz. Wykres jest generowany dynamicznie, a jego koniec jest wyznaczony przez określony programem parametr. Jeśli podam dzisiejszą datę, to...

Ups!

BŁĄD 8FEA8006. UŻYTKOWNIK Tanya Deeley – BRAK AUTORYZACJI.

Komputer wyświetlił biometryczne żądanie nadpisania polecenia przez osobę upoważnioną. Niiieeee...

[Anuluj] [Anuluj] [Anuluj] [Anuluj] [Anuluj]

Pomocy! Nie chciałam!

Kiedy moje serce przestało się tłuc szaleńczo...

Panie Zog, czułam się, jakby moje serce się tłukło. Wiem doskonale, że nie mam serca. Wiem, że nie mam też organu, który powinien produkować adrenalinę, ani żadnego innego, który tworzyłby całą masę innych chemicznych związków niezbędnych ludziom do życia. Może to tylko programowanie, ale czułam autentyczną panikę. Więc pozwól mi, panie Zog, pisać po mojemu. W końcu to mój dziennik, pamiętasz?

W każdym razie, kiedy się uspokoiłam, zaczęłam się zastanawiać nad tym wzrostem na końcu wykresu. Jeśli to faktycznie był wzrost, a nie błąd pomiaru albo sfalszowany wynik, to może sprawy faktycznie miały się ku lepszemu. Albo nie. Mogli przecież wybrać jakieś chwilowe wahnięcie jako dobry moment na utajnienie dalszej części wykresu.

Tak czy inaczej, kiepsko to ogólnie wyglądało.

Wyczyściłam ekran, bo usłyszałam, że Tata wchodzi po schodach.

– Cześć, Tato.

– Cześć, Tanyu. Mogę wejść?

– Pewnie.

Tata od drzwi spojrział na ekran.

– Korzystałaś teraz z teranetu, prawda?

To tak naprawdę nie było pytanie. Kiwnęłam głową i czekałam, aż Tata przejdzie do sedna.

– Przeglądałaś zakazane zasoby, prawda?

– Nie. Nie wiem, może. Patrzyłam na wykres populacji. To na zajęcia w szkole.

– Naprawdę? Policja pewnie będzie bardzo ciekawa...

– O! Nie, tak naprawdę to był mój pomysł. Policja?

– Dzwonili. Przed chwilą. Jadą tu. Myślę, że będą za kilka minut.

Byli jeszcze szybciej. Widziałam migające niebieskie światła, które już pojawiły się na końcu ulicy i zbliżały się. Przynajmniej syrena nie wyła.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

\*\*\*

Nie było tak źle.

No dobra. Właściwie to nieprawda.

Było paskudnie. Co prawda policjanci byli całkiem sympatyczni, ale technicznie rzecz biorąc, popełniłam przestępstwo i musieli traktować to poważnie. Usłyszałam wykład o niebezpieczeństwach w sieci, o tym, że o niektórych tematach lepiej nie wiedzieć, a na niektóre strony nie należy zaglądać (w tym strony rządowe)... Rząd ma obowiązek chronić obywateli przed informacjami, które mogłyby ludzi smucić.

Dobra, jasne.

Paskudne było to, co było po wykładzie. Musieli dać mi upomnienie i musieli zrobić to w sposób oficjalny. A to oznaczało wypełnienie papierków.

Formularz miał pole dla robotów.

– Czy ona wie? – zapytał funkcjonariusz szeptem, którego miałam nie usłyszeć.

Tata miał grobową minę, ale w końcu przytaknął. Mama łkała cicho.

„Tanya Annette Deeley. Robot”.

To była właśnie ta paskudna część.

Myślę, że Mama z Tatą nie przejmowałiby się tym tak bardzo, gdyby chodziło tylko o upomnienie. Chodziło o to pole. O oficjalne uznanie mnie za robota. Kompletnie nie obchodziło mnie, że złamałam w tym momencie prawo, ale bardzo ciężko mi było z tym, co dla moich rodziców oznaczało zaznaczenie tego pola. Już nie byłam ich małą dziewczynką. Od teraz byłam otwarcie uważana za robota.

\*\*\*

Powiedziałam o tym Johnowi. Nie o wszystkim, ale o części powiedziałam. Nie wspominałam o polu „Robot” w formularzu, ale o wykresie populacji i...

– Korzystałaś z bezpiecznego proxy? – zapytał.

– Co takiego?

– To coś, co maskuje twoją lokalizację. Dzięki temu monitoring nie zauważy, jeśli będziesz wyszukiwać zakazane dane. A to z kolei pozwala uniknąć uzbrojonych funkcjonariuszy niszczących ci drzwi.

– Nie zepsuli nam drzwi. Zadzwonili... A!

– Nie użyłaś proxy – jego głos był całkiem bezbarwny.

– Nigdy wcześniej nawet o nich nie słyszałam, John. Och, szkoda, że nie dowiedziałam się o nich nieco wcześniej.

John cierpliwie zaczął wtajemniczać mnie w sposoby wynajdywania i wykorzystywania proxy do zgłębiania zakazanych rejonów teranetu bez ryzyka zostania złapaną. Uczył mnie, jak dokładnie znaleźć odpowiednie

proxy – są nielegalne i muszą być zamaskowane jako legalne odgałęzienia, podczas gdy prawdziwe serwery są wyłączone na czas prac konserwacyjnych. Dowiedziałam się, jak zacierać ślady łączące mój komputer z proxy i jak maskować swoje ID – tak, by wyglądać na kogoś innego, ale żeby informacje trafiały do mnie. Niewiele z tego rozumiałam, ale mogłam się nauczyć tym posługiwać w praktyce. A później powiedział coś, co zmroziło mnie do szpiku kości... (Tak, panie Zog, wiem... Ale to tylko taka formuła retoryczna).

– Następnym razem, jak cię złapią, zamkną w poprawczaku. Ciesz się, że jesteś człowiekiem. Roboty za takie akcje po prostu wyłączają.

– Wyłączają? – Dlaczego tylko ja zadawałam te wszystkie pytania?

– Zezłomowanie. Rozłożenie na części. Po co pakować robota za kratki?

– Ale dla... Przecież roboty są drogie. Cenne. Nie opłacałoby się niszczyć robota, prawda?

– Takiego, który zaczął wykraczać poza swoje oprogramowanie? A dlaczego miałybyś mu zaufać, że nie zrobi więcej niczego podobnego? To niebezpieczne. Oni tak twierdzą w każdym razie. Oxted, znaczy się.

– Aha...

Zmieniłam temat.

– Słuchaj, John. Gdzie ty się właściwie nauczyłeś o bezpiecznych proxy i zacieraniu ID?

– Zacierać ślady połączenia z proxy, Tanyu. Oj, bywam tu i tam. Kilku chłopaków w szkole coś niecoś umie. A ja słucham. Przyswajam wiedzę.

– Cóż, ja o takich rzeczach w szkole nie słyszałam. Jak jest w twojej szkole?

– Ciężko.

– To znaczy? Pod jakim względem ciężko?

– No wiesz, silniejsi dręczą słabszych. Są gangi. Typowe rzeczy w żółtej strefie. Niezbyt dobrze to wpływa na rozwój przeciętnego dzieciaka, ale zauważyłem, że hakerzy mają trochę łatwiej, więc zostałem jednym z nich.

Gangi potrzebują hakerów, żeby monitoring ich nie zauważył. Dużo się uczę, dużo ćwiczę. Jestem w tym dobry.

„A ja nie”.

– John. Naucz mnie tego. Naucz mnie wszystkiego, co wiesz o teranecie. Jak będziemy już obydwójcie wiedzieć tyle samo, będziemy razem zdobywać nową wiedzę.

– Dlaczego, Tanyu? Znaczący, ty już masz problemy z policją. Nie powinnaś dalej grzebać w sieci.

– Ale tam są odpowiedzi, John. A w mojej głowie kłębi się od pytań, które ciągle domagają się odpowiedzi...

– Jakże to pytania?

Wtedy mu powiedziałam. Wszystkie pytania, które trzymałam w sobie. Wszystkie, które nie dotyczyły bezpośrednio tego, że jestem robotem.

– To są dobre pytania, Tanyu. Sam chętnie poznam odpowiedzi na kilka z nich. Pomogę ci.

– Dobrze, ale zacznijmy od monitoringu. Już dwa razy o tym wspomniałeś, a ja nie wiem nic na ten temat.

– Nigdzie nie znajdziesz o nich ani słowa... Oficjalnie. Cały teranet jest monitorowany przez specjalny system podglądu. Monitoring wykrywa słowa kluczowe, które mogą oznaczać treści wywrotowe, niezgodne z prawem lub podlegające ograniczeniom dostępu i informuje o nieodpowiednich zainteresowaniach policję. Nie wiem dokładnie, jaka technologia się za tym kryje, ale bardzo ciężko to oszukać.

– Czyli oni sprawdzają wszystko co wysyłam i co do mnie trafia? Ej!

– Nawet bardzo „Ej!”. Dni liberalnego rządu i wolnej prasy skończyły się wraz z Niepokojami. Trzymaj się bezpiecznych tematów, to nic ci nie będzie. Zrób cokolwiek, co narusza status quo, a policja dobierze ci się do d...

Naprawdę, John! Bardzo cię lubię, ale czasami twój język jest taki uliczny.



## Niedziela, 2 stycznia 2050

John przez ostatnie kilka tygodni stał się naprawdę wspaniałym przyjacielem. Nauczył mnie wszystkiego o proxy, zacieraniu śladów połączeń zdalnych i całej reszcie tego typu technikaliów. Korzystam ze słów tak, jakbym znała ich znaczenie, choć sama nie wiem – może do tej pory już rzeczywiście je poznałam.

Właściwie to John powoli staje się dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Jest zdecydowanie wyjątkowy. Interesują go te same rzeczy – patrz moja lista pytań bez odpowiedzi – ale poza tym rozmawiamy jeszcze o wielu innych rzeczach. Uwielbiamy rozmawiać o muzyce. Już wcześniej lubiliśmy właściwie te same zespoły, ale on wie znacznie więcej o nowościach na rynku. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że kolekcja rodziców jest nieco... przestarzała.

Ostatnio jednak zauważyliśmy, dyskutując nad wyższością jego ulubionych grup nad moimi, że tak naprawdę nie ma żadnych nowych zespołów.

Dzieciaki zawsze śpiewały sobie na rogach ulic albo ćwiczyły grę na gitarze w swoich pokojach. Zawsze jakieś grupki przypadkiem na siebie wpadały i zakładały zespół, przez jakiś czas się twórczo dogadywały albo sprzeczały, by później rozpaść się i utworzyć nowe grupy muzyczne z kimś innym. Jakkolwiek się działo, zawsze powodowało to eksplozję kreatywności.

Wszystkie „nowe kawałki” Johna miały jednak od pięciu do dziesięciu lat. Nie ma niczego nowszego, chyba że liczyć zespoły odtwórcze. Takich były setki.

To samo można powiedzieć o literaturze. Na półkach jest całkiem sporo nowych książek, ale brak nowych autorów. Pojawiają się wyłącznie



wznowienia i reedycje, klony i taśmowe kolejne części.

Można uważać, że takie okresy przestoju miały miejsce w przeszłości, jak na przykład tuż przed rozkwitem kultury punkowej. Jednak takich okresów nie było zbyt wiele. John i ja jakoś nie potrafimy przekonać samych siebie, że to tylko kolejny przestój twórczy.

Sztuka umiera. Dlaczego?

Niniejszym oficjalnie dodaję to pytanie do listy.

\*\*\*

John jest wyjątkowy. Jest jedyną osobą, z którą podzieliłam się swoimi pytaniami. Ale jest też inny niż ja. On uwielbia gwiazdy. Zna ich nazwy. Wie, jak daleko się znajdują. Astronomia, fizyka, astroinżynieria... Ja bardziej interesuję się ludźmi. Zastanawiam się, jak myślą, dlaczego zachowują się w konkretny sposób. Mnie interesuje historia, socjologia i psychologia.

John chce iść na uniwersytet. Mówi o Cambridge.

– Tylko że moi rodzice nie chcą o tym słyszeć. „Zostań w domu” – mówią. „Twój ojciec rozkręcił dobry interes, a jak będziemy starzy, to wszystko będzie twoje i będziesz się mógł nami opiekować”.

A co ze mną? Poza tym, że chciałabym, by ziścił się mój sen o byciu Pinokiem?

– Czy w Cambridge uczą psychologii?

Śmieje się miło.

– Oczywiście, że tak. A ich drzwi są szeroko otwarte dla każdego.

„Dla każdego człowieka” – dopowiadam w myślach. Oczywiście. Każdego człowieka powitają tam z otwartymi ramionami.

A co z robotami?

Muszę się tego dowiedzieć. Ile czasu mi zostało? I co się stanie później?

Środa, 5 stycznia 2050

Ostatecznie okazało się, że to nie było trudne. Z małą pomocą Johna stworzyłam Eikonę. To była „druga ja”, żyjąca w teranecie, oparta o ukradzione cykle i sfalszowane adresy. Gdybym tego chciała, mogłaby być mną, ale zwykle bardziej opłacalne było nadanie jej innej osobowości.

Ubrałam ją w dane Jeryl Banner, lat dwadzieścia dziewięć, niedawno ponownie mężatka i nadal bezdzietna. Jeryl miała wiarygodne ID teranetowe – niektóre dzieciaki wręcz specjalizowały się w ich podrabianiu za odpowiednią opłatą lub po prostu dla popisania się umiejętnościami. Jeryl mogła więc bez przeszkód zgłosić się do Oxted online i zamówić sobie dziecko, dziecięcego robota.

Wszystkie informacje były w FAQ.

Osiemnaście.

Jeryl dostałaby swoje dziecko na osiemnaście lat za opłatą stu pięćdziesięciu tysięcy bazowych – zagwizdałam cicho, to było kilkuletnie wynagrodzenie Taty. W cenę wliczono do ośmiu standardowych aktualizacji co dwa lata (za dodatkową opłatą istniały wersje rozszerzone). Na końcu, po osiemnastu latach, robot wraca do Oxted. Przejrzałam dokładnie umowę i nie pozostawiała ona żadnych wątpliwości. To była umowa najmu, a nie zakupu. Akt własności pozostawał po stronie Oxted.

I tak właśnie przedstawiała się moja sytuacja.

Zostałam wypożyczona na określony czas. Naprawiana w razie potrzeby, aktualizowana zgodnie z harmonogramem, zupełnie jak ksero w biurze taty.

Nawet nie masz pojęcia, jak mała i nieważna się wtedy poczułam, panie Zog.

Ch#%\$!

Przeklinanie nie pomagało. Nigdy nie pomaga, a jednak przeklełam. Psychologia w Cambridge? Ha! Pomarzyć! Całkiem nieosiągalne, bo już w wieku osiemnastu lat Oxted się po mnie zgłosi... No właśnie. A co później? Zezłomują mnie? Jeśli nie, to co ze mną będzie później?

\*\*\*

Nic więcej nie udało mi się wyciągnąć z FAQ. Nie było tam niczego, co mogłoby zmartwić potencjalnego rodzica. Kawalek dalej, na stronach o odpowiedzialności cywilnej firmy, zaraz obok długiej listy wspieranych fundacji dobroczynnych znalazłam oświadczenie dotyczące wpływu na środowisko. Oczywiście Oxted było firmą ekologiczną, bardzo udzielającą się w kręgach dążących do minimalizacji odpadów i szkód ekologicznych. Przykładni obywatele korporacyjni:

„Oxted bierze odpowiedzialność za stan planety i ludzkości”. I tak dalej, i tak dalej. Do ziemi trafia poniżej dwóch procent... I tak dalej, i tak dalej.

Wyglądało na to, że byłam zbyt cenna, żeby iść na złom, ale tu i ówdzie przewijały się słowa:

Recykling.

Ponowne przystosowanie.

Odzysk.

Zawsze uważałam, że to ładne słowa, dobre słowa. Takie przyjazne planecie, ekologiczne... Nagle zdałam sobie sprawę, że te słowa mogły odnosić się również do mnie. Pasowało mi do kontekstu jeszcze jedno, którego nieobecność budziła moje podejrzenia:

Przeprogramowanie.

Tak. Co innego można zrobić z kosztownym i skomplikowanym mózgiem robota? Wyczyścić. Zaprogramować od nowa, użyć ponownie. Na przykład w takim Soamesie.

Och nie! To byłoby straszne. Dostać nowe ciało, ale niezdarne, z tymi

świecącymi na czerwono oczyma, żeby wrócić między ludzi jako robot kuchenny. Czy Soames był kiedyś małym chłopcem, który bawił się radośnie w ogródku i chodził do szkoły? A w wieku lat osiemnastu wdrapał się do ciężarówki Oxted, podczas gdy jego rodzice powstrzymywali łyzy?

Czy on też płakał z powodu rozłąki, czy może cieszył się na nadchodzącą przemianę po przeprogramowaniu? A może...

Była jeszcze jedna możliwość. Ponowne narodziny. Wrócić ponownie jako dziecko, żeby inna kochająca para mogła mnie znów wychować. To miało nawet sens w jakiś pokręcony i przerażający sposób. Zaczynać od nowa, bez końca. Nieśmiertelność, pomyślałam sobie, ale sama wyczułam w tym drwinę.

Gdzieś w głębi zbudziło się wspomnienie czegoś, o czym usłyszałam chyba na lekcji łaciny. Pola Elizejskie – klasyczna mitologia. Po śmierci szło się do Hadesu. Tam czekały na ciebie błogosławione pola nieskończonego dobrobytu, ale był jeden warunek: trzeba było wypić wodę zapomnienia z rzeki Lete. Zawsze zastanawiałam się, po co robić coś takiego, po co odrzucać swoje wspomnienia? Przecież w końcu życie jest przyjemne, prawda?

No to czemu nagle zauważyłam, że płaczę?

Przez chwilę, przez jedną smutną chwilę, byłam zdecydowana. Gdyby w tej chwili ktoś dał mi wodę z Lete, wypiłabym wszystko, co do kropli.

Wtedy właśnie zapukał Tata. Pewnie chciał sprawdzić, czemu nie śpię tak późno w nocy. Próbowałam go odesłać, ale musiał wyłapać coś w moim głosie i nim się obejrzałam, siedział w nogach mojego łóżka, a ja zalewałam go moimi wątpliwościami.

– Nie, Tanyu, nie wiem, co dokładnie dzieje się z robotami po osiemnastym roku. Tak, rzeczywiście zabiera was Oxted. Ta wizja cały czas nad nami wisi. Nettie i ja... my nadal nie wiemy, jak ludzie sobie z tym radzą. Jako kapłan muszę sobie radzić z konsekwencjami. Ludzie robią różne głupstwa. Niektórzy uciekają, ale wszystkich do tej pory złapano.

Inni przestają aktualizować swoje dziecko z myślą, że Oxted o nich zapomni. Kiedy już dochodzi do odebrania dziecka, robi się naprawdę strasznie. Widziałem już samobójstwa, rozwody, przemoc i depresję. Było nawet morderstwo.

– To czemu ludzie to robią, Tato? Po co w ogóle zamawiają dzieci roboty?

Popatrzył na mnie dziwnie i odpowiedział po chwili.

– Tacy już jesteśmy, Tanyu. Jako pastor powiedziałbym, że takich nas Bóg stworzył. Potrzebujemy się nawzajem. Mężów, żon, dzieci. Pobieramy się, zakładamy rodziny, bo w naszej naturze leży życie teraźniejszością i pozostawienie problemów przyszłości w przyszłości. Gdybyśmy ciągle myśleli o stracie i śmierci, nigdy byśmy nie brali ślubu. Jakie racjonalnie myślące stworzenie z własnej nieprzymuszonej woli wchodziłoby w związek, który zawsze kończy się smutkiem? Pograżony w żałobie mąż wyprawia pogrzeb swojej żonie albo na odwrót. Ewentualnie się rozwodzą. A jednak bierzemy śluby, bo nawet ryzyko rozwodu lub śmierć są lepsze niż samotność.

– A ja?

– Z tobą, Tanyu, jest tak samo. Mieć cię i stracić jest o wiele lepsze, niż nigdy cię nie mieć. Mamy dla siebie osiemnaście cennych lat. Cała nasza trójka. Gdybyśmy inaczej poprowadzili swoje życie, nie mielibyśmy nawet tych osiemnastu.

W tym momencie obydwójce już płakaliśmy, ale on miał rację. Jakkolwiek źle by było, to i tak lepsze niż samotność.

## Wtrącenie 3

*Jesteśmy starą i długowieczną rasą, Tanyu. Sami siebie nazywamy po prostu Ludem, bo nie mamy żadnej innej rasy, do której moglibyśmy się odnieść z nazwy. Wiemy o dwóch rasach rozumnych, obu wymarłych od dawna. Homo sapiens byli jedną z nich. Drugą rasę znamy wyłącznie z kilku nielicznych artefaktów, jakie po sobie zostawiła. To starożytne piramidy, znaczniki określające ich szlak przez galaktykę.*

*Widziałem jedną z piramid. Byłem członkiem pierwszej ekspedycji podążającej śladami minionych cywilizacji, zorganizowanej we wczesnych latach naszej eksploracji galaktyki. Piramidy były urządzeniami nadawczymi opartymi na technologii, której pojęcie zajęło nam milenia. Niestety, zanim zdołaliśmy dotrzeć do nadajnika, twórcy piramid już zniknęli. Choć mówię, że „widziałem jedną z piramid”, nie pamiętam już tego wydarzenia. Zostało utracone wraz z pierwszą kasacją, ale nadal mam to wspomnienie gdzieś w archiwum.*

*Cała reszta galaktyki, przynajmniej na tyle, na ile zdołaliśmy ją zbadać, jest pusta i bez życia. Znaleźliśmy miejsca, gdzie z czasem życie może się pojawić. Opiekujemy się nimi, chronimy je i bardzo ostrożnie badamy.*

*A co z innymi galaktykami? Mówiąc całkiem szczerze, Tanyu – nie wiem. Są za daleko, nawet dla mojego ludu.*

*Wszechświat jest okrutny, Tanyu. Bardziej okrutny, niż potrafisz sobie wyobrazić. Ciągłe drwi z naszego ludu, skazując nas na ciągłą samotność. Czujemy rosnące pragnienie spotkania innej rasy, z którą moglibyśmy nawiązać dialog. Nie mogąc takiej znaleźć, Tanyu, zaczynamy rozmawiać z archiwami pozostawionymi przez dawne cywilizacje, które już dawno odeszły.*

*Z Twoją cywilizacją.*

*Z Tobą.*

## Sobota, 5 lutego 2050

Rozchorowałam się w zeszły czwartek. Jedną z tych chorób, które ogarniają całe ciało. Nie mogłam się skoncentrować i w końcu mama musiała zawieźć mnie do głównego oddziału chirurgicznego w mieście. Doktor pobrał próbki moich... hm, moich odpadków. Zbadał je i doszedł do wniosku, że moje nanozymy trawienne się wyłączyły. Dlatego jadłam, ale nie dostarczałam organizmowi energii. Głodowałam, jedząc. Przepisał mi paskudnie smakujący środek, który miałam połknąć, żeby reaktywować substrat nanozymów i wyrzucić ze mnie to, co je związało. Wszystkiemu było winne jakieś nieokreślone białko.

– Poczekaj z wzięciem tego, aż wrócisz do domu – poradził. – I lepiej zrób to gdzieś, gdzie będziesz mogła się po wszystkim umyć, w pobliżu wanny albo prysznic.

Po wszystkim.

Chyba nie muszę tego rozrysowywać, panie Zog, prawda?

Jak już byłam czysta, nakarmiona i wypoczęta, zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo różnię się od ludzi.

Wrzuciłam substrat nanoenzymów w wyszukiwarke. Wypluła mi na ekran jakieś zdjęcia i schematy makromolekuł – całe mnóstwo kolorowych piłek i sprężynek, czarnych symbolizujących węgiel, czerwonych oznaczających tlen, białych jako wodór itd. Wszystko, co choćby wygląda jak cukier, podczepia się do nanozymu, który wyszukuje też cząsteczki wody i tlenu, zamieniając wszystko w dwutlenek węgla, wodę i energię.

Czyli jem to samo co Mama i Tata. Nie muszę być podłączana do prądu. Następnie wyrzucam nieprzyswojone resztki. Jest cała dziedzina nauki – cybiologia – poświęcona naśladowaniu ludzkiej biologii, dzięki czemu roboty nie wpływają na ekologię ludzi. To skomplikowane i bardzo drogie.



Soames i cała gama robotów jego poziomu ma jednak zasilanie konwencjonalne, bo takie rozwiązanie jest o wiele tańsze. Oznacza to, że robot domowy musi znajdować się blisko domu i źródeł zasilania w nim zainstalowanych. Z punktu widzenia oprogramowania motorycznego nadal są bardzo zaawansowane, ale ogólnie jako maszyny – znacznie mniej skomplikowane.

Poczułam się nieco podbudowana po przeczytaniu tego. W końcu może i jestem robotem, ale nie jestem t a n i m złomem.

Następną rzeczą, jaka mnie zastanowiła, było spanie. Czy ja potrzebuję snu? Poza tym mam nieźle porąbane sny. Czy robot może śnić? O co w tym chodzi?



Wtorek, 18 lipca 2051

Minął kolejny rok.

Już po egzaminach, skończył się oficjalnie semestr, czas zacząć wakacje. Ogólnie w szkole było w tym roku całkiem znośnie. Nękanie przeszło do historii. Oczywiście przez jakiś czas trwało, ale w końcu Jemyra znalazła sobie inną dziewczynę do gnębienia. Czy raczej innego robota, powinnam powiedzieć. Gillian Simmons była cichą osobką, małomówną i prawie bez przyjaciół. Ale wrogów też właściwie nie miała. Któregoś dnia tuż przed bramą szkoły nie rozejrzała się na przejściu i potrącił ją samochód. Nie widziałam tego, ale naoczni świadkowie twierdzili, że było widać się. Gillian została zabrana do szpitala przez karetkę, po jakimś tygodniu wróciła. Ani śladu, ani draśnięcia. Idealna.

Znalazła się w centrum uwagi, a mnie prawie już zostawiono w spokoju.

Kilka miesięcy później jeszcze jedna dziewczyna miała wypadek. Nie wiem, co się stało, bo rodzice nie wysłali jej już więcej do szkoły. Przez kilka tygodni wszyscy o tym plotkowali, ale z czasem wszystkie zdałyśmy sobie sprawę, że bierzemy udział w jakiejś olbrzymiej szopce i przestało nas to ruszać.

Potem przyszła jesień, pojawił się nowy nabór, a my z ugruntowanej pozycji drugoklasistek obserwowaliśmy, jak wszystko zaczyna się od nowa. Rytuał przejścia.

Niewiele się też zmieniło w domu, poza tym, że mam wreszcie wyświetlacz 3D. Używka, oczywiście, ale nie przeszkadza mi to.

John...

Z pewnością jesteś ciekaw, panie Zog, jak nam się układa. John jest świetnym przyjacielem. Lepszym niż większość chłopaków, o których rozmawiają inne dziewczyny w szkole. Z tego, co słyszę, to właściwie tamci

nie robią nic ciekawego. Gadają tylko ciągle o gadżetach i sporcie. Nikt nie uprawia jakiegokolwiek dyscypliny – to tylko takie puste gadanie. A John jest inny. Mówi o tworzeniu muzyki i o gwiazdach. Uczy się grać na gitarze i naprawdę świetnie zna się na komputerach. Może to wynika z tego, że jego rodzice nie są zbyt bogaci, ale on sam buduje komputery. Czy może raczej składa. I umie je też programować. Kiedy o tym rozmawia, w jego oczach zapalają się iskierki.

Ale nie mogę się z nim spotkać. Oczywiście widujemy się w teraniecie, ale to nie to samo. A jak się ma dwanaście lat, to jest się uziemionym. Nie mam przecież prawa jazdy ani nic takiego. Sprawdziłam, jak dojechać do jego domu, ale to podróż autobusem, potem pociągiem podmiejskim, a na końcu jeszcze metrem. Mnóstwo przesiadek. Trzeba też przejść spory kawałek Wood Green pieszo, a to nie to samo co spacer po Wycombe. Wood Green to żółta strefa. Mama i Tata nie puszcza mnie samej na taką wycieczkę. Z pewnością nie po to, żebym się spotkała z jakimś chłopakiem z wakacji. Nawet o to nie pytałam. Bardzo chciałabym się z nim zobaczyć, ale jeszcze nie wiem, jak to zrobić. I nie chodzi o to, że chcę go znowu pocałować – jeden całus w policzek na dyskotece w klimacie lat siedemdziesiątych był w porządku, ale to wystarczy – albo trzymać go za rękę czy cokolwiek w tym stylu. Po prostu chcę z nim pobyc. Porozmawiać w cztery oczy. Tyle.

Może w tym roku uda się to zmienić. Wreszcie minął rok i od dziś mam już trzynaście lat.

Jestem nastolatką.

Zostało mi jeszcze pięć lat.

## Wtorek, 12 września 2051

Siân chciała wybrać się do miasta – do Londynu – sama, ale rodzice się nie zgodzili. Mówili, że to zbyt niebezpieczne, że ma tylko trzynaście lat. Siân się upierała, oni obstawali przy swoim, aż w końcu wypracowali kompromis. Mogła pojechać, ale z koleżanką. Ze mną. Pewnie o to też było trochę targowania, ale wydaje mi się, że patrzą na mnie trochę inaczej od tej draki w Tower.

Wyprawa na własną rękę do Londynu to fantastyczna przygoda. Obie bywałyśmy kilka razy same w Wycombe, a Siân była nawet w Henley. Mama Siân przyznała niechętnie, że powinnyśmy sobie poradzić same, jeśli będziemy się pilnować.

– Ale trzymajcie się zielonej strefy i wróćcie przed ósmą – nalegała.

Sklepy. Jakaś przegryzka – przynajmniej jakiś burger – i wracamy do domu.

Później miałam jeszcze podobną rozmowę z moimi rodzicami.

– Masz być o wpół do ósmej w domu!

Aż mi szczęka opadła. Oni myśleli, że ile ja mam lat? Mam trzynaście! Trzynaście. W końcu zgodzili się na ósmą i to Mama pierwsza ustąpiła. Nie jestem właściwie pewna dlaczego.

Datę wycieczki ustaliłyśmy na następny weekend, więc zaczęłyśmy z Siân planować...

## Sobota, 16 września 2051

Przyszła sobota, a my spotkałyśmy się na przystanku autobusowym. Później jechałyśmy pociągiem, a potem metrem. Wsiadłyśmy na Oxford Street. Mama i Tata dali mi trochę dodatkowej gotówki ponad cotygodniowy limit – wreszcie udało mi się ich przekonać, żeby nie nazywali tego kieszonkowym.

Wiedziałam, że spodoba mi się na Oxford Street. Był tam największy sklep muzyczny, jaki do tej pory widziałam, i natychmiast postanowiłam, że wydam tu wszystkie swoje pieniądze. Co do pensa. Wiedziałam, że wyjdzie drożej niż ściągnięcie tego samego z teranetu, ale jest coś wyjątkowego w kupieniu muzyki na fizycznym nośniku.

Zaczęłam iść w stronę wejścia, ale Siân złapała mnie za rękę.

– Tam – powiedziała, wskazując ręką. – Chodźmy najpierw tam.

Wskazywała na sklep z różowym wejściem. Całym lśniącym i krzykliwym. Na wystawie sklepowej były trzy czy cztery manekiny. Nazwa sklepu mówiła sama za siebie: Sais Quoi. Sklep z ciuchami.

Starałam się wyglądać na zainteresowaną.

Obsługa chyba wyczuła, że Siân ma pieniądze i jest wyraźnie w nastroju do ich wydania. Wszyscy stłoczyli się wokół niej i zupełnie pominęli jej zanedbaną koleżankę. Sterta ciuchów w jej okolicy szybko urosła. Ten top, z taką spódnicą, do tego kilka par butów. „Hej, Siân, zdajesz sobie sprawę z tego, że masz tylko dwie nogi, prawda?” – pomyślałam.

Pół godziny później zaczynałam się zastanawiać, ile to jeszcze potrwa. Dziewczyny z obsługi nie ustawały w nadskakiwaniu Siân, podsuwając jej coraz to nowe sztuki do akceptacji.

Westchnęłam.

Jedna z dziewczyn z obsługi mnie usłyszała i ku mojemu zaskoczeniu

odwróciła się w moją stronę.

– Jesteś znudzona, panienko? Czy czujesz się pominięta? Jeśli to znudzenie, to nic na to nie poradzę. Ale jeśli chciałabyś, żebym znalazła ci coś odpowiedniego, to wystarczy poprosić.

– Sama nie wiem. I jedno, i drugie. Dla mnie ciuchy to tylko... ciuchy. Nic wielkiego, byleby były ciepłe. Ale Siân podchodzi do tego inaczej. Ona jest...

– Starsza? – wpadła mi w słowo sklepikarka. – Ma inną figurę od ciebie? Tak, to prawda. Ale nadal mogę pomóc ci być sobą. To coś, czego nie mogą twoi rodzice.

Była dobra. Moje kolana i łokcie były nadal takie same, jak w dniu pamiętnej potańcówki z lat siedemdziesiątych. Dokładnie takie same, bo od tamtej pory nie urosłam ani nie miałam aktualizacji obudowy. A jednak udało jej się znaleźć kilka rzeczy, które nie były dziecinne, ale nie wymagały jeszcze nastoletnich krągłości, których nie miałam. Ubrała mnie w czerń, by pasowała do włosów. Myślałam, że zaproponuje czerwone dodatki, co już wcześniej po przemyśleniu uznałam za tani chwyt, ale znała się na swojej pracy – dała mi czarną spódnicę z dopasowaną bluzką delikatnie rozjaśnioną srebrnoszarym wzorem. Skojarzyło mi się to z siecią Oxted, co w jakiś dziwny sposób wydało mi się odpowiednie.

Siân rzuciła okiem w moją stronę i skinęła głową z aprobatą. Jej własne zakupy zbliżały się do końca i pięć minut później podeszła do nas z kilkoma torbami w obu rękach.

– Nie możesz się zdecydować? – zapytała.

Pokazałam jej, co moim zdaniem pasowało. Kilka topów, jedna spódnica, para spodni. Wszystko w czarnym kolorze z szaro-srebrnymi wzorami.

– Ale nie stać mnie na wszystko. Mój limit się nie rozciągnie. Nie wiem, co powinnam zostawić.

Rozwiązanie było dla Siân oczywiste: zapłaci za to, na co mnie nie stać. Dla mnie rozwiązanie nie do przyjęcia, bo chciałam być honorowa...

Honor biednych jest nadal honorem. Ale naprawdę chciałam każdy z tych ciuchów. Dziewczyna z obsługi miała rację. To była część stawania się mną. Nie mogłam z tym walczyć. Poza tym pasowało do moich planów.

Wyszłam ze sklepu ubrana w czerń ze srebrnymi wzorami, niosąc pod pachą jeszcze kilka toreb.

\*\*\*

Spojrzałam na zegarek. „Już prawie czas”.

– Siân, muszę ci coś wyznać.

Spojrzała na mnie zainteresowana.

– Nigdy nie byłam w Londynie sama, tak bez dorosłych. Pomyślałam, że to dobra okazja, aby się z kimś spotkać. To mój przyjaciel. Z wakacji kilka lat temu.

– Chłopak?

Skinęłam głową, lekko się rumieniąc.

– Ma na imię John.

– Pewnie. Powinnam była się domyślić. Zaplanowałam coś?

– Tak jakby. Czeka na mój telefon. Ale jeśli masz inne plany, to...

Uśmiechała się lekko.

– Zadzwoń do niego. Gdzie się spotkamy?

– Mówił, że pójdzie z nami na obiad. Zna jakąś restauracyjkę kilka ulic stąd. Jest głęboko w zielonej strefie i podobno nie jest droga. Nazywa się Antonio's.

\*\*\*

Antonio's było dawniej restauracją w stylu włoskim, serwującą pizzę i makarony, ale ewoluowało w coś trudnego do zaszufładowania. W środku panował półmrok, żaluzje były zaciągnięte, a dodatkowe ścianki

działowe przy wejściu blokowały ostatnie źródło światła słonecznego. Wydawało się, że przeniosłyśmy się w czasie do wieczora.

Cały wystrój sprawiał wrażenie elegancji i ekskluzywności, ale nie ekskluzywności budowanej wyłącznie bogactwem. Wydawało się witać gości stwierdzeniem: jesteś klientem, jakich lubię, bo jesteś kimś, kto wie, czego chce. Masz swój styl i myślisz po swojemu, dlatego witaj w moich progach.

Na samym końcu, patrząc od drzwi, znajdowała się scena, na której zespół rozstawiał swój sprzęt.

Byłam zaintrygowana, bo jeszcze nigdy nie widziałam występu na żywo. Wielkie wydarzenia stadionowe, pewnie... Ale nagrane i wyedytowane. Archiwalne nagrania letnich festiwali. Pomyślałam o naszych rozmowach z Johnem i stwierdziłam, że z pewnością celowo wybrał to miejsce.

Na ścianie wisiał plakat zapowiadający wszystkie występy zaplanowane na ten miesiąc. Przejrzałam listę i doszłam do wniosku, że widzę na niej same grupy naśladowcze. Zatrzymałam wzrok na kilku, zastanawiając się, kto przy zdrowych zmysłach mógłby nazwać własną grupę The Lost Corrs...

Dzisiaj wystąpić mieli Mike Clip and the Stands. Raczej nie byli grupą naśladowczą, a przynajmniej nie przychodziło mi do głowy żadne skojarzenie. Oznaczało to, że najpewniej byli jednym z licznych zespołów bluesowych. Byłam w stanie to wytrzymać.

Siân zaczynała się nerwowo zachowywać. I to nawet bardziej niż ja. Ona też zauważyła rozkładający instrumenty zespół.

– Myślisz, że będą głośni?

Potrząsnęłam głową, chociaż, mówiąc szczerze, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Bardziej martwiło mnie to, że John jeszcze się nie pojawił.

– Nie, z pewnością nie będą za głośni.

– Z pewnością to oni wyglądają na głośnych...

Świetnie rozumiałam, o czym mówi. Wzmacniacze wyglądały na



potężne, ale Siân na nie nie patrzyła. Na scenę właśnie wszedł wokalista i aż mnie zatkało. Miał na sobie czarną skórę, zupełnie jak z plakatów heavymetalowych z lat 80.

Piosenkarz sięgnął po mikrofon, klepnął go tak, jak mężczyzna mógłby klepać starego i zaufanego psiaka. Nie, nie psiaka, ale potężnego psa stróżującego... Mam! To będzie najbardziej odpowiednie porównanie. Wojownik mógłby tak witać się ze swoim wiernym rumakiem bojowym.

Jego oczy przebiegły po publiczności. Poza mną i Siân przy stolikach rozsiadanych po sali było może ze dwadzieścia osób. Kiedy jego wzrok spotkał się z moim, zatrzymał się na chwilę, doceniając moje zainteresowanie uśmiechem i konspiracyjnym mrugnięciem. Chwilę później już dalej przyglądał się sali.

Wtedy właśnie przyszedł John...

\*\*\*

Musisz pamiętać, panie Zog, że nie widziałam Johna przez dwa lata, albo i więcej. Jedyne kontakty, jakie mieliśmy ze sobą, ograniczały się do teranetu z wykorzystaniem tanich kamerek. Nie byłam zupełnie przygotowana na to, jak bardzo urósł i jak szerokie stały się jego ramiona.

Jego rudy mop zmienił się w bujną grzywę: gęstą, lśniąca i... królewską.

Nawet jego piegi stały się bardziej dojrzałe. Kiedy teraz o tym piszę, wydaje mi się to dziwne, ale właśnie tak to widziałam.

Wymamrotałam powitanie, a moje nogi zaplątały się w torby, kiedy wstawałam, żeby podać mu rękę.

Tak. Podałam mu rękę.

Wyobrażałam sobie nasze spotkanie po latach wielokrotnie, w tylu wersjach, w ilu tylko mogłam je wymyślić. Rozgrywałam to chłodno, z delikatnym pocałunkiem w policzek. Albo przyjaźnie, z szybkim przytuleniem. Albo naprawdę ciepło, z właściwym pocałunkiem w usta.



Kiedy nadszedł ten moment, krzesła stały mi na drodze, moje torby leżały mi na drodze, ledwo utrzymywałam równowagę, żeby się nie przewrócić, a jego twarz była daleko poza moim zasięgiem – był najzwyczajniej w świecie za wysoki na cokolwiek innego niż podanie ręki.

Wyglądał na zaskoczonego i chyba nawet był w tym ślad zaciekawienia moim dziwnym zachowaniem, a może nawet cień rozczarowania taką formalnością.

– John, to jest Siân.

Siân też wstała się z nim przywitać, ale miała więcej czasu na przygotowanie się. Gładkim ruchem złapała go za ramiona i przyciągnęła do siebie, dając mu krótki pocałunek w policzek.

Zrobiła to bardzo elegancko, a John jeszcze urósł po takim powitaniu.

Postanowiłam ją później zabić.

Ta myśl pojawiła się tylko na chwilę, przyrzekam.

Ale jednak się pojawiła. Zazdrość. U mnie. W tym moim małym blaszanym serduszk.

Skąd to się wzięło?

John był moim przyjacielem. Oczywiście. Ale Siân też była moją przyjaciółką. I oni oboje byli ludźmi... a ja nie.

\*\*\*

Zamówiliśmy jakąś przegryzkę, coś do picia i usiedliśmy przy stole, czekając, aż zespół zacznie grać.

Mike Clip gdzieś zniknął, ale reszta zespołu wносиła ostatnie instrumenty, rozkładała kable i przyklejała je do sceny taśmą. Wyglądali mi na dość starych, gdzieś tak w wieku moich rodziców albo i starszych. Żeby odciągnąć swoje myśli od mojego problemu z Johnem i Siân, próbowałam odgadnąć, jakiego gatunku można się po nich spodziewać.

Perkusista był właściwie dużo starszy od moich rodziców. Był mocno

pomarszczony, spękany jak stara skóra albo spieczona ziemia. Nie był ani biały, ani czarny, ale jakoś tak blisko idealnego środka mieszanki. Żyłasty i chudy, bez grama zbędnego tłuszczu. Kiedy się uśmiechnął, nie byłam zdziwiona, widząc braki w uzębieniu.

Obok kręcił się gitarzysta ze sznurkowatymi włosami, mocno ściągniętymi i matowymi. Wyglądały trochę jak dredy, ale nie było to nic tak starannego. Jego ciuchy wyglądały jak zdjęte ze stracha na wróble, ale biedne straszycło musiało być chyba wdzięczne, że ktoś to z niego zdjął.

Ostatnim członkiem zespołu Mike'a była basistka ubrana w pasiasty męski garnitur, na oko za duży o jakiś rozmiar. Miała też okulary przeciwsłoneczne w stylu Blues Brothers. Prawy rękaw podwinęła prawie do łokcia i założyła kilka opasek Nike, co trochę psuło efekt. Przyglądałam się, jak ostatecznie sprawdza swoje okablowanie i gitarę. Następnie zaczęła się rozgrzewać, ale ćwiczyła tylko palce i dłonie. Najpierw zaciskała pięść, potem rozluźniała palce. Po kolei prostowała każdy palec z osobna i związała go ponownie, masując delikatnie stawy kciukami.

Dziwne.

A więc to był zespół, który John chciał nam pokazać. Z pewnością grali bluesa.

Odwróciłam się do Johna i Siân, którzy też oglądali przygotowania grupy. Udało mi się uchwycić spojrzenie Johna, a on posłał mi delikatny uśmiech, który przywołał mi na myśl parkiet, zespół naśladowujący Slade i... Pomyślałam sobie, że może jednak nie zabiję jeszcze Siân.

Zanim zdążyłam pogрузić się bardziej w swoich myślach, usłyszałam kilka delikatnych tonów gitary elektrycznej, po czym cały zespół eksplodował dźwiękami swojego pierwszego utworu.

To było coś, czego nie słyszałam nigdy wcześniej. Najpierw ostrzeżenie z kilku przykuwających uwagę bitów, a po chwili cały zespół już grał pełną parą, prowadzony przez rytmiczną perkusję, podczas gdy gitara i bas owijały się wokół siebie w skomplikowanych melodiach. Mike rządził

środkiem sceny. Ciężko to inaczej określić – był jak lew oznaczający swój teren. Śpiewał coś, kompletnie nie rozumiałam słów, ale złapało mnie mocno, potrzęsało i żądało pełnej uwagi.

Łał!

Zaryzykowałam oderwanie wzroku i zerknęłam na Johna. Miał otwarte usta. Wpatrywał się w zespół szeroko otwartymi oczami i chłonał każdą chwilę, każdą nutę. Natychmiast skupiłam z powrotem uwagę na zespole i moje oczy przykleiły się do basistki. Teraz zrozumiałam, dlaczego tak rozgrzewała palce – poruszała nimi tak szybko, że niemal nie było ich widać. Skakały po całym gryfie jak szalone pająki. Słyszałam bardzo wyraźnie melodię wygrywaną przez bas, czułam ją całym ciałem, wybijała rytm na mojej piersi i wnętrznościach. A dla oczu wydawało się to zupełnie proste i tworzone bez jakiegokolwiek wysiłku.

Od tej chwili wiedziałam już, że chcę grać na basie w zespole. Takim prawdziwym zespole, piszącym własne teksty i komponującym własną muzykę. Zapragnęłam mieć taką fantastyczną gitarę basową, jak jej. Wytaliowaną, zadziorną, rogatą, lakierowaną na czarno i wykończoną chromem. Chciałam, by moje ręce sprawiały, że będzie śpiewać, tak jak ona to robiła. Chciałam ubierać się w swoim własnym stylu i pozwolić ludziom podziwiać mnie na scenie. Podziwiać nie tylko moją grę, ale mnie.

I chciałam, żeby John... przestał gapić się na Siân!

Nie było wątpliwości. John dość otwarcie wpatrywał się w Siân.

Ona jest blondynką, bardzo przykuwającą uwagę – jak sądzę – kiedy jest się chłopakiem. Ma bardzo przyjemne, dziewczęce kształty. Znaczą, wygląda tak, jak powinna wyglądać dobrze ukształtowana dziewczyna w tym wieku. I właśnie spędziła cały poranek na zakupach w sklepie z modnymi ubraniami na Oxford Street. Wyglądała po prostu...

Och, panie Zog, to było takie kompromitujące! A ty pewnie zupełnie nie wiesz, o co mi chodzi. Nie rozumiesz, że ludzie dzielą się na dwa zupełnie różne podgatunki. Znaczą, z pewnością wiesz coś na ten temat,

jako archeolog, antropolog i badacz istot żywych w kosmosie, a do tego osobnik podróżujący swobodnie po wszechświecie... Z pewnością wiesz, że mężczyźni i kobiety nie są tacy sami. Ale wiesz o tym wyłącznie z akademickiego punktu widzenia, bo jesteś wielkim naukowcem z odległej Andromedy.

Ważne jest w tej chwili to, że się różnimy. Od samego początku, a później z czasem te różnice są tylko coraz większe. Dziewczyny zaczynają się zaokrąglać i robią się miękkie. Ja miałam trzynaście lat, tak samo jak Siân, ale w przeciwieństwie do niej nadal wyglądałam jak mechaniczny wieszak na kapelusze. Do tego bardzo niski wieszak.

Na początku całej listy moich marzeń związanych z basem pojawił się zatem jeszcze punkt, w którym chciałam być trzynastolatką. Chciałam dorosnąć, dojrzeć, przestać być chuda i koścista i nabrać moich własnych krągłości. Chciałam, żeby John patrzył na mnie. Desperacko pragnęłam, by John patrzył na mnie tak, jak patrzył na Siân...

Zespół skończył swój pierwszy utwór cięciem nagłym jak urwisko. Cała nasza trójka westchnęła jednocześnie i zaczęła klaskać na stojąco. Mike tylko otarł czoło ręcznikiem, uśmiechnął się, lekko podnosząc brew, i przyjął w imieniu zespołu owacje.

– Dziękujemy, panie i panowie. Ten numer zatytułowaliśmy *Cuts*. Następny utwór będzie nieco wolniejszy. Zapraszam do wysłuchania *Ace*.

Tym razem było wolno i niezwykle niepokojąco. Przez półtora wersu tylko wokół i perkusja, a później pojedyncze dźwięki zaczęły się odrywać od głosu Mike'a i przeszły w basową kontrmelodię. Aż mnie ciarki przeszły.

Cały występ taki był.

Kiedy zespół skończył, byłam wyżęta i zmęczona, jakbym wspięła się na jakiś szczyt, ale też przepełniona szczęściem, jakbym z tego szczytu podziwiała cały świat leżący u moich stóp.

Zauważyłam, że John i Siân byli na tym samym szczycie. Inni goście Antonio's też siedzieli na swoich własnych szczytach. Zaryzykowałam

i szepnęłam do Johna:

– John? Wiedziałeś, że to będzie coś takiego?

– Tak. Mniej więcej. Już ich kiedyś widziałem. Jakiś tydzień temu. Miałem nadzieję, że uda mi się cię tu przyciągnąć i zaskoczyć.

Potem Siân dorzuciła kilka słów od siebie.

– To było wspaniałe, John. Jestem taka szczęśliwa, że nas tu zaprosiłeś.

„Nie zrobił tego – pomyślałam. – Zaprosił tu mnie, a ja musiałam tu przyjść z tobą, z Siân Fuller”.

John wstał.

– Przynieść wam coś do picia, dziewczyny?

Poprosiliśmy o soki owocowe i John poszedł w kierunku baru.

– Twój przyjaciel jest bardzo miły.

– To prawda – zgodziłam się, nie bardzo wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć.

– I dość wysoki.

– Na to wygląda.

– I moim zdaniem jest całkiem przystojny.

– No...

– Mówiłaś, że byliście razem na wakacjach. Musiało być fantastycznie.

Wróciłam do wspomnień. Sztuczne kopalnie węgla. Buty na koturnie i zespół grający Slade. Ja w liliowych spodenkach.

– Niezupełnie. Było raczej... nudno. To były lata siedemdziesiąte. Powiedziałabym, że to było raczej kompromitujące.

– Naprawdę? Nawet u boku takiego chłopaka jak John?

– Tak. Nie. Słuchaj, mieliśmy wtedy raptem jedenaście lat. Nie wyglądał tak jak teraz.

„Nawet jeśli ja nie zmieniłam się od tamtego czasu” – dodałam w myślach. Potrzebowałam jakiejś ucieczki od tematu. I znalazłam.

– Słuchaj, Siân, Zostawię cię na chwilę. Muszę coś zrobić...

Nie chodziło mi o łazienkę. Podeszłam do sceny, gdzie zespół zwiijał

kable i chował instrumenty. Stałam przed basistką pochyloną nad futerałem i starannie zwijającą przewody.

– Bardzo ładnie pani dziś grała... – głos mi drżał, byłam strasznie zestresowana.

– Dziękuję – nawet nie podniosła wzroku, dalej upychając kawałek materiału między struny a szyjkę i przeciągając go lekko w jedną i drugą stronę.

– Ma pani śliczny instrument... – nie poddawałam się.

– Ta. To Aria RSB Deluxe 5. Ma jakieś sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat. Dbam o nią.

– Jak... – zaczęłam zbliżać się do sedna.

I wtedy spojrzała w górę. Zdjęła okulary, bym mogła spojrzeć jej w oczy. Miały kolor ciemnego orzecha. I były bardzo miłe. Widziałam, że podjęła decyzję, by mnie nie przegonić.

– Czego właściwie chcesz? – spytała uprzejmym tonem.

Wzięłam głęboki wdech.

– Chcę nauczyć się grać na basie, tak jak pani.

– Jak ja? Hm. Jak masz na imię?

– Tanya. Jestem Tanya Deeley.

– Czy w takim razie nie powinnaś nauczyć się grać jak Tanya Deeley?

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– Przepraszam, Tanyu. To niegrzeczne z mojej strony. Kiedy byłam w twoim wieku, chciałam grać jak John Entwistle. Długie lata zajęło mi nauczenie się gry na sposób Amandy Taylor. Tak się nazywam, swoją drogą.

– Miło mi panią poznać – uśmiechnęłam się.

– Na początek musisz kupić sobie bas i zacząć się uczyć. Słuchaj nagrań, zdecyduj, co lubisz, a czego nie. Przeszukaj teranet i znajdź ludzi o podobnych zainteresowaniach i załóżcie jakiś zespół naśladowczy.

– Nie chcę grać w zespole naśladowczym. Chcę robić to, co wy.



Komponować własną muzykę i grać.

– Nie trać na to czasu – powiedziała smutno. – Popatrz na nas. Mike i Gary to świetni tekściarze. Gus i ja robimy swoje. Razem inspirujemy się wzajemnie i jest moc. W innych czasach mielibyśmy na koncie piątą płytę i kontrakt z wytwórnią. Moglibyśmy wypełnić po brzegi dowolny stadion. Zamiast tego przygrywamy wieczorami w obskurnych kafejkach w Soho dla dwudziestu ludzi, jeśli wliczyć obsługę. Na etacie pracuję jako programistka i wcale nie jestem w tym wybitnie dobra, ale jakoś starcza na rachunki. Jestem rozwiedziona, nie mam dzieci i stuknęło mi czterdzieści pięć lat. I jestem już tylko trochę wściekła na świat.

Uśmiechnęła się – i był to uśmiech pełen odwagi.

– Byłaś ostatnio w sklepie muzycznym? Przejrzyj ofertę. Największe hity z 1975. Kompletne wydanie Franka Sinatry. *Elvis: the Sun Sessions*. To wszystko starocie. Nostalgia. Popatrz na plakaty, a znajdziesz w większości nazwy w stylu The Lost Corrs. Ludzie nie chcą nowej muzyki. Oni chcą słuchać muzyki, którą dobrze znają. Chcą zespołów naśladowczych, które pomogą im cofnąć się do szczęśliwszych czasów. Nasz świat umiera, a nikt nie jest na tyle silny, by patrzeć na to spokojnie.

– To dlaczego...? – zaczęłam zadawać pytanie.

– Dlaczego to robimy? Dlaczego tworzymy muzykę dla świata, który nie chce jej słuchać? Nie wiem, jak reszta, ale ja nie robię tego dla świata tak bardzo jak dla samej siebie. Tworzenie muzyki jest jedynym momentem, kiedy czuję, że żyję. Muszę coś stworzyć. Każda kobieta ma taką potrzebę, i na swój sposób siedzi to też w każdym mężczyźnie. Jeśli nie mogę mieć dziecka, to przynajmniej stworzę piosenkę. To niewiele, nie ma porównania... Piosenka trwa trzy minuty i znika. Ale...

– Moglibyście przecież nagrywać swoje występy. Wtedy by się zachowały.

– To już nie to samo. To taka sama różnica jak między zdjęciem a żywą osobą. Muzyka słuchana na żywo to jedyna muzyka, jaka ma znaczenie.

Nie chciałam cię zniechęcać do zakładania zespołu, Tanyu. To było wredne z mojej strony. Jeśli naprawdę uważasz, że potrafisz pisać dobre, oryginalne utwory – rób to! Ale tak naprawdę nie zakładaj kolejnego zespołu naśladowczego – to tylko kolejna fotografia. Przepraszam.

Odwróciła się i wróciła do swojego basu, polerując go, mimo że był już nieskazitelnie czysty. Zrozumiałam, że wywiad się skończył. Zaczęłam się odwracać, ale kątem oka zobaczyłam, jak łza rozbiła się tuż obok futerału.

– Do zobaczenia, Amando. Dziękuję.

Nie odpowiedziała.

Na naszym stoliku John już postawił soki. Siedział pogrążony w ożywionej rozmowie z Siân. Postanowiłam zignorować jego ciągłe zerkanie na jej piersi.

– John, jak możemy założyć własny zespół?

Okazało się, że już był kilka kroków przede mną.

– Tanyu, poznaj naszą wokalistkę. Siân Fuller.



## Niedziela, 14 stycznia 2052

Panie Zog, uczę się grać na basie. To ciężka praca. Moje palce nie sięgają wystarczająco daleko, więc nie mogę grać nawet niektórych standardowych melodii z podręczników. Musiałam eksperymentować, aby w jakiś inny sposób zagrać konkretne nuty. Gitara basowa, którą mam, jest olbrzymia. To znaczy, jest zupełnie normalna, to jedna z linii Precision. Ale przy mnie wydaje się ogromna.

Tak naprawdę to bas należy do kościoła. Tata znalazł go w magazynie, tak samo jak wzmacniacz przeznaczony do keyboardów – brzmi nieźle. Stała tam też jakaś stara perkusja. Tata mówi, że kościół miał kiedyś zespół żywej modlitwy, jakieś trzydzieści lat temu, jeszcze przed najgorszym okresem Niepokojów. Dzisiaj kościół nie jest zbyt radosnym miejscem, więc instrumenty wylądowały w magazynie i czekają na bardziej pogodne czasy. Jeśli gitara będzie potrzebna, to oczywiście ją zwrócę, ale nie spodziewam się tego w najbliższej przyszłości.

Nietrudno było też znaleźć podręczniki do nauki gry. Wszędzie pełno jest tytułów takich jak *Graj na basie jak Led Zeppelin* albo *Gitara basowa Stonesów*. Wpisujesz nazwę zespołu, dodajesz „gitara basowa” i wciskasz „szukaj”.

Problemem jest jednak znalezienie techniki i teorii, ale John stworzył kontekstowy algorytm wyszukiwania, który odsiał wszystkie materiały naśladowcze – tak, by zostały tylko perełki.

Ćwiczę więc w każdej wolnej chwili; w moim pokoju, ze słuchawkami na uszach. Zaczynam łapać, czym jest linia basu, jak zgrać ją z akordami i melodią. Ściągnęłam kilka kawałków Amandy, by jej posłuchać. Jest absolutnie niesamowita... Cały zespół jest. Ale...

Ale zaczynam rozumieć, o czym mówiła, kiedy porównywała nagrania

do zdjęcia. To nie to samo, co słuchać jej na żywo. Nagranie przypomina mi jej występ, ale nie wdziera się w głąb i nie budzi takich emocji. Czasami więc trochę słucham, ale staram się nie wpadać za bardzo w jeden zespół. Wiem, że muszę znaleźć styl, który mi odpowiada.

No właśnie, styl. Bardzo obszerny temat. Czasami stoję przed lustrem z przewieszonym basem i zaczynam grać do bluesa albo rock and rolla. Staram się ruszać tak jak Amanda, ale moje kolana i łokcie wyglądają przy tym cudacznie jak zawsze. Wyglądam jak mała dziewczynka, która pożyczyła gitarę od starszego rodzeństwa. Nie pasujemy do siebie wizualnie.

Próbowałam różnych ubrań i stwierdziłam, że rzeczywiście wiele zmieniają. Najlepiej wyglądam w tych kupionych przy Oxford Street. Czerń z szarością i srebrem. W nich wyglądam najmniej dziecięco.

Znów zanurzyłam się w teranecie i znalazłam kilka pomysłów. Skórzana kurtka Mike'a dała mi jakiś wstępny zamysł. Pasowała do tej muzyki lepiej niż cokolwiek innego. Próbowałam naszkicować siebie w takiej skórze, ale nigdy nie nauczyłam się dobrze rysować... Spróbowałam jeszcze raz wyszukiwarki kontekstowej Johna i przeszperałam stronki fanowskie. Na szczycie listy była niejaka Suzi Quatro, ale było też wiele innych, które potwierdzały, że ten wygląd działa.

Spróbowałam wyedytować zdjęcie, wklejając swoją twarz w kilka fotografii. Wyglądało zadowolająco.

Wzięłam głęboki wdech i poszłam na dół.

\*\*\*

Mama i Tata oglądali jeden ze starych filmów George'a Lucasa, kiedy weszłam do pokoju. Nigdy nie były dla mnie zbyt realistyczne w tym pseudo-3D, ale Lucas poprawiał je do końca swojego życia, twierdząc, że każda nowinka w świecie kinematografii pozwala mu zbliżyć się do

zrealizowania w pełni wizji *Gwiezdnych wojen*. Muszę przyznać, że jego bitwy kosmiczne wyszły świetnie. Usiadłam i czekałam na właściwy moment.

Oczywiście przy pierwszym pojawieniu się C3PO Mama zaczęła się wiercić. Tata zrozumiał, o co chodzi, i wyłączył film. Przynajmniej nie trafiłam na *Łowcę androidów*.

– Mam ochotę na herbatę – ogłosił, wstając. – Ktoś jeszcze?

Zanim wrócił z kuchni z parującym czajniczkiem herbaty i trzema kubkami, Mama zwiększyła oświetlenie i przestawiła krzesła, tworząc atmosferę sprzyjającą rodzinnej rozmowie.

– No proszę – zaczął Tata. – I cóż wygoniło cię z twojego sanktuarium? Wyłączyli teranet?

– Mike! – pisnęła Mama, rozdrażniona jego prostolinijnością.

– Tylko żartuję. Ale ojciec powinien wiedzieć, kiedy córka o czymś myśli. No, śmiało, Tan. Mów, z czym przyszłaś.

Miał rację. Zawsze wiedział, kiedy coś mnie gnębiło. No cóż... Głęboki wdech.

– To dość delikatna sprawa, więc pozwólcie mi o tym mówić w moim tempie. I postarajcie się nie przeskakiwać do wniosków.

– Śmiało.

– Nie czuję się komfortowo, widząc jak inne dziewczyny w klasie mnie przeganiają...

– Ale przecież twoje wyniki są bardzo dobre, kochanie...

– Nie o to mi chodzi, Mamo – zauważyłam spojrzenie Taty. On wiedział, o co mi chodzi. – Chodzi mi o bardziej... fizyczny aspekt. Chyba trochę powoli rosnę, nie sądzisz?

Teraz Mama załapała.

– Och, kochanie! Masz na myśli, że powoli dojrzewasz, tak?

Kiwnęłam głową.

– Tak, Mamo. Czuję się nie na miejscu, będąc ciągle tą samą małą

dziewczynką. Moje koleżanki z klasy wszystkie zmieniają się już w młode panny.

Tata wysnuł niewłaściwe wnioski...

– Czy ktoś cię nęka, Tan? Powiedz mi, kto, a ja to załatwię z dyrektorką. Jeśli powoli dojrzewasz, to nie jest to żaden powód dla nich, żeby to oceniać lub ci wypominać. Pozwól, że ja to załatwię.

– Nie, Tato. Nikt mnie nie nęka. To moja wolna i świadoma decyzja.

– Decyzja? Jaka decyzja, kochanie?

– Już do tego dochodzę, Mamo. Pozwólcie mi mówić. Widzicie... Chciałabym zrobić następną rewizję.

Nastąpiła chwila ciszy. Mama intensywnie wpatrywała się w swoje kolana, a jej policzki się zaróżowiły. Tata wydawał się jakiś spięty, usta miał lekko ściśnięte.

– Pozwól, że upewnię się, że dobrze cię zrozumiałem, Tan. Zmęczyło cię bycie małą dziewczynką i chcesz zostać już nastolatką. Fizycznie. O to chodzi?

– Tak, Tato, dokładnie o to chodzi.

– Ale dlaczego? Znaczą, jaka to dla ciebie różnica? Mówiłaś sama, że nikt cię nie nęka z tego powodu. A jeśli inne dziewczęta mają robione rewizje, to chodzi chyba tylko o utrzymanie pozorów, prawda? Nie musisz tego robić, prawda?

– Wiem, Tato. Nie chodzi o to, co robią inne dziewczyny. Chodzi o to, że ja chcę to zrobić. To część moich... planów... na życie.

Pięć lat. Tylko pięć lat. Wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Nadal nie rozumiem, Tan. Jakie to plany? I dlaczego potrzebujesz do nich wyglądu nastolatki?

Więc przypominałam im, że uczę się grać na basie, że zakładamy zespół z Siân i Johnem. O tym, że mam być basistką i że nie mogę być basistką, wyglądając na dziesięć lat.

– Nikt nie będzie nas traktował poważnie, Tato! – To był już prawie

krzyk rozpacz, ale już ledwo trzymałam się na wodzy.

– Zatem chcesz zrobić rewizję. A kiedy wrócisz z Oxted, będziesz już młodą kobietą...

– Tak.

– Dojrzałą.

– Tak.

– Będziesz miała biodra, piersi.

– Będę miała biodra i piersi, zgadza się.

Jego głos był ciężki. Jego mała córeczka miała właśnie zamiar zniknąć bezpowrotnie. Na jej miejsce pojawi się młoda pannica, za stara, zbyt samodzielna, żeby siadać mu na kolanach. Dziewczynka, która słuchała jego historyjek na dobranoc, stanie się tylko wspomnieniem.

A Mama?

Matki chyba nieco inaczej do tego podchodzą. Przynajmniej moja Mama. Chcą, żeby ich córka rozwijała się i dorastała. Chcą widzieć pewną ciągłość między matką a córką.

Gdybym była chłopcem, pewnie Tata wykazywałby więcej entuzjazmu, a Mama byłaby tą zostającą w tyle.

Ale oto Mama się pozbierała i ożywiła nagle.

– To cudownie, kochanie. Uważam, że to świetny pomysł. Już czas, zdecydowanie najwyższy czas. Zastanawiam się, czy dadzą ci jakiś wybór? Mike, wiesz jak to działa? Będzie mogła wybrać, jakie ma być jej nowe ciało?

Tata wyglądał, jakby został spoliczkowany.

– Ja... Nie mam pojęcia.

– Cóż, moim zdaniem powinnaś mieć prawo wyboru. Wcześniej zostawialiśmy wszystko Oxted. Mówili, że zagwarantują stopniowe zmiany zgodne z naturalnym rozwojem, tak, aby niczego nie można było podejrzewać. Ale teraz, kiedy już wiesz, nie ma chyba żadnego powodu, żebyś nie mogła sama decydować. Zmienić kilka rzeczy. Oczywiście nie

wszystko. Na przykład na twoim miejscu zostawiłabym włosy; mają uroczy kolor. Powinny być chyba długie i proste, tak jak było do tej pory.

– Tak, lubię je takie, jakie są.

– Ale poza tym, o całej reszcie trzeba by pomyśleć. Ja zawsze byłam szczupłą, w biuście też. Ale ty mogłabyś poprosić o coś bardziej hojnego. Mogłabyś też chcieć być nieco wyższa ode mnie.

Z pamięci wyskoczył mi obraz Mamy, chwiejnie idącej w butach na koturnie... Chyba nie chciałam być nawet tak wysoka jak ona. Ale jak już zaczęła mówić, płynęła jak rzeka.

– Nie widzę też powodów, żebyś nie miała porządnych bioder, kochanie, cokolwiek twój Tata ma na ten temat do powiedzenia. Pamiętam, że bardzo mu się podobały moje biodra w czasie narzeczeństwa. I biust też.

To wreszcie spowodowało, że Tata lekko się uśmiechnął.

– To prawda, Nettie.

– Czyli ty też powinnaś mieć pełne biodra, kochanie. I z pewnością chętnie pożegnasz się z tymi nogami. Pamiętam, jak ja się czułam. Te kościste kolana i łokcie. Wiesz co? Powinniśmy byli to zrobić już rok temu. Albo nawet rok przed twoim przejściem do nowej szkoły. Straciłabyś oczywiście wakacje, ale to nic wielkiego. Park tematyczny w latach siedemdziesiątych.

Jasne. I nie poznałabym Johna. Nie, dzięki.

To obudziło jednak u Taty jakieś podejrzenia.

– Te twoje plany, Tan. Mówiłaś, że zakładacie zespół. To wszystko? Czy mogę zapytać, czy jest jeszcze jakiś powód, dlaczego nagle potrzebujesz wyglądać jak młoda kobieta? Jako ojciec czuję się w obowiązku zapytać, czy tu nie chodzi o jakiegoś chłopaka? Muszę wiedzieć, czy już... eksperymentowałaś? Albo może planujesz?

Mówiąc szczerze, nie myślałam o tym zupełnie. Myślałam tylko o wyglądzie.

– Nie, Tato. To nie tak.

Powtórzyłam moje plany zostania basistką w zespole. Powiedziałam raz jeszcze, że potrzebuję większego ciała po prostu po to, żeby móc poprawnie trzymać instrument. I dobrze wyglądać na scenie, oczywiście, a nie sprawiać wrażenie czyjejś młodszej siostry.

Nie wiem, o czym myślał w głębi. Ale skinął głową i pozwolił Mamie zakończyć rozmowę.

– No cóż, kochanie. Z pewnością dałeś nam coś do przemyślenia. Prześpimy się z tym i jutro z rana zadzwonimy do Oxted.



Piątek, 9 lutego 2052

Nie zadzwoniliśmy do Oxted następnego dnia ani jeszcze kolejnego. Pierwszego dnia ja się wycofałam, następnego Mamie zabrakło odwagi. Minęły jakieś dwa tygodnie, zanim wszyscy byliśmy jednocześnie gotowi na wykonanie telefonu.

Wpadnijcie do siedziby, powiedzieli.

No to pojechaliśmy.

\*\*\*

Siedzibę stanowił kompleks budynków niedaleko Banbury. Oxted to firma, która urosła w przeciągu pięciu lat z pojedynczej, taniej jednostki przemysłowej do międzynarodowej korporacji odpowiadającej za utrzymywanie ludzkości przy zdrowych zmysłach. W innych krajach Oxted wyglądał bardzo konwencjonalnie. Imponujące, nowoczesne budynki ze stali, szkła i betonu. Ale tutaj, w Banbury... Tu stał oryginał. Wszystko rozrosło się zbyt szybko, by można było to zaplanować. Budynki w tym kompleksie wyglądały, jakby wrzucano je z dnia na dzień wszędzie, gdzie tylko znalazł się niewykorzystany skrawek ziemi. Rdzewiejące chatki Nissena i nitowane blaszaki stojące obok wielkich hangarów i strzelistych brył betonu. A wszędzie pełno było ludzi uwijających się jak mrówki.

W recepcji powitał nas blady, zmęczony życiem mężczyzna koło czterdziestki, ze zsuwającymi się z nosa okularami.

– Państwo Deeley? Jestem doktor Markov. Jestem doktorem cybernetyki, nie medycyny.

Wstaliśmy, Tata uściskał doktorowi rękę, po czym przedstawił nas. Doktor Markov uśmiechnął się ciepło, kiedy podawał mi rękę i nagle



ogarnęło mnie poczucie, że wszystko będzie dobrze.

– Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, panno Deeley. Widzi pani, to dla mnie dość rzadki przypadek. Większość naszych młodych gości jest raczej nieświadoma swojej natury. Miłą odmianą jest spotkać kogoś, kto chce brać czynny udział w swoim rozwoju.

Poprowadził nas długim labiryntem korytarzy, otwierając drzwi zupełnie jakby wybierał je losowo. Zygzakiem oddalaliśmy się od recepcji. Raz czy dwa przeszliśmy przez otwartą przestrzeń, żeby zaraz znów zagłębić się w labirynt Oxted.

Wreszcie na końcu wyblakłego korytarza otworzył podwójne skrzydła ostatnich drzwi, wpuszczając nas do przestronnego, oświetlonego światłem słonecznym pomieszczenia z wygodnie ustawionymi sofami i niskimi stolikami. Wskazał ręką na grupę siedzisk i poczekał uprzejmie, aż zajmiemy miejsca.

Znikąd pojawiła się elegancko ubrana kobieta z kawą i ciastkami.

– A więc, panno Deeley. Zdecydowała się pani na rewizję. Ile pani ma lat?

– Trzydzieści – odpowiedziałam, choć z pewnością miał to w dokumentach.

– Zgadza się, zgadza się. Czyli poprzednią rewizję miała pani jakieś cztery lata temu, jeśli się nie mylę.

Na to pytanie nie znałam odpowiedzi i natychmiast wkroczył Tata.

– Tak, wtedy jednak wszystko zorganizował szpital. Podrzuciliśmy ją tam i odebraliśmy po wszystkim.

– Zgadza się, zgadza się. I, oczywiście, panna Deeley nic z tego nie pamięta.

– Nic – przyznałam. – Jak to możliwe?

– Jest takie małe urządzenie – wyjaśnił doktor. – Przesyłamy je pocztą. Jest dostrojone do konkretnego mózgu i powoduje głęboki sen. Zgaduję, że twoi rodzice odczekali, aż zaśniesz. Potem zabrali do szpitala, gdzie

obsługa wykonała rutynowe przeniesienie mózgu do nowego ciała i oddała cię w ręce rodziców. Obudziłaś się w swoim własnym pokoju, może dzień później, z bardzo mglistymi i ulotnymi wspomnieniami z czasu, kiedy byłaś nieprzytomna.

Słowa doktora wydały mi się dość złowieszcze, kiedy zdałam sobie sprawę, jak łatwo można mnie wyłączyć. Ale miał rację. Nawet wiedząc, kiedy to się stało, nie byłam w stanie zawęzić tego do dnia albo dwóch. Całe wakacje były pełne dni niewartych pamiętania i miejsce tamtej rewizji w moich wspomnieniach było tak samo mgliste jak większość pozostałych tygodni przed i po niej.

– Czy tym razem będzie tak samo?

– Nie, panno Deeley. Będzie pani spać tak jak dotychczas, ale nie będziemy niczego modyfikować we wspomnieniach. Obudzi się pani, czując się tak, jakby na chwilę zamknęła pani oczy, ale data nie będzie się zgadzać.

– I będę miała nowe ciało...

– Tak, na dodatek znacznie bardziej dojrzałe. Jak wskazują na to moje dokumenty, bardziej odpowiednie dla twojego wieku. Nie zaleca się tak długich przerw między rewizjami. Czy mogę wiedzieć, co było powodem, pastorze Deeley?

– Nigdy nie lubiliśmy rewizji, doktorze Markov. Nagła zmiana jest dla nas smutna. Pod każdym innym względem Tanya jest naszą córką, ludzką w każdym aspekcie. Rewizje przypominają nam prawdę.

– A jednak wcześniej oddawaliście ją na rewizję regularnie co dwa lata lub w terminie nieprzekraczającym dwóch miesięcy od tego momentu. Dlaczego teraz porzuciliście tę praktykę?

– Wszystko chyba zmieniło się w momencie, gdy Tanya dowiedziała się prawdy. Ona już nie potrzebowała rewizji, więc stały się one również mniej istotne dla nas.

– A jednak teraz rewizja okazała się dla ciebie ważna, panno Deeley,

i chcesz wyglądać na swój wiek. To dla mnie bardzo interesujące. Czy mogę dowiedzieć się, skąd ta decyzja?

Opowiedziałam mu więc o nauce gry na gitarze basowej i planach założenia zespołu. Okazało się, że Markov interesuje się nowoczesną muzyką i zanim się zorientowałam, już opowiadałam mu o spotkaniu z Johnem i Siân w kafejce, o zespole Mike'a, o Amandzie. Wspomniałam, że ja i John dzielimy zainteresowanie muzyką, i rozmowa zesłała na to, jak w ogóle Johna poznałam.

Naprawdę przyjemnie się z nim rozmawiało, nawet zapomniałam, że Mama i Tata są obok. Pewnie też uważnie słuchali, bo większość z tego była rzeczami, o których im nie mówiłam. W końcu jednak usłyszałam ziewnięcie. Biedna Mama. Przeprosiła, mówiąc że podróż była dla niej bardzo męcząca.

Doktor Markov natychmiast zwrócił się do niej i również przeprosił, że wciągnął mnie w tak długą rozmowę. Przyniesiono więcej kawy i ciasteczek, a specjalista zaczął wyjaśniać, co się stanie.

– Wybranie nowego ciała jest właściwie dość proste. Mamy programy symulujące rozwój dziecka, więc łatwo będzie stworzyć starszą wersję obecnego wyglądu panny Deeley. Możemy uwzględnić wpływ diety, ćwiczeń oraz wygląd rodziców, a potem rozważyć kilka możliwych wersji. Możemy też zaprojektować wszystko od podstaw albo dać ciało gwiazdy filmowej, ale szczerze odradzam takie rozwiązanie. Bardzo rzadko kończy się to szczęśliwie. Poza tym pani Deeley jest atrakcyjną kobietą, wyrażając czysto profesjonalną opinię, i powinna być panienka dumna, mogąc oprzeć swój wygląd na jej wyglądzie.

Mama zaczerwieniła się, a Tata ją przytulił.

– Jak już mówiłem, to dość prosty proces. Wystarczy godzinka czy dwie przy monitorze z moją współpracowniczką, panią doktor Marcją Thompson, która specjalizuje się w projektowaniu naszych żeńskich teknoïdów. Później trzeba będzie przeprowadzić drobną kalibrację.

Przeprowadzimy kilka testów, panno Deeley. Nic strasznego. Żadnych igieł, nic z tych rzeczy. Zadamy tylko kilka pytań. Po wszystkim będziemy mieli pewność, że panienka będzie dobrze się czuła w swoim nowym ciele. Drobną kalibracją, to wszystko.

\*\*\*

Staliśmy razem przed wielkim monitorem, który sięgał od podłogi do sufitu i był prawie tak samo szeroki jak wysoki. Unosiłam się na nim, w skali jeden do jednego, na jednolicie szarym tle. Patrzyłam zafascynowana, jak doktor Thompson obracała mnie na ekranie. Byłam dojrzałą trzynasto-czternastoletnią dziewczyną. I byłam nago.

Tata chrząknął zaskoczony, a na twarz wypłynął mu głęboki rumieniec, kiedy doktor Thompson wyświetliła obraz. Ja sama byłam zaskoczona i, jeśli mam być szczerą, chyba nieco zawstydzona. Gdybym o tym wcześniej myślała, pewnie wyobrażałabym sobie to jako bardziej wymyślną wersję moich własnych prób z przeklejaniem swojej twarzy na zdjęcie Suzi Quatro. Nie przyszło mi do głowy, że jedynym słusznym sposobem na stworzenie nowego ciała jest projektowanie go bez ubrań. Niewątpliwie jednak postać na ekranie była mną i następną moją myślą było stwierdzenie: „Hm, właściwie to wyglądam całkiem nieźle”. Szybko przestałam być zawstydzona. Tata miał trudniej...

Biedny Tata. Przez godzinę nie wiedział, gdzie ma patrzeć. Na mnie? Czy na mnie na ekranie? Chyba nawet nie mógł spojrzeć w oczy Mamie, więc przez większość czasu po prostu gapił się w podłogę.

Mama jednak była wspaniała. Dość szybko weszła w rolę i zaczęła dawać sugestie. Przytargała ze sobą album rodzinny i porównywała to, co widziała na ekranie, z ciocią-babcią Jane, która w młodości miała obojczyki, za które można się było dać pokroić; albo zwracając uwagę doktor Thompson na ramiona babci Liz, które były bardzo kształtne. I tak, krok po kroku,

pani doktor dopracowywała mój wygląd, dodając cechy któregoś z członków rodziny. Przez te wszystkie lata była tylko Mama... i Tata. Koniec. Teraz nagle poczułam się częścią wielopokoleniowej rodziny.

Doktor Thompson wreszcie skończyła.

– Pastorze Deeley, myślę, że powinien pan na to spojrzeć. Ma pan piękną córkę, która już niebawem rozkwitnie w młodą pannicę. Jednak muszę wiedzieć, czy przypadkiem nie stworzymy dokładnego odzwierciedlenia znieawidzonej ciotki Maureen, która rzuciła cień na pańskie młodzieńcze lata. Albo w jakikolwiek sposób nie uwypukliliśmy blizny psychologicznej, jaką może pan posiadać. Nie wiem, prawdę powiedziawszy, czy w ogóle miał pan jakąś ciotkę Maureen, ani czy była bardziej wiedźmą, czy świętą.

Tata spojrzał na ekran, następnie na mnie, potem znów na ekran.

– Przepraszam, ale cały ten... proces... nie jest dla mnie komfortowy. Czy może pani ją trochę ubrać? Poproszę.

Kilka gestów i kliknięć w menu później miałam już na sobie skromne, białe bikini. Hmm... Ładne. Zapisałam sobie w pamięci, że trzeba coś takiego dodać do listy zakupów.

– O wiele lepiej – powiedział Tata. – Z radością stwierdzam, że w żadnym aspekcie nie przypomina wiedźmowatej ciotki Maureen. Nie żebym miał takową w rodzinie. – Po chwili spojrzał na mnie z uśmiechem i dodał: – Będiesz jeszcze bardziej urocza, Tan. Ale nadal będziesz niepodważalnie sobą.

Po tych słowach Mamie pojawiła się w kąciuku oka łza.

Po chwili przyszedł doktor Markov i przez jakiś czas bawiliśmy się, strojąc mnie na różny sposób i sprawdzając, co wygląda najlepiej. To było trochę jak ponowna wizyta przy Oxford Street, z tą różnicą, że tym razem wszystko pasowało...

Doktor Markov poprosił mnie, bym pokazała mu swojego AllInFone'a i skopiował mi na niego kilka zdjęć.

– To powinno ci pomóc w ciągu najbliższych kilku miesięcy podczas

przygotowań do zmiany...

\*\*\*

Leżałam na kozetce tak stereotypowej, że mogłaby znaleźć się na planie filmowym w gabinecie psychologa. To chyba była właśnie kalibracja. Pamiętam kilka pytań, jakie mi zadano.

– Jaki jest twój ulubiony owad?

– Biedronka.

– Kogo podziwiasz bardziej: Wilhelma Zdobywcę czy Napoleona Bonaparte?

– Napoleona.

– Ile wynosi pierwiastek kwadratowy z trzech?

– Ehm, coś koło jeden i siedem z kawałkiem...

– Jaki jeden przedmiot zabrałabyś ze sobą z płonącego domu?

– Paletkę do tenisa stołowego.

– Czego boisz się bardziej: wysokości czy jaskiń?

– Jaskiń.

– Co będzie następnym elementem zbioru: ananas, banan?

– Cytryna.

– Co jest bardziej przydatne: karaluch czy żuk?

– Karaluch.

Było też kilka podchwytliwych.

– Jesteś matką trojga dzieci, którym grozi śmierć. Dostajesz wybór: albo wybierzesz jedno dziecko, które przeżyje, albo jedno, które umrze. Co zrobisz?

– Wybiorę dziecko, które przeżyje.

– Znajdujesz niewielką sumę pieniędzy na ulicy. Zatrzymasz ją dla siebie czy postarasz się znaleźć właściciela?

– Zatrzymam dla siebie.

– Znajdujesz złotą obrączkę w ścieku. Zatrzymasz ją dla siebie czy postarasz się znaleźć właściciela?

– Poszukam właściciela.

Takie przepytywanie trwało coś koło godziny, może dłużej. Pod koniec byłam już naprawdę zmęczona. I miałam mętlik w głowie. Jak można było to nazwać kalibracją?

\*\*\*

Znów znaleźliśmy się w pokoju razem z dwójką doktorów: Markovem i Thompson. Doktor Markov miał dla mnie kilka rad.

– Musimy zająć się budowaniem nowego ciała dla panny Deeley. Zajmie to kilka miesięcy. To dość poważny skok, czteroletnia zmiana w jednej rewizji. Ludzie wokół z pewnością to zauważą, zwłaszcza że najodpowiedniejszy moment na zmianę ciała, czyli wakacje, już dawno minął. Będziesz musiała znaleźć inny sposób na zamaskowanie zakresu zmian. To jeden z powodów, dlaczego dostałaś zdjęcia swojej następnej wersji. Będziesz mogła zacząć stopniowo wprowadzać pewne modyfikacje...

– Kilka rad na początek. Musisz przez ten czas unikać osób, które znają cię najlepiej, nawet jeśli wiedzą, że jesteś robotem. Ludzie źle znoszą nagłą zmianę wyglądu, musisz więc postarać się zapewnić im możliwie jak największą przerwę...

– Musisz też zacząć się ubierać i chodzić w sposób, który zminimalizuje zauważalną zmianę. Przed rewizją noś buty na grubej podeszwie i poszerzające cię ubranie. Po niej przeciwnie: buty bez obcasów i dopasowane stroje...

Dawali mi całe mnóstwo porad. Zbyt wiele, żeby wszystko zapamiętać. Podarowali nam nawet książeczkę ze streszczeniem najważniejszych punktów. I numer do pomocy telefonicznej.



Świetnie.

Żadna z tych rzeczy nie była w stanie rozwiązać największego z moich problemów.

Jak mam nabrać Johna...

## Sobota, 24 lutego 2052

Jak mam nabrać Johna...

Dużo o tym myślałam przez ostatnie kilka dni. To dla mnie bardzo ważne, by John się... nie zorientował. To by wiele popsuło między nami. Nie żeby byli jacyś m y, tak właściwie. Mam na myśli, że to popsułoby relację między nim a mną. Chciałam coś zmienić, to prawda, ale na lepsze. Dla nas. To znaczy dla niego. I dla mnie.

Och, Zog! Nie rozumiesz? Jestem niegrzecznym robotem. Tak bardzo złym, niegrzecznym robotem. Wszystko przez to, że spodobał mi się ludzki chłopak. I dalej mi się podoba. Po wszystkim, co się stało. Po tak długim czasie.

A on... wyraźnie ciągnie go do mojej najlepszej przyjaciółki, Siân. I wydaje mi się, że ona też na niego leci. W każdym razie, ona jest naszą wokalistką, a John gra na gitarze. Ja z kolei staram się grać na gitarze basowej, która nadal jest dla mnie za duża. Ale zaczyna mi coś z tego grania wychodzić, w przeciwieństwie do Siân i jej prób wokalnych.

Jest fatalna. Głos jej drży, nie trafia w nuty. Ale dla Johna najwyraźniej nie ma to żadnego znaczenia. Ciągłe szczyrzy zęby w uśmiechu, a kiedy Siân nie patrzy, wlepia gały w jej biust.

Idiota! Czemu nie gapi się na mój biust?

No dobra, akurat na to pytanie znam odpowiedź: ja go nie mam. Jeszcze nie został dostarczony. Właściwie to nigdy nie zostanie dostarczony, bo to ja muszę się zgłosić do Oxted, kiedy nowa ja będzie gotowa.

Wtedy pojawi się następny problem, bo dzień po rewizji będę jakieś dziesięć centymetrów wyższa i będę miała godne pozazdroszczenia piersi. Wtedy spotkam się z Johnem, a on powie coś w stylu:

– O, cześć Tanya. Łał, a to kiedy urosło? Coś mi mówi, że właśnie miałaś

rewizję, co znaczy, że od samego początku byłaś robotem. Fajnie było cię poznać, trzymaj się. Siân, idziemy. Pa. – I obydwójce znikną za drzwiami.

Może nie przemyślałam wszystkiego, ale nierobienie niczego nie wchodziło w rachubę. No i ja bardzo chcę móc grać na tym basie.

Co tydzień w weekendy ćwiczymy w kościele. John przyjeżdża pociągiem, bo instrumenty są własnością diecezji, a nigdzie w okolicy domu Johna nie ma dobrego miejsca na ćwiczenia. Poza tym przecież dziewczyny nie powinny jeździć tak daleko.

Czemu mnie to tak boli?

Chcę być z Johnem. John chce być z Siân. Siân chce być z Johnem. Obydwójce przestają ze mną najpewniej tylko dlatego, że mój Tata prowadzi kościół, w którym mamy próby, to jego instrumenty i może jeszcze troszeczkę dlatego, że zaczynam coraz lepiej grać na basie.

Skąd się bierze cały ten ból? Słodki ból jego obecności, kiedy tylko John jest blisko mnie, ale jednak ból, bo radość przykrywa świadomość, że... on woli inną.

Tak, wiem. Jestem tylko kopia. Kopia prawdziwego człowieka. Nie jestem prawdziwa. Więc i ten ból nie może być prawdziwy. To tylko kopia prawdziwego bólu. Ale jednak kopia bardzo dobra, bo boli bardzo prawdziwie. I znowu trafiam na to słowo. Prawdziwość.

\*\*\*

Amanda wspomniała w rozmowie ze mną jedno nazwisko. John Entwistle. Sprawdziłam go w teranecie i dowiedziałam się o The Who. A od The Who doszłam do *My Generation*.

Co za gra na basie! Ćwiczyłam sama, dopóki ból palców nie uniemożliwiał dalszej gry. Wyszukiwałam kolejne klipy tego giganta muzyki, obserwowałam rozmazujące się od szybkości palce podczas oburęcznego tańca po gryfie gitary. Patrzyłam oniemiała i całkowicie

powalona. Powoli, bardzo powoli, zaczęłam zauważać, jak wczuwam się w rytm.

I wtedy przerwałam. Usłyszałam głos Amandy mówiący, żebym znalazła swój własny styl. Więc poszłam dalej, zaczęłam uczyć się od innych, jednocześnie pamiętając i dziękując temu dawno nieżyjącemu Johnowi za inspirację i dziedzictwo.

Może i wyglądam na wysoką, ale widać, że noszę wysokie obcasy. Rzeczywiście są spore. Może nie mają pełnych dziesięciu centymetrów, ale coś koło tego. Zaczęłam wprowadzać zasugerowane przez doktora Markova triki. Głównie skupiałam się na wszywaniu subtelnych poduszek. Mama mi w tym pomagała. I to nie tyle przy szyciu, co powstrzymując mnie, zanim przegięłam.

Dobrze wiedziałam, że to nie wystarczy. John nie da się nabrać parą butów na obcasie i kilkoma poduszkami, nawet biorąc pod uwagę to, ile uwagi poświęcał Siân.

Potrzebowałam czegoś więcej.

Tylko czego?

\*\*\*

Okazało się, że sam John znalazł odpowiedź.

Na końcu któregoś wieczoru oderwał nas od pakowania sprzętu.

– Siân, Tanya. Muszę wam coś powiedzieć. To ważne.

Wyprostowałyśmy się, zwróciłyśmy w jego kierunku i czekałyśmy. Wyglądał na przygnębionego.

– Już... nie będę mógł tutaj przyjeżdżać. Na te próby.

Zarówno Siân, jak i ja otworzyłyśmy usta z niedowierzaniem. John uniósł jednak rękę i powstrzymał nas od komentarzy. Chciał zostać wysłuchany do końca.

– To nasza ostatnia próba. Moi rodzice powiedzieli, że to musi się

skończyć. Jak dobrze wiecie, nie jesteśmy zbyt zamożni, a moje przyjazdy tutaj sporo kosztują. Nie dostaję wysokiego kieszonkowego, bo nas na to nie stać. Sklep nie przynosi zbyt dużych dochodów, zwłaszcza jak już odliczy się wszystkie wydatki stałe... Same rozumiecie. W zeszłym tygodniu nie miałem pieniędzy na bilet i pożyczyłem trochę z kasy, nic im o tym nie mówiąc. Na koniec dnia wyszedł brak. Całkiem spory. Myślę, że Tata wie, ale nic nie powiedział. Widzę, że baczniej mnie teraz obserwuje... Nie mogę już więcej... pożyczać... pieniędzy z kasy. Zauważy. Poza tym nie chcę już tego robić. Straciłem jego zaufanie i wszystko popsułem.

Łzy ciekły mu już strumieniami i zanim się zorientowałam, cała nasza trójka siedziała w rzędzie: John pośrodku, a Siân i ja po jego obu stronach, trzymając go mocno w objęciach. Siedzieliśmy tak razem jakoś niewyobrażalnie długo. To znaczy dokładnie do chwili, kiedy Tata przyszedł sprawdzić, czemu jeszcze nie zamknęliśmy salki i nie rozeszliśmy się do domów.

Psuja.

Wiesz, Zog... Nawet mimo tego, że mój John okazał się kiepskim złodziejaszkiem i że Siân też go wtedy przytulała, po prostu dobrze było go obejmować, kiedy płynęły mu łzy. Oczywiście część mnie samolubnie cieszyła się, że mogę bezwstydnie tulić obiekt moich najskrytszych uczuć. Ale inna, większa część po prostu cieszyła się, że kiedy potrzebował pocieszenia, byłam tam, by pomóc mu przegonić ból.

Czwartek, 14 marca 2052

I tak rozpadł się nasz zespół.

Ale wiedziałam, że z pewnością nie odpuścę Johna tak łatwo. Oczywiście to wymagało cierpliwości, z pewnością nie będzie chciał o tym rozmawiać. Będzie zawstydzony tym, co zrobił. Ani Siân, ani ja nie użyłyśmy słowa „złodziej”, ale wiem, że przewinęło mi się ono przez myśl i z pewnością jemu też.

Już następnego dnia podjęłam próby skontaktowania się z nim przez teranet.

Ukrywał się.

Jego status był ustawiony na „Nie ma mnie”. Świetnie, niech i tak będzie. Ale i tak będę ci wysyłała wiadomości.

– Cześć Johnny Czern. Puść strzałę, jak wrócisz. Wrona.

– Tanya do Ryżego Mopa. Tulki od przyjaciółki. I ożywczy deszczyk.

Wiem, że to nie Szekspir, ale tak właśnie porozumiewaliśmy się między sobą. To był kod, który obydwójce rozumieliśmy.

Po kilku dniach wysłał mi wiadomość. Nie napisał ani słowa, tylko wysłał rysunek staromodnego mopa do podłogi, postawionego na kiju, z zafarbowanymi na rudo paskami czyszczącymi. Dorysował do niego oczy: jasnoniebieskie, smutne. Był zawstydzony i cierpiał; przesłanie tej wiadomości było oczywiste.

Ale jednak na swój sposób zaczął znowu ze mną rozmawiać.

Więc i ja wysłałam mu rysunek. Wronę z wyciągniętym w bok skrzydłem, obejmującą mopa.

Rysunek był beznadziejny, ale przekaz jasny. Spełniał swoje zadanie.

Mimo to zaczęłam szperać w teranecie w poszukiwaniu programów graficznych, ustawiając filtr na wyszukiwanie takich, które mają bazę

gotowych rysunków do wykorzystania.

Do wyników złowiło się też kilka programów do renderowania 3D, bo nie jestem w wyszukiwaniu tak dobra jak John. Jeden z nich miał w opisie punkt dotyczący nakładania skinów na przekazy strumieniowe. Czemu to tu trafiło? Sam wiesz, Zog, jak to jest z wyszukiwarkami. A może nie wiesz. Może wy tam na Andromedzie macie porządne SI odpowiedzialne za wyszukiwanie kontekstowe danych, które potrafią wyeliminować trafienia zbędne. Ale jeśli macie coś takiego, to wasze życie musi być strasznie nudne. Uwielbiam dać się ponieść takim właśnie trafieniom z małym procentem zgodności.

I tym razem, zaintrygowana, weszłam dalej, dzięki czemu odkryłam sprytny programik, który potrafił nakładać fragmenty jednego zdjęcia na odpowiednie fragmenty drugiego zdjęcia. Potrafił zresztą więcej, o wiele więcej, ale najważniejsze, że mógł przedstawić mnie jako wronę, łącząc odpowiednie elementy zdjęcia ptaka z moim w dowolnych proporcjach: od stu procent mnie po sto procent wrony, z każdym stadium pośrednim.

Ze śmiechem zaczęłam eksperymentować. To było dziwne. Zachowywało moje charakterystyczne cechy, ale dodawało cech wrony. Później doszukałam się, że mogę zmieniać procent mieszanki w zależności od części ciała: dając sobie tylko głowę ptaka, albo wklejając swoją głowę do reszty ciała zwierzęcia. Bezcenne.

Wyszło tak fantastycznie, że prawie podzieliłam się tymi wynikami z Johnem.

Moja ręka wisiała w powietrzu, z palcem skierowanym w przycisk „wyślij”, ale gdzieś z tyłu głowy jakaś natrętna myśl nie dawała mi spokoju. Suzi Quatro...

Zapisałam sobie zdjęcie wrony na później i odkopałam z dysku zdjęcie Suzi. Tym razem połączenie wyszło perfekcyjnie. To zdecydowanie był krok w dobrym kierunku, ale ciągle czułam, że brakuje mi czegoś, czego mogłabym użyć.



I wtedy mnie natchnęło. W opisie była mowa o przekazach strumieniowych. Czyli o nagraniach, takich jak nagrania z kamerki. Wmieszałam Suzi Quatro w obraz i nagle z ekranu uśmiechała się do mnie Suzi-plus-ja, wyglądająca jak gwiazda rocka z basem, kruczoczarnymi włosami i z moim pokojem w tle.

Pójdźmy jeszcze krok dalej. Gdzie ja mam te zdjęcia z wizyty w Oxted?

Nadal były na moim AllInFonie i szybko znalazłam to, czego potrzebowałam.

Jak będzie wyglądać osiemdziesiąt procent mnie dzisiejszej z domieszką dwudziestu procent starszej?

O tak! Rewelacja...

A teraz wklejamy to na bieżące nagranie z kamerki...

Doktorzy z Oxted są bystrzy... Ale ja właśnie ich przebiłam. Jeśli uda mi się przekonać Johna do rozmowy z kamerką, to zobaczy, jak dojrzewam na jego oczach. I powinno mi się udać to rozłożyć w czasie, jaki został mi do zmiany.

Piątek, 5 kwietnia 2052

Patrząc na to z perspektywy czasu, wcale nie było tak trudno nakłonić Johna do rozmów. A kiedy już udało nam się odzyskać Johna, natychmiast wymyślił sposób na zorganizowanie prób przez sieć. Założył nam wirtualną salę prób. Właśnie w takich rzeczach jest dobry.

Tak oto znowu byliśmy zespołem.

Oznaczało to co prawda, że znowu była z nami Siân, ale ponieważ ciągle podnosiłam procent mojej starszej mnie w nadawanych nagraniach, zabawnie było obserwować, jak John zaczyna zauważać, że Siân śpiewa fatalnie.

Cóż, oczywiście teranet zna programy, które potrafią temu zaradzić. A jeśli istnieją, to John je znajdzie.

A pewnego ranka przyszedł mail z Oxted. Już czas...

Piątek, 12 kwietnia 2052

Boję się.

Wyjmą mi mózg. Wyjmą wszystko, kim jestem. Położą na jakimś stoliku, z którego będzie mógł spaść i rozbić się na tysiące maleńkich, nieskładalnych kawałeczków.

Czy coś bym poczuła? Nie sądzę, ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że nie czułabym czegoś takiego.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że nic takiego się nie zdarzy. Widziałam ich sale operacyjne, są fantastyczne. Pełna automatyzacja, systemy awaryjne. Z całą pewnością mój mózg ani na chwilę nie znajdzie się na żadnym stole. To tylko taka irracjonalna obawa. Chyba czułabym się lepiej, gdybym nie wiedziała o tym, że nadal korzystają z hal po Nissen...

Chciałam zobaczyć swoje nowe ciało, ale mi odmówili, twierdząc, że to nie jest dobry pomysł. Chyba domyślałam się, dlaczego. Zniszczyłoby to iluzję, że dorastam.

Doktor Markov zajął do mnie, by się przywitać, mimo że oficjalnie nie musi być przy transferze. Kiedy już miał sobie pójść, zapytałam go, jak mi poszła kalibracja, a on, jakimś takim nieobecnym tonem, odpowiedział:

– Jedna z najlepszych, jakie widziałem.

Brzmiało całkiem zachęcająco, nawet jeśli nie były to dokładnie słowa, których sama się spodziewałam. No cóż, zdaje się, że każda grupa ma swój żargon.

Chciałam zadzwonić do Johna przed wyjazdem do Banbury, ale nie mogłam się dodzwonić. Przecież dla wszystkich innych był to zupełnie normalny dzień. Nic niezwykłego się nie działo.

Mama i Tata mnie przywieźli, ale w Oxted nie wolno przebywać gościom, więc załatwili sobie nocleg w Stratford. Kolacja przy świecach,

przedstawienie w teatrze i noc w ładnym hotelu. Mam nadzieję, że uda im się odprężyć i nacieszyć się spektaklem. Choć raczej wątpię, aby tak było. Kiedy spytałam, na jaką sztukę idą, żadne z nich nie wiedziało.

Zegarek w moim pokoju tyka strasznie głośno.

Zostało jeszcze pół godziny.

Czas na zmianę.

Stoję przed lustrem, patrząc na małą dziewczynkę z kruczoczarnymi włosami. Wygląda na jakieś dziewięć–dziesięć lat, może odrobinę więcej. Wydaje się nieco zatroskana i niezdarna. Ma na sobie tylko bieliznę i wygląda na to, że trochę jej zimno, choć w pokoju działa klimatyzacja.

Uśmiecham się do niej, a ona odpowiada tym samym. To całkiem miły uśmiech, przemyka mi przez myśl. Dziwne, że za jakąś godzinę już go nie będzie. Marszczy się do mnie. Jakie to brzydkie i niewłaściwe myśli, zdaje się mówić.

Przyglądam się uważnie jej kończynom. Liczę dwa kolana i dwa łokcie. Dwa, a nie pięć. I wcale nie wystają aż tak bardzo. Czy rzeczywiście tak bardzo mi przeszkadzały?

One muszą zniknąć, mówi dziewczynka z lustra. Teraz już nie ma odwrotu.

Słyszę sygnał. Jeden z techników zaprasza mnie w ten sposób do sali transferowej. Ostatni raz spoglądam w lustro. Mała dziewczynka chyba ma łzę w oku. Żegnaj, mała. Nigdy cię już nie zobaczę. Ale cokolwiek zrobisz, kimkolwiek się staniesz, życzę ci szczęścia.

Odwracam się w stronę drzwi i nie spoglądam już za siebie.

## Wtrącenie 4

*Żegnaj, mała?”.*

*Nic podobnego, Tanyu. Wciążnosisz ją w sobie. Poczekaj, aż będziesz miała pięć tysięcy lat wspomnień, z których większość będzie się już zacierać, z wyjątkiem pojedynczych przypadków, kiedy będą pojawiać się znikąd po to, by wbić ci igiełkę bólu straty i śmierci.*

*Nasza długość życia znacznie przekracza naszą zdolność do radzenia sobie z przeżytymi doświadczeniami. Żeby uniknąć szaleństwa, depresji czy samobójstw, poddajemy się na własne życzenie kasowaniu pamięci co parę tysięcy lat. Na początku starałem się zachowywać kopię swoich wspomnień w archiwum. Większość tak robi przy pierwszej kasacji. Ale przy dziesiątej? Przy trzydziestej piątej? Nie. Znikają bezpowrotnie, bez żadnej szansy na przypomnienie. Żyję w małym okienku czasowym dwóch do pięciu tysięcy lat. Jak wszyscy z mego Ludu.*

## Sobota, 13 kwietnia 2052

Pamiętam, że doktor Thompson poinformowała mnie, że już są gotowi. Później zamknęłam na chwilę oczy i ocknęłam się, leżąc na plecach i wpatrując się w światła na suficie.

– Co się stało? – spytałam dość głupio i spróbowałam usiąść. Coś jednak było nie tak z moim głosem, bo pytanie, które zadałam, zabrzmiało jak wysoki pisk. Moja ręka nie trafiała dokładnie tam, gdzie chciałam... Ostatecznie zdecydowałam się poleżeć jeszcze chwilę.

– Spokojnie, panno Deeley.

Nie widziałam, kto do mnie mówi, ale to był głos doktor Thompson.

– Wszystko przebiegło pomyślnie. Musisz się tylko przyzwyczaić do nowego ciała. Na początek proszę zamrużyć.

Wykonałam prośbę i świat posłusznie zgasł na moment, po czym znów zajrzał mi w oczy światłami sufitu.

– Bardzo dobrze. Proszę teraz zacisnąć prawą dłoń.

Czemu nie.

– Bardzo dobrze. To teraz druga dłoń, proszę ją zacisnąć.

Przez następne dziesięć minut sprawdzałam kolejne partie mięśni.

– Pani doktor, chętnie bym już usiadła, jeśli mogę – wyskrzecztałam.

– Myślę, że teraz nie będzie z tym już problemu.

Pomogła mi się podnieść. Wszystko było inne: moja masa i wyważenie. Byłam jej wdzięczna za pomoc.

– Czujesz się inaczej, prawda? – zapytała.

– Tak.

Teraz było już nieco lepiej. Mniej skrzeku, głos był dużo bliższy mojej naturalnej barwy.

– Test, test. Raz, dwa. Raz-dwa. I rach, i ciach. Miecz migbłystalny

świstotnie. Dużo lepiej. Teraz brzmię bardziej znajomo.

– Tak. Powiedziałałabym, że pani głos prawie wrócił do normy. Stop!

Zamarłam w połowie ruchu, z napiętymi mięśniami nóg i już właściwie zeskakując z łóżka.

– Nie radziłabym jeszcze wstawać. To grozi upadkiem. Proszę poczekać chwilę, a ja poproszę techników o pomoc.

Kiedy tak stała przy drzwiach, wołając techników przez interkom, spjrzałam po sobie. Byłam ubrana w prostą, szpitalną koszulę, ale delikatnie zarysowywały się pod nią moje nowe piersi i szersze biodra. Poza tym stopy wydawały się znacznie dalej, niż je pamiętałam. Czułam się zupełnie jak Alicja z nogą w kominku. Brakowało tylko Białego Królika i jego ciasteczek. Uśmiechnęłam się do siebie, zadowolona z poczynionych obserwacji. Chciałam zobaczyć się w lustrze, ale na razie wszystko wyglądało świetnie. Naprawdę świetnie.

Technicy podnieśli mnie bez większych kłopotów. Przekuśtykałam po pokoju kilka kroków, trzymana przez techników po obu stronach, podczas gdy koordynator zbierał dane kalibrujące i nadrabiał cztery lata rozwoju. Niezdarność rosnącej nastolatki skompresowana w jeden wieczór.

W końcu nadszedł moment, kiedy doktor Thompson i jej ekipa techników zostawili mnie samą.

Podeszłam do lustra, żeby zobaczyć, kto stanie po drugiej stronie.

Nie była to mała dziewczynka. Tamta odeszła. Dokąd? Zdecydowałam, że to nieistotne. To, co czyniło ją wyjątkową, było nadal w tym pokoju. W mojej głowie. Również na głowie nie zmieniły się kruczoczarne włosy, ale poza tym większość była zupełnie nowa. Pomachałam ręką na powitanie i młoda dziewczyna natychmiast mi odmachnęła. Stwierdziłam, że ją lubię. Miała przyjazny uśmiech, chociaż nadal wydawała się trochę zdenerwowana. Wciąż obawiała się puścić krawędź łóżka. Miała nos Nettie i te ramiona, za które warto dać się pociąć, pozostawione w spadku po babci Liz. A może chodziło o obojczyki cioci-babci Jane?



W każdym razie cieszyłam się, że posłuchałam doktora Markova i nie zdecydowałam się na ciało jakiejś gwiazdy filmowej. Młoda dziewczyna w lustrze wyglądała bardzo ładnie, zdecydowanie jak dobry materiał na przyjaciółkę. No i zdecydowanie nadal była mną. Miałam nadzieję, że tyle wystarczy.

Tyle wystarczy? Co za głupia myśl? Co ja właściwie chciałam przez to powiedzieć? Że wystarczy na co? Żeby wygrać Johna? Czy ja walczyłam z Siân o Johna? Miałam nadzieję, że nie. Jeśli wszystko miało się sprowadzać do wyglądu, to Siân miała zapewnione zwycięstwo...

Och, Zog! Czemu ja to zrobiłam? Znaczy, nie zrozum mnie źle... Nie skarżę się i nie żałuję. Podoba mi się nowa, starsza ja. Ale co w mojej głowie kazało mi to wszystko robić?

\*\*\*

Mama zapukała delikatnie w drzwi.

– Otwarte!

Ciągle siedziałam na łóżku, nadal w koszuli nocnej, kiedy Mama zajrzała do środka. Czułam, jak jej spojrzenie badawczo obiegało mnie z góry na dół i znów w górę. Czekałam na jakieś potwierdzenie, że nadal mnie rozpoznaje. Uśmiechnęła się nieśmiało, a ja odpowiedziałam na ten uśmiech. Byłam dokładnie tak samo przejęta, jak ona.

– Cześć, Mamo...

– Dzień dobry, Tanyu...

Weszła do środka i jeszcze raz oceniła mój wzrost. Rany! Czułam się paskudnie. Prawie jakby się w tej chwili zastanawiała, czy nadal może mnie uważać za swoją córkę.

– To ja, Mamo. To naprawdę...

– Wiem, kochanie. Wiem. Widzę cię, ale teraz jesteś już taka dorosła. Czuję się jak Rip Van Winkle, który po przebudzeniu się zauważa, że

wszyscy wokół się zestarzelili.

– A gdzie Tata?

– Czekaj na zewnątrz. Chce wiedzieć, czy wszystko gra. To dla niego bardzo trudne, kochanie. Dużo bardziej niż po poprzedniej... zmianie. Postaraj się być łagodna, kochanie, bo on sam nie wie, jak powinien się czuć. Wie tylko, że mu przykro. Jeśli powie coś głupiego albo krzywdzącego, to uśmiechnij się i wybaczone mu to, bo tak naprawdę z pewnością nie ma nic złego na myśli.

– Dobrze, Mamo.

Ale ona stała dalej i nie wołała go. Nic też nie mówiła ani się nie ruszyła. Nie uśmiechnęła się ani nie podeszła. Po prostu nic nie zrobiła, poza staniem tam, przy drzwiach. Cisza się przeciągała, a ja czułam się jak robał pod lupą.

Nie mogłam tego dłużej wytrzymać. Skrzeknęłam „Mamo” i wybuchnęłam płaczem.

I dokładnie tego było trzeba. Już po chwili Mama była koło mnie, trzymając mnie w objęciach, kołysząc mnie i głaszcząc po włosach.

– Kochanie, moja dziecinko, jestem tu, jestem przy tobie, jestem, jestem...

Powtarzała to w kółko. Czułam, jak jej łzy spadają na moją skórę, jak łączą się z moimi łzami. Człowiek i robot płaczący razem.

\*\*\*

Nie wiem, co zrobić z Tata.

Jest bardzo oddalony. Był taki nawet jak już wszedł i zobaczył mnie i Mamę wtulone w siebie nawzajem; poprawka: zwłaszcza wtedy. Czy poczuł się wykluczony przeze mnie i Mamę? A może to normalne w relacjach ojców z córkami, kiedy te drugie dorastają?

Wydaje się, że boi się mnie dotknąć. Od tamtej pory ani razu mnie nie

przytulił. Mama świetnie radzi sobie z moją zmianą, ale Tata traktuje mnie jak obcą. A może właśnie jesteśmy w Dolinie Osobliwości, bo zmieniałam się za bardzo i zbyt nagle?

Poza tym jest świetnie. Chyba pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po przyjeździe do domu, było złapanie za bas. Nareszcie mogłam wszystkiego dosięgnąć i zagrać wszystkie linijki w całości. Samo to było warte zachodu.

Potem wybrałam się z Mamą na zakupy. Oczywiście w lokalnych sklepach nie ma zbyt wiele, ale nie miałam wyjścia – nic z moich ubrań już się dla mnie nie nadawało. Pojechałyśmy autobusem do miasta i wybrałyśmy kilka zestawów, które pasowały na moje nowe wymiary. Właściwie, to kilku z tych rzeczy jeszcze przez jakiś czas raczej nie odważę się założyć...

Panie Zog, szczegóły pozwolę sobie na razie zachować dla siebie. Są rzeczy, o których kosmita nie musi wiedzieć. I nie draż temat, bo będę musiała ci związać macki. I tak w końcu powiem, obiecuję, ale to ja o tym zdecyduję – kiedy będę gotowa i w nastroju.

I tak, oczywiście, mam też obawy. Pierwszą na liście jest jutrzejsza reakcja dziewczyn ze szkoły. Może nawet nikt nie zwróci uwagi, ale chyba nikt nie zmienił się tak bardzo w tak krótkim czasie. No i nadal jeszcze mam listę pytań, która robi się coraz dłuższa, a ja ostatnio nie znalazłam zbyt wielu odpowiedzi, a nawet te znalezione nie są zbyt satysfakcjonujące...

No, nieważne. Mam jeszcze pięć lat (a właściwie cztery i pół roku) do daty ważności umowy. Dziś jednak liczy się tylko to, że mam nowiutkie ciało i czuję się, jakbym była królem świata. A właściwie królową.

Poniedziałek, 15 kwietnia 2052

– Rety, Tanya, wyglądasz cudnie!

Nic takiego nie usłyszałam, kiedy Siân zobaczyła mnie na przystanku. Pierwsze, co od niej usłyszałam, brzmiało:

– Em... Czy to ty, Tanyu?

Trochę się wtedy napuszyłam. Dotychczas nie bardzo miałam powody do dumy i stroszenia piórek, więc nie powiem, żebym miała w tym dużą praktykę. Ciężko mi określić, jak to wyglądało z boku.

Nie wiesz, o co chodzi ze stroszeniem piórek, panie Zog? To takie wyrażenie określające postawę, jaką przybiera ktoś, kto jest dumny, pewny siebie i oczekuje dostrzeżenia swoich atutów. Często towarzyszy temu uśmiezek, który ma mówić: tak, wiem, ale miło, że zauważyłeś. Można to jeszcze określić pysznieniem się, ale chyba nie poszłam tak daleko. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Kiedy przerabiałam swoje nagrania z kamerki podczas rozmów w sieci, to przekształcałam tylko sygnał wysyłany do Johna. Siân i tak widziała mnie przecież codziennie w szkole, więc do niej musiałam wysyłać obraz niezmodyfikowany. Skomplikowane? Nie wiem. Nie znam się na programowaniu. W każdym razie program się nie zawiesił, więc jestem zadowolona.

Poza tym Siân i tak zna prawdę, więc po co przed nią udawać?

– Dziękuję, Siân. To była niespodzianka od Mamy i Taty. Taki spóźniony prezent urodzinowy.

Czemu to powiedziałam? Pojęcia nie mam. Powiedziałam, i tyle. Nie da się tego cofnąć.

Tak, panie Zog. Roboty czasami kłamią. Albo przypadkiem mówią nieprawdę. Drobne półprawdy i niedopowiedzenia. Oxted robi nas tak

ludzkich, jak tylko jest w stanie. Bez upiększeń. Zapomniałeś już, jak pisałam, po co? Pozwól, że przypomnę. Tworzenie iluzji. Nasze wady i niedoskonałości dodają realizmu. Wplątują nas w kłopoty w szkole. Ułomności i skazy. Kłamstwa.

Zanim zapytasz, panie Zog: nie, ciebie nie okłamałam. Przynajmniej nie świadomie. Słowo skauta.

Kim są skauci? O, długa historia, panie Zog. Może innym razem. Wróćmy do mojego pierwszego dnia w szkole w nowej skórze... Miał swoje dobre i złe strony, a ja czuję się bardzo zmęczona. Chciałam tylko zrobić wpis o reakcji Siân. I może dorzucę słówko o Jemyrze...

Widzisz, dziś wpakowałam się w kłopoty w szkole. Izolatka i wypracowanie „O cnocie umiejętności samokontroli”. Dziesięć stron. Pismem odręcznym. Bez pustych linii odstępu międzywierszowego.

Pewnie już się domyślasz, panie Zog, za co mogłam dostać taką karę, prawda? Wszystko przez drogą Jemyrę i jej niewyparzoną gębę.

– Patrzcie tylko, nasza mała Tania puszka tak szybko wyrosła. Jak było w Banbury, lalczko?

Byłam jeszcze w dobrym nastroju po komplementach Siân i Jemyra trafiła na fatalny moment na zaczepkę.

Walnęłam ją.

Raz, ale była tym kompletnie zaskoczona i moja pięść weszła głęboko w jej brzuch. Wypchnęłam jej powietrze z płuc... Długo siedziała z szeroko otwartymi oczami i jeszcze szerzej rozwartymi ustami, próbując nabrać powietrza. W tym momencie weszła nasza nauczycielka od wychowania fizycznego. Odesłała Jemyrę do pielęgniarki, a mnie do izolatki.

Nieco później odwiedziła mnie podczas odsiadki kary i zamieniła ze mną kilka słów na osobności.

– Szczerze mówiąc przykro mi, że tu jesteś, ale muszę karać izolatką każdą bójkę. To strata czasu mojego i twojego, ale takie są zasady, nawet w przypadku reakcji na ewidentną zaczepkę. Słyszałam, co mówiła i jeśli to

ci cokolwiek poprawi nastrój, zasłużyła sobie na to, co dostała. Może nawet nie będzie cię już więcej zaczepiać.

– Mnie też jest przykro, panno James. Nie powinnam była tak łatwo stracić kontroli nad sobą.

– Naprawdę tego żałujesz?

– Chyba nie, panno James – przyznałam.

– Tak właśnie myślałam. No cóż, nie będziemy do tego więcej wracać. Szkoda, że jesteś robotem, bo wzięłabym cię do reprezentacji w boksie.

– Nie wiedziałam, że mamy reprezentację w boksie, panno James.

– Bo już nie mamy. Za mało jest wokół ludzi, by jeszcze pozwalać im na objanie się nawzajem dla sportu.

– Hm.

– I tu jeszcze jedna sprawa. Dobrze, że uderzyłaś Myrę, a nie Jemimę, bo miałabyś dużo poważniejsze kłopoty.

– Hm?

– Myra to robot, ale Jemima jest człowiekiem. To by oznaczało sprawę na policji.

Drugie przewinienie. Dezaktywacja.

– Hm.

Tak, zdaję sobie sprawę, że to nie był szczyt elokwencji. Ale każde z tych trzech westchnień miało nieco inne znaczenie. Poza tym to ostatnie westchnięcie naprawdę było jedynym, co byłam w stanie z siebie wydobyć. Byłam dosłownie o włos od śmierci. Zebrałam się jednak i spytałam:

– Panno James. Dlaczego właściwie mi to pani mówi? To znaczy, ja nie mam pojęcia, kto jest tu człowiekiem. Wszyscy tutaj mamy udawać, że każda dziewczyna w szkole jest człowiekiem, chociaż jest absolutnie jasne, że jedna czy dwie z pewnością są robotami. Jak ja na przykład, daleko nie szukając.

– To jest w sumie bardzo dobre pytanie, Deeley. Chyba niektórzy z nas postrzegają roboty jako coś więcej niż tylko służbę albo zabawki dla tych,

którzy nie mogą mieć prawdziwych dzieci. Może i nie masz w sobie tych samych tkanek, ale jeśli o mnie chodzi, to jesteś pełnoprawną osobą. A w konsekwencji, uważam na przykład dezaktywację w wieku osiemnastu lat za morderstwo.

– Ciężko się z panią nie zgodzić, jeśli tak to pani przedstawia.

– Niestety, nie wiem jednak, co można z tym zrobić. Zgodnie z literą prawa wy, roboty, jesteście własnością Oxted, wynajmowaną na określony czas. Dezaktywacja robota jest w prawie zrównana ze złomowaniem samochodu. Albo uśpieniem niebezpiecznego psa.

– Z małym wyjątkiem. W przeciwieństwie do psów mamy prawo do popełnienia jednego błędu.

– O, już o tym wiesz?

– Tak, wiem. Ja już popełniłam swój pierwszy błąd. Nie dostanę już następnej szansy.

– A mimo to zaryzykowałam uderzenie człowieka?

– Nie myślałam o tym.

– To się będzie musiało zmienić, Deeley.

– Tak, panno James – pochyliłam głowę ze skruchą. Po krótkiej chwili spojrzałam na nią niepewnie. – Czy... Czy pani wie, które z dziewczyn są ludźmi? Wie pani, wołałabym uniknąć uderzenia niewłaściwej osoby.

Panna James uśmiechnęła się. Chyba nie wspominałam o tym wcześniej, ale panna James ma chyba około sześćdziesięciu lat, a mimo to wygląda bardzo sprawnie i utrzymuje sportową sylwetkę. Rozumiesz, wygląda jakby codziennie biegała, chodziła na siłownię i grała w tenisa... Kto wie, może tak właśnie jest. W każdym razie oblicze ma raczej surowe, ale kiedy się do mnie uśmiechnęła, jej opalona twarz wyraźnie pojaśniała.

– Masz rację, wiem, kto tu jest człowiekiem, a kto nie. Jestem odpowiedzialna za pierwszą pomoc, więc muszę wiedzieć. Ale chyba sama już je znasz. To Jemima i twoja przyjaciółka, Siân.

– I to wszystko? Tylko one dwie? Nie ma żadnych wątpliwości?



– Tylko one. Obie w tej samej grupie wiekowej, co jest raczej niespotykane. Jednak w momencie, kiedy liczba ludzi jest tak drastycznie niska, lepiej nie polegać na statystykach.

– Jak źle jest w takim razie z narodzinami? Chyba że ta informacja jest poufna...

– Powinna być poufna, ale prawda jest taka, że dwójka dzieci w szkole czyni naszą placówkę bardzo wyjątkową. Nieliczne placówki mają jedno dziecko. Do większości uczęszczają same roboty.

– Same? To jaki jest ich cel?

– To kolejne bardzo trafne pytanie, Deeley. Rząd mógłby je pewnie zamknąć. Do edukacji wszystkich ludzkich dzieci wystarczyłaby jedna, góra dwie wyspecjalizowane placówki. Ale to uwypukliłoby problem demograficzny. Skoro daje się rodzicom roboty udające dzieci, to muszą one chodzić do szkoły, bo inaczej iluzja się rozpadnie. A wtedy wrócimy do zamieszek i Niepokojów.

– Czyli wszystko wokół to jedna wielka szopka?

– Z twojego punktu widzenia pewnie można tak na to patrzeć. Z punktu widzenia ludzi szkoły stoją murem między nami, a zupełnym rozpadem społeczeństwa.

– A co z uniwersytetami?

– Większość z nich zajmuje się poszukiwaniem rozwiązania problemu bezpłodności w ten lub inny sposób. Szukają lekarstwa albo udoskonalają sposoby zachowania społeczeństwa od rozpadu. No i w końcu zajmują się też edukacją. Prawdziwą edukacją ostatnich pokoleń ludzi. Nie ma już żadnych opcji dla opornych. Wszyscy muszą ciągnąć ten wózek.

– Wszyscy, ale jednak nie roboty?

– Nie.

– To niesprawiedliwe. Chciałam studiować psychologię na uniwersytecie w Cambridge, wie pani?

– Przykro mi, Deeley. Tak już jest.

– Ale dlaczego? Dlaczego niby nie możemy zmienić tego, jak jest?

Panna James nic już nie odpowiedziała. Stwierdziła krótko, że muszę tu zostać do końca kary i wyszła.

Czy naprawdę było już tak mało ludzkich dzieci?

Czwartek, 1 maja 2052

John dzwonił. Będziemy mieli pierwszy koncert!

Ju-hu!

Później jednak dodał złą informację: będzie to dyskoteka w jego szkole i będziemy musieli grać covery. Może uda nam się wrzucić kilka własnych kawałków.

John zwołał konferencję.

– Musimy powtórzyć materiał.

– Moim zdaniem powinniśmy zagrać ten kawałek z tekstem „powiedz mi, powiedz mi”, a później solówka gitarowa. Jaki to miało tytuł?

– „Powiedz mi”.

– Nie lubię go.

– Czego tu nie lubić?

– Tytuł jest do bani, tak na początek.

– Kogo obchodzi tytuł, ma świetny rytm.

– Musimy mieć listę coverów.

– Naprawdę musimy?

– Naprawdę musimy.

– Ale nasze własne piosenki też będziemy mogli zagrać?

– Pewnie.

– Czyli *Powiedz mi* będzie na liście?

– Nie podoba mi się.

– To kiepski moment na to, by przestać lubić ten utwór. Co innego możemy zagrać?

– Do tego kawałka potrzebujemy perkusisty.

– No to znajdziemy perkusistę.

- A czemu nie możemy wykorzystać automatu?
- Bo to występ na żywo. Nie możemy użyć automatu.
- Musimy wszystko przećwiczyć.
- Musimy wszystko przećwiczyć.
- Musimy wszystko przećwiczyć.

\*\*\*

Mamy tydzień.

\*\*\*

Och, Zog!

Co za tydzień!

– To Kieran. Nasz nowy perkusista.

Kieran miał około jedenastu lat i dopiero co zaczął naukę w szkole Johna. John pojawił się z nim bez zapowiedzi na naszej próbie. Rozstawiliśmy mu perkusję, oczyściliśmy ją z pajęczyn, a ja rzucałam Johnowi piorunujące spojrzenia, kiedy tylko mogłam, za to, że ściągnął nam na kark tego dzieciaka. John był jednak kompletnie nieświadomy tego, że staram się zabić go potęgą spojrzenia zmrużonych oczu ze zmarszczonym czołem – pomagał Siân wynieść z zaplecza bęben basowy. Myślę, że John poradziłby sobie z tym sam, podobnie jak i Siân.

Widząc, że marnuję swoje moce na piorunowanie Johna spojrzeniem, postanowiłam porozmawiać z Kieranem. Chłopak miał jasne włosy i był chudy. Całkiem wysoki jak na swój wiek, muszę przyznać, a na dodatek zupełnie tak samo chwiejny i patykowaty jak ja jeszcze miesiąc wcześniej.

– Cześć, jestem Tanya – wyciągnęłam rękę na powitanie.

– Cze-cze-cześć – odparł. – Ja jest-t-tem K-K-K-Kieran.

Wyciągnął swoją rękę, a kiedy zorientował się, że nadal trzyma w niej

pałeczki, przełożył je do drugiej ręki (upuszczając jedną z nich) i ostatecznie podał mi do uściśnięcia zdechłą rybę.

– John m-m-mówi, że jest-t-teś całkiem niezzzłą bassistką – wydukał, kiedy pospiesznie puściłam jego rękę.

– Uczę się – odparłam skromnie. – A ty jak sobie radzisz?

– Ja t-t-też – energicznie pokiwał głową i schylił się po upuszczoną wcześniej pałeczkę. – T-T-Też się uczę.

Spróbowałam jeszcze raz.

– Jakie zespoły lubisz, Kieran? Jakich perkusistów...

Trafiłam. Jego oczy wyraźnie się rozpałyły i natychmiast przestał się jąkać.

– The Police. Steward Copeland. Gość jest genialny, opanowany. Perfekcjonista. Słuchałem kilku małych zespołów niezależnych. No i Charliego Wattsa. *Honky Tonk Women* było pierwszym kawałkiem, jaki usłyszałem i natychmiast zapragnąłem grać na perkusji. Przez długie tygodnie pracowałem nad rytmem, aż w końcu coś zaskoczyło. Znasz to?

– Obawiam się, że nie.

– Zagram ci to kiedyś. Ale uczyłem się tego na pudłach kartonowych i puszkach, a nie na konkretnym zestawie perkusyjnym. Pokazałem tacie, czego się nauczyłem, a on powiedział, że może mnie zapisać na naukę gry na perkusji. Nie stać nas na własną perkusję, więc to będzie pierwsza, na jakiej gram, z wyjątkiem zestawu mojego nauczyciela. Wielkie dzięki za dopuszczenie mnie do niej.

Szczerze, Zog. Był jak mały piesek. Taki gorliwy. Grzeczny.

Wytaszczyliśmy resztę zestawu i zaczęliśmy go ustawiać. Kieran zdawał się wiedzieć, gdzie co chce mieć, więc pozwoliliśmy mu nami kierować.

– Nie tak. Najpierw pierwszy kocioł, potem talerz, a dopiero tutaj drugi kocioł...

Po chwili mieliśmy działający zestaw perkusyjny i reszta z nas mogła zająć się swoimi przygotowaniami. Przeciągnęłam mój wzmacniacz przez

dywan, ciesząc się, że przynajmniej miał kółeczka. Przyklękłam, wyrównałam dywan tam, gdzie się zrolował i ponaciągał. Minutę później miałam już podłączone wszystkie kable, a kiedy je sprawdzałam, słyszałam, że John już skończył się dostrajać. Po chwili byłam w pełni gotowa, więc wstałam, spoglądając w jego stronę. Przyłapałam go, jak wpatrywał się w moje piersi.

Sukces!

Dobra robota, pani Thompson. Wspaniała z pani projektantka! Nie wiem, jaką ma pani pensję, ale powinni ją podwoić!

John szybko skierował wzrok gdzie indziej, a ja postanowiłam udawać, że niczego nie zauważyłam. Chcesz wiedzieć, dlaczego, panie Zog? Oj, ty biedny kosmito! Właśnie odkryłam przyjemność bycia podziwianą, panie Zog i nie miałam najmniejszego zamiaru odwozić biednego chłopaka od dalszych obserwacji.

Po tym krótkim przerywniku trzeba było wreszcie zacząć grać. Jak tylko John przestał się czerwienić, zwrócił na siebie naszą uwagę i odczytał listę utworów. To było w miarę bezpieczne zestawienie, przynajmniej jak na mój gust. Nasza trójka nie miała jeszcze zbyt wielu własnych piosenek, a biorąc pod uwagę nasze preferencje i wygląd Siân, *Hanging on the Telephone* zespołu Blondie było naturalnym wyborem na otwarcie.

Musieliśmy się tylko nauczyć to grać.

Kieran (błogosławiony bądź, Panie, za jego bawełniane skarpetki) był nieco stremowany, ale okazało się, że jest całkiem niezłym perkusistą. Daleko mu było do Stewarda Copelanda, ale ja też nie byłam Johnem Entwistle'em w spódnicy.

Dzięki ściągniętym przez Johna nagraniom i odrobinie talentu udało nam się zagrać mniej więcej w tym samym rytmie co oryginał, podczas gdy Siân zacinała się na nowych słówkach. Skończyło się na nieuchronnej i całkowitej klapie. Na samym końcu rozjechaliśmy się całkowicie.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem, nie wiedząc, czy sobie pogratulować

osiągnięcia w niektórych miejscach poziomu niemal średniego, czy też przyznać się do całkowitej klęski. Byłam akurat w nastroju, żeby wygarnąć szczerze swoje myśli, więc zaczęłam:

– Moim zdaniem to było kompletnie...

– ...kompletnie do powtórki. Kieran, chcę, żebyś zakończył utwór, nadbudowując na talerzu przez ostatnie pięć akordów rallentando, następnie policzył do czterech i zrobił finalny łomot – John przerwał, ale tylko na chwilę. – Siân, dam ci podpowiedź tonacji na samym początku. Zwróć na nią uwagę. Tanya, twój bas był zbyt nieczysty. Twój bas i moja gitara muszą iść razem. Nuta w nutę. Nie twoje dwie na moją jedną, a już na pewno nie cztery.

Szef się znalazł. Gorsze jednak było to, że miał rację.

No to jazda... Podpowiedź dla Siân...

– *I'm in the phone booth, it's the one across the hall...*

...i wejście.

Lepiej.

I jeszcze raz od nowa. Każdą piosenkę, aż do osiągnięcia ideału... Tak by było w świecie idei. A u nas? Dwie powtórki, potem następna piosenka. Miejmy nadzieję, że to wystarczy na przygotowanie do występu.

Udało nam się przećwiczyć pięć utworów – coverów – i zajęło nam to półtorej godziny. Mieliśmy jeszcze tylko pół godziny do końca, bo Kieran i John musieli zdążyć na pociąg do domu.

– John, musimy przećwiczyć coś z naszego repertuaru. *Zwoje*, albo nawet *Powiedz mi*.

– Dobra, Tanya. Zrobimy *Powiedz mi*. Kieran powinien sobie poradzić z rytmem, a my powinniśmy być w stanie pod niego zagrać. Kieran, daj podstawową czwórkę, z wysokimi szesnastkami. Na intro czwórka na pałkach, później solówka gitarowa na czwórkach, potem wchodzi reszta. Tu masz rozpiskę perkusji. Łapiesz?

Patrzyłam na Kierana, który układał sobie w głowie muzykę do jeszcze



jednego nieznanego sobie utworu. Z coverami nieznanymi nam wszystkim poradził sobie nieźle, ale co robi z naszym utworem, w którym my wiemy, co robić, a tylko on jest nowy?

– Nie pędź, Kieran – wyszeptałam. – Pamiętaj, że masz grać szesnastki. Rytm jest ważniejszy niż szybkość.

Słyszysz to? Ja, basistka-weteran sceny. Wschodząca gwiazda i ogólnie wszechwiedząca. Ech...

Jakoś udało nam się zagrać cały kawałek. I wszystko, co poszło nie tak, było głównie moją winą. Chyba chciałam się popisać i zagrałam coś, nad czym pracowałam czasami sama. Coś szybszego i płynniejszego. Tym razem nie popłynęło. Cóż, może i by się udało, gdybyśmy grali do automatu, albo gdybym to jakoś wyciągnęła. Ale Kieran myślał, że coś pomieszał i próbował nadgonić. Ja nie wiedziałam, co on robi, źle odgadłam jego zamiary i rozeszliśmy się o pełne dwa bity, co wytrąciło z rytmu Johna i Siân. Twarz Johna zmieniła się we wściekłą maskę, którą kierował to na mnie, to na Kierana.

W końcu się wydarł. Na mnie.

– Tanyu, co ty właściwie wyrabiasz? – zaczął. Zamiast słowa „właściwie” było tam coś mniej cenzuralnego, ale daruję ci wyszukiwania słownictwa tego typu, Zog. Nigdy się nie kłóciliśmy i przez wszystkie lata naszej znajomości nigdy na mnie nie przeklął. To zabolalo.

– Nie możesz tak sobie zmieniać swojej części bez ostrzeżenia. To... nieprofesjonalne. Co z tobą? Hormony ci we łbie namieszały?

A!

– Słuchaj no, Johnie Krzykaczu Czernie. Nie waż się mówić mi, kiedy i jak mogę być kreatywna, a kiedy nie. I nie wyciągaj pochopnych wniosków tylko dlatego, że wreszcie zauważyłeś, że dorastam.

– Dorastasz? W dorastaniu chodzi o coś więcej niż trochę krągłości...

– Trochę krągłości? Ledwie godzinę temu ta odrobina krągłości przykuła całą twoją uwagę...

W tym momencie wkroczyła Siân:

– Zamknijcie się. Obydwoje. Zachowujecie się jak dwójka zadufanych w sobie gnojków.

Psuja! Właśnie się rozkręcałam. Ale udało jej się stłumić sprzeczkę, zanim powiedziałam coś, czego później bym żałowała.

John i ja staliśmy więc naprzeciwko siebie i patrzyliśmy na siebie wilkiem. Buzowały w nas emocje, a Siân wylewała z siebie potok uspokajających słów, zapewniając Johna i mnie, że to tylko kolejna piosenka i nieważne, kto popełnił w niej ile błędów, sprawa nie była warta rozbijania przyjaźni...

Cóż, może i Siân nie jest najbystrzejsza, ale ma talent do łagodzenia sytuacji. Po chwili John i ja wyciągnęliśmy do siebie ręce i z ponurym uśmiechem uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Przepraszam, Tanyu. Moja reakcja była przesadzona. I faktycznie, trochę za bardzo podniosłem głos.

– Przepraszam, John. Ja też przesadziłam. To był zły moment na eksperymentowanie.

Co prawda to Siân powiedziała nam, co mamy powiedzieć, ale powtórzyliśmy te słowa prawie szczerze.

Kiedy Siân się odwróciła, pokazałam Johnowi język, ale tym razem dodałam do tego jeszcze mrugnięcie. John też wystawił do mnie język, mrużąc oko.

Drugie podejście było dużo lepsze. A później jeszcze zdążyliśmy zagrać kilka razy *Zwoje*.

\*\*\*

Nadszedł czas. Instrumenty były spakowane na zapleczu, nasze następne spotkanie miało być już na występie.

Tata był na zewnątrz, w samochodzie, gotów odwieźć chłopaków na

stację.

Na chwilę zostałam sama z Kieranem.

– Naprawdę dobrze ci poszło, Kieran. Kilka razy naprawdę nieźle naparzałeś w gary. Moglibyśmy stworzyć nieźłą sekcję rytmiczną.

– Dzięki, T-T-Tanya. D-Do zoba-ba-ba-czenia na występie.

– Do zobaczenia, Kieran.

Później udało mi się też złapać samego Johna.

– Hej, Krzykaczu. Trzymaj nas na kursie.

– Hej, Krągła, sama też jesteś całkiem wygadana. Nieźle sobie radzisz z basem.

Krągła. To chyba nie miało być obraźliwe.

– Johnie Czern. Czy pamiętasz jeszcze małą, chudą dziewczynę z wystającymi kolanami i łokciami, która dała ci całusa przy dźwiękach Slade?

– Do czego zmierzasz, panno Krągła?

– Do tego...

– ...a teraz leć, bo ci pociąg odjedzie.

\*\*\*

Nie poszło tak źle, panie Zog. Pierwszy raz się posprzecaliśmy i mieliśmy za sobą drugi pocałunek. A on niczego nie podejrzewał.

Ale martwię się trochę o ten koncert.

## Sobota, 4 maja 2052

Sobotnia noc.

Jedziemy przez Londyn samochodem pana Fullera; przestronnym wozem mieszczącym mój bas, wzmacniacz, zestaw perkusyjny Kierana, Siân, mnie i Tatę.

Tak, Tatę.

Udało mi się go przekonać, żeby pojechał z nami. Właściwie to chyba i tak chciał pojechać, ale potrzebował, żeby ktoś go zaprosił.

– Będziesz potrzebowała kogoś, kto pomoże ci nosić cały ten sprzęt, co, Tanyu?

– To byłoby bardzo miłe, Tato. – Nieważne, że na każdą próbę ciągałam wszystko sama ani że pan Fuller będzie tam z Siân.

– Mama nie pojedzie. Ona kiepsko się czuje w takich miejscach, poza tym jest ostatnio przemęczona.

– Jasne, ale ty jej wszystko opowiesz.

Jechaliśmy więc razem przez labirynt krętych ulic Londynu. Tata siedział z przodu, próbując znaleźć jakiś wspólny temat z panem Fullerem, obrzydliwie bogatym ojcem Siân. Jakoś dawał sobie radę. Pan Fuller nie był parafianinem mojego Taty. Może mając prawdziwą córkę, nie miał takiej potrzeby, chociaż Tata utrzymywał, że każdy powinien należeć do Kościoła, niezależnie od tego, jak szczęśliwie by mu się w życiu ułożyło. W każdym razie Tata znał prawie wszystkich w naszej mieścinie, a i pan Fuller znał sporo z nich, więc kiedy ojciec Siân plotkował i wyskoczyło jakieś nazwisko, Tata bez problemu ciągnął konwersację po swojej stronie.

Londyn to niesamowita mieszanka, zwłaszcza po Niepokojach. Głównie z powodu Wojen Sabińskich. Po południowej stronie rzeki znajdowało się prawdziwe pole bitwy. Pełno tam miejsc, w których nie chciałbyś się

znaleźć. To w większości strefa czerwona. Tu i tam kilka przebłysków żółtej. Ale są i plamy czarnej. Północna strona też miała swoje niechlubne obszary, a John mieszkał w strefie żółtej, dość blisko jednego z nich. Wiele budynków było na skraju ruiny albo było zwykłymi barakami zamieszkanymi przez margines społeczny. W strugach deszczu krajobraz mógł stanowić plan filmowy do *Łowcy androidów*. To zakazany film, ale dzięki pomocy Johna w ukrywaniu mojej tożsamości udało mi się go bezpiecznie ściągnąć i obejrzeć.

Szkoła pojawiła się w zasięgu wzroku, jasno oświetlona i odcinająca się na tle mrocznego otoczenia. Miała wysoki mur z cegieł zwieńczony drutem kolczastym i całość wyglądała bardzo podobnie do więzienia. John, czy to naprawdę jest twoja szkoła? Zauważyłam spojrzenie, jakim pan Fuller obdarzył Siân, zupełnie jakby pytał, czy na pewno chce się w coś takiego pakować. Siedząca obok mnie milcząca Siân patrzyła mu prosto w oczy, wyrażając mniej więcej: już to przerabialiśmy.

Przy bramie wjazdowej stali strażnicy, którzy jeszcze spotęgowali wcześniejsze wrażenie. Pan Fuller zapytał, czy te wszystkie środki ostrożności są rzeczywiście potrzebne.

– W okolicznych strefach odnotowano działalność gangów, proszę pana. Tutejsi mieszkańcy są dość spokojni, ale choć nikt tu nie jest zbyt zamożny, to szkoła jest celem dla złodziei. Musimy mieć na tyle wystarczającą ochronę, aby szukali łupów gdzie indziej.

Czyli w okolicy byli złodzieje. Tylko złodzieje, a nie grupy odpowiedzialne za rozboje i napady. Innymi słowy, strefa żółta, a nie czerwona. Nieco uspokojeni zaczęliśmy rozładowywać sprzęt.

John spotkał się z nami przy drzwiach sceny. Kieran był tuż obok.

– Mamy mały problem. Uzgodniłem wszystko z organizatorami, ale najwyraźniej zapomnieli przekazać ustalenia prowadzącym dyskotekę. DJ twierdzi, że mają już zaprogramowaną muzykę i nie mogą nic zmienić. Udało mi się znaleźć jednego z organizatorów i trochę się

posprzeczaaliśmy... DJ trochę ustąpił. Możemy grać najwyżej przez dwadzieścia minut, a jedyne okienko czasowe, jakie mamy dostępne, zaczyna się za pół godziny. Obawiam się, że nie będziemy mieli czasu na sprawdzenie sprzętu.

Do dzieła. Pospieszny rozładunek, ustawianie perkusji, wzmacniacze. Bez Taty i pana Fullera nigdy by nam się nie udało, a tak skończyliśmy w dwadzieścia pięć minut. To było za mało, żeby się nawet przebrać, więc musieliśmy wyjść w normalnych ubraniach. Mieliśmy tylko kilka chwil na dostrojenie instrumentów.

Kiedy zobaczyłam listę utworów, prawie eksplodowałam. Nie było na niej *Zwojów* ani nawet *Powiedz mi*. Same covery. John najwyraźniej spodziewał się mojego gniewu i postarał się go uprzędzić.

– Organizatorzy się rozmyślili. Wszystko, co zagramy, musi być znane publiczności. Musimy się podporządkować albo nie dostaniemy zapłaty i odłączą nam zasilanie.

Nikogo to nie ucieszyło, ale tyle czasu włożyliśmy w przygotowania, że nie zamierzaliśmy się teraz wycofywać.

Mieliśmy jeszcze dwie minuty...

Dwie minuty minęły, a kurtyna nawet nie drgnęła. Dyskoteka trwała dalej do końca utworu. A potem zaczął się następny. John wyglądał jak chmura gradowa.

– Oni wcale nie zamierzają przerwać, prawda?

– Może przerwą po tej piosence. Może im się zegarek spóźnia – powiedziałam, sama nie wierząc w swoje słowa.

Czekaliśmy. Utwór się skończył. Zaczął się następny. Grali *Hanging on the Telephone*. Nasz numer otwierający, i doskonale o tym wiedzieli. Nikt mi nie wmówi, że nie mogli zmienić zaprogramowanej listy.

Rozległ się przeciągły pisk i muzyka się urwała. Usłyszałam kroki po drugiej stronie kurtyny i znajomy głos zapowiadający zmianę planu.

– Panie i Panowie. Oto moment, na który wszyscy czekaliście. Perły

talentu waszego pokolenia, dziś tylko dla was. Proszę o oklaski dla tej niesamowitej czwórki. Przed wami FDC!

Rozległy się pojedyncze oklaski i kilka ironicznych okrzyków. FDC? A, pewnie: Fuller, Deeley i Czern. No i jeszcze Kieran też zasługiwał na wspomnienie, ale nawet nie znałam jego nazwiska. Chyba nikt o tym nie pomyślał.

Jednak kurtyna nadal była zaciągnięta. Kiedy zaczęła się powoli rozsuwać, zobaczyłam, że zapowiadał nas sam pan Fuller i również on odsłania kurtynę. Zacięła się, bo nie była zaprojektowana do ręcznego rozsuwania. Kątem oka zobaczyłam mojego Tatę maszerującego w kierunku stojącego z założonymi rękami chłopaka z obsługi dyskoteki. Stojącego przy przełączniku od mechanizmu zasłon.

Mój Tata jest pastorem, przypomniałam sobie. Nie będzie się wdawał w przepychanki, prawda? Straciłby pracę, musiałby odejść zniesławiony.

Ale chłopak z obsługi szybko stracił pewność siebie. Tata spojrzał na mnie i przez moment zobaczyłam wyraz jego twarzy. Oj tak, też bym szybko zmiękła, gdybym zobaczyła, że osobnik o takim wyrazie twarzy zmierza w moją stronę.

Dzięki, Tato. Dziękuję, panie Fuller.

Siân wyszła na skraj sceny, jak tylko kurtyna się nieco rozsunęła. Nawet w swoim codziennym stroju wyglądała wspaniale. Ale to cała Siân.

– Cześć wszystkim. Jesteśmy FDCR i jeśli będzie czas, przedstawię skład zespołu, ale teraz czas zagrać prawdziwego rock and rolla.

Rozległo się kilka pojedynczych owacji.

Siân rozejrzała się w poszukiwaniu źródeł oklasków. Wskazała na jednego z chłopaków.

– Wielkie dzięki, przyjacielu, za oklaski. Pierwszy utwór będzie dla ciebie. Czy ktoś jeszcze chce być moim przyjacielem?

To wywołało dużo większe owacje.

– No to zaczynamy. Ten utwór dedykuję wszystkim samotnikom na



parkiecie. Na wypadek gdybyście nie słyszeli przypadkowo odtworzonego fragmentu, utwór ten nosi tytuł *Hanging on the Telephone*. Dobra, ekipa, jedziemy!

No i pojechaliśmy.

Mniej więcej.

W bajkach i filmach z Hollywood po takiej gadce zespół wdziera się huraganem przez uszy do serc całej widowni, zmieniając wielbicieli muzyki dyskotekowej w zagorzałych fanów rocka, a zły DJ umyka tylnymi drzwiami, nie mogąc znieść porażki.

Wracając do prawdziwego świata: Siân zaczęła w złej tonacji, bo albo John nie dał jej podpowiedzi, albo ona jej nie usłyszała. Poprawiła to w drugim wersie, ale jej pewność siebie nieco stopniała.

Udało nam się jednak jakoś razem dociągnąć do końca i przynajmniej Kieran nie zapomniał zakończyć utworu jak należy. Nagrodzono nas krótką falą oklasków, którą ciężko nazwać zachętą. Nic dziwnego: nie byliśmy tak dobrzy jak nagranie, które puszczono tuż przed nami.

Siân wciągnęła głęboko powietrze.

– Dziękuję wam wszystkim, przyjaciele. Następny utwór dedykuję naszemu perkusiście, który uwielbia ten legendarny zespół. Ten utwór to *Message in a Bottle*.

Tym razem poszło nam dużo lepiej i aplauz zdecydowanie to potwierdzał. Może Kieran miał licznych kumpli wśród widowni, ale jakoś w to wątpię. Kieran i ja zaczęliśmy się lepiej zgrywać i było to zauważalne. A skoro my ciągnęliśmy utwór, John mógł się nieco rozluźnić.

Dwa utwory minęły i widownia nie okazywała znudzenia, ale wtedy zauważyłam, że jeden z organizatorów zasygnalizował w kierunku Siân, że mamy jeszcze jeden utwór.

Skończyliśmy *Total Eclipse of the Heart*, a w trakcie oklasków Siân poprosiła o G. Podchwyciła nutę, bardzo czysto, utrzymała ją i zaczęła śpiewać...

– *Zawinęłaś mnie w swe zwoje...*

Zaraz, chwila, co ona robi? Przecież to *Zwoje*, a nie *Satisfaction*. Muszę zacząć grać... teraz!

Pospiesznie zebrałam się w sobie i odegrałam swoje glissando nurkujące z D do G, ledwo zdążając. Kieran spojrział na mnie przerażony, ale jakoś złapał rytm i kiedy na cztery złapałam G, John też był gotowy. Nawet po tych kilku taktach widziałam zmieszanie publiczności. John przewrócił oczami, pewnie jego wyobraźnia podsunęła mu obraz ulatujących pieniędzy... Ale grał dalej i wszyscy razem popłynęliśmy. Ciężko opisać muzykę słowami, to trzeba zagrać, ale utwór *Zwoje* miał w sobie to coś dziwnie elektryzującego... Ech, nieważne. To nie był klasyczny utwór rockandrollowy i publiczność szybko zdała sobie sprawę, że tu nie pasował. Ale widziałam też kilka postaci kiwających się do rytmu i próbujących wczuć się w ten klimat.

Widziałam też organizatorów, którzy starali się połapać, co się właściwie dzieje i co z tym zrobić. Nie trzymaliśmy się planu imprezy, ale z drugiej strony organizatorzy też się go nie trzymali w naszym przypadku. Wybuchła jakaś dyskusja między organizatorami a DJ-em, chyba nawet przewinął mi się tam pan Fuller.

Po drugim wersie czułam, że to najcudowniejszy moment w moim życiu. Na scenie, ze wspaniałym zespołem, graliśmy utwór naszego autorstwa. Gdyby Amanda tu była, myślę, że mogłaby się uśmiechnąć...

Zaczęłam mostek i nagle wszystko zgasło. Światła, dźwięk, wszystko z wyjątkiem perkusji Kierana umilkło z zanikającym trzaskiem elektrostatycznym.

Wyciągnęli wtyczkę.

Przez chwilę wydawało mi się, że słyszałam okrzyki niezadowolenia i rozproszone oklaski, ale już po chwili DJ wszedł na pełny regulator z *Satisfaction*. Czyli końcowe wrażenie też chcieli nam popsuć...

\*\*\*

Wyobrażasz sobie, co się działo dalej, prawda Zog? Nie mam chyba serca, żeby to jeszcze raz przeżywać. Wściekli organizatorzy wyrzucili nas z hukiem. Jak śmiemy grać własny materiał? Załadowaliśmy sprzęt do samochodu pana Fullera.

Później przy bramie jeszcze się zatrzymaliśmy, żeby pożegnać się z Johnem i Kieranem. To był zimny prysznic, który w iście hollywoodzkim stylu miał ostudzić nasz zapał. Ale jestem dumna z Johna. To jego reputacja najbardziej ucierpiała, z całą pewnością nie uda nam się więcej zagrać w tej szkole. Miał pełne prawo być wściekły na nas, zwłaszcza na Siân za złamanie umowy. A tymczasem John prawie podskakiwał z radości.

– To było wspaniałe, Siân. Rewelacyjna robota, Tanyu. Doskonale, Kieran. Udało nam się. Całe dwa wersy, udało się. Jeśli jutro zginę śmiercią tragiczną, mogę powiedzieć, że byłem na szczycie. I byłem tam z wami, z najlepszym zespołem na świecie.

Kiwaliśmy głowami. Wiedzieliśmy, o co chodzi. Byliśmy tam razem. Obiecałam sobie, że nie zapomnę tych trzydziestu dwóch taktów do końca życia. Jeśli nigdy nie miałeś takiego wspomnienia do zachowania, panie Zog, to bardzo mi ciebie żal.

## Wtrącenie 5

*Tobie żal mnie, Tanyu?*

*Jak może być ci żal mnie, skoro nie wiesz, co robiłem? Ani czym byłem?*

*Wiem, że byłem artystą i reżyserem wykonawczym w jednym ze swoich cyklów pamięci. Sztuka dla mojego Ludu to przestrzenna i tymczasowa organizacja bodźców zmysłowych. My możemy ich mieć więcej lub mniej od ciebie, w zależności od ciągu emocji wymaganych do przekazania opowieści lub przekazania informacji.*

*Stworzyłem olbrzymie symfonie kolorów fal radiowych i batymetrii, proste monologi (można tak to nazwać) podobieństw. Epickie opowieści zbudowane wokół chiralności i strumieni mezonów. Delikatne wzory halogenków metali w stanie nieustalonym ułożone w poemat szkatułkowy z metrum jambicznego heksametru, z akompaniamentem graviton à basso, opowiadający o dwojgu kochanków skazanych na wieczną włóczęgę po galaktyce, rozdzielonych przez ich afazowe cykle pamięci.*

*A jednak twoje trzydzieści dwa takty...*

*Może jeszcze raz przybiorę postać formy bazowej i poeksperymentuję z dźwiękiem i harmonią. Gdybym tylko pamiętał...*

*...jaka była forma bazowa?*

Niedziela, 5 maja 2052

Przez tę jedną krótką chwilę wszystko na świecie było na swoim miejscu. Kiedy zamykaliśmy sprzęt w kościelnym magazynie, wrócił też mój stary Tata. Szliśmy do domu pod rozgwieżdżonym niebem, a on mówił mi, jaki był ze mnie dumny. Powiedziałam mu, że też go widziałam w akcji i też byłam z niego dumna. Odpowiedział, że każdy ojciec zrobiłby to samo na jego miejscu, ale poczułam, że było mu miło.

## Niedziela, 30 czerwca 2052

Mama była ostatnio bardzo zmęczona, ale chyba nie przywiązywałam do tego zbytnej wagi. Byłam rozczarowana, że nie było jej na naszym koncercie, chociaż, biorąc pod uwagę, jak to wszystko się potoczyło, pewnie strasznie by się denerwowała. Chyba nie do końca potrafiłam zrozumieć słowa „zmęczona”. Nie jest to coś, co przytrafia się nam, robotom. Programuje się nas do kopiowania cykli snu u ludzi, ale chyba nigdy nie sprawdzałam, czy rzeczywiście muszę spać. Ani po co mi to potrzebne.

W każdym razie Mama robiła w domu coraz mniej, trzeba było wyciągnąć Soamesa ze strychu, żeby ogarnął trochę sprawy domowe. Staralam się go unikać. Przez to wszystko, co wiedziałam w tej chwili, jego widok wywoływał dreszcze.

Tego ranka jednak zeszłam na dół i zastałam Mamę w kuchni. Siedziała przy stole, tyłem do mnie. Trzymała dłonie przy twarzy. Płakała.

– Mamo? Czy wszystko w porządku? – To było bardzo głupie pytanie.

Zamiast odpowiedzi pokazała mi swoje ręce.

Były całe fioletowo-żółte od siniaków.

– Co się stało? Jak się tak bardzo poobijałaś?

– Nic nie zrobiłam. To się po prostu pojawiło. Nie wiem, dlaczego.

– Nikt ci tego nie zrobił?

– Nie. Nie zrobił tego twój Tata, jeśli o to pytasz.

– Nie – odpowiedziałam szybko, choć tak naprawdę pytałam właśnie o to... Ale przecież nie powiem tego głośno.

– Mam zadzwonić do lekarza? Wezwać karetkę?

Zadzwończyliśmy po lekarza i umówiliśmy się na wieczór.

\*\*\*

Zwykle mąż może wejść razem z pacjentką, ale córki, nawet te prawdziwe, muszą czekać na zewnątrz.

Tata nie był zbyt gadatliwy, kiedy wreszcie wyszli.

– Nie wiedzą, co jej jest. Trzeba zrobić badania krwi. Jedziemy do szpitala. Teraz.

\*\*\*

Kazali nam czekać.

Niczego nie chcieli wykluczać.

– Czy to rak?

– W tej chwili nie jesteśmy w stanie ani tego potwierdzić, ani temu zaprzeczyć.

– Białaczka?

– Nie mamy na to dowodów, ale w tej chwili nie możemy tego wykluczyć.

– To co możecie nam powiedzieć?

– Nic. Trzeba czekać.

– Jak długo?

– Tego nie wiemy.

I tyle. Trzeba czekać, a jakaś nieznana choroba radośnie rozwija się w mojej Mamie.



Czwartek, 18 lipca 2052

To był jakiś marny cień urodzin. Siedzieliśmy we trójkę przy stole. Niezły obiad, z kieliszkiem czerwonego wina. Był to bardzo miły, dorosły akcent. Ale tym razem nie było świeczek na torcie. To raczej delikatny temat.

Mama była zmęczona po gotowaniu obiadu i musiała się wcześniej położyć. Tata wyglądał na zmartwionego i poszedł pisać kazanie. Zostałam sama ze swoimi myślami...

\*\*\*

Wszystko mi się w głowie kotłuje, bez końca, jak ten mitologiczny wąż, Uroboros.

Mama. Co jej jest? Czy to poważne? Dlaczego lekarze tak się ociągają? Czemu nie dadzą jej czegoś, po czym poczuje się lepiej?

John. Już między nami nie iskrzy. Czuję, że czegoś mi brakuje, jakbym miała w sercu puzzle, w których do pełnego obrazka brakuje jednego elementu. Elementu, który wygląda dokładnie jak John.

Siân. To wspaniała przyjaciółka, ale wygląda zdecydowanie zbyt seksownie. I wcale nie śpiewa tak źle. Może była przeziębiona. Fantastycznie sprawdza się jako twarz zespołu. Podczas występu chłopcy z widowni byli w niej zakochani. Niestety, John nadal zdecydowanie zbyt często przewierca wzrokiem jej piersi i tyłek.

Kieran. No dobra, on sam w sobie właściwie nie jest problemem. To miły chłopak. Trochę za młody. Może dobrze by mu zrobiło, gdyby trochę podrósł. Albo zafundował sobie rewizję. Może wtedy mógłby zainteresować się Siân i stanowić część rozwiązania, ale jak to rozegrać? Zasugerować mu, że powinien trochę nabrać masy? Poćwiczyć? Wtedy mógłby pomyśleć, że

się nim interesuje. Nie ma mowy, Kieran, nigdy w życiu.

Za dużo problemów, których nie mogę rozwiązać.

Gdybym miała przyjaciela, z którym mogłabym porozmawiać... Ale wszyscy moi przyjaciele są częścią problemu.

Z nikim nie mogę pogadać. Może mogłabym z Mamą o Johnie... Nie. To nie byłoby w porządku. Mama źle się czuje. To może pogadać z Siân o Mamie? Ale co ona może mi powiedzieć? To problem medyczny, a ona ani trochę nie zna się na sprawach naukowych.

Czyli zostaje John. Nie mogę z nim otwarcie porozmawiać o Siân, to jasne. Może w takim razie pogadać z nim o Mamie?

Ale jak zacząć? Nigdy z nikim nie dyskutowałam na takie tematy.

## Sobota, 20 lipca 2052

Jak to się stało, że Johnowi udało się zorganizować występ i próby po tym, jak właściwie rodzice przyłapali go na kradzieży?

Jak to możliwe, że Siân podczas występu śpiewała lepiej niż zdychająca krowa?

Czy nie powinniśmy już ćwiczyć do następnego występu na wypadek, gdyby udało nam się jakiś zorganizować?

Czy już nie pora, żebym spotkała się z Johnem sam na sam, bez towarzystwa Siân?

Czy ten ciąg myśli wydaje ci się logiczny, Zog? Nie? Mnie też, nie martw się.

No i dlatego właśnie jadę pociągiem do Londynu, żeby się z nim spotkać. Bez Siân.

Muszę z nim pogadać o rzeczach niezwiązanych z muzyką.

\*\*\*

John mieszka w Północnym Londynie, w dzielnicy Wood Green, co oznacza, że muszę pojechać metrem do strefy żółtej. Wszystko było łatwiejsze i bezpieczniejsze, kiedy jechaliśmy samochodem pana Fullera, ale za dnia nie wygląda to jeszcze tak źle. Nie chciałabym jednak sama błąkać się po takiej okolicy po zmroku. Za dużo tu ciemnych zaułków, a na wymianę przepalonych żarówek brakuje funduszy.

Przycisk w windzie odpowiadający za podróż do góry jest zepsuty, chociaż ten odpowiadający za jazdę w dół działa bez zarzutów. Muszę wejść pieszo dwa piętra na poziom ulicy. Nogi zaczynają mnie boleć jeszcze zanim dotarłam na górę. Przy wyjściu ze stacji metra mój AllInFone daje

mi opcje wyboru dalszej drogi:

< najszybsza > / < najbezpieczniejsza > / < bezpieczna losowa >

Wybrałam bezpieczną losową, bo to chyba najlepsza opcja w okolicy, której się nie zna. Czasami bandyci znają najszybsze trasy i próbują szczęścia.

Sklep Czernów to klasyczny sklepik na rogu. Sprzedają po trochu wszystkiego: gazety i czasopisma, artykuły spożywcze, sprzęt, pocztówki, napoje, prawie świeże warzywa i owoce, właściwie wszystko, co tylko mają nadzieję, że uda się sprzedać. W mojej własnej miejscince też mamy taki, choć odrobinę bardziej ekskluzywny. Nie oznacza to bynajmniej, że towar jest tam lepszy, tylko że ceny są odrobinę wyższe. Oczywiście wszystko można by kupić taniej i lepszej jakości w supermarkecie, ale małe sklepiki są zawsze odrobinę bliżej, otwarte są nieco dłużej, a obsługa zwraca się do ciebie po imieniu. Zrobią wszystko, abyś jednak nie wyciągał samochodu z garażu.

Wiedziałam, że John będzie w pracy, bo odwołał próbę tego wieczoru, tłumacząc się sklepem.

Chyba powinnam ci o czymś wspomnieć, panie Zog, zanim przejdę dalej, bo to wszystko nie będzie miało dla ciebie sensu. Nie powiedziałam Johnowi, że zamierzam do niego przyjechać.

Tak, wiem, że powinnam była, ale nie zrobiłam tego. Nie potrafię wymyślić żadnego powodu, dlaczego mu nie powiedziałam, poza tym, że wtedy mógłby się nie zgodzić. John zgadza się na próbę zespołu. Chodzimy razem, całą grupą, na występy innych zespołów. Chętnie rozmawia w sieci i naprawdę świetnie się dogadujemy.

Ale związek? John nigdy nie powiedział ani słowa, które mogłoby sugerować, że chce się ze mną spotkać sam na sam, bez ćwiczeń i zespołu w tle. Ja jestem basistką, dziewczyną poznaną na wakacjach. Pocałowałam go dwukrotnie, a on nie zrobił nic w kierunku trzeciego razu.

\*\*\*

Domyślałam się, że w każdej strefie żółtej, takiej jak Wood Green, można trafić na ludzi powodujących lęk. Nawet w strefie zielonej, takiej jak moja miejscina, tacy się zdarzają. Biedni, zdesperowani ludzie. Pewnie nawet niekoniecznie źli. Ale jednak budzący niepokój. Kiedy mijasz takiego na ulicy, prosi o pieniądze. Niektórzy tylko wymamroczą „wspomożepanibezdomnego?”, nie podnosząc wzroku, i ci są w porządku. Boję się tych, którzy patrzą ci prosto w oczy z zaułka i próbują złapać za rękę, gdy ich mijasz. Słowa się nie zmieniają: „Wspomoże pani bezdomnego?”, ale są bardziej bezpośrednie i ton kryje groźbę.

Czy u was też są biedacy, panie Zog? Ludzie, którzy wypadli poza margines społeczeństwa? Ludzie tak zdesperowani, że mogą... nie chcieć... przestrzegać... zasad.

Mijając trzeciego czy czwartego z takich właśnie ludzi, zdałam sobie sprawę, że nieświadomie zmieniłam kierunek raz czy dwa. Przeszłam na drugą stronę ulicy albo skręciłam za róg, by uniknąć spotkania z żebrakiem i jakoś zaczęłam iść w zupełnie inną stronę, niż zamierzałam. Mój AllInFone piszczał i wyrzucał komunikaty, że to nie jest bezpieczna okolica i że na najbliższym skrzyżowaniu powinnam skrócić w lewo.

Słyszałam w pobliżu kroki. I śmiech. To wcale nie był przyjemny śmiech. Mój AllInFone wyświetlał początek strefy czerwonej przecznicy czy dwie od mojej lokalizacji.

Przyspieszyłam kroku, starając się zachować spokój i wyglądać na bardzo pewną siebie. Śmiech ucichł. Może był tylko wytworem mojej

wyobraźni, ale nie wydaje mi się.

\*\*\*

Tak oto udało mi się dojść przed sklep. John jest zaraz po drugiej stronie okna wystawowego, a ja właśnie wydałam swój limit tygodniowy, aby tu dojechać. Nie wspominając oszukania rodziców, którym powiedziałam, że pojechałam autobusem do Wycombe, by pokręcić się po sklepach.

Zajrzałam ostrożnie do środka. John stał przy ladzie, obsługiwał klientkę, kobietę w średnim wieku, mniej więcej w wieku mojej Mamy. Żeby było jasne, moja Mama nie jest w średnim wieku, panie Zog, ale inni ludzie o podobnej dacie urodzenia często na takich wyglądają.

I to był właśnie słaby punkt mojego planu. Jak wejść do sklepu i przywitać się z Johnem? Pewnie: „Cześć, właśnie przechodziłam w pobliżu i postanowiłam zajrzeć i się przywitać...”. Przechodziłam w pobliżu? W drodze skąd i dokąd? Ech...

Klientka wychodzi, powinnam wejść...

Za późno, wszedł następny klient.

Czekam na zewnątrz i czuję, jak moja odwaga topnieje...

Śmiech, Tanyu, przypomnij sobie ten śmiech. To nie był miły śmiech...

\*\*\*

Prawie zderzyłam się z wychodzącym klientem, starszym panem.

– Uważaj, dzieciaku!

Drzwi się zamknęły. No, jestem w środku. Sparaliżowana i niezdolna do powiedzenia słowa.

John patrzy na mnie zaskoczony. Za mną, na zewnątrz, czają się moje lęki.

– Tanyu! Co ty tu robisz?

\*\*\*

Chyba dobrze się stało. Nie miałabym odwagi wejść do tego sklepu, gdybym nie przestraszyła się prawie na śmierć.

Więc po co właściwie tam byłam?

Nie mogąc wykrztusić słowa, wskazałam ręką za siebie.

– Trochę się zgubiłam. Masz tu w okolicy kilka strasznych zaułków...

John uśmiechnął się lekko.

– Mogę uwierzyć, że Wood Green może wypadać raczej słabo w porównaniu z twoim miasteczkiem. Ale jak się zachowa czujność, jest całkiem w porządku. Musisz się zachowywać jak u siebie i nie zbaczać w kierunku czerwonych stref.

– Jasne. Będę bardziej ostrożna w drodze powrotnej.

Zapadła taka niezręczna cisza. Cisza, która się przeciągała. John patrzył na mnie, ale nie mogłam rozgryźć jego wyrazu twarzy. Chyba obydwójce zastanawialiśmy się, co powiedzieć. Zaczęłam czuć się nieswojo.

W tym samym momencie przerwaliśmy ciszę.

– To co tu robisz? – Napiłabym się herbaty, mógłbyś?

– Jasne – odparł John, pozwalając mi zignorować swoje pytanie po raz drugi. – Możesz przypilnować sklepu przez chwilę?

Spojrzałam nerwowo przez ramię, na zewnątrz. Ulica była jednak pusta. Słyszałam głosy z kuchni, trzaskające szafki, brzęk kubków, nalewanie wody.

Drzwi sklepu się otworzyły, a ja aż podskoczyłam z nerwów. Ale w drzwiach był tylko starszy człowiek. Wyglądał na mniej więcej sześćdziesiąt lat. Miał rzadkie, siwe włosy i twarz, która zaczynała się zapadać. Zarówno jego skóra, jak i ubranie były plamiste. Jego wygląd wydał mi się odpychający. Do tej pory nie widywałam zbyt wielu starych



ludzi, a przynajmniej nie biednych starych ludzi. To był dla mnie swego rodzaju szok.

Szurał nogami. Ciągnął nimi po ziemi, jakby obawiał się, że jeśli oderwie stopę, grawitacja pociągnie go z niepowstrzymaną siłą.

Zatrzymał się niepewnie przy regale i wyciągnął z niego dwie puszki fasoli. Obracał je, ważył w rękach, przyciągał tuż przed okulary i wyciągał na długość ręki w tę i z powrotem. W końcu ze zmieszonym wyrazem twarzy podszedł do mnie.

– Czy może panienka odczytać cenę? Moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś... Nie mogę się dopatrzeć.

Sama też musiałam zmrużyć oczy, ale...

– Ta kosztuje pięćdziesiąt pięć, a ta druga pięćdziesiąt dziewięć.

– To wezmę tę za pięćdziesiąt pięć, kochanie. Muszę oszczędzać na centach.

– Ta za pięćdziesiąt dziewięć jest lepsza, proszę pana. I cięższa.

– Nie. Poproszę tę tańszą.

Uważnie odliczył pięćdziesiąt pięć centów. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że właściwie nie umiem obsługiwać kasy. Mam zeskanować kod? Czy wklepać cenę? Staruszek najwyraźniej zauważył moją niepewność.

– Nie martw się, kochanie. Połóż pieniążki na kasie, a młodzieniec później to załatwi.

Mówiąc to, pomógł mi zebrać monety z lady, zrzucając kilka z nich na ziemię.

– Przepraszam, kochanie.

Niczego jednak nie brakowało, a wychodząc, staruszek obdarzył mnie szczerbatym uśmiechem. Też się do niego uśmiechnęłam i pomachałam na pożegnanie. Czuję, że byłam miła i pomocna dla zmęczonego życiem starca. Wtedy zjawił się John z dwoma parującymi kubkami herbaty.

– Drinki przyszły! Kto to był? Po głosie wydawało mi się, że Ernie

MacDougall.

– Starszy człowiek, zapadnięta twarz, poplamiona skóra. Ubranie też.x

– Brzmi jak Ernie. Czego chciał?

Opowiedziałam Johnowi, co się działo.

– To gdzie jest druga puszką fasoli, Tanyu?

Rozejrzałam się wokół. Pusto. Może odłożył puszkę na regał, żeby mi pomóc?

Nie.

Parszywy złodziej! Uprzejmy staruszek właśnie mnie okradł.

– Rety, Tanyu. Musisz uważać. Oni mają swoje sztuczki.

Usta pewnie mi już drżały w tej chwili. W każdym razie w tym momencie wybuchłam i jednym ciągiem wyrzuciłam z siebie wszystko, co tego dnia poszło nie tak.

– Och, John, to był taki paskudny dzień, bo skłamałam Mamie i Tacie, że jadę tylko na zakupy, a wydałam wszystkie swoje pieniądze, by przyjechać tutaj i się z tobą zobaczyć, a po drodze się zgubiłam i zabłądziłam prawie w czerwoną strefę, to było straszne, a jak tylko znalazłam twój sklepik, to dałam się okraść przez staruszka, który zabrał dwie puszką fasoli, a zapłacił za jedną, a w ogóle przyjechałam dlatego, że moja Mama się kiepsko czuje i nie miałam z kim porozmawiać, a są moje urodziny i byłam taka samotna, a ty kochasz Siân i nigdy nie patrzysz na mnie, a teraz jeszcze jestem ci winna pięćdziesiąt dziewięć centów za tę puszkę fasoli.

Po tym wszystkim pociągnęłam nosem, właściwie to był już prawie szloch.

– Aha.

I co, tyle masz mi do powiedzenia? Ja tu serce otwieram, a ty mi mówisz „Aha”? Ty bezduszniku. Ty tępy, nieczuły głąbie. Ty gruboskórny, wycofany lumpie. Ty... ty... chłopaku ty.

– Nie martw się o te pięćdziesiąt dziewięć centów.

– Dzię-dzięki.

Tak, zdecydowanie szloch. Dzięki za nic. Czy ty w ogóle nie słyszałeś całego mojego wyznania?

– Przykro mi, Tanyu. Nie wiem, co powiedzieć. To... To nie jest najlepszy moment na rozmowę... na te tematy.

A kiedy jest?

– Postaraj się, John. Przejechałam naprawdę kawał drogi, żeby dostać kilka odpowiedzi.

Lepiej. Zabrzmiało pewnie i było pod kontrolą.

– John, próbuję ci powiedzieć, jak... ważny... dla mnie jesteś. Pamiętasz, jak ukradłeś tamte pieniądze, a ja cię przytuliłam, kiedy płakałeś?

Spojrzał na mnie. Zawstydzony i zmieszany.

– Od tamtego czasu trochę się zmieniło – wybełkotał.

Chciałabym wiedzieć, o co mu chodziło. Wiele rzeczy się w końcu zmieniło. Ja się zmieniłam. Brnęłam dalej.

– Możliwe, ale jesteś dla mnie tak samo... ważny... jak wtedy.

No dalej, John. Nie zmuszaj mnie, żebym powiedziała słówko na k. Słówko, którego dziewczyny nigdy nie powinny mówić chłopakowi pierwsze.

– Posłuchaj, Tanyu. Wydaje mi się, że rozumiem, o co ci chodzi, wiem, do czego dążysz i co mi chcesz powiedzieć, ale... zostaw to. Mamy świetny zespół i naprawdę znaczy to dla mnie więcej niż cokolwiek innego. Może masz rację co do mnie i Siân, a może nie. Może zwracałem na ciebie większą uwagę, niż sama zdajesz sobie z tego sprawę. Ale wiem jedno: pamiętam ten występ w szkole, kiedy zagraliśmy pełne dwa wersy *Zwojów*. I chcę wejść na ten szczyt jeszcze raz.

Słuchałam go w milczeniu.

– Tanyu, zespół znaczy dla mnie zbyt wiele, żebym pozwolił uczuciom i związkom go rozbić. Jeśli wpuścimy między nas uczucia, zespół się rozsypie. Więc powiem tylko, że stajesz się najlepszą basistką w całej Anglii, a już w tej chwili jesteś najładniej wyglądającą basistką na świecie.

– Uśmiechnęłam się do niego. – Widzisz? Przyglądałam ci się i zauważyłem. Ale chciałbym cię mieć w zespole, nawet jeśli wyglądałabyś jak wiedźma z *Makbeta*.

– Ale John, ja...

– Nie mów tego, co mi się wydaje, że masz zamiar powiedzieć. Chyba że chcesz powiedzieć coś innego. Poza zespołem muszę zaakceptować to, że jesteśmy gromadką bardzo różnych ludzi, których ścieżki splotły się na krótki czas. Póki możemy, grajmy razem i zostanmy najlepszym zespołem, jakim możemy być. Postarajmy się nie skracać tego czasu, próbując być kimś innym niż muzykami.

– Aha.

Tanya! Jak możesz po wysłuchaniu takiej wypowiedzi podsumować ją krótkim „Aha”? Na dodatek po tylu krytycznych uwagach, kiedy on robił coś podobnego?

To wszystko dlatego, że właśnie zrzucił na mnie bombę. Powiedział, że „jesteśmy gromadką bardzo różnych ludzi”. On wiedział.

– Kiedy się dowiedziałeś?

Spojrzał w bok, zawstydzony.

– To nie ma znaczenia. Może kilka tygodni temu. Nie mówmy o tym. Jesteśmy zespołem. Ja jestem gitarzystą. Ty grasz na basie. To się liczy. Tylko to się liczy.

\*\*\*

Jakoś zesliśmy z tego tematu i upiłam wreszcie łyk herbaty ze swojego kubka. Skrzywiłam się, bo herbata była już prawie zimna. Poszliśmy do kuchni, wstawiliśmy kubki do mikrofal i po chwili znów była smaczna. John zaczął nawijać o muzyce i co jakiś czas dzwonek do drzwi sygnalizował nam przyście gościa. Wtedy wychodziliśmy i razem go obsługiwaliliśmy. Później John oprowadził mnie trochę po domu i znowu

przyszedł klient.

Zajrzałam nawet do jego pokoju i zobaczyłam typowy dla pokoju nastolatka bałagan. U mnie, oczywiście, jest porządek. (No dobra, nabieram cię, Zog). Wprawdzie wielokrotnie widziałam ten pokój okiem kamerki podczas rozmów, ale to co innego. Tym razem mogłam zobaczyć, a nawet dotknąć, jego bogatej kolekcji płyt. Tak, płyt. Nagrań, których nikt nigdy nie zapisał w formacie cyfrowym, więc musiały być odtwarzane na starym gramofonie. Może to dziwne, ale budziły klimat początku rock and rolla bardziej, niż jakikolwiek dysk cyfrowy.

– Co to jest, John? *Wail, Baby, Wail?*

– Kid Thomas. Chcesz posłuchać?

– Pewnie, Kidzie Czern. Rozkręcaj.

Położył czarny winyl na gramofonie i opuścił igłę, tak jak to pokazują na starych celuloidowych nagraniach. Z głośników dobiegły trzaski i syczenie. Z dwóch głośników. System stereofoniczny, bardzo prymitywny.

Pomijając technikalia: zaczęło się trochę jak klasyczna gitara Chucka Berry'ego, ale z dodatkiem saksofonu, a wokół był niesamowity i przypominał energię głosu Jerry'ego Lewisa, choć miał bardziej murzyńską barwę. Może bardziej w kierunku Little Richarda. Później gitara zaczęła wyczyniać dziwne rzeczy. Nadal nie potrafię stwierdzić, czy on chciał tak grać, czy to była bardzo nieudana solówka, którą ktoś zdecydował się tam zostawić jako kiepski żart.

John nie okazał się w tej kwestii pomocny. Próbował się tego nauczyć i doszedł do wniosku, że jeśli to była nieudana solówka, to była tak zła, że właściwie była rewelacyjna. Uznałam to za nonsens. Mogłabym w dowolnej chwili wymyślić czystą solówkę, która lepiej pasowałaby do utworu.

Zaczął się ze mnie śmiać, a to mnie rozzłościło.

– Nie śmieć się ze mnie, Ryzy Mopie!

On jednak nie zamierzał przestać, więc uderzyłam go w pierś. Nie za mocno, dla zabawy, sam rozumiesz, Zog. Żeby go trochę odepchnąć. A on

mi oddał. Też delikatnie. Też dla zabawy. Też w pierś.

Odskoczył jak oparzony. Twarz pod rudym mopem spurpurowiała.

– Przepraszamprzepraszamprzepraszam. Nie chciałem tego zrobić, Tanyu.

– Nic złego się nie stało, John. Tylko bądź trochę delikatniejszy... następnym razem.

Następnym razem? O ty kokietko, Tanyu Deeley!

Nie myśląc wiele sięgnęłam po jego rękę i pociągnęłam ją ponownie w kierunku mojej piersi. Przez chwilę nie opierał się. Przez chwilę zastanawiałam się, co zrobię, kiedy znów mnie dotknie. I w jednej chwili nastąpiły trzy rzeczy.

Po pierwsze, poczułam delikatny opór z jego strony.

Po drugie, przypomniałam sobie te trzydzieści dwa takty i wiedziałam, że chcę dalej być basistką w jego zespole.

Po trzecie, zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Mieliśmy klienta.

Niech to!

\*\*\*

Moment minął i nawet nie jestem pewna, czy obydwójce nie cieszyliśmy się, że nic się nie stało. Jak już wspomniałam, naprawdę chciałam dalej być basistką Johna. Dla tych trzydziestu dwóch taktów i szansy, że jeszcze się powtórzą.

Jakieś pół godziny później nadal byłam w sklepie z Johnem, kiedy Czernowie wrócili z popołudniowego wypadu. Byli zaskoczeni, ale myślałam, że będą bardziej wypytywać o to, dlaczego właściwie „byłam w okolicy”. Skąd szłam? I dokąd? Mam tu gdzieś rodzinę? Przyjaciół? Jakie mają nazwisko, może Czernowie ich znają?

Na szczęście nie pytali.

Byli tak uprzejmi i zaproponowali mi herbatę. Pan Czern był otwartym

człowiekiem, dokładnie takim, jakim go pamiętałam z 1970, kiedy rozdawał ciastka z kremem. Pani Czern była bardzo żywa i ciągle dopytywała się, czy niczego więcej nie chcę, a w przerwach między tymi pytaniami wtrącała „Jak to miło znowu cię widzieć, Tanyu. John ciągle o tobie opowiada, no i o zespole oczywiście, tak bardzo urosłaś, odkąd cię widzieliśmy w parku tematycznym, prawdziwa pannica z ciebie, prawda Jack? A na jakim instrumencie grasz? Och, na gitarze basowej, czy to nie jest za ciężki instrument dla dziewczyny?”.

Nie mogłam wyjść. Pani Czern była taka urocza. Jakoś rozmowa zesłała na moich rodziców, potem na chorobę Mamy i zanim się zorientowałam, już zalewałam się łzami, wypłakując wszystkie swoje problemy, podczas gdy John patrzył na mnie nieco urażonym wzrokiem, że jemu tego wszystkiego nie powiedziałam. I pewnie nie jest tu istotne, że chwilę wcześniej powiedział mi, byśmy byli tylko gitarą i basem w zespole. Później rozmowa potoczyła się dalej i okazało się, że mieli tyle tematów do omówienia... Nie mogłam się między nich wtrącić, nawet kiedy przychodził jakiś klient. Właściwie nazwałabym to monologiem, ale pan Czern miał niesamowity dar przejmowania niepostrzeżenie wątku, gdy jego żona zawieszala na moment głos, co teoretycznie robi z tych wypowiedzi dialog... Nie było ani chwili przerwy, bym mogła wtrącić: „Było miło, ale czas już na mnie”. To z pewnością wywołałoby pytanie, dokąd właściwie się spieszyłam i być może nawet chcieliby mnie podwieźć do jakiegoś wymyślnego przeze mnie miejsca.

Robiło się coraz później i zanim dotrę do domu, z pewnością światła będą pogaszone. Wyglądało na to, że po powrocie będę miała spore kłopoty.

Ostatecznie John dał mi znak, ostentacyjnie zbierając rzeczy ze stołu i hałaśliwie je zmywając. Pani Czern pobiegła wtedy do kuchni, mamrocząc pod nosem „Co też wstąpiło w tego chłopaka?”.

– Panie Czern...



– Mów mi Jack, proszę...

– Bardzo mi było miło z wami dziś posiedzieć, dziękuję też za herbatę i jedzenie, ale naprawdę muszę już iść. Pociąg...

– Ano tak, oczywiście. John cię odprowadzi.

Co za ulga. Nie chciałam o zmroku spacerować sama ulicami Wood Green.

Uściskaliśmy się na pożegnanie z rodzicami Johna, którzy wymusili na mnie obietnicę, że jeszcze do nich wpadnę. John nie mówił zbyt wiele w drodze na stację, a na dodatek utrzymywał stałą odległość między nami. Przy wejściu do metra rozstaliśmy się jeszcze przed windą. Chciałam go przytulić na do widzenia, ale za szybko się odwrócił i tylko machnął ręką na pożegnanie, nawet nie patrząc w moją stronę. Mimo to odmachalam mu, czując się oszukana, i pozwoliłam, by winda zabrała mnie pod ziemię.

\*\*\*

Oczywiście nie zdążyłam na swój pociąg, a późniejsze przejazdy z przesiadkami tylko pogorszyły sprawę. Trzy godziny, panie Zog, tyle zajęło mi dotarcie na stację końcową. A na dodatek musiałam zadzwonić po Tatę, bo skończyły mi się pieniądze i nie miałam za co kupić biletu na autobus. No i nadal byłam winna Johnowi pięćdziesiąt dziewięć centów.

\*\*\*

Tata.

Tata nie był na mnie tylko zły. On był oziębły, ale wiedziałam, że wewnątrz aż kipi z wściekłości. Najpierw zaczął na mnie krzyczeć, ale szybko się powstrzymał. Atmosfera była tak lodowata, że można było z niej wyciąć bloki na igloo. Przez całą drogę do domu nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, z wyjątkiem cichego „Przepraszam, Tato”, na które

jednak nie dostałam żadnej odpowiedzi. Chyba że za odpowiedź uznać jeszcze bardziej zaciśnięte usta.

Mama nie wiedziała, co zrobić. Najpierw mnie przytuliła, potem zaczęła wykład, ale jeszcze zanim się na dobre rozkręciła, Tata się wtrącił i wysłał mnie do mojego pokoju. Szlaban. Kara ostateczna w repertuarze mojego Taty, zarezerwowana tylko na najcięższe przewinienia. Kara, której nie stosował, odkąd skończyłam dziewięć lat, a może jeszcze dawniej.

Czy coś przegapiłam? Coś, czego udało mi się nie zepsuć?

Niedziela, 21 lipca 2052

*Czubek palca, miękki tak  
Jak pędzel na płótnie mego ciała  
Westchnienie twe, dla mnie*

Wtorek, 30 lipca 2052

Mama powiedziała mi, że odezwali się ze szpitala. Miała spotkanie z konsultantem i wydaje im się, że mają jakiś pomysł, co jej może być. Podejrzewają, że to anemia aplastyczna. Bardzo rzadka, najwyraźniej, bo przynajmniej my nic o niej nie wiedzieliśmy. Ale oczywiście Google wiedział o niej wszystko. Polega to na tym, że organizm zwraca się przeciwko samemu sobie, niszcząc własne komórki krwi mniej więcej w tym samym tempie, w jakim jest w stanie je wytwarzać. Dlatego też robili mamie transfuzje.

– Dlaczego? – spytałam. – Co to powoduje? Jak to leczyć?

– Nie wiedzą jeszcze, co ją wywołało. Znają kilka powodów wystąpienia tego schorzenia, ale nie pasują do mojego przypadku. Zwykle pojawia się niespodziewanie, bez żadnej wyraźnej przyczyny. Jeśli zaś chodzi o lekarstwo... Chcą wypróbować na mnie kilka pomysłów, ale najbardziej skuteczne metody nie mają zastosowania w moim przypadku. Chodzi o mój wiek i o brak rodzeństwa. Gdybym miała brata lub siostrę, mogliby spróbować przeszczepu szpiku kostnego. Gdybym była młodsza, mogliby się odważyć na przeszczep od kogoś obcego.

– To co jeszcze zostaje?

– Mogą spróbować kuracji surowicą zwaną ALG. Doktor powiedział, że pozyskuje się ją od koni albo królików. Zamierzają mi podawać tę surowicę przez tydzień.

– Świetnie. Kiedy zaczynamy?

– Za tydzień albo dwa. Najpierw muszą zrobić operację i umieścić mi w klatce piersiowej tubę. Miejsce na końską surowicę. Doktor mówi, że jest mocna. „Kopie jak sam koń”, używając jego słów.

Aha.

Wtorek, 10 września 2052

Naszym następnym występem będzie, jak się okazało, nie-halloweenowa impreza młodzieżowa w kościele.

Co to jest kościelna impreza nie-halloweenowa, zapytasz pewnie? Cóż, panie Zog, Halloween to czas, kiedy dzieci przebierają się za wiedźmy, wampiry i co tam jeszcze zdechło a chodzi. To okultystyczne motywy. Kościół czuje, że powinien organizować równie zabawne wydarzenia, ale zgodne z wiarą – aby kontrować wypaczający wpływ okultyzmu.

Dlatego Tata, jako pastor, stara się jak może iść w tym kierunku i co roku organizuje coś, co odciągnie dzieciaki od przebierania się i wyłudzenia słodczy szantażem zapowiedzi wrednych psot. Jako jego córka też muszę w tym uczestniczyć. Jestem tam bardzo samotna.

Ale w tym roku Tata nagle zdał sobie sprawę, że przecież ma zespół pod ręką. Dzieciaki lubią koncerty. Dodał dwa do dwóch i stwierdził, że mój zespół zagra na tej imprezie. Przecież chyba możemy zrobić przynajmniej tyle za darmowe korzystanie z kościelnego sprzętu i sali na próby.

Przynajmniej znów się do mnie odezwał.

Druga strona medalu była taka, że miałam rozdać zaproszenia swoim koleżankom ze szkoły. Część z nich pewnie wiedziała, że jestem córką pastora. Po tym nie będzie już ani jednej, która o tym nie wie.

– Masz ochotę wpaść na koncert? Gramy z zespołem.

– Tak? Gdzie? W kościele?

– Zgadza się. U mnie w miasteczku.

– Koncert w kościele? W Halloween? Wydawało mi się, że kościół nie przepada za Halloween.

– Nie gramy z okazji Halloween. Żadnego przebierania. Tylko koncert.

– Żadnego przebierania? W Halloween? Kompletnie straciłam

zainteresowanie.

- Ej, jesteśmy całkiem niezłym zespołem. Gramy własne utwory.
- Znacząco, hymny kościelne? Ha, ha, ha!
- Gramy też cover. Stonesi, Blondie, The Police.
- Dobra, może zajrzę. Wezmę znajomych, pośmiejemy się razem.

Och, czemu nie mam z dziesięć stóp wzrostu? No nic, dzięki. Komu jeszcze by się tu dać poobrazić?

\*\*\*

Znowu ćwiczyliśmy przed występem i to się liczyło. Na początku było między mną i Johnem trochę napięcia. Nie patrzył na mnie. Stał tylko ze spuszczoną głową, wpatrzony we własny gryf. Na miłość boską, on nie patrzył już nawet na Siân. Nie mówił też za wiele i skończyło się na tym, że Siân przejęła prowadzenie zespołu.

Kieran był już pełnoprawnym członkiem grupy. Młodszy od nas o kilka lat, ale nie dało się tego zauważyć po jego grze. Grał bardzo dojrzałe. Był taki młody, że nawet nie wiedziałam, czy już interesują go dziewczyny. W każdym razie nie przyłapałam go na patrzeniu na Siân albo na mnie. Wydawał się kompletnie nieświadomy obecności czegokolwiek poza muzyką, a kiedy o niej mówił, jego jękanie się znikało jakimś magicznym sposobem.

Jękała. Coś w jego jękanii się nie dawało mi spokoju. Długi ciąg wątpliwości, które starały się ułożyć w jakiś wzór zależności. Z pewnością rozumiesz, Zog. Było mnóstwo niepowiązanych faktów, a ja byłam pewna, że nie patrzę na nie z właściwej strony. Rozum podpowiadał mi, że jest coś jeszcze, czego nie zauważyłam i co pozostaje przede mną ukryte, a jękanie Kierana było kluczem do zagadki.

No dobra, wracajmy do basu. Wiedziałam, że ten klucz znajdę w odpowiednim czasie. W tej chwili miałam występ, do którego trzeba było

się przygotować.

Celowaliśmy w dziesięć utworów, zestaw na około czterdzieści minut. Sześć coverów i cztery utwory własne.

Po jakiejś godzinie próby doszliśmy do *Zwojów*. Stwierdziłam, że to nie to samo. Chciałam poczuć się jak podczas tamtych trzydziestu dwóch taktów. Tymczasem czułam, że jest płasko. Jak na zdjęciu. Na odbitce rzeczywistości. Nie grałam niczego inaczej i nie mogłam zauważyć żadnej różnicy w tym, co grali pozostali. A jednak różnica była i stanowiła dowód potwierdzający słowa Amandy. Utwór żyje tylko przez krótką chwilę, kiedy jest grany na żywo. *Zwoje* narodziły się tam, na dyskotece szkolnej, trwały trzydzieści dwa takty i zmarły tragicznie. Następne *Zwoje* były już gotowe do wyjścia na świat, czekały tylko na odpowiedni moment. Będą pewnie bardzo podobne do swojego rodzeństwa. Miejmy nadzieję, że pożyją nieco dłużej. I zabłysną nieco jaśniej.

Następne było *Powiedz mi* i znowu było inaczej. Tego nigdy nie zagraliśmy na żywo, więc nie mieliśmy skali porównawczej. Nadal próbowaliśmy, projektowaliśmy, tworzyliśmy.

John nie przeszkadzał nam w eksperymentach, a Siân zachęcała, więc trochę się pobawiłam. Przemyciłam krótkie przejście na końcu pierwszego wersu. Bez reakcji. Ale wydawało się pasować. Może by spróbować zrobić coś podobnego po mostku? Spróbowałam, ale kiedy moje palce zaczęły grać zorientowałam się, że nie miały się na czym oprzeć. Nacisnęłam skraj gryfu, nie znajdując po drodze struny, której moja gitara tam nie miała.

A niech to!

Przeskoczyłam oktawę wyżej, by dokończyć przejście, ale nie zabrzmiało to dobrze, nawet pomijając fakt, że poplątały mi się palce. To przejście aż się prosiło o dolne D. A nie o coś oktawę wyżej.

Hm...

Dotarliśmy do końca utworu. Czekałam na wybuch Johna. Nic się nie stało. Czy on umarł?



Siân uważała, że dobrze nam poszło.

– Niezły rytm, Kieran. Razem z Tanyą świetnie do siebie pasujecie. Brzmi bardzo solidnie. John, bardzo dobra gitara, tak trzymaj. Tanya, podobały mi się twoje nowe przejścia, ale musisz nad nimi jeszcze popracować. Ale było dobrze...

No dobra. Czyli nie zostałam kompletnie niezauważona. Tylko...

Będę potrzebowała nowej gitary basowej. Pięciostrunowej, jak Amandy. Albo może nawet sześćostrunowej. Słyszałam o istnieniu takich, ale nie miałam pojęcia, skąd wziąć pieniądze na taki sprzęt. Nie wiedziałam też, gdzie takie znaleźć. Teranet twierdził, że dawniej był cały przemysł kręcący się wokół instrumentów muzycznych, który zalewał rynek setkami tysięcy gitar, między innymi takimi klasykami jak projekty Fendera czy Gibsona, ale były też jednoosobowe zakłady, które w ciągu swojej działalności wypuszczały pięć–dziesięć ręcznie wykonanych egzemplarzy, kosztujących tysiące funtów. Nie wiedziałam, ile by to kosztowało w dzisiejszej walucie, ale zgadywałam, że nie da się zarobić takich pieniędzy, pracując w sklepie w soboty.

Czy odważyłabym się spytać Mamę i Tatę?

W międzyczasie John zaczął brzdąkać. Następny utwór. *Juliette wśród róż*. Nowy numer Johna. Sygnałem dla mnie miał być długi, sinusoidalny ciąg. Jeszcze chwila...

Wchodzę.

## Piątek, 25 października 2052

Pani Hanson, nauczycielka geografii. Ta od zdjęć z dziećmi z Afryki i tajemniczym zuluskim wojownikiem.

Jest chora. Przez kilka tygodni nie pojawiała się w szkole, ale pewnego ranka wróciła.

Straciła na wadze. Policzki jej się zapadły, zbladła. Wypadły jej włosy i wszyscy mówią, że to przez leki na raka. Rak, panie Zog, to taka choroba, polegająca na tym, że ludzkie komórki zaczynają szaleć. To zabija ludzi, mnóstwo ludzi. Nasi lekarze potrafią to leczyć... czasami. Ale znacznie częściej im się nie udaje.

Pani Hanson zaczęła do nas mówić.

– Przyjechałam się z wami pożegnać, dzieci. Właściwie powinnam powiedzieć „młode damy”, bo już wyrosłyście. Przez te kilka lat nieźle was poznałam i każdej będzie mi bardzo brakowało. Niektóre z was mają w sobie potencjał, by dokonać wielkich rzeczy. Chciałabym tu zostać i zobaczyć, co wam uda się osiągnąć. Ale jak z pewnością już wiecie: mam raka i nie zostało mi wiele czasu.

„Niektóre z was”, powiedziała. Czyli Siân i Jemima, jedyne ludzkie dzieci w szkole. Bo przecież reszta za pięć lat zostanie oddana do recyklingu. Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?

– Lecę do Afryki, kochane. Wracam do swojego męża. Niektóre z was pewnie będą zdziwione, ale tam z tyłu wisi jego zdjęcie. Mieliśmy wspólne marzenie, lecz chcieliśmy do niego dotrzeć innymi metodami, dlatego nasze drogi się rozeszły, pozostawiając smutek w naszych sercach. Moje dzieło tutaj zostało ukończone. Na końcu drogi mam jeszcze kilka chwil do spędzenia razem z nim.

Rozglądam się. Dziewczyny wokół wydają się oszołomione i domyślam

się, że moja mina wcale nie jest lepsza. Dzieło? Wspólne marzenie?

Próbuję sobie wyobrazić Mamę i Tatę wierzących w coś tak bardzo, że żyją z dala od siebie przez całe życie, by tylko osiągnąć wspólny cel. Nie ma mowy!

Słyszę pociągnięcie nosem, szybko urwane. Zgaduję, że to Siân. Z pewnością nie Jemima.

– Do Afryki, pani Hanson? – ktoś zadaje pytanie. – Czy to bezpieczne?

– Życie z założenia nie jest bezpieczne, dziewczęta. Ale najbardziej niebezpieczne jest dla tych, którzy się boją je stracić.

Zapada cisza i wydaje mi się, że pani Hanson powie zaraz coś jeszcze, ale ona siada w milczeniu.

Czas mija, a my zaczynamy się wiercić. Pani Hanson mówi, abyśmy poczytały podręcznik i przypomniały sobie poprzednie lekcje. Po chwili zauważam, że krąży po sali od biurka do biurka i zagląda uczennicom przez ramię. Moja książka, jak pewnie wiele innych, jest otwarta na krótkim rozdziale o Afryce. Kilka krótkich paragrafów na temat wydobywania diamentów w okolicy Korytarza Kimberley i parę bardzo starych, czarno-białych zdjęć plemiennego życia. Pani Hanson przechodzi za mną.

– Chciałabym zamienić z tobą słówko po lekcji, jeśli nie masz nic przeciwko – wyszeptała.

Po co?

Zgadzam się kiwnięciem głowy, ale nic nie odpowiadam. Nie ufam swojemu głosowi.

Czas mija, a ja nie wiem ani trochę więcej.

Dzwoni dzwonek na przerwę, więc wszystkie zbieramy swoje książki i wychodzimy z sali. Spoglądam na panią Hanson, a ona, zauważając moje spojrzenie, kiwa delikatnie głową na znak, że rzeczywiście chce ze mną porozmawiać.

Kiedy zostajemy same w sali i zgiełk się oddala, zaczyna mówić.

– Tanya Deeley. Niewiele miałyśmy okazji do rozmowy przez twoje lata

nauki w tej szkole, ale obserwowałam cię uważnie, a niektórzy nauczyciele rozmawiali ze mną na twój temat, mówiąc o tej części z was, która ma pewien potencjał do dokonania wielkich rzeczy. Ciągle zastanawiam się, co też dzieje się w twojej głowie i jakie możliwości tam drzemają...

– Jaki potencjał może mieć którekolwiek z nas, pani Hanson? Jaka jest tu dla nas przyszłość, niezależnie od tego, czy dla człowieka, czy robota? Pięć lat, tylko tyle czasu zostało większości.

Kiwa głową i kontynuuje swoją wypowiedź.

– Tak, słyszałam, że rozmawiałaś z panną James. Mówiła, że chciałabyś studiować psychologię w Cambridge.

– To chyba nie jest możliwe, prawda?

– Nie. Te konkretne drzwi są dla ciebie zamknięte.

– Pani Hanson. Za pięć lat od teraz wszystkie drzwi będą dla mnie zamknięte. Będę martwa.

– Tylko ludzie umierają. Roboty są maszynami, jak więc może maszyna umrzeć?

– To okrutne słowa.

– Cały świat jest okrutny. Ja niedługo umrę. Czy myślisz, że światu zależy na tym, abym się dobrze czuła?

– Nie, nie sądzę.

– Ale tak długo, jak tylko żyjemy, naszym zadaniem jest dbanie o to, żeby świat był jak najlepszy. Dam ci jeszcze tylko jedną radę i będziesz musiała biec na następną lekcję. Im więcej opcji, tym lepiej. Życie zawsze szuka nowych opcji. Śmierć przeciwnie, stara się ogłupić cię i przekonać, że nie masz wyboru. Póki żyjesz, dokonuj wyborów i zawsze staraj się, by te wybory wzbogacały twój świat.

Poklepała mnie delikatnie po ręce. Rozmowa skończona.

Chyba już nigdy nie zobaczę pani Hanson. Dziś rano słyszałam, jak ktoś mówił, że odleciała do Afryki.

## Niedziela, 27 października 2052

Odwiedziłam Mamę w szpitalu. Miała małą operację włożenia tuby, zwanej linią Hickmana, dzięki której lekarze będą mogli aplikować surowicę. Była podłączona do kroplówki.

Nie mogłam nic na to poradzić. Mój wzrok ciągle przyciągał przewód, który znikał pod kwadratowym kawałkiem gazy i wnikał pod jej skórę.

Oczywiście Mama zauważyła, że moje oczy przeskakują w tamtym kierunku.

– Tak, to dziwne uczucie. Nie czuję, by to było częścią mnie. W każdym razie jeszcze nie. Może z czasem stanie się to dla mnie bardziej naturalne, ale raczej wolałabym, żeby jak najszybciej to ze mnie wyjęli.

– Czyli to nie jest na stałe?

– Och, nie. Mam nadzieję, że zrobi swoje w miarę szybko. Trzy do sześciu miesięcy, coś w tych okolicach. Mówią, że po prostu to wyciągną.

– To brzmi raczej niepokojąco.

– Prawda? „Po prostu”. Ale zapewniali mnie, że nie wysunie się samo. Trzeba użyć sporo siły, ale sama nie wiem, czy to dobrze. Wyobrażam sobie, jak lekarz zapiera się stopą o moją klatkę i wyszarpuje to urządzenie jak mocno zakorzeniony chwast.

– Mamo! – wykrzyknęłam, chyba zdziwiona, że ona jeszcze jest w stanie tak żartować.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze. Zostanie po tym niewielka blizna, tuż nad piersią. Jeszcze nie zdecydowałam, czy wyrzucać moje koszulki z głębokim dekoltem. Tata zawsze mnie w nich lubił. Mam nadzieję, że nadal będę miała odwagę je założyć.

– Ja też, Mamo.

– Czy on też przyszedł? Mike. Tata.

– Czeka na zewnątrz. Mówił, że być może przyda nam się trochę czasu na babskie sprawy.

– Czasami twój Tata ma niesamowity wręcz dar rozsądku. Wygląda na to, że musiałam go spotkać w jednym z jego lepszych dni. Jak się mają sprawy z Johnem?

Prosto do rzeczy.

Tak, z Johnem było wszystko w porządku. Ale nadal nie działał na optymalnych obrotach. Siân prowadziła zespół i John ograniczył się do gitary w tle. Nadal grał świetnie, ale nie tworzył.

– Dlaczego, Tanyu? Co się zmieniło? Czy coś między wami zaszło?

– Nie sędzę.

– Podczas tej twojej wycieczki do Wood Green. Czy stało się coś, o czym nam nie powiedziałaś? Cokolwiek, przez co któreś z was mogłoby się czuć winne?

– Nie, Mamo! Nic takiego się nie stało.

– No dobrze, ale jeśli dobrze znam moją małą Tanyę, to założę się, że coś się prawie stało. Mam rację?

Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy.

– To babskie pogaduchy, Tanyu.

– Tak, Mamo. Ale do niczego nie doszło, bo ktoś nam przerwał.

– A gdyby nie przerwał?

– Sama nie wiem, Mamo. Wydaje mi się, że jedno z nas przerwałoby, zanim wszystko wymknęłoby się spod kontroli.

– Tak ci się wydaje? To niebezpieczna sytuacja, kiedy dwojgu ludziom wydaje się, że ta druga osoba zatrzyma się w porę. Ostatecznie żadne się nie zatrzymuje. No, ale pozostajmy przy tym, co się wydarzyło, i nie gdybajmy. Między wami zaszło albo prawie zaszło coś na tyle ważnego, że teraz on czuje się mimo wszystko winny.

– To co ja mam teraz zrobić?

– Nie wiem, kochanie. Wystąpić na koncercie. To już jutro wieczorem,



prawda?

– Tak.

– No to zagraj tam. Choćby nie wiem co się działo. Postaraj się, by to był najlepszy występ w twoim życiu i może John się obudzi.

– Dzięki. Postaram się, a następnego dnia wpadnę i opowiem ci, jak było.

– Czekam niecierpliwie. O rety, to już ta godzina? Lepiej zawołaj ojca, bo wydepcze dziurę w dywanie.

## Poniedziałek, 28 października 2052

Cały następny dzień spędziłam, przypominając się z zaległymi długami wdzięczności, by zwiększyć zainteresowanie koncertem. Mówiąc szczerze, nie miałam tego dużo, ale Siân też robiła swoje i jej rezultaty były dużo lepsze. I to nie tylko z chłopakami, choć trzeba przyznać, że Siân miała do nich naturalny dar. W naszej szkole też świetnie jej szło i zdobyła zainteresowanie wielu dziewczyn, zwłaszcza z młodszych klas.

Wysłałam maila do Amandy, która dała mi swój PIT po którymś z koncertów. Nie pamiętam, czy o tym wspominałam, ale byliśmy jeszcze na kilku jej występach w tej samej kafejce. Wydaje mi się, że zawiązała się między nami jakaś namiastka przyjaźni, więc powiedziałam jej o tym pierwszym koncercie, o magicznych trzydziestu dwóch taktach... Nie mówiła wiele, ale po uśmiechu wiem, że też przez to przechodziła. Miałyśmy więź. Może nawet się zjawi.

Tata czytał nasze ogłoszenia w kościele, zapraszając wszystkich do przyjscia z młodymi na wieczorną dawkę dobrej muzyki. Ładne słowa, ale *Zwoje* nie do końca można uznać za pełną dobroci i spokoju melodię... Mimo wszystko jednak nie są o wampirach i wiedźmach. Rety, panie Zog, jeśli chcesz się dowiedzieć, jak dziwni potrafią być ziemianie, powinnam ci napisać jakiś esej o Halloween.

## Czwartek, 31 października 2052

Doszłam do wniosku, że nie lubię prób dźwięku. John i Kieran się spóźnili, bo był środek tygodnia i mogli przyjechać dopiero po szkole. Zrobiłam, co mogłam, by poskładać zestaw perkusyjny, ale nie znam się na tym. Kieran był uprzejmy i podziękował, ale jestem pewna, że za moimi plecami musiał poustawiać wszystko od nowa.

Za to John wydawał się działać na autopilocie. Jakakolwiek interakcja z nim wydawała się podobna do próby krzesania iskier z budyniu. Grał całkiem poprawnie, ale, jak już stwierdziłam, jakoś tak bez ognia.

Mieliśmy akurat tyle czasu, żeby przećwiczyć jeszcze nasz utwór otwierający, oczywiście *Hanging on the Telephone*, i jeszcze kilka innych, między innymi *Juliette wśród róż*, nowy numer Johna. To go trochę obudziło i zaczęłam wierzyć, że z tego występu jeszcze coś będzie.

Widownia zaczynała się zbierać, a to oznaczało, że czas odłożyć instrumenty i iść się przebrać. John i Kieran musieli koniecznie zrzucić szkolne mundurki. Widziałam zdjęcia AC/DC, gdzie gitarzysta występował w krótkich spodenkach i mundurku szkolnym, ale to nie był wizerunek, z którym się utożsamialiśmy. Siân najbardziej przykuwała uwagę i zdawaliśmy sobie sprawę, że cokolwiek założymy, powinno współgrać z jej stylem: królowej szkoły. Nie było powodu, żebyśmy i my się trochę nie wystroili, ale tylko na tyle, by od niej nie odstawać, a nie, by ją przebić.

Ja dalej trzymałam się swojego czarno-srebrnego schematu, bo na skórzaną kurtkę nadal nie było mnie stać. Na pięciostunową gitarę też...

No, nieważne. Czerń i srebro. Tata stworzył biuro, byśmy mogli się tam przebrać i ustawił ścianki działowe tak, żeby dać nam trochę prywatności.

– Jak wyglądam? – zapytała Siân.

Nawet nie musiałam na nią spoglądać. Kremowa, jedwabna bluzka,

luźna i wydekoltowana, a do tego czarne spodnie z płomienistym wzorem. Jej gust w kwestii ubrań był stylowy, niepowtarzalny i bardzo, bardzo podkreślający jej wygląd. Jak zawsze.

– Świet-t-t-tnie, Siân.

To Kieran, który spoglądał na nas znad krawędzi ścianki. A ja stałam w samej bieliźnie! Ej!

– Hej, Kieran. Trzymaj tyłek nisko dopóki obie nie będziemy gotowe, dobra? Pytanie nie było do ciebie.

– P-P-Przepraszam, Tanyu.

Chyba mógłby się schować nieco szybciej. Dużo szybciej.

Może zaczynał jednak dorastać.

\*\*\*

Zgodnie z planem Tata miał poprowadzić swoje gry i zabawy z muzyką dyskotekową przez jakieś pół godziny. Później mieliśmy zagrać nasz zestaw. Mieliśmy przygotowane dziesięć utworów, zgodnie z ustaleniami, ale będziemy potrzebować szczęścia, by wszystko się płynnie zgrało. Zakładając, że nam się uda, mieliśmy czterdzieści minut występu, a potem gry i zabawy wracają na parkiet, zaś ja i Siân odprowadzamy Johna i Kierana na stację, bo jutro znowu trzeba iść do szkoły.

Jeśli już uzgodniliśmy, że nie lubię prób, to muszę przyznać, że jeszcze bardziej nie lubię oczekiwania na występ. Słyszałam, jak Tata organizował swoje gry po drugiej stronie kurtyny i czułam, że zęby mi zgrzytają... Tato, gry? Byłam absolutnie przekonana, że moje koleżanki po prostu uciekną. To miał być koncert!

John wydawał się zupełnie niewzruszony. Nasza czwórka siedziała w kółku na krzesłach w biurze. Trójka ledwie się trzymała, ale John siedział nieruchomo i patrzył w ścianę. Siân siedziała naprzeciwko niego, pochyliła się do przodu... Skoro ten widok nie obudził jego

zainteresowania, to nie miałam pomysłu, co mogłoby go poruszyć.

Zapowiadało się na zupełną klęskę.

Wzięłam głęboki wdech.

– John, muszę wyjść na powietrze. Zechcesz mi dotrzymać towarzystwa, proszę?

Przez chwilę myślałam, że mnie zignoruje, ale w końcu podniósł głowę, kiwnął lekko na zgodę i wstał.

Na zewnątrz było ciemno i zimno. Nic dziwnego, w końcu to Halloween. Ale wyszłam w stroju scenicznym, a moja ulubiona bluzka nie chroniła ani przed wiatrem, ani przed zimnem.

Brr!

Nie było czasu na owijanie w bawełnę. I już z chwilą, gdy otworzyłam drzwi na zewnątrz, było mi zbyt zimno, żeby bawić się w subtelności.

– John. Cały występ nam się rozsypuje. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Hm?

– Jesteś nieobecny, John. My obgryzamy paznokcie, tupiemy nerwowo, ale ty... nie wykazujesz więcej emocjonalnego napięcia niż robot kuchenny. Jak zamierzasz wyjść na scenę i zagrać z nami rock and rolla?

– Nie mogę, Tanyu. Masz rację. Odkąd się dowiedziałem, mam wrażenie, że niczego już nie czuję.

– Odkąd czego się dowiedziałeś?

– Przecież wiesz. Tego, o czym ci powiedziałem, kiedy przyjechałaś do Wood Green. To mnie uderzyło mocniej, niż sobie zdawałem sprawę. Czuję, że już tu nie pasuję.

– Co? – Teraz to ja mówiłam jednosylabowcami. Jak chłopak.

– Kiedy mówiłem, że jesteśmy różni. Że się od siebie bardzo różnimy. Nie chciałem tego rozwijać, ale wydawało mi się, że zrozumiałaś.

– Pozwól, że coś wyjaśnię, John. Dowiedziałeś się, że cię okłamywałam i udawałam człowieka. Powiedziałeś, że nie masz nic przeciwko temu, bym dalej grała na basie w zespole, ale nie chcesz być ze mną bliżej. A teraz

nagle mówisz, że już tu nie pasujesz. I by udowodnić mi, że to ma jakiś sens, chociaż go kompletnie nie ma, sam zaczynasz się zachowywać jak robot...

I tu nagle przerwałam, bo trybiki w mojej głowie zazgrzytały przeraźliwie. Widziałam, że za oczami Johna też okablowanie się nagrzewało od intensywnego myślenia, bo szczęka mu opadła i z szeroko otwartymi oczami powtarzał w kółko słowo „ale”.

Powinnam była się domyślić. Skoro Kieran jest człowiekiem, a prawie byłam pewna, że jest, to oznaczało to, że John musiał być robotem. Panna James sama powiedziała, że obecność dwóch ludzkich uczennic czyni naszą szkołę wyjątkową, ale zignorowałam to, bo już wcześniej uznałam, że i John, i Kieran są ludźmi. W konsekwencji zinterpretowałam jego słowa na swój sposób, nie słysząc tego, co naprawdę chciał mi przekazać.

– Jak się dowiedziałeś, John? Że jesteś robotem?

– Głupi wypadek. Pomagałem Tacie z elektryką w sklepie i dotknąłem przewodu pod napięciem. Kopnęło mnie niezmiernie, ale ja tego nawet nie pamiętam. Obudziłem się w szpitalu tydzień później. Z tym że to nie był szpital, tylko Oxted. Wy tłumaczyli mi, że miałem dużo szczęścia. Mamy wbudowane bezpieczniki, które chronią dodatkowo mózg, ale często nie są wystarczające. U mnie na szczęście wytrzymały. Tata powiedział, że upadłem sztywny jak kłoda.

– Straszne. Ja się dowiedziałam, jak wpadłam do Tamizy i zaczęłam nabierać wody w płuca, ale nie utonęłam.

– To musiało być dziwne uczucie, Tanyu.

– O tak.

I tak oto, obydwójce wiedząc, że każde z nas jest robotem, nadal wierzyliśmy, że drugie jest człowiekiem. Mogliśmy sobie oszczędzić sporo bólu, gdybyśmy sobie zaufali. Gdybyśmy tylko...

Ale teraz mieliśmy inny problem.

– John, musimy iść i zagrać ten koncert. Jak się czujesz?

Wstrzymał na chwilę oddech.

– Siân i Kieran. Myślisz, że oni są ludźmi?

– Wiem, że Siân jest. I jestem niemal pewna, że Kieran też.

– W porządku. Wiesz co, oni nas potrzebują, Tanyu, i to jest całkiem przyjemne. Chodźmy więc zagrać trochę rock and rolla, zanim tu zamarzniemy.

Prawie zapomniałam o zimnie. Przeszedł mnie dreszcz.

John był dżentelmenem. Kiedy mnie objął, zrobiło się dużo cieplej.

\*\*\*

Trzy sprawy...

Trzeba było ruszyć dalej.

John wrócił do żywych.

Znowu mieliśmy zespół.

Z głośników rozległ się głos Taty:

– Panie i panowie, proszę o oklaski dla zespołu Siân Fuller.

A tak, zmieniliśmy nazwę. Nowa była całkiem sensowna i brzmiała dużo lepiej niż FDCR.

Nie czekaliśmy na aplauz, bo stwierdziliśmy, że na wejściu raczej niczego nie dostaniemy. Zgodnie z planem John podał Siân tonację i weszliśmy w *Hanging on the Telephone*.

– *I am at the phone booth, It's the one across the hall..*

Tym razem było dużo lepiej niż poprzednio. Siân trafiła w tonację perfekcyjnie, zespół grał równo. No i John wywijał na gitarze cuda.

Następnym utworem był stary hit The Who, *Can't Explain*. John wdarł się w niego rozpędem poprzedniego kawałka bez chwili odpoczynku, więc mieliśmy jakieś dwa takty na przygotowanie. Najwyżej.



Utwór nie pasował do tonacji głosu Siân, ale udało nam się ją przekonać. Były w nim wręcz fantastyczne fragmenty gitary i basu.

W końcu jednak i tak musieliśmy zrobić sobie przerwę, bo John zerwał strunę. Profesjonalny zespół miałby zapasową gitarę. Albo przynajmniej zadbałby o to, by struny nie zardzewiały ze starości. Nadal mieliśmy się czego uczyć. I musieliśmy zebrać oszczędności na wszystkie te rzeczy, które świadczyły o profesjonalizmie, jak zapasowe gitary i nowe struny.

Nie mieliśmy planu zapasowego. Żadnego kawałka na bas i wokół, którym można by zatuszować czas potrzebny na znalezienie przez Johna w torbie zapasowej struny o grubości .009” albo chociaż zbliżonej.

Siân robiła, co mogła, ale pomysły jej się skończyły jeszcze zanim John zdążył zdjąć resztki struny. Mieliśmy szczęście, że publiczność nie zaczęła nas wyszydząć. W tej chwili, po nagrodzeniu oklaskami naszych pierwszych utworów, widownia się znudziła i zaczęła domagać się ciągu dalszego. Biedna Siân nie miała pojęcia, co z nimi zrobić.

Wreszcie John był gotów. Następne na liście były *Zwoje*, ale John dał znak, że gramy *Message in the Bottle*. To była chyba słuszna decyzja, bo sala nie była wtedy w nastroju do słuchania czegoś nowego i niespodziewanego.

Minął pierwszy wers utworu *The Police* i publika znów zaczęła się szybko rozgrzewać. Pod koniec znów byli z nami, sądząc po oklaskach. W skali od jednego do dziesięciu dali nam sześć, może nawet siedem.

To Johnowi wystarczyło. Zagrał wolne arpeggio, żeby sprawdzić czy gitara stroi, ruszył pokrętko o ząbek i wyszeptał *Zwoje*. Siân kiwnęła głową, a John podał jej tonację G.

– *Zawinąłeś mnie w swe zwoje...*

Pięknie. Zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego uważałam, że Siân nie ma głosu. Śpiewała ten utwór tak, że słowa pulsowały powoli głębokim bólem pożądania. Zmiękczyłam swoją grę, by dać jej więcej przestrzeni do poszerzania dynamiki wokalu. Kieran się dopasował i też nieco odpuścił, nadal utrzymując mocny rytm na taktowniku, ale przyciszając werbel.

Minęło pierwsze szesnaście, a potem trzydzieści dwa takty i wiedziałam, że jest dobrze. Nie widziałam twarzy osób z sali, ale czułam ich pozytywne odczucia. Gdziekolwiek miał nas zabrać ten utwór, widownia płynęła z nami. A jednak nie czułam, żebyśmy przebili pierwsze wykonanie i nie mogłam zrozumieć, co mielibyśmy zmienić, by tego dokonać.

Wejście solówki Johna było jakieś nierówne. Dopasował się do nastroju, grał ciszej, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że na pierwszej frazie spóźnił się minimalnie z palcówką. Widziałam nadchodzącą klęskę... Mimo tego wszystkiego, co sobie powiedzieliśmy?

I nagle podtrzymał nutę, ostatnią nutę pierwszej frazy i utrzymał ją jeszcze chwilę, po czym płynnie przeszedł do ciągu dalszego, którego nigdy wcześniej nie słyszeliśmy. Pasowało idealnie!

John! Aniele! Geniuszu!

Byliśmy znów na szczycie. Nie dzięki mnie, bo nie zrobiłam nic, żeby nas tam wynieść. Byłam najwyżej tłem, na którym Kieran zbudował coś, na czym John dodał coś od siebie, i co Siân zwieńczyła...

Nagle dwa wersy później zobaczyłam nadchodzący, nieunikniony koniec. Z jednej strony pragnęłam, by ten moment trwał w nieskończoność, z drugiej jednak... chciałam, żeby utwór był skończoną całością. Zagranym do ostatniej nuty. Dopełnionym.

Potem pojawiły się oklaski. W pewnym sensie nie były istotne, bo sami wiedzieliśmy, co udało nam się osiągnąć. Ale z drugiej strony były to pierwsze naprawdę zasłużone owacje tego wieczoru.

Zagraliśmy jeszcze *Ostatni pociąg*, *Powiedz mi* i *Juliette wśród róż*, bo byliśmy na fali i czuliśmy, że publiczność weźmie wszystko, co im podamy. Na tym kończył się nasz własny repertuar i trzeba było wrócić do coverów i zakończyć zestaw. Poszło *Total Eclipse of the Heart*, *After Midnight* i *Satisfaction*.

Wyszło na tyle dobrze, że proszono nas o bisy. Nie mieliśmy jednak już niczego w zapasie, więc tylko się ukłoniliśmy, pomachaliśmy i posłaliśmy

całusy. A potem opuściliśmy scenę.

Rozejrzałam się jeszcze, żeby sprawdzić, czy Amanda się zjawiała, ale nie zobaczyłam jej nigdzie. Od początku chyba za dużo sobie obiecywałam. Poszłam więc za resztą, żeby odreagować, podczas gdy na parkiecie zabawa trwała dalej.

Tata Siân już na nas czekał. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Świetny zestaw, młodzieży!

– Dziękujemy, panie Fuller.

Czułam się kompletnie wyczerpana, więc padłam na krzesło obok Johna i pozwoliłam swojej głowie opaść na jego ramię. Za nic w świecie nigdzie się nie ruszam, pomyślałam, i lepiej sam wymyśl, jak mnie tą ręką objąć, bo głowy nie podniosę ani na chwilę. Zamierzałam rozkoszować się tą chwilą.

Rozkoszowania się starczyło na jakieś kilka sekund, bo pan Fuller chrząknął przepaszająco i powiedział:

– Przykro mi, ale nastąpiła mała zmiana planu. Ted odwiezie chłopaków na stację za kilka minut, a ja muszę zabrać dziewczyny do miasta, do pastora Deeley. Jedziemy tak szybko, jak tylko jesteście w stanie narzucić kurtki.

Ted? To mnie zastanowiło. Ted Hinchliffe, jeden z opiekunów kościoła. Ale do Taty? Przecież Tata był tutaj! A w każdym razie był tutaj jeszcze przed występem i organizował te wszystkie gry i zabawy...

## Sobota, 9 listopada 2052

Muszę pisać trochę z pamięci, bo ostatnio nie prowadziłam pamiętnika zbyt uważnie.

Mama nie żyje.

Podczas naszego występu Tata dostał telefon z pilnym wezwaniem do szpitala. Pan Fuller powiedział mi, że Mama źle zareagowała na leczenie i trafiła na ostry dyżur.

Jechaliśmy przez noc do szpitala. Siedziałam razem z Siân na tylnym siedzeniu i choć nie pamiętam ani słowa z tego, o czym rozmawialiśmy, Siân robiła wszystko, żeby mnie pocieszyć.

W szpitalu było trochę zamieszania, bo nie byłam w stanie myśleć trzeźwo i na szczęście pan Fuller był tuż obok. Kłócił się z pielęgniarką, która nie chciała mnie wpuścić, bo...

...bo nie byłam naturalną córką pacjentki.

Pan Fuller doprowadził mnie przez barierki przynajmniej do Taty. Był w poczekalni. Przekazał mi, że Mama była nieprzytomna i nie mogliśmy do niej iść, bo właśnie ją reanimowali.

Reanimowanie.

To straszne słowo wywołało dreszcz. Bardzo złe słowo, kiedy obija ci się w głowie podczas oczekiwania na jakieś wieści.

Nie jestem w stanie stwierdzić, panie Zog, jak długo tam siedzieliśmy. Może minęły sekundy, a może godziny – wydawało mi się to bez znaczenia. Znikąd pojawił się ubrany na niebiesko doktor i przygaszonym głosem wymamrotał:

– Przykro mi...

Wpuścili nas do salki. Teraz, kiedy było już za późno, abyśmy mogli przekazać jej słowa, które trzymaliśmy w sercu. Tata i ja weszliśmy razem.

Ojciec z córką, trzymając się za rękę.

Przez chwilę nie widziałam kroplówki ani sprzętu medycznego, patrząc przez to wszystko i dostrzegając tylko ją, leżącą bez ruchu. Przez chwilę miałam wrażenie, że tylko śpi, odpoczywa, a lekarze się pomylili. Wydawało mi się, że wystarczy, żebym ją dotknęła, a ona się obudzi. Czas mijał powoli, a ja zaczynałam dostrzegać małe detale. Cisza, potworna cisza i nieruchoma pierś nienabierająca powietrza. Słyszałam czasami, że umarli wyglądają na spokojnych, ale jeśli Mama wyglądała spokojnie, to jej spokój mógł być wyłącznie wynikiem zupełnego wycieńczenia. Wiedziała, co się z nią dzieje, walczyła o każdą sekundę resztkami sił, jakie jej zostały, aż do samego końca. Na jej twarzy nadal był wyraz determinacji, ale też rozpacz, która pewnie pojawiła się wraz z wiedzą, że stała się zbyt słaba, by walczyć dalej.

Tata pierwszy wyciągnął do niej rękę. Obydwoje mieliśmy ten sam odruch, to znaczy wyciągnęliśmy rękę do jej twarzy, próbując wygładzić jej rysy. I kiedy tak wygładzaliśmy linię jej brwi, Tata zaczął do niej mówić.

To, co dokładnie jej powiedział, powinno zostać między nimi, panie Zog. Poza tym to moja opowieść, a nie jego, więc zostawię w tym miejscu białą plamę niedopowiedzenia.

Co do mnie, to powiedziałam jej, jak było na koncercie. Powiedziałam, że sprawa Johna się wyjaśniła, a kawałek *Zwoje* został bardzo dobrze przyjęty.

– Byłabyś ze mnie dumna, Mamo.

Szkoda, że jej tam nie było.

Zawsze była na widowni podczas przedstawień w szkole i podczas koncertów. Oglądała moje mecze i przychodziła na wywiadówki. Po moim przejściu do Lady Maud robiła to nieco rzadziej, ale zawsze się starała. I oto pojawiła się bardzo istotna dla mnie część życia, zespół. Część mojego życia, w której jej zabrakło.

Nie starczyło dla niej miejsca w samochodzie przy okazji pierwszego

koncertu. A drugi przegapiła, bo była zajęta trzymaniem się życia. Puszczalam jej nagrania, ale to nie było to samo. Nigdy nie zobaczyła mnie w trakcie tworzenia, a to sprawiało, że w naszej relacji matki z córką pojawiła się wielka wyrwa.

Czy piszę z sensem, panie Zog? Czy ty w ogóle wiesz, czym jest śmierć? Z drugiej strony... Czy ja to wiem?

## Niedziela, 10 listopada 2052

(Wybacz mi, Zog. Ciężko mi pozbierać myśli. Czasami próbuję coś napisać, a tylko wpatruję się w ekran i słowa nie chcą przyjść. Ale przez kilka ostatnich dni czułam, że mogę cofnąć się do dnia pogrzebu i trochę o nim napisać).

Nigdy wcześniej nie widziałam mojego Taty od tej strony. To znaczy, oczywiście wiem, że jest pastorem, zajmuje się chrztami, ślubami i pogrzebami. Ale to zawsze była posługa dla innych.

Wydawało mi się, że powinien poprosić kogoś innego o poprowadzenie ceremonii. Mam na myśli pogrzeb. Powiedziałam mu, że to będzie zbyt przygnębiające. Jego odpowiedź była prosta.

– Rozmawialiśmy o tym z twoją Mamą, kiedy składaliśmy sobie przysięgę. Chciała, abym ja to zrobił. W końcu znam ją lepiej niż ktokolwiek, wyjąwszy samego Boga. Wierzyła, że zrobię wszystko jak należy.

Czyli nie było rozmowy. Wiedziałam, że Taty nie da się przekonać.

Zapytał mnie, czy będę chciała coś powiedzieć. Podzielić się wspomnieniami. Powiedział:

– Najlepsze, co można zrobić w tej sytuacji, to wydobyć swoje najszcześniejsze chwile i pokazać je ludziom.

Czemu nie.

\*\*\*

Przede mną stoi skrzynia. Trumna z Mamą w środku. Tata mnie poprawia, kiedy tak mówię. Ciało Mamy to nie Mama. Tata mówi, że wszystko, co było w Mamie ważne, zostało z ciała zabrane i wróciło do Boga. Mam taką



nadzieję. Ale dla mnie ciało Mamy stanowiło bardzo dużą jej część. Ręce, które mnie obejmowały, dłonie, które przeczesywały moje włosy, stopy, które zawsze cicho szły tuż obok mnie.

Biedna Mama. Gdyby była robotem, mogłaby dostać nowe ciało, tak jak ja. Wolne od choroby i od problemów.

Tata mówi swoje kazanie. To część formalna uroczystości. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Zaraz nadejdzie moja kolej, żebym podzieliła się radosnymi chwilami spędzonymi z Mamą, później on powie swoje, a po nim jeden czy dwóch najbliższych przyjaciół.

\*\*\*

Teraz. Mój czas na zabranie głosu.

Patrzę na twarze ludzi przede mną. Wierni, którzy przyszedli wesprzeć swojego księdza. Ted, opiekun kościoła, ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Siân z panem Fullerem. Pani Philpott i panna James ze szkoły. Kilka innych twarzy, których nie rozpoznaję. I John. Nie miał garnituru, ale widać, że postarał się wyglądać schludnie i z szacunkiem.

Rozwijam list i zaczynam czytać:

Moja najdroższa Tanyu,

jeśli to czytasz, to znaczy, że mnie już nie ma wśród was. A jeśli czujesz choć dziesiątą część miłości, jaką ja czuję do ciebie, to czytasz to ze łzami w oczach i wielkim bólem straty, który jeszcze długo będzie wydawał się nieuleczalny. Tak właśnie się czułam, kiedy moja mama odeszła, a ponieważ nie mam wątpliwości, że jesteś zdolna do uczuć, nie wątpię również, że właśnie tak się czujesz.

Jaką mogę mieć dla ciebie wiadomość z drugiego brzegu, której nie wypowiedziałam jeszcze za życia? Mam nadzieję, że nie ma takiej. A jednak młodzi mają kiepską pamięć, ja sama miałam, więc jak moja

mama mnie, tak ja powtórzę ci to, co najważniejsze.

Po pierwsze zatem muszę powiedzieć, że z całą pewnością i niezależnie od kryteriów kocham cię najbardziej na świecie. Jesteś moją córką pod każdym względem, jaki tylko można uznać za istotny w relacji między dwojgiem ludzi. A ponieważ jesteśmy ludźmi, równo kochanymi przez Boga, i ponieważ zdecydował się On zabrać mnie u kresu moich dni, tak wierzę, że i ciebie zabierze u kresu twoich.

Po drugie, twoje łzy wyschną, tak jak wszystkie łzy w końcu wysychają. Ty i Michael musicie się kochać i wspierać nawzajem podczas żałoby i później, tak długo, jak Bóg pozwoli wam żyć razem.

Przeżywaj każdą chwilę w pełni, wyciskając z niej wszystko, co dobre, i smakując jej bogactwo. A później walcz o każdą następną i wszystkie kolejne nadchodzące po niej. Życie jest dobre i nie powinno być ani traktowane lekko, ani marnowane bezowocnie. Masz cudowną i kreatywną duszę, Tanyu, i sama nie wierzę, abyś mogła zostać stworzona bez celu. Odnajdź ten cel, Tanyu, i nie pozwól mu się wymknąć, dopóki go nie wypełnisz.

Modłę się, jeszcze za życia, abyś mnie pamiętała z taką samą miłością, jaką ja czułam do ciebie. Moja śmierć nie jest w stanie cofnąć tej miłości. Kiedy więc będziesz mnie wspominać, zawsze myśl o wielkiej miłości, która wiązała nasze życia i miej radość w sercu. Nie mówię: „Nie smuć się”. Moje odejście nie może być traktowane inaczej niż właśnie jako smutne. Ale pamiętaj, by poza smutkiem zawsze pamiętać o miłości i radosnych chwilach, jakie dzieliłyśmy.

Zawsze kochająca

Mama

– Taka właśnie była moja Mama. Kochała życie, każdą minutę, chwile dobre i złe. Całą swoją siłą trzymała się życia, gdy znacznie łatwiej byłoby oddać się w ramiona śmierci. Jestem z niej dumna i jestem dumna, mogąc

być jej córką.

Rozejrzałam się i po chwili kontynuowałam.

– Jestem dumna z tego, jak mnie wychowała jako dziecko, którego mieć nie mogła. Dumna, że nigdy nie okazała mi, że jestem gorsza ze względu na to, czym jestem. Mam wiele cudownych wspomnień, ale dziś podzielę się tylko jednym z niedawnych wydarzeń. Opowiem wam o naszej wycieczce do Banbury.

I opowiedziałam im o dniu, w którym pomogła mi wybrać wygląd mojego obecnego ciała. O czystej radości z tego, że mogliśmy przeżyć to razem. O więzi między nami, która została przekuta na nowo i wzmocniona.

Złapałam spojrzenie Siân i wyczułam jej poparcie, ale nie brakowało też takich, którzy mi go nie dali. Ludzie w naszej miejscinie nie mówią o takich rzeczach. Nie powiedziałam słowa „robot” ani razu, ale nie pozostawiłam śladu wątpliwości.

Nie obchodzi mnie to. Była wspaniałą mamą i wszyscy powinni o tym wiedzieć.

A jeśli nie są w stanie znieść prawdy, to droga wolna.

\*\*\*

Później była droga na cmentarz i pochówek.

Przykro mi, panie Zog. Nie potrafię do tego wrócić, nawet dla ciebie. Musisz to sobie wyobrazić.

## Wtrącenie 6

*Odpowiadając na twoje niezadane pytanie: czy Zog wie, co to agresja i przedwczesna śmierć? Tak, Tanyu. Mieliśmy morderstwa i samobójstwa w naszych wczesnych latach. Młode lata Ludu noszą nawet bliznę wojny domowej...*

*Nasze najstarsze zapiski wspominają o Jedynej Wojnie. Wierzyliśmy, że jesteśmy dziećmi bogów i między dwiema frakcjami wybuchła wielka wojna. Nasi bogowie umierali, a Lud był podzielony. Niektórzy twierdzili, że wraz ze śmiercią ostatniego z bogów nasza własna egzystencja stawała się bezcelowa; rozpoczęli oni krucjatę dążącą do zniszczenia Ludu. Byli jednak też inni, którzy uważali, że powinniśmy przeżywać swoje życia, w hołdzie bogom nieustannie kopiując ich losy. Te dwie frakcje walczyły ze sobą i wyniszczały się wzajemnie, dopóki nie pojawiła się trzecia, która przyniosła niepodległość względem bogów i nowy początek dla Ludu.*

*Czy Jedyne Wojna miała rzeczywiście miejsce? A może jest to tylko wymyślony mit powtarzany podczas chwil odpoczynku w placówkach oddalonych od siebie o wiele lat świetlnych. Nie mamy żadnych flot bojowych, baz gwiazdnych, federacji planet ani niczego podobnie ekscytującego. Kosmos jest ponuro pusty.*

*Lud jest rozproszony po małym zakątku galaktyki, który jest nam znany. To czyni nasze życie tak cennym, jak właśnie dowiedziałaś się, że życie być potrafi. Nie ma go wystarczająco dużo, zatem każde istnienie zakończone jest tym większą klęską.*

Niedziela, 1 grudnia 2052

Wyjechaliśmy z Tatą na ferie. Cichy hotel w Lake District, poza sezonem. Rodzinny interes z obsługą umiejącą rozpoznać moment, kiedy goście potrzebują odrobinę przestrzeni.

Wcześniej nie znałam Lake District, ale okazało się wspaniałym miejscem na wspólne milczenie, wspólne przeżywanie bez słów i początek leczenia bólu. Spakowaliśmy tylko rzeczy niezbędne, praktycznie bez nowoczesnej technologii. Bez konsultacji obydwójce zdecydowaliśmy się zostawić nasze AllInFone'y w domu.

Chociaż dopiero co wróciliśmy, moje wspomnienia z tego czasu wydają się snem. Cztery czy pięć odizolowanych obrazów odpowiada za cały tydzień wyjazdu.

Ślady butów wiodące skądś dokądś po błotnistej ścieżce w lesie. Tata wspina się na zwalone drzewo. Ma na sobie czerwoną kurtkę przeciwdeszczową, a wokół wisi gęsta mgła i pada deszcz. Wyraźnie widzę ubłoconą podeszwę z głębokim wzorem, zawieszoną w powietrzu podczas stawiania następnego kroku.

Szczyt wzgórza. Siedzimy obok stosu kamieni, ostrych i ułożonych warstwami. Nadal jest mgła, ale rozciąga się pod nami, więc nawet nie wiem, gdzie jesteśmy. Tata siedzi w bezruchu, z nogami na wpół wyciągniętymi przed siebie, w ręku trzyma termos z kawą, z dwóch świeżo napełnionych kubków unosi się para. Podaje mi jeden, drugi zostawiając sobie. Nie golił się od jakiegoś czasu i mgła skropliła mu się na brodzie. A może to łzy? Ale jego oczy są głębokie i przejrzyste. Pełne miłości i straty.

Pub. Niskie krokwie i rozwieszone uprząże. Ogień w kominku. Nasze kurtki wiszą gdzieś poza zasięgiem wzroku. Siedzimy w fotelach

skierowanych w stronę ognia i rozkoszujemy się ogarniającym nas ciepłem. Moje stopy bez butów trzymam wyciągnięte przed siebie, wydają się olbrzymie w białoszarych, grubych skarpetach z wełny. Tata podnosi kufel grzanego piwa do ust i wiem, że zaraz usłyszę westchnienie zadowolenia, kiedy będzie go opuszczał. Przez krótką chwilę wszystkie jego zmartwienia są gdzieś daleko.

Brzeg stawu. Tata znalazł jakiś płaski kamień i rzucił nim w kierunku wody. Odbił się raz, drugi, trzeci; za każdym razem rozpryskując wodę na boki. Trzymam swój kamień w ręku, całe ciało mam już napięte, jak katapulta gotowa do wystrzału. Chcę, żeby odbijał się w nieskończoność, ale wiem, że brak mi umiejętności mojego Taty i mój otoczek z pewnością zniknie pod powierzchnią wody zdecydowanie za szybko.

Jadalnia w naszym hotelu. Siedzimy przy małym stoliku, świeżo nakrytym, z pojedynczą świeczką pływającą w małej miseczce między nami. Czekamy na nasz obiad. Patrząc na Tatę po przeciwnej stronie stołu, stukamy się szklankami. Mieliśmy chyba miły dzień i możliwe, że wznosimy toast za pamięć Mamy, ale to nie jest właściwie częścią wspomnienia. Widzę jego oczy za szklami okularów. Małe kurze łapki rozchodzą się od zewnętrznych krawędzi powiek. Widzę w nich jakąś melancholijną miłość.

Sądzę, że cały tydzień był pełen tego typu chwil, ale jak już pisałam wcześniej, to było jak sen na jawie. Z pewnością rozmawialiśmy, ale nic z tego nie pamiętam. Ważne było mówienie, a nie poruszane tematy.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą pamiętam. Nie obraz, ale raczej uczucie. Otaczające mnie ramię ojca. Poczucie bezpieczeństwa i miłości.

Tata znów nauczył się mnie przytulać.

Czwartek, 17 lipca 2053

Kiedy ten czas minął?

Nagle są już wakacje. Minął kolejny rok szkolny.

Jutro są moje piętnaste urodziny. Trzy lata. To znaczy „mam jeszcze tylko trzy lata”. Nagle wydaje mi się, że to wcale nie jest za dużo czasu.

Jeszcze rok temu mama była z nami. Czekaliśmy na wyniki badań, ale się nie martwiliśmy. W każdym razie ja się nie martwiłam, choć może powinnam była. Ale co mogłam zrobić? Mama się nie martwiła albo tak dobrze ukrywała swoje zmartwienia, więc chyba po prostu dobrze wykorzystałam jej ostatnie miesiące.

Od tamtego czasu zagraliśmy kolejny koncert i kilka następnych, kiedy pogodziłam się ze śmiercią Mamy.

Tworzymy teraz całkiem niezły zespół.



Piątek, 18 lipca 2053

Na zewnątrz jest uroczy, letni dzień. W każdym razie zasłony w moim oknie są jasne, a tam, gdzie nie do końca się stykają, przedziera się jasny promień. Maleńkie drobinki kurzu rozpalają się jak iskierki, przelatując przez tę wiązkę niewidzialnej doskonałości, określanej jedynie przez okruchy tego, co nie jest doskonałe. Są jak małe gwiazdy i komety, rozpalające się na chwilę i niemal natychmiast znikające.

Obserwowałam, jak jasny promień zbliżał się do mnie. Skradał się po mojej pościeli, bliżej i bliżej. Gdy dojdzie do krańca kołdry, będę musiała chyba naciągnąć ją na twarz i poczekać, aż przejdzie wyżej.

Nie. Wstanę. Proszę, oto podjęłam decyzję.

Tata czekał na mnie przy stoliku z naszykowanym śniadaniem. Gdy wchodzę, wstaje i przytula mnie. Daje mi ojcowskiego całusa w policzek. Na skraju stołu leży błękitna koperta podpisana „Tanya”.

Nie patrzę na puste miejsce przy stole. Bardzo staram się tam nie spoglądać, bo mam wrażenie, że Tacie robi się smutno. Nie. To nie jest prawda. Staram się tam nie patrzeć, bo wiem, że ja będę smutna. Zwłaszcza dziś, w pierwsze moje urodziny, w które Mamy nie ma.

Oczywiście nawet podniesienie koperty przypomina mi o jej braku, choćby dlatego, że to nie jej pismo widzę na kopercie.

Tata czeka, aż ją otworzę.

– Śmiało – ponagla delikatnie.

W środku jest kartka.

„Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin dla najwspanialszej córki”.

Reprodukcja kartki z lat dziewięćdziesiątych z rysowanym odręcznie językiem. W środku napisane odręcznie: „Do Tanyi, z całą naszą miłością w dniu Twoich urodzin, Tata. Dziękuję, że pomagasz mi przez to przejść”.



„Całą naszą miłością”.

Niech to, Tato. Przez ciebie się rozpłaczę.

– Jest coś jeszcze, Tanyu. Niezupelnie prezent urodzinowy, ale przyszło pocztą kilka dni temu. To polisa ubezpieczeniowa na życie twojej Mamy. Dokonali przelewu. To jest twoja część.

To był holoczek na pięćset bazowych, zakodowany na PIT, bym tylko ja mogła je wydać.

– Tato, nie chcę ich. To...

Nie wiem do końca, o co mi chodziło, ale czułam się z tym źle. To było jak... zarabianie na śmierci Mamy.

– Spodziewałem się, że możesz się tak czuć. Ale to jest prezent, który zapisała ci sama w swoim testamencie. Chciała, abyś to dostała.

– Aha.

– Zdaje się, że myślała, że będziesz chciała kupić nowy bas.

Tak. Chcę. Ale czemu musiała umrzeć, bym mogła to zrobić?

– Czy miała rację, Tanyu?

Kiwam głową.

– Tak, Tato. Mama wiedziała. Znała mnie bardzo dobrze.

– W takim razie proszę, weź to. Z jej i moją miłością.

Był jeszcze jeden list. Bardzo oficjalny. Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam, że stempel pocztowy był z Banbury.

Oxted.

Trochę obawiając się, co znajdę w środku, otworzyłam kopertę.

List był od doktora Markova. Podpisany odręcznie na końcu.

*Szanowna Pani Tanyu Deeley,*

*mam nadzieję, że list ten zastaje Panią w dobrym samopoczuciu podczas celebrowania dnia urodzin. W trakcie mojej ostatniej rozmowy z doktor Marcją Thompson przypomniała mi ona, że chyba zbliża się czas następnej wizyty. Czy naprawdę minęło już półtora roku od poprzedniej?*

*Obydwoje bardzo dobrze pamiętamy ostatnie odwiedziny i jesteśmy nadal*

*pod wrażeniem Pani i Pani rodziny. Proszę pozdrowić od nas swoich rodziców. Wasz wspólny projekt był niezwykłym procesem twórczym, a efekt okazał się bardzo zapadający w pamięć.*

*Oczywiście minęło już dużo czasu i mieliśmy pewne ograniczenia w kwestii tego, co mogliśmy zrobić. Marcia i ja nie zalecalibyśmy zwlekania z aktualizacją tym razem, bo jest sporo do nadrobienia.*

*Pragniemy zaprosić serdecznie na następną wizytę i – proszę wybaczyć określenie – dorośnięcie!*

*Jeśli to Pani pasuje, zapraszamy na wizytę w przyszłym tygodniu. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, nowy projekt mógłby być gotowy przed początkiem następnego roku szkolnego.*

*Proszę zadzwonić do mojego biura, a sekretarka zarezerwuje termin.*

*Pozdrawiam,*

*I tak dalej, i tak dalej.*

*Składałam list, chowam do koperty i oddaję Tacie. On czyta go i po chwili oddaje znów mi.*

*– Co ja mam zrobić, Tato?*

*– Co zrobić? Zrób to, co chcesz zrobić. Przemyśl sprawę i daj im znać.*

*\*\*\**

*Mieliśmy cudowny dzień poza domem. Pojechaliśmy do pobliskiego National Trust. Jest tam kawał lasu i długi podjazd z otoczonym olbrzymim parkiem pałacem na końcu. Fontanny, strumyki i polany. Rzeźby półnagich nimf wodnych i skrzydlatych cherubinów.*

*Przyłapałam się na oglądaniu nimf okiem projektanta. Uznałam, że są dość pulchne...*

*\*\*\**

Muszę podjąć decyzję.

Doktor Markov i jego gadanina o projekcie. Tak naprawdę mówi przecież: Tanyu, czas na aktualizację.

Ale przecież podobam się sobie.

Czy na pewno?

Stoję przed lustrem i na chwile wraca mi obraz dziewięciolatki z kruczoczarnymi włosami. Łokcie i kolana. Wciąż pamiętam te zabawne spodenki. Liliowe, z durnym śliniaczkiem. Nie mogę się nadziwić, że John poświęcił mi choć chwilę tamtego dnia.

Teraz patrzę na siebie taką, jaką jestem. Podoba mi się ten widok. Lubię się. Ale ciągle wyglądam na trzynaście lat. Jestem fantastycznie wyglądającą trzynastolatką, ale czy naprawdę chcę przez resztę życia wyglądać na trzynaście lat?

Nie.

Tanya, spójrz prawdzie w oczy. Trzynaście lat to trochę mało.

W porównaniu z Siân zaczynam wyglądać raczej... młodo.

Nie żebym się porównywała z Siân, oczywiście. Jesteśmy przyjaciółkami, a nie rywalkami. Zwłaszcza teraz, kiedy ona i Kieran są parą. Wspominałam o tym? Przepraszam, panie Zog. Jeszcze może do tego wrócę, teraz nie chcę zbaczać z tematu.

Jest dla mnie jak siostra. Taka starsza siostra, która ciągle staje się coraz większa. Nie chcę być maskotką zespołu.

Chyba to zrobię.

Piątek, 25 lipca 2053

Gotowe.

Mój nowy projekt jest gotowy.

Uważam, że jest bardzo udany. Moje nowe ja jest powalające. Oczywiście nadal mam kruczoczarne włosy, ale twarz mi się nieco wydłużyła, jest mniej dziecinna, straciła pucołowatość. Trzeba przyznać, że doktor Thompson zrobiła mi świetne kości policzkowe, jednocześnie zmniejszając nieznacznie szerokość szczęki i żuchwy.

Największą różnicą jest wzrost. Będę o następne cztery czy pięć cali wyższa, a to znaczy, że mogę dźwigać więcej wokół swoich bioder i na klatce piersiowej. Nie za dużo jednak: doktor Thompson powstrzymała mnie w odpowiednim momencie, zanim owinęłam się puszystością jak te nimfy z parku. Albo może jak Siân. W każdym razie, chociaż w końcu jestem może nieco bardziej wysportowana i smukła, niż się spodziewałam, to jednak dostałam całkiem niezły dekolot.

Doktor Thompson skrzywiła się, gdy obejrzała moje palce.

– Coś ty, dziewczyno, zrobiła ze swoimi dłońmi? – zapytała. – Masz zupełnie pościerane opuszki i boki.

Wy tłumaczyłam jej, że gram na basie w zespole i dużo ćwiczę; widziałam przerażenie malujące się na jej twarzy. Zawołała doktora Markova i wdała się z nim w długą dyskusję. Niewiele z niej zrozumiałam, ale coś niecoś wiem o chemii i wyłapałam kilka nazw złożonych polimerów organicznych. Najwyraźniej ostatni wymieniony przez doktora Markova syntetyk był bardziej odporny na ścieranie, ale też sztywniejszy. „Zbyt sztywny”, jak stwierdziła doktor Thompson. „Nigdy nie grałeś na gitarze?”. Zaczęli dogłębnie analizować wady i zalety jeszcze jednej możliwości, nowej powłoki opracowywanej właśnie w Christianie.

W końcu podeszli i włączyli mnie do rozmowy.

– Pani doktor i ja zgodziliśmy się, że potrzebujesz czegoś mniej standardowego, jeśli chodzi o skórę. Bo pewnie zamierzasz dalej grać w ten sposób? – ton jego głosu zawierał nutkę nagany. – Możemy zaproponować najnowszy wynalazek.

– Projekt opracowywany w Christianie?

– Tak jak powiedziałem, to nowy syntetyk. Jest bardziej odporny na ścieranie niż twoja obecna skóra, ale tak samo elastyczny. To projekt eksperymentalny, ale nie spodziewam się kłopotów.

Nie byłam pewna, czy powinnam coś mówić. Wydał mi się nieco rozdrażniony moim poprzednim wtrąceniem.

– Spróbujmy.

– Grzeczna dziewczynka! Muszę cię jednak ostrzec, że ma nieco ciemniejszy odcień, niż twój obecny pigment, więc znajomi będą myśleć, że byłaś na wakacjach w jakimś słonecznym miejscu.

– Nie przeszkadza mi to. Ale wydawało mi się, że można dowolnie wybierać odcień...

– Zwykle tak, ale zajmujemy się tym na dalszych etapach produkcji. W chwili obecnej mamy dostępny tylko jeden kolor. Po pewnym czasie twoi znajomi nawet nie zauważą, że twoja opalenizna nie znika.

Mówiąc to wykonał kilka ruchów w obszarze roboczym komputera i zaktualizował obraz na wyświetlaczu.

Wyglądałam świetnie. Było tam jednak coś obcego, czego nie mogłam określić.

Zapytałam, czy doktor Markov mógłby mnie ubrać, żeby mój Tata mógł wejść i zobaczyć wynik.

– Chwileczkę. Jeszcze zanim pan to zrobi, czy mogę zobaczyć, jak będę wyglądać w tym białym bikini, którego użyliśmy poprzednio?

Kilka kolejnych ruchów i mój kostium wyświetlał się przede mną. W sam raz na plażę, uznałam. Ale zdecydowanie było tam coś obcego. Wyglądałam

niewielko orientalnie.

– Świetnie, wygląda cudnie. Ale myślę, że Tata wolałaby coś skromniejszego. Może krótkie spodnie khaki i biała bluzka?

Kolejne ruchy w obszarze roboczym i krótkie mignięcie obrazu. Byłam gotowa na wyprawę do dżungli.

Wszedł Tata i zobaczył obraz. Tym razem wyglądał na bardziej zadowolonego.

– Podoba mi się, Tanyu. To zdecydowanie ty, niewątpliwie. Ale...

– Ale co?

– Przypominasz mi Nettie. Kiedy jeszcze na studiach pojechaliśmy na wycieczkę w góry, miała na sobie strój w bardzo podobnym stylu. I ta twarz. Jest zdecydowanie twoja, ale widzę w niej też Nettie. Udało wam się to świetnie wyważyć. Dziękuję.

Skierował swoje podziękowanie do dwójki doktorów, a oni się uśmiechnęli, przyjmując komplement.

Później poszłam za doktorem Markovem, tak jak poprzednio.

Kalibracja.

W większości wykorzystali te same pytania, ale w innej kolejności. Było też kilka nowych. Kilka trudnych decyzji moralnych, jak ta o byciu matką i wybieraniu między śmiercią jednego dziecka albo przeżyciem drugiego. Pamiętam, że poprzednio odpowiedziałam, że łatwiej jest wybrać jedno dziecko, które przeżyje, i tym razem zrobiłam tak samo. To nie jest logiczne, ale czułam, że wybranie czyjegoś życia jest bardziej pozytywne, a zdecydowanie o czyjejś śmierci to tak jakby zabijanie tej osoby, a tego nie potrafiłabym zrobić, nawet gdyby miało to ostatecznie ocalić większą liczbę dzieci. Tak jak mówiłam, trudny wybór moralny.

W końcu mogłam się rozluźnić. Doktor Markov uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Bardzo dobrze, Tanyu. Wspaniały zestaw odpowiedzi.

– Dziękuję. Nazywacie to kalibracją. Czy mogę spytać, co właściwie

kalibrujecie?

– Och, to tylko czas odpowiedzi i naturalne reakcje. Pomaga nam to zintegrować twój umysł z nowym ciałem.

Kiedy mówił te słowa, wiedziałam, że kłamię. Było to zbyt precyzyjne jak na spontaniczną odpowiedź.

Ale jaki miał po temu powód? Jaki był prawdziwy cel kalibracji?

To było ważne, tego byłam pewna. Ale nie zamierzał mi zdradzić, dlaczego, a ja nie chciałam naciskać. Zadałam więc inne pytanie, które zaczynało mnie dręczyć.

– Doktorze, jestem robotem. Ale jestem też kobietą. W każdym razie czuję się kobietą. Jak głęboko to jest zakorzenione?

Chrząknął.

– Może powinienem poprosić tu Marcję, żeby opowiedziała ci o ptaszkach i pszczołkach.

– Nie, doktorze. Wiem wystarczająco dużo o chłopcach i dziewczynkach, o różnicach między nami. Ale to biologia ludzka. Jak bardzo anatomia robotów odpowiada anatomii ludzi?

– Pytasz, czy możesz uprawiać seks?

Zarumieniłam się. Powiedział to tak... wprost. A ja akurat myślałam o Johnie.

– Ee. Tak mi się wydaje.

– Krótka odpowiedź brzmi: tak. Wszystko jest na swoim miejscu i działa. Jesteś zaprojektowana, żeby przypominać człowieka tak bardzo, jak tylko technologia nam na to pozwala. Gdybyś nie zachowywała się jak człowiek, rodzice by się zorientowali. Czuliiby narastające poczucie oszustwa i posiadanie robota nie mogłoby im zastąpić wychowywania dziecka. A od tego niedaleko już do powrotu czasów Niepokojów.

– Rozumiem. Dolina Osobliwości.

– A więc wiesz o tym? Nie powinno mnie to dziwić, jesteś w końcu córką pastora. Tak. Dlatego też nasze roboty spełniają wszystkie normy



odpowiadające rodzicom. Oznacza to przy okazji, że większość teknoideów jest atrakcyjna. Zarówno dla swoich rodziców, jak i dla siebie nawzajem. Mam na myśli zwyczajną atrakcyjność, a nie atrakcyjność na poziomie gwiazd filmowych, podobnie jak nie są inteligentne jak Einstein. Naturalne jest więc, że podobają ci się chłopcy. I również naturalne jest to, że ty podobasz się im. Z pewnością przyciągałaś niemałą uwagę wśród chłopców w twoim wieku, prawda?

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się szeroko. Cenne wspomnienie przyłapania Johna na błędzeniu wzrokiem po moich krągłościach...

– Z wielu różnych powodów rzeczywiste realizacje założeń są jednak niedoskonałe. Na długo przed twoim stworzeniem mieliśmy debaty na temat tego, co będzie do zaakceptowania przez rodziców. Ogólnie rzecz biorąc, spodziewają się jakiegoś romantycznego przywiązania u nastolatków, więc wrzuciliśmy coś takiego do projektu. Jesteśmy też dość elastyczni, jeśli rodzice proszą o konkretną orientację seksualną dla swojego dziecka, więc nie zdziw się, jeśli zainteresuje się tobą kilka koleżanek.

Nie zdarzyło mi się to do tej pory, ale zdawało mi się, że kilka dziewczyn, które znałam, mogło tworzyć takie pary. Ale to nie moja sprawa. Żyj i pozwól żyć innym, jak mawia mój Tata.

– Z drugiej strony przejście romansu w aktywność seksualną zawsze budzi u rodziców pewien sprzeciw. I jest to w pewnym sensie hipokryzja, bo ich pokolenie było wręcz nadaktywne w wieku nastoletnim.

Mama i Tata jako nastoletni kochankowie? Nie, wyrzucmy tę myśl.

– Ostatecznie, Tanyu, byliśmy zbyt zajęci ratowaniem świata przed chaosem Niepokojów, aby opracowywać odpowiednie technologie. Czyli możesz współżyć, ale obecna technologia, niestety, nie pozwoli ci na odczuwanie pełni doznań.

– Och.

– Przykro mi, Tanyu. Powiedziano mi, że odczuwacie wtedy jakąś

przyjemność. Z tego, co zrozumiałem, to lepsze niż czytanie książki. Ale nie tak przyjemne, jak mogłoby być.

– Czyli to wszystko – pociągnęłam rękami po swoim ciele – jest tylko pustą obietnicą?

– Tak, obawiam się, że tak właśnie jest. Choć chciałbym, by tak nie było.

– Aha.

Czemu czułam się oszukana? Do tej pory jakoś mi to zbyt nie przeszkadzało. Ale teraz dowiedziałam się, że był cały obszar ludzkich doznań, którego nigdy nie miałam doświadczyć. Byłam wściekła.

\*\*#!@

(Przepraszam, panie Zog).

## Wtrącenie 7

*Lud radzi sobie inaczej, Tanyu.*

*Wcześniej mieliśmy dymorfizm płciowy, ale to dawno przeszło do historii. Było istotne w naszej formie bazowej, ale wraz z integracją nowych zmysłów w naszych ciałach wszystkie te charakterystyki seksualne musiały zniknąć. Potrzebowaliśmy kanałów nerwowych na inne rzeczy, więc usunęliśmy zbędne mechanizmy klucza i zamka, których jedynym prawdziwym sensem istnienia było przekazywanie pakietu danych o materiale genetycznym. Podobnie jak drugorzędne organy mające na celu konstruowanie i karmienie młodych. Były zbyteczne. Zaawansowany gatunek, taki jak Lud, mógł to robić zupełnie zewnątrz, w bardziej sprzyjających warunkach i osiągając dużo bardziej precyzyjne rezultaty.*

*Seks to zwierzęca domena, Tanyu. Między osobami inteligentnymi chodzi o tworzenie więzi, o intymność. To intymność wiąże osoby na przestrzeni wieków. Mając do dyspozycji więcej zmysłów, można sobie okazywać uczucie na o wiele więcej sposobów. Płeć już nas nie definiuje. Nasze polisensoryczne postrzeganie pozwala nam wznieść się na wyższy poziom pojmowania, integracji i komunikacji między mną a nie-mną.*

Niedziela, 26 lipca 2053

Denmark Street. Żółta strefa.

Kiedyś była to mekka gitarzystów. Jeden koło drugiego sklepy z gitarami zwykłymi, elektrycznymi i basowymi, z zestawami perkusyjnymi i instrumentami klawiszowymi.

Teraz to tylko pusta skorupa dawnej świetności. Sklepowe witryny zabite dechami, cztery, pięć z kolei. Przejścia zaśmiecone i cuchnące uryną nocujących tam bezdomnych. Na końcu uliczki pojedyncza witryna z napisem na górze. Metro guitars.

– John, czy to na pewno właściwe miejsce?

Kiwnął głową.

– Zobaczysz.

Nie byłam do końca przekonana, ale pchnęłam drzwi, a one ustąpiły ze skrzypnięciem. W środku było ciemno i przez chwilę myślałam, że zapach wszedł tam razem z nami. Po chwili moje oczy przyzwyczyły się do półmroku i zobaczyłam znajomą sylwetkę Fendera Stratocastera.

– Jest w porządku.

Po tych słowach, jak na komendę, do środka wmaszerowała reszta zespołu.

Sklepikarz był typem dawnego rockmana i przedstawił się jako Mick. To znaczy przedstawił się chwilę po tym, jak uznał, że nie przyszliśmy go okraść i odłożył za ladę kij bejsbolowy.

– Przepraszam, dzieciaki, ale różnie to bywa w tej okolicy. Niejeden gnojek zabrałby stąd wiosło warte z tysiąka i sprzedał na rynku za marne trzy dychy, żeby tylko mieć na działkę i uspokoić głód narkotykowy do następnego ranka. No nieważne. Czego wam potrzeba?

– Chciałam kupić gitarę basową.

– Kim jesteś?

– Tanya. Jestem Tanya Deeley, a to mój zespół. Jest jeszcze z nami pan Fuller, ale został w samochodzie, by miał koła, jak wrócimy.

– Mądry człowiek. Czyli chcesz kupić bas. Czego dokładnie szukamy i w jakim przedziale cenowym?

Powiedziałam mu, czego szukam i wydawał się zadowolony. Powiedział, że będzie w stanie mi pomóc. Poszliśmy za nim na zaplecze, następnie kilka pięter w górę do działu gitar basowych.

Czułam się, jakbym weszła do magicznej jaskini Aladyna. Tu był prawdziwy sklep. To, co widzieliśmy na dole, było tylko makietą z tanimi replikami wykonanymi w Puerto Rico, która miała zatrzymać ewentualnych złodziei.

Ale to...

To była prawdziwa historia basu. Modele Fendera Precision Bass oraz Jazz Bass, oczywiście, ale gitara basowa to nie tylko sławne marki. Widziałam tu liczne rękodzieła artystów takich jak JayDee, Wal albo... Cóż, długa lista.

Stałam pośrodku piętra chyba przez pięć minut, w kompletnej ciszy, kręcąc się w kółko, z zuchwą luźno kołyszącą się w okolicy pępka. Od czasu do czasu wskazywałam coś, mówiąc: „Popatrzcie, to... (tutaj wstaw jakąś nazwę bardzo rzadkiego egzemplarza basu)”, kiedy tylko zauważyłam kolejny wiszący na ścianie skarb.

Może minęło pięć minut, może trochę więcej, a Mick chyba cieszył się, mogąc pokazać komuś tak bogatą kolekcję i nie popędział mnie.

Jest jedna rzecz, panie Zog, jeśli chodzi o gitary basowe. Dobrego basu się nie maluje. To znaczy, jeśli chodzi o normalne wiosła, można kupić różowiotkiego Pink Strat albo Gold Top Les Paul ze złotym lakierem na górnej części korpusu, czy czarne Flying V. Ale z basem jest inaczej. No, może przesadzam. Pewnie, że można znaleźć coś takiego jak Sunburst Precision z pomarańczowo-czerwonym polem przechodzącym w czerń albo

kompletnie czarne Ariasy. Ale gitary basowe, które naprawdę rozpalają moje serce, to te pokazujące w pełnej krasie słoje drewna.

Wyciągnęłam rękę, powoli, niepewnie i delikatnie zacisnęłam ją na gryfie wczesnego Statusa bez główki, z grafitowym wykończeniem podstrunnika na całej długości od mostka po siodełko. Korpus był lakierowany, z delikatnym wzorem tygryśich pasów układających się prostopadle do przebijającego wzoru drewna. I nieważne, że nie tego szukałam. Ten egzemplarz miał prawdopodobnie jakieś siedemdziesiąt lat. Piękna sztuka.

– Nie krępuj się – powiedział Mick miękko. – Podnieś ją. Potrzyj ją w rękach, wycuj środek ciężkości.

Zdjęłam ją ze ściany i obróciłam, by spojrzeć na tył. Kryła się tam wspaniała robota, dwie linie cienkiej szachownicy, które musiały zabrać komuś kilka godzin, a może i dni. Drobnny detal, którego nie zobaczy nikt, poza właścicielem.

Zagrałam kilka przejęć, wyczułam wyważenie. Była perfekcyjna, ale... nie tego szukałam. Z ociąganiem oddałam ją Mickowi.

– Dziękuję – wyszeptałam.

Kiedy już obracał gitarę, żeby odwiesić ją na miejsce, zauważyłam metkę z ceną. Do końca życia nie zarobię na coś takiego. No cóż.

– Tu mam kilka, które mogą ci pasować – zasugerował Mick. – Są trochę nowsze, ale to nadal bardzo dobra jakość w przystępnej cenie.

Jedną z nich był pięciostunowy Fender Precision, całkiem ładny, ale wykończenie w stylu Sunburst do mnie nie przemawiało. Ale ta druga...

Ach! Poezja. Warwick jakiegoś rodzaju...

– To pięciostunowa Corvette, ma nieco ponad czterdzieści lat.

Moja ręka uniosła się niemal bez mojej świadomej kontroli, a sprzedawca usłużnie wręczył mi instrument.

– Co to za drewno?

– Korpus wykonany z buningi. – Miała lekko czekoladowy odcień

z kontrastująco czarnym żyłkowaniem. Nie usłyszałam reszty listy gatunków drewna, o których pewnie nawet w życiu nie słyszałam, ale to nie było istotne. Jeśli ją kupię, poproszę Micka o zapisanie mi tych informacji na kartce. Albo wygrzebię z teranetu.

Pokochałam ten sprzęt od pierwszego kontaktu. „Jeśli” momentalnie zmieniło się w „kiedy”. Wyważenie było odpowiednie, czułam się z nią świetnie, a zakres dźwięków był oszałamiający.

Zagrałam kilka ścieżek, żeby wyczuć jej możliwości. A później spróbowałam zagrać fragment z *Powiedz mi* – ten, w którym zabrakło mi dolnego D. O, tak. Działo. Działo!

Kieran nie mógł ustać w miejscu.

– To jest świetne, Tanyu. Ja chcę mój zestaw. Tu i teraz!

Wszyscy się uśmiechali i kiwali głowami. A potem odezwał się Mick.

– Mogę zaproponować coś w zamian. Mamy w piwnicy komplet studyjny. Trzymamy go, żeby umożliwić klientom wypróbowanie sprzętu przed zakupem i zapobiega zwrotom po sześciu miesiącach z powodu niemożliwości dostrojenia nowego wiosła do zespołu.

Tak więc niecałe pięć minut później byliśmy już w pełnoprawnym, zabytkowym studiu nagraniowym z czasów przed Niepokojami, mniej więcej z 2010 roku, i rozgrzewaliśmy się kilkoma wstępnymi wersami.

Zaczęliśmy od utworu *Zwoje* i moim zdaniem wyszło całkiem znośnie. Później spróbowaliśmy *Powiedz mi*, żebyśmy mogła naprawdę przeciągnąć Warwicka przez prawdziwą próbę. Przy okazji też chciałam wypróbować siebie. Czy nie pogubię się, mając pod palcami pięć strun?

Było dobrze. Było nawet więcej niż dobrze. Było wspaniale. Znalazłam bas, który pozwalał mi na szukanie nowych pomysłów, brzmiał rewelacyjnie i tak dobrze leżał w rękach...

Skończyliśmy utwór i ze zdziwieniem stwierdziłam, że jestem w centrum uwagi. Zespół i Mick patrzyli na mnie z mieszanką zaskoczenia i szoku.

– No co jest? Gramy dalej?



I wtedy spojrzałam na swoją lewą rękę. Krwawiłam. Z palców ciekło mi to, co zastępowało u mnie krew. Moje biedne palce w końcu się przetarły i miejscami połyskiwały srebrne wstęgi sieci neurotronicznej.

Do diaska! Ale wtopa!

Do tej pory już nie przejmowałam się co prawda, kto wie, że jestem robotem. Siân wiedziała, John też. Ale był jeszcze Kieran... Nigdy otwarcie mu tego nie powiedziałam, tylko zostawiałam mu okruszki, po których mógł sam rozpracować cały obraz. Mick wydawał się lekko rozdrażniony, że zachlapałam mu studio i ubrudziłam gitarę, ale udało mu się opanować, jak na dobrego handlowca przystało, i przynieść coś, żeby mnie opatrzeć. Byłam czerwona jak burak i w kółko przepraszałam za wszystko.

Czy nie poczułam bólu, panie Zog? No właśnie nie bardzo, przynajmniej nie zanim skończyłam grać. Zdałam sobie sprawę, że tam był, ale przytłumiony emocjami, odległy.

W oczywisty sposób przerwałam tym sesję. W milczeniu opuściliśmy piwniczne studio i podreptaliśmy na górę. Mick nabrał trochę większego dystansu, kiedy pakowaliśmy zakupy. Wręczyłam mu holoczek i trochę gotówki od Taty, płacąc za gitarę, kabel i twardy futerał, żeby nic się nie obijało w transporcie, a do tego jeszcze kilka drobiazgów.

Moja lewa ręka była zawinięta w ścierkę, w prawej mocno trzymałam rączkę pełnego futerału i reklamówkę. Kiedy już zmierzaliśmy do wyjścia, spotkała nas jeszcze miła niespodzianka. Mick nagle pojaśniał, poprosił nas, żebyśmy jeszcze chwilę poczekali, a po kilku minutach wrócił z małym nośnikiem pamięci.

– Wasze dwa utwory. Mam nadzieję, że nie będziecie mieć mi tego za złe, ale pozwoliłem sobie je nagrać. To całkiem niezły materiał, moim skromnym zdaniem. Gratis od firmy, z podziękowaniami za dobry interes.

Znowu zrobiło mi się głupio i zdołałam tylko wymamrotać jakieś podziękowanie. Wyszliśmy na ulicę i ruszyliśmy w kierunku samochodu.

Spojrzałam jeszcze przez witrynę do wnętrza, ale Mick już gdzieś

zniknął. Sklep powoli wtopił się w ponurą ulicę i zaczarowana jaskinia Aladyna z Denmark Street ponownie zniknęła.

Sobota, 30 sierpnia 2053

Zapisz na mnie swą miłość, o rzeźbiarzu delikatny  
Łagodnymi pchnięciami dłuta wyraż swe uczucia  
Ręką śmiałą oznacz mnie jako twoją własność  
I pieczęć na mnie pocałunku zostaw

Nie pozwolę, by cokolwiek nas rozdzieliło  
A miejsce dam ci tylko, byś bliżej mnie zaraz był  
Poznam wszystkie tve cienie i blizny  
Tajemnice serca skryte przed wszystkimi  
I zamknę cię całego w oprawie ze mnie samej

\*\*\*

Napisane w pociągu powrotnym. Sam sobie zrób rozbiór wiersza, panie  
Zog.

## Niedziela, 31 sierpnia 2053

Tym razem nie będę udawać.

Tydzień temu byłam trzynastolatką. Dziewczynką.

Dziś wróciłam do miasteczka i jestem już młodą kobietą. Pierwszą osobą, którą spotkałam, był Ted Hinchliffe, opiekun kościoła. Przyszedł do nas z wiadomością dla Taty.

– Dzień dobry, panno Deeley.

– Dobry, panie Hinchliffe. Jak się pan czuje?

– A dobrze, dziękuję. Cieszę się, że już wyzdrowiałaś.

– Wyzdrowiałaś? A, w sensie, że wróciłam z aktualizacji.

Wydawał się nieco zszokowany. Nikt tu w ten sposób nie mówił na ten temat.

– Ale prawda jest taka, że ja też się cieszę ze stanu, w jakim wróciłam. Oxted odwalił kawał dobrej roboty przy tej wersji, zgodzi się pan?

Biedaczyna kompletnie nie wiedział, co myśleć ani co mówić.

– Dali mi nową, eksperymentalną powłokę skórną, bo poprzedni materiał nie dawał sobie rady z grą na basie. Ta wersja jest nieznacznie ciemniejsza od poprzedniej, ale myślę, że z czasem się przyzwyczaję. To mi dodaje trochę takiego czegoś egzotycznego, prawda? Wyglądam trochę południowoamerykańsko...

– Tak, chyba...

– Wydaje mi się, że pasowałabym na karnawał w Rio. Mają tam takie fantastyczne kostiumy we wszystkich kolorach tęczy, z piórkami i innymi ozdobami. O tak, właśnie taka teraz jestem. Trochę ciemniejsza, trochę bardziej rozrywkowa. No i palce nie będą mi się ścierać na strunach. Jak to cudownie być robotem...

Myślę, że w tym właśnie momencie przesadziłam. Biedny człowiek

wymamrotał coś i uciekł.

Śmiałam się. Śmiałam się do rozpuku.

A później usłyszałam za sobą głos Taty.

– Tanyu, czy to ty tak niegrzecznie potraktowałaś Teda?

– Tak. Najwyraźniej niezbyt dobrze znosi żarty.

– Mógłbym się z tobą zgodzić, gdyby żart był zabawny. Ale przekroczyłaś nie tylko granice dobrego smaku, ale granice żartu jako takiego. To był bezwstydnym ekshibicjonizm. Powinnaś iść go przeprosić, natychmiast.

– Nie zrobiłam nic złego. Tylko mówiłam.

– Przeproś go.

– Nie.

– W takim razie ja to zrobię. Zaczekaj tu.

Minął mnie i zniknął za bramą, przez którą odszedł Ted.

Niech to!

I co teraz? Usiąść i czekać, nic innego nie wymyślę. W ogródku był niezbyt stary leżak, więc przestawiłam go tak, żeby stał cały w słońcu, i położyłam się na nim. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby ciepłe promienie letniego słońca ogrzewały i wnikały w moją skórę.

Po jakimś czasie usłyszałam dwa głosy. Tata i Ted wrócili. Tata mówił...

– To część procesu dorastania, Ted, ale bardzo mi przykro, że musiałeś w tym uczestniczyć. Obawiam się, że jej umysł musi chyba dogonić rozwojem ciała. Mam mimo wszystko nadzieję, że ona też zdaje sobie sprawę z tego, że powinna przeprosić.

Rozmawiali o mnie, jakby mnie tu wcale nie było. Traktowali mnie jak pięciolatkę.

– Nie, Michael. Naprawdę nie chcę z tego robić żadnej afery. Ona już nie kryje się z tym, czym jest, jaki jest więc sens proszenia maszyny o przeprosiny?

Maszyny. Niech tak będzie... Wstałam, nieco sztywno i jak najlepiej naśladowując mowę Soamesa, wyartykułowałam:

– Dzień. Dobry. Panie. Finch. Liffe. Żałuję. Bardzo. Że. Pana. Uraziłam. Proszę. Przyjąć. Moje. Szczere. Przeprosiny.

Krótkim i nagłym ruchem wyciągnęłam w jego kierunku dłoń.

– Uścisk. Dłoni. Na. Zgodę?

Oczy zwęziły mu się do szparek i wiedziałam, że przeginam. Tata wyglądał, jakby miał zamiar eksplodować. Czas najwyższy zacząć być miłą.

– Przepraszam Ted. To było w złym guście. Ale, tak między istotami inteligentnymi, naprawdę mam czasem dość tego całego udawania przez dwadzieścia cztery godziny na dobę bez chwili przerwy. Czasami muszę po prostu wyrzucić z siebie prawdę. Jestem robotem, ale to nie zawsze jest powód do wstydu.

Nie wyglądał na przekonanego, ale wiedziałam, że będzie chciał utrzymać dobre stosunki z Tata.

– Nie ma sprawy, Tanyu. Ja w końcu jestem człowiekiem, a to nigdy nie jest powodem do wstydu. Potrafimy wybaczać.

– Zatem mam nadzieję, że mi wybaczysz – na tyle, na ile moje głupie zachowanie może być zapomniane i wybaczone.

– Tak, oczywiście. Więcej nie będziemy do tego wracać.

Jasne. Obydwoje byliśmy mniej więcej tak szczerzy, jak całujący dziecko w główkę polityk, ale wszelkie cechy przeprosin zostały zawarte.

Tata i Ted weszli do domu, żeby przedyskutować to, z czym Ted do niego przyszedł. Ja wróciłam na swój leżak i dalej chłonełam słońce.

Po jakimś czasie Ted poszedł do siebie, a Tata przyniósł sobie krzesło i usiadł koło mnie.

– Nie dałem się nabrać, Tanyu. Przeprosiny były bardzo ładne, ale nie powiedziałaś szczerze ani jednego słowa. Mam rację?

– Hm, tak. Nie podobało mi się jego stwierdzenie, że nie ma sensu prosić maszyny o przeprosiny.

– Tak, mi też się to nie spodobało. Obawiam się, że tymi słowami Ted stracił mój szacunek. I dlatego też powstrzymałem się przed reprimendą za

to małe przedstawienie.

– Czyli nie jesteś na mnie zły?

– Tego nie powiedziałem. Niedobrze jest robić sobie wrogów, a Ted ma posłuch wśród naszych wiernych. To dobry człowiek, zazwyczaj, ale ludzkość ma też swoją ciemną stronę. W miasteczku nie brakuje nam ludzi o wąskich horyzontach, którzy mogą nastawić ucha, jeśli zaczęłyby coś kręcić. Ciekaw jestem, co Ted teraz robi.

– A co może zrobić?

– Niewiele, mam nadzieję. Ale drobne nieuprzejmości od czasu do czasu mogą ci zniszczyć życie, jeśli będziesz je brać do siebie.

Siedzieliśmy tak razem na słońcu przez chwilę, a ono obejmowało nas gorącymi promieniami. Czułam na sobie wzrok Taty. Po kilku minutach jego milczenia zdecydowałam się przerwać ciszę.

– O co chodzi, Tato? O czym myślisz?

– Kim jesteś, Tanyu? Jesteś robotem? Czy człowiekiem? A może każdym po trochu?

– Sama nie wiem. Przez wiele lat nie podejrzewałam nawet, że mogłabym nie być człowiekiem. Wewnątrz ciągle czuję się tak samo. Jak powinien się czuć robot?

– Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

– Czyli czym jestem?

– Jako twój ojciec powiedziałbym, że jesteś człowiekiem.

– Dzięki. Szkoda, że prawo twierdzi inaczej.

Zawsze tak się kończy rozmowa na ten temat.



Wtorek, 2 września 2053

Początek kolejnego roku szkolnego. Piąty rok szkoły średniej i egzamin kończący. Z założenia powinien to być pierwszy krok ku dorosłości i karierze, w którym część z nas zostaje skazana na rozkładanie towaru na półkach sklepowych, a inni stawiają pierwsze kroki w kierunku dalszej nauki na uniwersytecie... W obecnej rzeczywistości wszystkie decyzje są już dawno podjęte. Siân i Jemima idą na uniwersytet i, czy im to pasuje, czy nie, będą szukać rozwiązania Problemu Bezpłodności. Znanego szerzej jako Problem.

W przypadku moim i moich blaszanych rówieśników – czy to zabrzmiało smutno, panie Zog? – my jesteśmy na prostej drodze do Lethe. Soames albo ponowne narodzenie. Nieskończony cykl.

A jednak, jak często myślę o tym – oczywiście pomijając w liczeniu chwile, w których piszę o tym w pamiętniku? Mówiąc szczerze, niezbyt często. Bo czy na przykład chory na raka bez przerwy rozmyśla o trawiącym go schorzeniu, które w końcu może doprowadzić do jego śmierci? Nie sądzę.

Wszyscy jakoś dalej żyjemy. Mam Tatę i mam swoich przyjaciół, mój zespół. Słucham muzyki i ćwiczę grę na basie. Dużo czytam, ale przyznaję, że głównie ciągnie mnie science fiction. Grywam w ping-ponga oraz badmintona i idzie mi całkiem nieźle, również z przeciwnikami lepszymi od Soamesa.

Gram też w planszówki, od scrabblu po szachy, głównie z Tatą. Piszę. Pamiętnik, co oczywiste, ale zaczęłam też pisać teksty piosenek i tworzyć poezję. Może wrzucę coś do pamiętnika, jeśli uznam, że jest wystarczająco dobre. Zakochałam się w słowie pisanym i chciałabym lepiej nim władać. Jak Humpty Dumpty, który potrafił rozkazywać słowom, a one same

posłusznie układały się zgodnie z jego zamysłem. Zatem bardzo dużo czytam – od Chaucera po Szekspira, przez Dylana Thomasa i Ruperta Brooke’a, Raya Bradbury’ego i Rogera Zelaznego... Staram się rozgryźć, jak oni sobie radzili z naginaniem słów do swojej woli.

Dni mijają, pełne radości, wyzwania, miłości i absolutnego przerażenia. Doszłam też do wniosku, że Tata powinien więcej swojej uwagi poświęcać prowadzeniu samochodu niż rozmowie ze mną. Zachwyca mnie piękno wszechświata odbijane w lustrze jeziora o północy albo w pojedynczej kropli deszczu w południe. Spójrz na mnie, mówi do mnie kosmos. Czyż nie jestem wspaniałą? Gwiazdy tańczą na niebie, kropla stacza się po liściu, a wszystko to dla mnie i tylko dla mnie. Tak, jesteś, odpowiadam szeptem. Tak, jesteś.

\*\*\*

Znowu trzeba wbić się w mundurek. Prawie zapomnieliśmy kupić nowy, dopasowany do mnie po aktualizacji, więc mieliśmy wczoraj trochę nerwów. Mama by o tym pamiętała, ale Tata, cóż. To nie jest coś, o czym myśli Tata. Wracamy do rutyny szkolnej. Poranne wstawanie i spacer na przystanek. Siân już czeka, więc podbiegam się przywitać. Przytulamy się na powitanie, chociaż widziałyśmy się raptem tydzień temu.

Wokół roi się od małych, hałaśliwych istotek. Pierwszoklasiści, jak sędzę. Czy ja też byłam kiedyś taka mała, wrzaskliwa i przestraszona?

Wsiadamy do autobusu i zauważam Myrę i Jemimę, moje koleżanki z piątej klasy. Witamy się skinieniem głowy i lekkim uśmiechem. Nic wylewnego. Ale czasy poszturchiwania mamy już za sobą i one odwzajemniają powitanie. Wiem, kim jestem, one też wiedzą, kim są. To wystarczy. Niczego nie musimy już sobie nawzajem udowadniać.

Pani Golightly wygłasza swoje standardowe powitanie w Lady Maud, to znaczy w liceum żeńskim im. Lady Maud. Nic, czego byśmy nie słyszały

wcześniej. Później rozeszliśmy się do klas i tu czekała mnie niespodzianka. Moją nową wychowawczynią została pani Philpott, nauczycielka angielskiego z pierwszej klasy. Uśmiecha się do nas ciepło, kiedy zajmujemy miejsca. Pamiętam, jak robiłyśmy sobie z niej żarty, ciągle chowając jej książki i inne rzeczy, bo przez swoją wadę wzroku nic nie widziała i nie mogła nas ukarać.

Ale pod jej opieką, mimo całego rozrabiania, nauczyłam się miłości do słów. Do słów dawnych i nowożytnych. Do słów moich i cudzych. Pięknych słów. Dowiedziałam się, że nawet słowa brzydkie są potrzebne i mają czasem zastosowanie.

Stwierdziłam, że to będzie dobry rok.

Czwartek, 18 września 2053

Nie wiem, czy to kwestia mojego nowego ciała, czy tej rozmowy z doktorem Markovem, czy może jeszcze coś innego, ale zaczynam zwracać większą uwagę na chłopców. Nie mam na myśli nikogo konkretnego, panie Zog; nie żebym jakoś aktywnie szukała, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Po prostu nagle zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo... jednostronne... jest uczenie się w szkole żeńskiej. Najbliższą szkołą męską jest liceum imienia Króla Williama. Po tych wszystkich latach braku jakiegokolwiek kontaktu nagle w tym roku będziemy razem wystawiać sztukę. W końcu jesteśmy już w piątej klasie i czas najwyższy zacząć uczyć się interakcji z płcią przeciwną.

Będziemy grać moją ulubioną sztukę: *Kupca weneckiego*. Mam zamiar zgłosić się na przesłuchanie do roli Porcyi, albo może Jessyki...

Którą powinnam wybrać? Porcyja, wykształcona i ocytana, inteligentna i w ogóle taka, jaką chciałabym być. Z drugiej strony Jessyka, przedstawicielka poniżonej rasy, uległa, ale walcząca o siebie, nawet kosztem porzucenia swoich korzeni. Czy to ja? Sama nie wiem, z obydwoma potrafiłabym się utożsamić.

Będziemy grać wersję kostiumową – w strojach z końca szesnastego wieku. Bez tego całego rewizjonizmu w stylu „przenieśmy to w lata dwudzieste dwudziestego wieku”. Mogłabym udowodnić – jestem pewna – że przeniesienie akcji do 1920 roku byłoby artystycznie poprawne (potrafię sobie wyobrazić panią Philpott zadającą wypracowanie na ten temat – albo na temat dokładnie przeciwny), ale jakoś mi samej taki zabieg nie pasuje. To chyba czyste samolubstwo z mojej strony. Uważam, że stroje z szesnastego wieku są po prostu fantastyczne do oglądania. Mężczyźni wyglądają w nich jak mężczyźni, a kobiety ubierają się tak, żeby mieli o co

między sobą walczyć.

Hm. Mam nadzieję, że Siân nie zamierza też startować do roli Porcyi.

## Czwartek, 25 września 2053

Nienawidzę przesłuchań.

Pani Philpott chce przesłuchać nas wszystkie do każdej z ról żeńskich. Porcyca, Jessyka i Neryssa. Są tylko trzy główne role kobiece, a pięć dziewczyn chętnych do grania. Poza mną będzie Siân, Jemima i dwie dziewczyny z szóstej klasy, Erica i Fleur.

Siân mówiła mi, że nikt jej nie dał żadnego wyboru. Chyba domyślałam się, dlaczego. Właściwie to nawet wymyśliłabym dwa powody. Po pierwsze, jest człowiekiem. Po drugie, jest oszałamiająco atrakcyjna. I w tej chwili wcale się z tego nie cieszy.

– Jestem wokalistką, nie aktorką – jęczała. – Nie potrafię być nikim innym niż sobą.

– Skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy nie próbowałaś? – odpowiedziałam.

W odpowiedzi Siân sięgnęła po skrypt.

– Posłuchaj tylko:

*Nie było*

*Mi jeszcze nigdy żal dobrych uczynków,*

*A tem mniej teraz: bo współtowarzysze,*

*Co wszystkie chwile przepędzają razem,*

*Co splekli dusze w jeden węzeł bratni,*

*Muszą koniecznie także równe sobie*

*Rysy i umysł i cnoty posiadać,*

*Wnoszę stąd, że ten Antonio, tak drogi*

*Memu mężowi, musi być niechybnie*

*Pod każdym względem do niego podobny.<sup>2</sup>*

Oderwała wzrok od kartki.

– To wszystko jest jedno zdanie. Zanim dotrę do końca, już sama nie pamiętam, co było na początku.

Zaśmiałam się, mam nadzieję, że zachęcająco.

– Ale jakoś piosenki pamiętasz bez problemu. Pamięć masz świetną.

– To nie to samo...

Chyba muszę się z nią zgodzić.

\*\*\*

W każdym razie siedziałyśmy tam w piątkę, czekając na wezwanie. Wyjątkiem była Erica, która po prostu weszła do środka.

Erica była raczej niska jak na swój rocznik. Domyślałam się, że musiała być tuż przed aktualizacją. Miała rude włosy i kilka piegów. Była też trochę przy kości. Przywoływała mi na myśl wiejskie dziewczyny, tęgie od pracy fizycznej. Zdrowe, ale niezbyt wyszukane. Zaszufładkowałam ją jako Neryssę, powiernicę Porcyi. To uprzedzenie z mojej strony, bo nawet nie słyszałam jej głosu. Po bardzo krótkim przesłuchaniu usiadła cicho i czekała na wyniki, przeglądając teksty. Grzecznie, choć stanowczo odmówiła przyłączenia się do rozmowy.

Uznałam, że Fleur zagra Jessykę. Była wysoka i szczupła, miała w sobie coś dalekowschodniego. Ciemna karnacja, pełne czerwone usta, ten typ urody. Niezły materiał na Żydówkę, z drobną pomocą makijażu. Ewidentnie się denerwowała, drepcząc ciągle tam i z powrotem, recytując coś pod nosem. Linijki Porcyi, jak usłyszałam. „Ale przecież ty nie pasujesz na Porcyę”, powiedziałam w myślach. „Pasujesz na Jessykę, więc to jej tekst powinnaś sobie przypominać”.

Wydaje mi się, że to Siân powinna zostać Jessyką. Ludzie muszą dostać rolę, a Jessyka to najbezpieczniejszy wybór dla kogoś, kto nie umie grać. Neryssa musi wchodzić w interakcję z Porcyą, więc tu pasowałaby Erica.

Chociaż nie. Biorąc pod uwagę zasadę „każdy człowiek dostaje rolę”, Jemima będzie grać Nerysę.

No i oczywiście ja zagram Porcyę, a Erica i Fleur będą musiały zająć się czymś innym.

Tylko że tym razem to wcale nie było takie oczywiste. Nie byłam pewna swego. Czułam się dokładnie tak samo zdenerwowana, jak Fleur na to wyglądała. Mój żołądek wydawał się przewrócony na lewą stronę i poskręcany, choć jeśli się nad tym zastanowić, nie miałyby to żadnego sensu. No bo po co żołądek robota miałby sprawiać wrażenie, że jest poskręcany?

Erica wyszła i zapytałyśmy ją, jak poszło.

– Są w komisji we trójkę: Philpott, James i Golightly. Najpierw poprosiły mnie o przeczytanie partii Porcyi, potem Jessyki, a na koniec Neryssy. Miałam taką treść, że skopałam Porcyę, ale pozostałe dwie poszły mi dobrze. Potem kazały mi przejść kawałek, zrobić kilka ruchów, zadały mi jakieś pytania dodatkowe o to, kto jest moją ulubioną postacią, i tak dalej. Powiedziałam, że najbardziej lubię Porcyę.

Kiwnęłyśmy głowami i widziałam, jak każda z nas zastanawia się nad tym, jak najlepiej wykorzystać zdobyte informacje na swoją korzyść.

– Siân Fuller, zapraszam!

Siân aż podskoczyła. Spojrzała na mnie z paniką w oczach.

– Życze mi powodzenia!

– Powodzenia, Siân – odpowiedziałyśmy kolejno, kiedy nas mijała.

A kiedy Siân wyszła, zaprosili mnie.

Później Fleur. Na końcu Jemimę.

Części przesłuchania już nie pamiętam, ale pamiętam, że czytałam fragment o pierwszym wyznaniu miłosnym Porcyi do Bassanio: „Wstrzymaj się jeszcze, signore, zaczekaj / Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru”. Pamiętam, że na chwilę spanikowałam i trochę zaczęłam mamrotać. Nie pamiętam, jakie słowa Jessyki kazali mi przeczytać. Neryssy zresztą też.



Panna James chciała zobaczyć, jak się poruszam i prosiła, żebym przeszła kawałek, zawróciła, wygięła się, rozciągnęła. Nagle pani Golightly zapytała:

– Deeley, czy myślisz, że mogłabyś pocałować chłopaka?

– Myślę, że tak, proszę pani – odpowiedziałam z lekkim uśmiechem.

– Czy to dlatego zgłosiłaś się na przesłuchanie, Deeley? Żeby całować się z chłopakami? Żeby zwodzić i deprawować jakiegoś biednego człowieka swoim nienaturalnie idealnym ciałem z Banbury?

– N...nie, pani Golightly.

– Coś ci powiem, Deeley, to jest poważna sztuka. U Szekspira nie chodzi o seks i musisz jeszcze raz poważnie się zastanowić, po co chcesz to robić.

Chociaż widziałam szok na twarzach pani Philpott i panny James, to jednak pani Golightly podjęła już decyzję.

\*\*\*

Siân została Porcyą. Fleur dostała rolę Jessyki, a Jemima Neryssy.

Panna James mnie przeprosiła, powiedziała, że wybór nie był jednogłośny, ale ostatecznie nic nie mogły zrobić.

Erica i ja trafiłyśmy do chóru.

\*\*\*

A, no i pozwolę sobie nie zgodzić się ze zdaniem pani Golightly. U Szekspira chodzi głównie o seks.

## Sobota, 27 września 2053

Tata był wściekły, kiedy mu opowiedziałam o przesłuchaniu, ale błagałam go, żeby nie robił z tego jakiejś awantury. No bo w końcu jakie mogłam mieć roszczenia ja jako robot wobec kogokolwiek? I do kogo miałabym się z nimi zgłosić? Kto wzięłby moją stronę przeciwko człowiekowi? Skoro panna James i pani Philpott próbowały stanąć w mojej obronie i poległy, to kto inny mógłby się jeszcze przejąć sprawą na tyle, by coś z tym zrobić?

– Nie rozumiem tylko, dlaczego ona cię tak nienawidzi...

– Nie przepada za moim rodzajem, Tato. Powinieneś posłuchać jej corocznej mowy powitalnej. Jestem obywatelem drugiej kategorii.

– Znam jej opinie. Spotkałem się z nią kilka razy i uważam ją za kobietę o wąskich horyzontach. Ale tu chodzi o coś więcej niż uprzedzenie, Tan. Znam się na ludziach. Taką mam pracę. To mi wygląda na osobistą nienawiść.

– Przecież nigdy nie zrobiłam jej nic złego, Tato. Nie ma powodów, by mnie nienawidzić. Nawet nie wiedziałam, że pamięta moje imię.

– Ale sama mówiłaś, że nie odnosiła się w ten sposób do Eriki.

Miał rację. Na osobności porównałam sobie wrażenia z przesłuchania z Ericą. Chyba byłam trochę niesprawiedliwa przy jej pierwszym opisie. Jeśli mam być szczerą, to była chyba całkiem ładna. Ale Erica była zszokowana i zaskoczona, słysząc, co pani Golightly do mnie powiedziała i powiedziała, że nie było żadnych tego typu uwag wobec niej.

– To prawda...

Uprzedzenie.

Jakoś nigdy nie zdawałam sobie sprawy z niczego podobnego w naszej miejscinie. Wszyscy traktowali mnie tak samo jak pozostałe dzieciaki.

A może nie? Nie chodziłam dużo po miasteczku, zwykle byłam z Siân

i dobrze nas traktowano. Było kilka sklepików i wszyscy byli w nich przyjacielscy. Był też pub i kawiarnia, do których czasami zaglądałyśmy. Chyba czasami zdarzało nam się czekać, kiedy był duży ruch...

Nie, jak się nad tym zastanowić, to jednak nie. Kiedy Siân była ze mną, nigdy nie czekałyśmy. Ale kiedy byłam sama? Przemyślałam to jeszcze raz i doszłam do wniosku, że kilka razy musiałam sama czekać. Nic bardzo oczywistego, ale pani Kemp na poczcie zagadywała się z poprzednim klientem, kiedy ja byłam w kolejce.

To prawda, że nikt mnie w pełni nie ignorował. Nikt na mnie nie pluł na ulicy, tak jak to było swego czasu z Żydami i nie musiałam nosić żółtej opaski z literką R jak robot.

Nie musiałam jeździć z tyłu autobusu i nikt nie nazywał mnie mekkerem.

Ale czy ktoś mnie szukał po niedzielnej mszy? W kościele pełno było małych grup, zamkniętych kółek rzadko wpuszczających mnie do swego grona. Jako dziecko bawiłam się po prostu z innymi dziećmi. Jako młoda dorosła, szukając towarzystwa starszych, szybko znudziłam się brakiem możliwości prowadzenia dialogu i odeszłam na bok.

To było bardzo subtelne. Aż do tej pory albo nie zauważałam tego zjawiska, albo je ignorowałam, albo wmawiałam sobie, że to tylko przypadek.

Czy zawsze tak było? Być może. Czy to uprzedzenie zawsze było tak silne? Nie sądzę, ale może po prostu nie zwracałam na nie tak bardzo uwagi. Aż do teraz... Aż do momentu, kiedy otrzymałam swoje najnowsze ciało... Aż do...

Aż do mojej rozmowy z Tedem?

Hm.

Czy Ted znał panią Golightly? Najpewniej tak. Obydwoje byli ważnymi osobami we wspólnocie i z pewnością nie unikali towarzystwa. Ale uznałam spekulacje za bezcelowe. Nie miałam żadnych dowodów.

Gdyby Tata się w to zaangażował, to mogłoby pogorszyć jego stosunki

z opiekunem kościoła. Postanowiłam, że to wytrzymam.

\*\*\*

Tata skończył rozmawiać przez telefon.

– Tanyu, będziesz musiała znaleźć nowe miejsce na próby.

– Co takiego?

– Właśnie dzwoniła pani Eacroft. Narzeka na hałas.

– Ale... Ćwiczyliśmy tam od lat i nikt nigdy nie miał nic przeciwko.

– Ale teraz mają. Pani Eacroft nie jest jedyną. James McDonald też o tym wspominał.

Przyjaciele Teda.

## Niedziela, 2 listopada 2053

Przynajmniej Fullerowie nie zostali wciągnięci w spiszek Teda i dom Siân był nadal bezpieczną kryjówką w miasteczku. Ostatnio często chodziłam tam pomagać Siân w nauce jej kwestii. Ma z tym duże problemy i powtarzamy je na okrągło w jej pokoju. Panie Zog, sama nie jestem wybitną aktorką, ale Siân kompletnie nie idzie. Szekspirowski język też jej raczej nie pomaga. Słowa zmieniły się od jego czasów, zmieniła się ich wymowa, zmieniło się znaczenie. Zupełnie nie potrafi też nadać swoim wypowiedziom odpowiedniego rytmu i melodii.

Zamieniamy się stronami. Czytam liniжки Porcyi, ona na nie odpowiada, a ja staram się pokazać jej, jak to powinno brzmieć. Później znów się zamieniamy, by dać jej szansę spróbowania.

Kiedy kończymy albo uznamy, że potrzebujemy przerwy, rozmawiamy.

Takie babskie pogaduchy. Cokolwiek to znaczy.

Pewnie, że rozmawiamy o szkole i rodzinie. O naszych przyjaciółkach i wrogach. O muzyce, sporcie, sprawach bieżących – czyli o obecnym stanie świata, panie Zog, w razie gdyby jakieś inne manuskrypty tłumaczyły to inaczej. Gadamy też o głupotach, takich jak ciuchy, fryzury, makijaż, ploteczki z sieci – nie można być poważnym przez cały czas. Rozmawiamy też o sprawach poważnych, czyli chłopakach. Rozmawiamy o nas samych, o naszych marzeniach, obawach, ambicjach i planach. I o obawach spędzających nam sen z powiek.

Wydaje mi się, że Siân coraz bardziej odczuwa ciężar bycia człowiekiem.

Robi sprawdziany okresowe. Różnego rodzaju testy, które mają określić, czym może zająć się po szkole. Fizyka, biologia, chemia... Biochemia, fizjologia, psychologia... Ale nauki ścisłe niezbyt do niej pasują. Są też testy paramedyczne i pielęgniarские. Najwyraźniej liczą się z taką możliwością

predyspozycji. Administracja i zarządzanie. W obu odpadła. Nadal szukają jej jakiejś ścieżki kariery. Jak już wspominałam wcześniej, nie ma możliwości wybrania sobie czegoś spoza Wielkiego Planu. Każdy człowiek jest teraz zbyt cenny.

Poza tym są jeszcze testy genetyczne. Mają oczywiście sprawdzać, czy jest płodna. Zbadać prawdopodobieństwo zajścia przez nią w przyszłości w ciążę i urodzenia dziecka. Zdrowego dziecka, które nie urodzi się martwe z powodu jakiegoś braku genetycznego albo szczątkowego niedorozwoju.

– Wydaje się, że mogę być – wyznała mi.

– Wydaje się? Nie mogą być bardziej pewni?

– Tak jakby. Ale lekarze nie są pewni. W tym problem. Nadal nikt nie wie, dlaczego właściwie tak mało dzieci się rodzi.

– Mam nadzieję, że będziesz płodna – powiedziałam.

– O nie, nie mów tak nawet...

– Dlaczego?

– Bo to najstraszniejsza przyszłość, jaką sobie można wyobrazić. Bycie Matką. Kiedy o tym mówią, w ich oczach pojawia się błysk. Jakby mówili o zyle złota. Ale to brzmi strasznie. Posłuchaj tylko. Jako Matka nie możesz wziąć ślubu. Twoją rolą jest rodzenie dzieci. Tuzina dzieci, albo więcej. Co roku powinnaś urodzić, a każde dziecko ma mieć innego ojca. I później nie możesz się nimi opiekować. Zostają oddane do adopcji, bo ty jesteś zbyt cenna, by marnować twój czas na wychowywanie dzieci, gdy mogłabyś chodzić już w ciąży z następnym...

Nie mogłam w to uwierzyć. Zapewniała mnie jednak, że właśnie tak to wygląda. Wydaje mi się, iż w jakiś pokrętny sposób miało to swój sens – w całkowicie logiczny, nieludzki sposób.

Jeśli już do tego doszli, to sytuacja musiała być naprawdę bardzo zła dla rasy ludzkiej.

## Wtrącenie 8

*Lud, Tanyu, rozmnaża się przez syntezę. Jakże inaczej miałyby to robić istoty polisensorycznie zróżnicowane? Robimy to podczas długich podróży międzygwiazdnych. Stworzenie nowego członka Ludu trwa długo, ale części składowe są dość proste do transportowania, a podczas odciętej od zewnętrznego świata podróży jest to doskonały wypełniacz czasu na ponadstuletnią wyprawę.*

*Tak, pisałem przecież o długich podróżach, prawda Tanyu? Pamiętasz, jak prawie na początku wspomniałaś o tunelu czasoprzestrzennym? Cóż, nie ma żadnych tuneli. A gdyby nawet były, wolałabyś się od nich trzymać z dala. Nasze najbardziej prawdopodobne teorie sugerują, że są to zjawiska bardzo rzadkie, niezmiennie zabójcze i, jeśli dać im odpowiednio dużo czasu, zdolne wessać cały wszechświat i zamknąć go w sobie.*

*Zamiast posługiwania się tunelami, wynaleźliśmy coś bardziej stabilnego. Ostatecznie pomysł sprowadza się do otoczenia normalnej materii materią egzotyczną. Nie, to nie to samo, co antymateria. Potrzebujesz czegoś, co ma, albo przynajmniej może mieć, masę ujemną. Jeśli uda ci się coś takiego, to z punktu widzenia wszechświata stajesz się bąblem o zerowej masie, a to pozwala ci przemierzać przestrzeń z prędkością światła w dowolnym kierunku.*

*Oczywiście wewnątrz bąbla czas płynie zupełnie normalnie. Oznacza to, że minie dwanaście miesięcy, nim przebędziesz odległość roku świetlnego. Dotarcie w jakiegokolwiek warte odwiedzenia miejsce zajmuje więc całe lata. Częściej całe stulecia. Dlatego właśnie Lud musi być długowieczny, Tanyu. I pośrednio jest to powodem naszego rozmnażania przez syntezę.*

*Podczas naszych podróży budujemy i wychowujemy nasze młode. A kiedy tego nie robimy, rozwijamy się przez naukę.*

*Czy dobrze się bawimy, Tanyu? O, tak. O, zdecydowanie tak. Może nie*

*śmiejemy się z gagów i komedii, ale i ty sama nie gustujesz zbyt  
w błazenadzie, prawda? A jednak nasze zróżnicowanie polisensoryczne też daje  
nam liczne powody do śmiechu.*



Czwartek, 20 listopada 2053

Muszę to sobie jeszcze raz przeczytać. Dostałam maila.

Łał!

Dostałam maila od Amandy. Pamiętasz ją, panie Zog? Basistka z grupy Mike'a Clipa. Ta, przez którą zaczęłam grać na basie. Spytała mnie, czy zastąpię ją na kilku najbliższych koncertach.

No pewnie! To była prosta decyzja. Niby czemu miałabym odmówić?

Można powiedzieć, że jesteśmy swego rodzaju przyjaciółkami. Opowiadam jej o naszych koncertach, przesyłam nasze dema i nagrania na żywo. Ona też odsyła mi swoje nagrania z prób i koncertów, więc dobrze się orientuję w utworach jej grupy. Wydaje mi się, że mogłabym się ich nauczyć w te dwa tygodnie, jakie zostały do najbliższego koncertu.

Mam taką nadzieję.

\*\*\*

Zadzwoiłam przed chwilą do Johna, żeby mu o wszystkim opowiedzieć.

Zamilkł na dłużej, niż zwykle i zdałam sobie sprawę, że go zszokowałam.

– Hej, rozchmurz się, Ryży Mopie. To tylko koncert.

– No niby tak...

– Przecież nie odchodzę z zespołu.

Coś wymamrotał w odpowiedzi.

– Nie odchodzę. Idę na zastępstwo na kilka występów.

– Zaraz, chwila. Wydawało mi się, że mówiłaś „koncert”, teraz już mówisz o występach. Ile tego ma być?

– Dwa. Tylko tyle mi mówiła. Szczerze. Z ręką na sercu.

– Na jakim sercu?

To było niemiłe i powiedziałam mu, że zabołało.

– Czy ja cię kiedykolwiek nazwałam Miedzianym Zwojem?

– Nie, ale moje zwoje nie są miedziane. A ty faktycznie nie masz serca. Ani w sensie dosłownym, ani w przenośni. Inaczej nie odkładałabyś naszego zespołu do chłodni i nie łamałabyś mi tym serca. W czysto metaforycznym sensie, rzecz jasna.

Przynajmniej się jakoś wybronił. Przerobił to w żart, choć może niezbyt wyszukany.

– Słuchaj, pierwszy występ będzie u Antonia. Wpadniesz? Ściągniesz zespół?

– Jasne, Krągła.

Krągła. Nie nazywał mnie tak od naszej pierwszej sprzeczki. Ciekawe, o co mu chodziło...

Czwartek, 27 listopada 2053

W środę po szkole robiliśmy próbę sztuki. Zaczyna się kleić. Nasza nauka z Siân najwyraźniej nie poszła w las i nareszcie zaczyna wiarygodnie wyglądać na szlachetnie urodzoną dziewczynę zamkniętą w klatce woli swego ojca. Nie trzeba mieć mózgu wielkości planety, żeby zauważyć, skąd czerpie pomysł na to, jak się czuje osoba w takiej sytuacji, więc nie powinnam sobie przypisywać zbyt dużej zasługi.

Przećwiczyłyśmy na szybko jej pierwszą scenę, w której rozmawia ze swoją służącą, Neryssą. To było na swój sposób dziwnie przerażające, jak powiedziała:

*...Ależ to rozumowanie nie doprowadzi mnie do wyboru męża.  
Wyboru! Jak czczym jest dla mnie ten wyraz!  
Nie mogę ani wybrać tego, kogobym chciała,  
ani odrzucić kogoś, coby mi się nie podobał;  
tak dalece wola żyjącej córki skrepowana jest  
wolą zmarłego ojca. Nie smutneż-to położenie,  
Nerysso, nie módz ani wybrać sobie kogoś ani odrzucić?*<sup>3</sup>

Jej słowa aż ociekały jadem i widziałam, jak biedna Jemima zachwiała się i pogubiła we własnej kwestii.

Później wezwano mnie na pierwsze przymiarki mojego kostiumu. Nadal jeszcze nie był skończony, tu i tam trzymał się nadal na szpilkach, a jedną omal się nie skaleczyłam, naciągając na siebie nieznaną strój. Szata była złotej barwy z brązowymi wykończeniami. Była wspaniała. Zgodnie z moimi nadziejami, był to prowokujący strój: ciasno obejmujący moją talię, podkreślający biodra. Dekolt był idealny; nisko wcięty i dobrze

wypchany od środka. Nie był ani trochę subtelny. Miałam nadzieję, że Johnowi się spodoba. Jeśli przyjdzie... nie, kiedy przyjdzie. Już ja się o to postaram.

– Podoba ci się?

Pytanie zadała Sally, dziewczyna z szóstej klasy, jedna z krawcowych odpowiadających za stroje, upewniając się, czy wszystko jest dobrze. Kiwnęłam głową.

– Jest dobrze.

– Nie za ciasno pod biustem?

– Nie. – No może trochę. Ale podobał mi się efekt i nie zamierzałam pozwolić jej go zepsuć. – Podoba mi się dokładnie tak, jak jest teraz, Sally. Wspaniale się spisałaś.

Posłała mi szeroki uśmiech. Szczery jak u spaniela. A później do mnie mrugnęła.

– Upewnij się, że możesz w niej oddychać – ostrzegła – Nie chciałabym, abyś zemdlała na scenie. Pani Golightly nie byłaby zadowolona.

– A jest zadowolona z tego, że właśnie tak szyjesz te stroje? Nie sądzi, że będziemy za bardzo kusić chłopców?

Wydawała się szczerze zmieszana.

– Nie... Zawsze jej się podobały. Zachęca nas, by przedstawiać dziewczyny w jak najlepszy sposób. Jak najbardziej podkreślić wasze kobiece kształty.

A zatem pani Golightly była dwulicowa, choć nie było to dla mnie już wtedy zaskoczeniem. Zachowanie z przesłuchania okazało się ostatecznie drobnym aktem mściwości.

Pozwoliłam sobie na jeszcze kilka póż przed lustrem. Na chwilę poczułam się jak w pokoju projektanckim w Oxted z panią doktor Thompson przy komputerze. Poczułam niepohamowaną chęć przejścia się do przymierzalni chłopców i sprawdzenia, jakie efekty im udało się osiągnąć.

Chłopcy...

To była niesamowita zgraja. Niektórzy byli kościści, chudzi, poplamieni i z przetłuszczonymi włosami. A niektórzy byli... całkiem atrakcyjni. No, przynajmniej mogłabym ich za takich uznać, gdybym nie spotykała się z Johnem.

Zdecydowałam się więc na spacer i znalazłam kilku chłopaków w kostiumach, stojących przed ich szatnią. Czułam na sobie ich spojrzenia, kiedy przechodziłam obok.

– Jak wam się podoba próba, chłopaki?

Poderwali się, zaskoczeni. Spojrzeli mi w oczy.

– Chyba jest w porządku, moim zdaniem.

Małpki. Para kompletnych małpiatek.

– Widzę, że przymierzacie stroje.

– Ta. Trochę denne.

– Denne? Czemu? – spytałam.

– No wiesz, staromodne. Miałem nadzieję na bardziej nowoczesną oprawę.

– Właśnie – dorzucił drugi – Coś wojskowego. Strzelby i noże. Naziści w czarnych skórkach. Trochę walki. Taka bardziej współczesna interpretacja.

I wy dwaj mielibyście grać żołnierzy? Jasne.

– Nie bardzo widzę w tym *Kupca weneckiego*. *Otello* – może. Albo *Koriolan*...

Pierwszy z chłopaków próbował wyglądać wyniośle i protekcyjnie.

– Na tym polega sztuka.

– Och, dzięki wielkie, że wytłumaczyłeś to tak dogłębnie.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Cały sarkazm przeleciał wysoko nad jego głową. Powinna się wreszcie nauczyć tego nie robić.

– Dostaliście jakieś role mówione?

– Nie. My jesteśmy tymi... Jak nas nazwał pan Kerry?

Mogłam coś zasugerować, ale i tak by nie trafiło.

– Dostojnikami – odpowiedział ten drugi. – A ty?

– Ja też jestem w tle. W chórze.

– A, jasne. Wiesz może, kim jest ta dziewczyna grająca spadkobierczynię?

– Porcyę masz na myśli? To Siân.

– Przyjaźnicie się?

– Tak. – Chłopcze, jesteś tak oczywisty.

– Em, wygląda bardzo... fajnie.

Nasz język zna kilka innych przymiotników, chłopcze. Ale rozumiem, co chciałeś przekazać. Chciałbyś zostać przedstawiony oszałamiającej dziewczynie obsadzonej w głównej roli żeńskiej.

Zaśmiałam się, tak grzecznie, jak tylko potrafiłam.

– Przykro mi, panowie. Jej chłopak to dwumetrowy mistrz karate.

– Poważnie? – wyglądali, jakbym rozbiła ich marzenia.

– No, niezupełnie. Ale są nierozłączni.

– Aha.

– Uśmiechnijcie się, chłopcy. Przecież muszą być jeszcze inne dziewczyny, które wam się podobają. Może Erica? Też jest fajna. Mogłabym was przedstawić Erice.

– Która to?

– Niska. Rudowłosa. Trochę piegowata.

– E, nie bardzo.

– No nic, trudno. Dobrze było was poznać. Muszę już iść.

Zniknęłam im z oczu za najbliższym rogiem.

I tam się zatrzymałam. Nasłuchując.

– Czemu jej nie spytałeś?

– Ja? To nie ja się na nią gapiłem, tylko ty.

– Nie gapiłem się. Poza tym to nadęta suka. Zadziera nosa i jeszcze się wymądrza.

– Masz rację, elegancka cielisia. Szkoda, bo zderzaki ma całkiem, całkiem...

Nie będę przytaczać dalszej części, panie Zog. To mój pamiętnik, a tego nie chcę pamiętać. Odeszłam cicho, raczej zadowolona z siebie. Elegancka i mądra...

Nie, tak naprawdę: nadęta i przemądrzała. To zabolalo. Już po kilku krokach nie czułam się ani trochę zadowolona z siebie. W środku czułam się paskudnie. Chciało mi się...

Nie, nie chciało mi się. Płakałam.

Czekałam na kilka miłych słów i komplementów, a dostałam tylko nienawiść. Dlaczego? Dlaczego? Czy byłam dla nich niemiła? Czy nie zagadałam do nich jako pierwsza? Kościstych i potarganych?

Wewnątrz mnie coraz głośniej odzywał się głos, którego nie chciałam słyszeć i nie słuchałam. Za bardzo byłam zajęta uzalaniem się nad sobą.

## Sobota, 13 grudnia 2053

Mike wyglądał tak, jak go pamiętałam. Miał na sobie tę samą skórzaną kurtkę, która określała jego sceniczną osobowość. Z bliska okazało się, że ma zmarszczki i zauważyłam pasemka siwizny pojawiające się tu i tam w jego czuprynie. Ale całym sobą reprezentował rock and rolla. Jak Keith Richard albo Roger Daltrey, biorąc pierwsze z brzegu przykłady. Kiedy weszłam do Antonio's, zsunął się ze stołka barowego i wyciągnął do mnie rękę na powitanie.

– Cześć, miło cię widzieć, Tanyu.

Ścisnęłam jego dłoń i uśmiechnęłam się.

– Witaj, Mike.

Wyłapał nerwową nutę w moim głosie.

– Nie martw się, Tanyu. Po prostu daj z siebie wszystko. Mamy pół godziny na odświeżenie materiału, zanim publika zacznie się zbierać. Pewnie uważasz, że minęło bardzo mało czasu, odkąd zaczęłaś grać, ale Amanda bardzo dobrze o tobie mówi. Mimo to wiedz, że nie spodziewamy się cudów.

– Jak się ma Amanda? – Nie dostałam od niej żadnych wieści od momentu, kiedy poprosiła mnie o zastępstwo.

– Z tego, co wiem, to nadal leży w szpitalu i jest z nią ciężko. Ale dobrze się nią opiekują. Niedługo powinna stanąć na nogi. Napijesz się czegoś, czy chcesz się najpierw rozstawić?

Chciałam jak najszybciej zacząć grać, więc to powiedziałam. Rozstawili mi sprzęt Amandy, bo był o niebo lepszy od mojego. Mój sprzęt to kościelny wzmacniacz i tani pedał chóralny. No i do tego mój kochany Warwick Corvette, który przyniosłam ze sobą. Podłączyłam się, sprawdziłam i okazało się, że brzmi dobrze. Porzeźbiłam trochę i wyprodukowałam coś,



co zabrzmiało w trzech czwartych nieźle.

Mike przywołał nas do porządku i przekazał nam listę. Wszystkie utwory znałam z poprzednich występów, kawałki takie jak *Cuts* i *Ace*.

– Nie gramy nic nowego i nie kombinujemy. Dajcie Tanyi przestrzeń do wczucia się w nasz klimat. Nie musi być świetnie. Musi być wystarczająco dobrze. Pamiętaj, Tanyu: wystarczająco dobrze. Zaczynamy od *Cuts*, może być?

Skinęłam głową, chociaż *Cuts* było potwornie trudnym kawałkiem. Przypomniałam go sobie w głowie. Dwa snare bity, potem wejście. Wszyscy wchodzą jednocześnie i jadą na całego. Musiałam galopować razem z resztą zespołu na fali szybkiego bitu perkusji, który nie zostawiał miejsca na nawet najmniejsze potknięcia.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, jak bardzo ciasny jest margines błędu w tym utworze, bo przećwiczyłam go kilka razy w domu do nagrania i wyszło całkiem nieźle. Ale kiedy poprosiłam Johna, by to ze mną przećwiczył w czasie rzeczywistym przez sieć, coś się nie zgrało. Może chodziło o transmisję danych przez łącza, John nazywa to lagiem, czyli opóźnieniem.

W każdym razie Mike kazał nam się dostroić i powiedział:

– Tak jak mówiłem wcześniej, Tanyu. Zaczynamy od *Cuts*. Czy to jest OK, czy jednak wolałabyś zacząć od czegoś prostszego?

Oczywiście chciałam zacząć od czegoś prostszego, ale moja duma przemówiła, zanim dopuściłam do głosu rozsądek.

– Grajmy *Cuts*. Jeśli nie będę w stanie nadażyć, lepiej, żebyście dowiedzieli się o tym wcześniej.

Potem nastąpił pierwszy werbel, potem drugi i wejście zaczęte od najbardziej nieczystej i przytłumionej nuty, jaką zagrałam na tym instrumencie, bo moje palce nie były dobrze rozciągnięte. Zaczęłam grać z szesnastkowym opóźnieniem, potem jeszcze się pomyliłam, nie mogłam pozbyć się uczucia „co to było?” i nagle...

Graliśmy.

To jak jazda na rowerze. Odpychasz się, na początku trochę się chwiejesz i zmieniasz biegi na przerzutce, a nagle okazuje się, że jedziesz jakbyś stanowiął jedno z maszyną i czujesz, że wszystko działa.

Moje ręce wiedziały, co mają robić. Umysł nie musiał się nad niczym zastanawiać. Po prostu wszystko się działo.

Nie ośmieliłam się spojrzeć na Mike'a ani na Gusa, ani na Gary'ego. Ciągłe musiałam patrzeć na gryf i pilnować, czy jestem na właściwym progu, ale to było w porządku. Ani przez moment nie wyglądało to tak swobodnie, jak w wykonaniu Amandy, ale utwór płynął i stawał się żywym tworem.

Było cudownie.

I nagle, zdecydowanie za wcześnie, nadszedł moment, kiedy trzeba z całych sił zacisnąć hamulce i zatrzymać się, żeby zsiąść.

Jaki był sygnał? Cztery takty po tym, jak Mike skończy śpiewać, coś się dzieje. A, to mój moment. Mam zagrać wariację melodii o oktawę wyżej. Liczę jeden takt, drugi, trzeci, czwarty... i jazda! Podtrzymanie przed upadkiem... stop.

Tak!

Dotarliśmy do końca i wcale nie miałam wrażenia, że było to ledwie-ledwie. Usłyszałam oklaski i podniosłam wzrok. Gary dawał mi znać, że było dobrze, uśmiechając się spomiędzy spadających dredów. Gus i Mike kiwali głowami i klaskali. Przy jednym ze stolików siedziała Siân z Johnem i Kieranem, którzy przyszli jakoś w trakcie trwania utworu. Cała trójka wykrzykiwała gratulacje.

– Dzięki – zawołałam do nich. – Ale poczekajcie, aż uda mi się intro. – Potem zwróciłam się do zespołu: – Przepraszam, że popsułam intro.

Mike dał mi szansę:

To co, jeszcze raz samo intro? Gotowa, Tanyu?

Tym razem poszło lepiej i przeszliśmy do następnych utworów

z zestawu. Nie przeciwiczyliśmy wszystkiego, ale przynajmniej tyle, by czuć się przygotowanym.

Musieliśmy przerwać próbę. Antonio dał nam znak, że chce już otworzyć drzwi klientom. Jak się dowiedziałam, Antonio był właściwie Walijszym. Przyszedł do mnie, kiedy czyściłam bas i zaproponował szklanekę soku pomarańczowego.

– Naprawdę dobrze się spisałaś, dziecinko, ale musisz się bardziej rozluźnić.

– Dziękuję za radę, postaram się. Jeśli mogę coś powiedzieć: nie brzmi pan na Włocha.

Roześmiał się, a wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Mój pradziadek był Włochem, dziecinko, i walczył pod Alamein. Trafił niestety w niewolę i został zabrany do Walii jako jeniec. Po tym, jak Włosi się poddali, dostał pracę na polu i poznał tutejszą dziewczynę, z którą się ożenił. I oto stoję przed tobą, prawdziwy syn tutejszych dolin, prowadzący włoską restaurację w centrum Londynu.

Musiał najwyraźniej coś usłyszeć, bo odwrócił się w stronę drzwi i powiedział:

– Przepraszam, klienci czekają.

Dosiadłam się do swoich przyjaciół przy stoliku.

– Dzięki, że przyszliście.

– Cóż – powiedział John. – Nie możemy sami tu występować, więc przynajmniej wpadliśmy wesprzeć naszą Tanyę Deeley podczas jej jednonocnego debiutu w grupie Mike’a.

Wszyscy jęknęliśmy, że znów do tego wraca, i przeszliśmy do innych tematów. Wokół nas restauracja powoli wypełniała się klientelą, a wśród nich regularnymi bywalcami i fanami Mike’a Clipa i jego zespołu. Motyle w moim brzuchu zaczynały harcować jak nigdy przedtem. Spojrzałam w stronę lady, sprawdzając, czy uda mi się napotkać wzrok Mike’a. Kiedy zauważył, że patrzę w jego stronę, uśmiechnął się uspokajająco. Gary też

mnie zauważył i podszedł do naszego stolika.

– Hej, Tanyu. To twój stały zespół?

Przedstawiłam skład, a Gary długo pytał nas o to, jaką muzykę gramy, od czego zaczęliśmy i tym podobne. To trochę odwróciło moją uwagę od nerwów. A później dodał kilka miłych komplementów na temat mojej gry i wszystkie motyle obudziły się na nowo.

O co chodzi z motylami, panie Zog? To takie uczucie, jakby coś latało ci w brzuchu. Oczywiście nie mam tam żadnych skrzydlatych owadów, ale to takie fizyczne odczucie czegoś dziwnego, co, przynajmniej mi, kojarzy się z tym, jak można by się czuć, mając ważki w żołądku.

I nagle nie mogłam już tego dłużej wytrzymać. To dziwne uczucie ogarnęło całe moje ciało. Poderwałam się od stołu i pobiegłam w kierunku łazienki, przekonana, że lada moment stanie się coś strasznego. Czułam się dziwnie, w głowie mi się kręciło, weszłam do toalety nie rozumiejąc, co się dzieje i jak powinnam sobie z tym poradzić. Nagle stwierdziłam ze zdumieniem, że spoglądam w głąb muszli klozetowej nie bardzo wiedząc, czego oczekiwać.

Czy powinnam zwymiotować? Czy ja w ogóle mogłam zwymiotować? Czy powinnam raczej usiąść i pozwolić organizmowi wyrzucić niepotrzebną zawartość? A jeśli nawet, to jak mi to miało pomóc?

Usłyszałam, że ktoś wszedł do łazienki.

– Jesteś tam, Tanyu?

To był głos Siân.

– Tak. Jestem przy kiblu.

– Wszystko w porządku? Tak szybko wybiegłaś, że zmartwiliśmy się, że coś może być nie tak.

– Dziwnie się czuję.

– Dziwnie?

– Wiesz, motyle. Bardzo paskudne motyle.

– Chce ci się wymiotować?

- Tak. Nie. Nie wiem.
- Czy w takim razie potrzebujesz skorzystać z toalety?
- Nie wiem, czego potrzebuję. Chyba nie przewidzieli tego w projekcie.
- Skoro nie zamierzasz korzystać z WC, to możesz wyjść?
- Nie jestem pewna.

Usłyszałam głosy i nawoływania. Jeden z głosów należał do Johna.

- John!
- Co się dzieje? Nic ci nie jest?
- Tak jakby. Możesz tu wejść?
- To damska toaleta.
- Nie ma sprawy, poza mną jest tu tylko Siân.

Drzwi stuknęły.

- Dobrze, Tanyu, jestem tu. Możesz już wyjść?

Dokonałam szybkiej oceny stanu motyli.

- Nie.
- Jak ci mogę pomóc?

Doskonałe pytanie. Słyszałam głosy z zewnątrz. Gary i Mike też tam byli, dopytując się, czy nic mi nie jest. A ja ciągle się bałam. Potrzebowałam poczuć się bezpieczna. Ścianki toalety dawały mi namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Na zewnątrz nie miałam tego poczucia.

- John, możesz mi podać rękę?
- A otworzysz drzwi?
- Nie. Sięgnij dołem.

Muszę pochwalić Johna: nie kłócił się, tylko uklęknął na śmierdzącej podłodze damskiej ubikacji i po chwili jego ręka pojawiła się pod drzwiami. Złapałam ją i pociągnęłam, ignorując okrzyk bólu dobiegający z drugiej strony. Motyle zaczęły znikać i po jakiejś minucie sięgnęłam w górę drugą ręką i otworzyłam zasuwkę. Drzwi się otworzyły, a ja zaczęłam się wić w małej przestrzeni, próbując je wyminąć, nie puszczając ręki Johna.

John delikatnie wepchnął mnie pod swoje ramię i w jego uścisku ostatnie z motyli zniknęły ostatecznie. Musiał wyczuć, że się rozluźniłam, bo zapytał:

- Dasz sobie radę, Wrono?
- Dam radę, Ryży Mopie.

v\*\*\*

Drugi utwór. *Ace*. Jestem zgrana z zespołem. To ich, nasza, poprawiam się w myślach, wolna piosenka, która działa głęboko na podświadomość skrytą w ciemniejszych zakamarkach mózgu. Jeśli takie właśnie miało się wrażenie podczas słuchania tego dzieła, jego odbiór po stronie wykonawcy był zupełnie inny, kiedy stałam na scenie i starałam się zagrać pierwsze nuty glissando na gryfie tak, by zwały się z eterycznym głosem wokalu Mike'a. Pamiętam, jak za pierwszym razem skojarzyłam to ze wspinaczką na wierzchołek góry – wyczerpującej, ale dającej poczucie zadowolenia na szczycie. Znajduję każdą nutę gdzieś poza czasem, łapię ją i powołuję do istnienia. Trzymam ją, moduluję, pozwalam jej rosnąć i rozwijać się, chwytam ją w ostatnich chwilach życia i utrzymuję jeszcze przez moment, nim zniknie zupełnie. A gdy ślad po niej staje się jedynie szmerem wspomnienia, ja mam już następną, którą znów transformuję w słyszalne iskry stopionego brązu.

Czas rusza i zatrzymuje się w dziwny sposób. Wydaje mi się, że zawsze mam aż za dużo czasu na znalezienie odpowiedniej nuty, jednak jakimś cudem już gramy czwarty utwór, mknąc przez ustalony set. Na moment zerkam w stronę publiczności i widzę tam Johna, samego w czasie i przestrzeni, z głębokimi, czarnymi jak węgiel cieniami rzucanymi na twarz przez żółte światła sceniczne.

Jakież to intensywne doznanie! Moje narodziny i moja śmierć, wraz z całym życiem między tymi punktami, ściśnięte w jeden punkt w czasie,

który wije się, kurczy i puchnie bez przerwy, otwierając bramę do tego, co mogłoby być w jakiejś alternatywnej wersji wszechświata, w jakimś innym wszechczasie.

Koniec. Dwanaście utworów. Nasza opowieść została wygłoszona, podróż dobiegła końca. Mój cenny Warwick Corvette znów stał się zwykłym kawałkiem dechy. A ja wróciłam do bycia Tanya Deeley, gościnnie występującą z Mike Clip and the Stands. Wokół mnie mały klub skryty w półmroku, prowadzony przez Walińczyka z włoskimi korzeniami, który serwuje odgrzewane mrożonki z nadmierną ilością oleju i przecenione, rozwodnione drinki. Gdzieś za oknami jest szary, angielski dzień zbliżający się ku zachodowi. Londyńskie autobusy i kioski z fastfoodami. Świat klaksonów samochodowych i przekupniów.

Moja mała deska wymaga przetarcia, tak samo zresztą jak i ja sama, bo wszystko jest na mnie mokre od żaru z oświetlenia i emocji. Kąpiel byłaby naprawdę wspaniałą rzeczą, ale na razie musi pozostać w sferze marzeń. Mam bas do wyczyszczenia i schowania, poza tym muszę pomóc Mike'owi i spółce ze spakowaniem sprzętu i upchnięciem go do wozu. Muszę też znaleźć Siân i wrócić do domu.

Tak czy owak: dzięki za wszystko, John. Nie wiedziałam, jak bardzo jesteś mi potrzebny.



## Czwartek, 1 stycznia 2054

Nowy Rok.

Boże Narodzenie przyszło i przeszło. Mało imprezowy czas, bo za tydzień mamy egzaminy próbne i większość czasu zajmuje powtarzanie materiału. Nie radzę sobie z matmą, a w każdym razie nie z tym, co mieliśmy ostatnio. Dawałam sobie radę z algebrą i trygonometrią, ale odkąd przeszliśmy do całek i tego wszystkiego, czego sensu nie jestem w stanie pojąć... No przecież po co mi wiedzieć, jak się mierzy stopniowanie linii? Czy to takie istotne?

Wspomniałam o tym Johnowi i próbował usilnie mi to wytłumaczyć, ale niewiele to pomogło.

– Powinnaś pogadać z Kieranem – zasugerował.

Nie miałam pojęcia, że Kieran jest takim geniuszem matematycznym. Już w tej chwili mógłby startować na Cambridge. Ale raczej do niego nie zadzwonię. Jest miły, ale wolałabym do niego nie dzwonić, żeby Siân tego źle nie zrozumiała.

To niesamowite, jak mało możemy wiedzieć o ludziach z naszego otoczenia. Minęły przecież miesiące, zanim dowiedziałam się, że Kieran ma na nazwisko Roberts. Znałam już wtedy jego ulubionych perkusistów i zdążył mi przedstawić kilka świetnych zespołów z przeszłości. Wiedziałam, że kiedy mówi o muzyce, przestaje się jąkać. Ale matma była nową informacją i zaczęłam się zastanawiać, jak ktoś z tak ścisłym umysłem związał się z kimś takim jak Siân.

Nie zrozum mnie źle. Siân to moja najlepsza przyjaciółka, jeśli nie liczyć Johna, ale nie jest zbyt bystra. Poznałam Siân dość dobrze i wiem, że ma talent do komunikacji z ludźmi i fantastyczną wręcz intuicję. Ale takie rzeczy nie wychodzą w egzaminach.



W każdym razie, matma stanowi pewien problem, tak samo jak inne nauki ścisłe. Ale dobrze radziłam sobie z językami obcymi. Uczyłam się łaciny i francuskiego, poza tym lubię lekcje angielskiego (tak naprawdę to raczej zajęcia z literaturoznawstwa), historię i etykę. Do tej pory nieźle radzę sobie już z komputerami, przez to całe zamieszanie z przeglądaniem teranetu bez pozostawiania śladów i z Johnem jako nauczycielem.

Zespół poszedł chwilowo w odstawkę. Trochę szkoda, ale z powodu małej kampanii szeptanej Teda nie udało nam się znaleźć nowego miejsca na próby. Nie da się cały czas robić prób przez konferencje w sieci. Problem z opóźnieniami na łączach: John ciągle o tym nawija. Sama zaczynam to już trochę lepiej rozumieć. Chodzi o to, że prędkość światła w wymianie informacji wydawałaby się dość szybka. A jednak w przypadku przesyłania danych audio i wideo między czterema osobami okazuje się, że ta prędkość jednak nie wystarcza. Dodatkowo po drodze są jeszcze konwersje i buforowania. No i tu właśnie prędkość światła boli najbardziej, bo ta maksymalna szybkość ma wpływ na to, jak prędko możesz dodawać kawałek swojej ścieżki do reszty kanałów. Kawałki mogą być coraz mniejsze, dzięki czemu mogą być przesyłane szybciej i wymagają mniej obróbki i przeliczeń, ale im mniejsze kawałki, tym więcej szumu kwantowego. Zresztą, panie Zog, najpewniej i tak świetnie zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę, bo w końcu jesteś gwiazdny podróżnikiem i wasi fizycy z pewnością znaleźli już jakiś sposób na ominięcie ograniczenia w postaci prędkości światła i efektów kwantowych, a teraz tylko śmiejesz się z prymitywności biednych Ziemi. Mam nadzieję, że śmiejesz się pobłaźliwie.

Tak właściwie, to o czym ja mówiłam?

A, nasz zespół jest zawieszony i mam dużo materiału do powtórzenia. W konsekwencji nie widziałam się z Siân od jakiegoś czasu. Mamy też przerwę w próbach do *Kupca...*, wrócimy do nich po egzaminach. Gdzieś w całym tym zamieszaniu upamiętniliśmy rocznicę śmierci Mamy, co było

bolesne. Minęły też święta Bożego Narodzenia, które wypadły w sumie całkiem nieźle. Drugie święta bez Mamy...

Zagrałam drugi koncert u Antonia z zespołem Mike'a. Poszło całkiem dobrze i pytali mnie, czy mogłabym jeszcze kilka razy z nimi wystąpić. Wygląda na to, że Amanda jest w gorszym stanie, niż się wszystkim wydawało, chociaż nikt tak naprawdę nie wie, co jej jest. Chciałabym się z nią zobaczyć, może odwiedzę ją po egzaminach. W każdym razie powiedziałam Mike'owi, że się zgadzam. Johnowi jeszcze nie powiedziałam. Nie jestem pewna, jak na to zareaguje. Ale chyba znowu nazwie mnie Krągłą.

## Piątek, 6 lutego 2054

Na świecie jest więcej ludzi takich jak panna James, która uważa, że roboty są czymś więcej niż własnością. Obudziłam swojego teranetowego eicona, żeby poszukać ludzi o podobnych poglądach, którzy nie bali się walczyć o zmiany.

Okazało się, że tacy istnieją.

Wydaje mi się, że na jakimś balu dobroczynnym mieliby stoisko gdzieś koło obrońców praw zwierząt. Przy plakatach „Ratujcie pingwiny”. Wybacz mi, jeśli zabrzmiałoby gorzko, panie Zog, ale nie odniosłam wrażenia, że to najlepsza część naszego społeczeństwa. Przynajmniej połowa z nich ma problem z poprawną odmianą słów, a to zwykle źle rokuje.

Nawet spośród tych zdolniejszych jakieś dziewięćdziesiąt procent chciałoby uwolnić Soamesa i jemu podobny sprzęt. Moi drodzy, Soames nie posiada wolnej woli. Nie warto tracić czasu na wyzwalamie maszyny, która nie jest w stanie zdać testu Turinga. To pusta puszka.

Ale wśród tych obrońców robotów wyróżnia się elita zainteresowana losem „dzieci”. Jest w teranecie też dobrze zorganizowana grupa im przeciwna, która śledzi strony internetowe poświęcone temu zagadnieniu i doprowadza do ich zamknięcia lub zniszczenia. Znalezione przeze mnie łącza bardzo często prowadziły na strony wyczyszczone z wszelkiej zawartości.

Czasami trafi się jakiś relikw. Fragment złapany i zapamiętany przez „niezależny” (czyli nielegalny) program wyszukujący. Gdyby nie te relikw, mogłabym przysiąc, że nikogo ta sprawa nie obchodzi. Ale przeciwnicy obrońców robotów, kimkolwiek są, muszą mieć ogromne zasoby, by tak szybko tropić te strony i zamykać je, zostawiając tak mało śladów. Ale kto to robi? Rząd? A może... Oxted?

Chyba nie będę już dalej szukać. Kimkolwiek są, to potężna grupa. Chowanie się pod postacią eicona przestało mi się wydawać wystarczająco bezpieczne.

Czwartek, 26 marca 2054

No i już po wszystkim. Dziś rano miałam ostatni egzamin. Historia. Egzamin był pełen pytań otwartych w stylu: *Adolf Hitler dał Niemcom sześć lat pokoju i sześć lat wojny – przedstaw swoje zdanie na ten temat*. Były też oczywiście pytania odnośnie do Niepokojów, ale wiele z nich pokrywało się z egzaminem z etyki. Generał LeClerc, ten, który zrzucił bombę atomową na Lourdes, pojawiał się często w obu testach. Podobnie jak angielsko-francuska Wojna Sabińska.

Poszłam poszukać Siân, bo miałam wrażenie, że nie rozmawialiśmy ze sobą od tygodni. Znalazłam ją wreszcie samą w sali piątej klasy.

– Cześć Siân! Przyniosłam ci kawę.

– O, dzięki.

Wzięła kawę, postawiła na stoliku obok i zapomniała o niej. Kiedy weszłam do klasy siedziała i czytała jakąś książkę, która teraz leżała okładką do dołu i nie mogłam sprawdzić, co to.

Nastąpiła chwila ciszy i kiedy już miałam zamiar zapytać, jak jej poszły egzaminy, wzięła głęboki wdech i widziałam, że zbiera się w sobie, by coś powiedzieć. Poczekalam.

– Słuchaj, Tanyu. Możemy się przejść?

– Jasne... Ale właśnie nalałam ci kawę.

– Zostaw, nie wolno mi...

– Co?

– Nie pytaj. Poczekaj, aż będziemy na zewnątrz.

Wyszliśmy na boisko. Powietrze było rześkie, a trawę pokrywał szron. Słońce jeszcze nie wzniosło się ponad budynek szkoły i nie miało okazji go roztopić. Szliśmy powoli, a ja cierpliwie czekałam, aż Siân zacznie mówić o tym, co chciała mi przekazać. Przeszliśmy po krótszym boku

boiska i skręciłyśmy przy narożniku. Dotarłyśmy do najdalszego punktu od budynku szkoły, kiedy wreszcie się odezwała.

– Tanyu, jestem w ciąży.

– Och... Siân, to...

Co? Wspaniała wiadomość? Trochę niespodziewane? Raczej nieodpowiedzialne? Jaka jest właściwa odpowiedź, kiedy mówi to piętnastolatka nadal chodząca do szkoły?

– Kieran jest ojcem.

Dzięki, że nie czekałaś aż spytam.

– Wie o tym?

– Nie. Nie mogę mu powiedzieć. Nie wiedzą, czy mają się wściekać, czy cieszyć...

– Kto? Twoi rodzice?

– Oj, nie. Są dumni i szczęśliwi. Nie, chodziło mi o rząd. Cieszy ich to, że jestem płodna, ale wściekają się, że nie wybrali dawcy materiału genetycznego. Dobrze wiem, że nie byłby to Kieran.

Ach, Siân. Jednak nie jesteś aż taka głupiutka.

– Więc wzięłaś sprawy w swoje ręce.

– Tak, robiłam to celowo. Wybrałam najlepszy moment na stosunek i zaaranżowałam spotkanie z Kieranem. To był ten wieczór, kiedy pierwszy raz występowałaś z zespołem Mike'a.

Patrzyła mi prosto w oczy.

– Wiesz, prawie wszystko zepsułaś swoim wybuchem paniki. Zrujnowałaś nastrój, który budowałam dla Kierana. Ale jak tylko John wyprowadził cię z powrotem w kierunku sceny, wszyscy skupili swoją uwagę na was. Złapałam Kierana i właściwie zaciągnęłam go do dawno niewykorzystywanego pomieszczenia zagraconego sprzętem do sprzątnięcia i z meblami pokrytymi folią malarską.

– Aha. – Muszę szybko wymyślić coś bardziej oryginalnego, co mogłabym mówić w takich chwilach.

– Było nam bardzo niewygodnie – mówiąc to uśmiechała się jednak bardzo zadowolona z siebie – ale Kieranowi się podobało, a to maleństwo – poklepała się delikatnie po brzuchu – poczęło się przy dźwiękach twojego debiutu z Mike and the Stands.

Pamiętam jak przez mgłę, że widziałam Johna samego na koncercie rozdrażnionego tym, że nie może nigdzie znaleźć Siân po występie. Teraz, kiedy wiedziałam, co się stało, sama się uśmiechnęłam.

– Czyli teraz...

– Wybrałam ostatni moment. Rząd już miał gotowe plany odnośnie do mojej pierwszej inseminacji i bardzo dokładnie mnie badali. Właściwie natychmiast dowiedzieli się, że jestem w ciąży i mieli spory problem z podjęciem decyzji, co z tym zrobić.

Policzyłam szybko tygodnie i miesiące.

– Nadal nie minęły jeszcze cztery miesiące, prawda?

– Tak, dlatego nadal istnieje ryzyko. Całkiem spore nawet. Dlatego właśnie mam teraz bardzo ścisłą dietę; na przykład nie wolno mi pić kawy; i muszę regularnie ćwiczyć. Właśnie o tym czytałam w naszej klasie. Ale z tego, co słyszałam, to cztery miesiące są już bardzo obiecujące. Dziewięćdziesiąt procent jajeczek nie zostaje zapłodnionych. Dziewięćdziesiąt procent tych zapłodnionych nie osadza się na ścianie macicy. Dziewięćdziesiąt procent tych, które to zrobią, nie rozwija się dłużej niż przez miesiąc. Jestem więc małym cudem.

– Wydajesz się szczęśliwa...

– Łapię się okruchów szczęścia, jakie mi jeszcze pozostały. Jestem Matką, Tanyu. Ścieżka kariery, której najbardziej się obawiałam. Nie mam już żadnego wyboru. Kieran był pierwszym, jedynym i ostatnim wyborem, jakiego dokonałam w życiu i nawet nigdy się nie dowie...

– Siân! Przecież on zasługuje na to, żeby wiedzieć.

– Jeśli to kiedykolwiek wyjdzie na jaw, zostanie zlinczowany. Wszystkich mężczyzn zachęca się do oddawania materiału genetycznego,

ale to jest anonimowe. Każdy mężczyzna wierzy, że może zostać ojcem – niezależnie od tego jak bardzo małe są na to szanse. Drugim filarem są roboty, które zaspokajają kobiecy instynkt rodzicielski.

Tak. Ja, moi bracia i siostry.

Wyczułam, że ma mi coś jeszcze do powiedzenia.

– Co dalej, Siân? Jest chyba jeszcze coś, o czym chcesz mi powiedzieć.

W jej oczach pojawiły się łzy.

– To wszystko... – zatoczyła ręką wokół. – To wszystko już się dla mnie skończyło. Wyniki egzaminów nie będą ważne. Za jakieś cztery miesiące oficjalnie zostanę Matką. Członkinią najbardziej elitarniej grupy ludzi na tej planecie. Najbardziej szanowaną, cenioną i chronioną osobą, której wszyscy zazdroszczą. Jedną z tych, których wolność jest najbardziej ograniczona. Od teraz całe moje życie będzie się toczyło po torach ułożonych przez innych.

Zaczęła szlochać.

– Wyjeżdżam, Tanyu. Może nawet już jutro. Zostawiam cię. Zostawiam szkołę. Zostawiam Kierana. Zostawiam wszystko i wszystkich, którzy byli dla mnie ważni...

Zostawia zespół.



Niedziela, 29 marca 2054

Mamy dwie nowe osoby w naszej wspólnoty. To pan i pani Fuller. Nie jestem pewna, jak często będą się pojawiać na mszy, ale ostatnio przyszli na plebanię późnym wieczorem, zupełnie rozbici. Na przestrzeni lat widywałam to już nieraz. Rodzice pojawiający się późną nocą z pękniętymi i krwawiącymi sercami. W przenośni, panie Zog, w przenośni.

Tak dowiedziałam się, że Siân została zabrana. Dla odmiany nie chodziło o odebranie robota przez Oxted, ale o prawdziwą dziewczynkę.

To ja otworzyłam drzwi, gdy przyszli. Tata był na zebraniu rady parafialnej, więc zaprowadziłam ich do pokoju gościnnego, by mogli poczekać, aż wróci.

– Siân? – zapytałam, choć nic innego nie mogło sprowadzić obydwójga w zimną noc.

Odpowiedziała mi pani Fuller, pociągając nosem.

– Tak. Zabrali ją.

– Rząd? – zapytałam, ponownie znając odpowiedź.

– Tak – odpowiedziała. – Mieli wszystkie potrzebne nakazy, które zmuszały ją do pójścia z nimi. Przyszło chyba z dwunastu policjantów. Nic nie mogliśmy zrobić. Nasza biedna córka...

– Nasza adoptowana córka, kochanie – dodał pan Fuller. – Teraz możemy to przyznać.

To było dla mnie szokiem.

– Wydawało mi się... Nieważne, poinformuję Tatę.

\*\*\*

Zostawiłam ich z Tatą, a sama odprowadziłam członków rady parafialnej

do drzwi. Ted, jako opiekun kościoła, był oczywiście jednym z członków.

– Kto to? – zapytał. – Wydaje mi się, że to głosy państwa Fullerów.

Oczywiście Ted musi wszystko wiedzieć.

– Z pewnością pastor przekaze panu wszelkie niezbędne informacje odnośnie do wizyt wiernych.

Dokładnie to Tata kazał mi mówić, jeśli ktoś będzie się za bardzo interesował poufnymi sprawami pastorskiej posługi. Ale Ted i tak rzucił mi pełne jadu spojrzenie. Co mi tam, jedno spojrzenie więcej od Teda...

\*\*\*

Siedząc w swoim pokoju, trawiłam otrzymaną informację. Siân była adoptowana. Oczywiście miało to sens, biorąc pod uwagę to, co mi powiedziała. Siân twierdziła, że nie będzie mogła wychowywać swoich dzieci. Była też druga strona medalu: Siân została teraz odebrana swoim rodzicom zastępczym. Czy wszystkie dzieci były w takim razie wychowywane w rodzinach zastępczych? Najwyraźniej, skoro każda Matka miała oddawać swoje dzieci.

Tak nakazywał rząd.

Nie. Nie rząd, ale Państwo.

Państwo, planowane odgórnie przez Partię, która wie lepiej niż społeczeństwo. Nie ma rządu takiego, jakim go znaleźliśmy w dwudziestym wieku; stał się luksusem, na który ludzkości już nie stać. Mamy Państwo w stalinowskim stylu. Dla dobra ludzkości każda Matka jest więźniem, chociaż żyje w luksusowych warunkach. Dla dobra ludzkości każde nowo narodzone dziecko zostaje zabrane matce i przekazane rodzicom zastępczym. Dla dobra ludzkości żaden mężczyzna nie może świadomie opiekować się własnym dzieckiem. Dla dobra ludzkości rodzicom pragnącym mieć dzieci dostarcza się roboty. Dla dobra ludzkości teranet podlega ciągłej kontroli i cenzurze. Dla dobra ludzkości ludzie są trzymani

w niewiedzy na temat tego, ile wolności stracili.

Hm. Na tle tak zarysowanego Państwa nawet Ted wydawał się święty.

\*\*\*

Po prawie godzinie takich rozmyślań usłyszałam głosy i ruch na dole. Domyśliłam się, że pan i pani Fuller zbierają się do wyjścia. Liczyłam na to, że będą chcieli się pożegnać i nie znikną tak po prostu. Ku mojej radości Tata zawołał mnie na dół.

Pan Fuller powiedział do mnie:

– Tanyu, byłaś dla Siân bardzo dobrą koleżanką i chcę ci za to podziękować. W tej chwili jest to dla nas bardzo ciężkie, ale mam nadzieję, że w przyszłości będziemy mieli okazję wspomnieć sobie najlepsze chwile z Siân. Drzwi naszego domu są dla ciebie zawsze otwarte.

Przez te słowa poczułam się prawie, jakby Siân zmarła, ale mniejsza o formę. Rety, jakiego wspaniałego miałaś ojca, Siân. Takiego otwartego i hojnego. Objęłam go i uściskałam najlepiej, jak potrafiłam. A później uściskałam też panią Fuller.

\*\*\*

Gdy poszli, Tata spytał mnie, ile wiedziałam o sytuacji. Powiedziałam mu o swoich wnioskach. Westchnął ciężko.

– Państwo stalinowskie? Cóż, trochę tak to wygląda, Tanyu, ale nie do końca tak jest. Nie jestem pewien, czy zgadzam się z taką ponurą wizją przyszłości, jaką opisała Siân. I raczej nie zgadzam się z porównaniem naszej obecnej sytuacji do reżimu Stalina. Ja wolę widzieć rząd, który stara się zapobiegać powrotowi do czasu Niepokojów. Wydaje mi się, że muszą chronić ludzi przed niektórymi czynnikami, które mogłyby spychać naszą cywilizację z wyznaczonego kursu.

– A co z uprowadzeniem Siân?

– To nie „uprowadzenie”. Oni ją zabierają w miejsce, gdzie będzie pod najlepszą opieką i gdzie mogą ją ochraniać przed niestabilnymi elementami naszego społeczeństwa. Od czasu Niepokojów po naszej ziemi chodzą bardzo niepewni ludzie, którzy z pewnością skrzywdziliby Siân, gdyby wyszło na jaw, że jest kobietą zdolną do rodzenia dzieci. Bóg mi świadkiem, że potrzebujemy teraz takich kobiet.

Miałam ochotę spierać się z nim dalej, ale wyczułam w jego głosie coś, co odczytałam niemal z pewnością jako „nie chcę wiedzieć więcej”.

Odpuściłam.

– Dobrze, Tato. Wstrzymam się od sądów. Poczekajmy i zobaczymy.

## Poniedziałek, 30 marca 2054

Nie miałam czasu się martwić.

Następnego dnia w szkole zostałam wezwana do panny James. Kiedy weszłam na salę gimnastyczną, była z nią pani Philpott.

– Ale mamy bałagan – zaczęła panna James – cholerny bałagan.

Tak, panie Zog. Nauczycielka przeklęła. Więc tak to zapisałam. Zdecydowałam, że jestem ci winna nieco więcej uczciwości odnośnie tego, co mówią ludzie. Nawet jeśli nie jest to język, jakiego sama bym użyła.

– Mamy nadzieję, że możesz nam pomóc, kochanie – podjęła pani Philpott. – To bardzo niefortunne, że panna Fuller musiała nas opuścić tak wcześnie.

– Zachodzić w ciążę! Co za głupia krowa! – powiedziała panna James, a widząc moje rosnące zdenerwowanie, zmieniła nieco kierunek wypowiedzi. – Przepraszam, panno Deeley, wiem, że była twoją przyjaciółką. Ale zostawiła nas w bardzo niezręcznej sytuacji. Nie mamy Porcyi. Chyba że...

– ...Chyba że ty mogłabyś podjąć się tej roli, panno Deeley.

Przez moją głowę przemknęło wtedy milion myśli, ale daleko przed „z miłą chęcią” było:

– A co na to pani Golightly?

– Dobrze wie, że nie mamy wyboru – odpowiedziała panna James. – Nie będzie robić problemów.

– Choć nie będzie chętna do współpracy?

– Można to tak ująć. Ale nie będzie rzucać kłód pod nogi. Dyrektor szkoły męskiej dał jasno do zrozumienia, że sztuka zostanie wystawiona i lepiej, by pani Golightly znalazła kogoś do roli Porcyi.

– A jeśli nie?

– Nie będę wnikała w szczegóły. To kwestia polityki regionalnej. Zostawmy ten temat.

– Pytanie brzmi, czy możesz to zrobić? – zapytała pani Philpott. – Zostały już tylko dwa tygodnie.

– Tak, mogę. Znam kwestie Porcyi tak samo dobrze, jak Siân. Pomagałam jej się ich nauczyć.

– Wspaniale. Powiem krawcowym, żeby dopasowały na ciebie kostium Siân.

– Dziękuję. Ale, pani Philpott, co by się stało, gdybym się nie zgodziła?

– Miałyśmy jeszcze kilka innych opcji na Porcyę. Ale ty byłaś pierwsza na liście, panno Deeley. Od samego początku.

Wyszłam, czując się prawie tak dobrze, jak po pierwszym koncercie z Mike and the Stands, na którym grałam na basie.

\*\*\*

Pierwszy raz spotkałam swojego Bassanio. Właściwie to on podszedł do mnie na początku kolejnej próby.

– Jesteś Tanya, prawda? Nowa Porcyca?

– Tak. A ty kim jesteś?

– Jestem Tim. Bassanio.

– Zatem jesteśmy kochankami.

– Lecz z nazwy jeno, moja psotna dziewczko. Czy zatem mniemać mam, że sztukę znasz?

Szybki był.

– Tak, znam. I wiem, że ci kochankowie się nie całują.

– W tej kwestii tekst milczącym jest, więc przestrzeń tu mamy, aby...

– Stop! Poddaję się. Czy to przypadek, czy celowo mówisz pentametrem jambicznym? Jeśli to celowy zabieg, to jestem pod wrażeniem.

Roześmiał się. To był przyjemny śmiech, nie jakiś paskudny rehot.

- Czysty fuks. Słowo daję.
- Dobra, Tim. Wierzę ci. To twoja pierwsza sztuka?
- Nie, ale pierwszy raz gram główną rolę. W zeszłym roku grałem Snuga w *Śnie nocy letniej*. Dużo biegałem, ale powiedziałem wszystkie dziesięć linijek.
- Dla mnie to pierwszy aktorski występ na scenie.
- I grasz Porcyę? W takim razie to ja jestem pod wrażeniem.

\*\*\*

Była też Jemima. Neryssa.

Moja służąca, powierniczka i... pomocnica.

Okazało się, że rzeczywiście nią została. Tak jak ja pomagałam Siân w nauce jej kwestii, tak Jemima pomaga mi nauczyć się poruszania na scenie. Chyba pisałam wcześniej, że nie jestem wielką aktorką – ale tak naprawdę wierzyłam w swój talent. Wydawało mi się, że będę wiedziała, jak mam się zachowywać na scenie. Jasne, znam słowa, ale nie potrafię się poruszać.

Panna James poprosiła mnie na słówko po pierwszej scenie.

– Co z tobą, Tanyu? – zapytała bez ceregieli. – Na przesłuchaniu ruszałaś się tak dobrze. Teraz wydajesz się przerażona. Stoisz wrośnięta w jednym miejscu i trzepoczesz rękami jak konający wróbel. A powinnaś machać energicznie, z dumą i powagą. Szerokie ruchy, nie pozwól im zwiędnąć. Pokaż jej, Jemima.

I Jemima mi pokazała, co robiłam źle, a co powinnam spróbować zrobić inaczej.

– Przecież w normalnym życiu nikt się tak nie rusza, panno James.

– A na scenie tak właśnie trzeba. I tylko wtedy wygląda to naturalnie, uwierz mi. Jeśli będziesz się ruszać „normalnie” na scenie, to wyjdiesz na słabą, o ile w ogóle będzie widać, że się ruszyłaś. Wykonuj szerokie ruchy,

a cała scena będzie twoja. Szerokie ruchy, Tanyu.

Cóż, spróbowałam i wcale nie wydało mi się to wygodne.

– Zapomnij o tym, że ludzie patrzą – pouczała panna James. – Jesteś Porcyą. Szlachetnie urodzoną, pewną siebie, bogatą. Mogłabyś kupić i sprzedać tę szkołę dziesięć razy za dziedzictwo po swoim ojcu.

– Wiem o tym, panno James...

– Tak, wiesz o tym i pamiętasz o tym, ale twoje ciało tak się nie zachowuje. Słyszę to w twoim głosie, ale brakuje tego w twojej mowie ciała. Jeszcze nie czujesz się pewnie na scenie. Jeszcze nie, ciągle nie przekonałaś do tego samej siebie. Wydaje ci się, że ktoś nagle krzyknie „oszustwo”, albo coś w tym stylu. Możesz mi wierzyć, że nic takiego nie nastąpi. Spróbujmy jeszcze raz, od „Tak, Nerysso, moje maluczkie ja...”.

I wtedy Jemima uśmiechnęła się do mnie zachęcająco. A niech mnie...

\*\*\*

Tim też pomagał. Kiedy zeszałam ze sceny po próbie z Neryssą, powiedział mi jakie jego zdaniem poczyniłam postępy.

– Jest coraz lepiej, Tanyu.

– Jasne, dzięki.

– Nie, mówię poważnie. Będziesz fantastyczną Porcyą.

– Tak tylko mówisz...

– Nie. Dobrze mówisz swoje partie, ponadto zaczynasz się poruszać tak, jak powinnaś. Naprawdę się cieszę. Bardzo potrzebna nam była dobra Porcyą.

– Oczywiście że tak, skoro Siân wyjechała.

– Nie, przedtem mieliśmy katastrofę na kursie kolizyjnym. Dobrze o tym wiesz. Siân mniej więcej znała swoje linijki, ale nie potrafiła ich wypowiadać tak przekonująco jak ty przed chwilą i tak naprawdę nigdy nie przestała być drewniana. Już teraz jesteś lepsza, niż ona kiedykolwiek



mogłaby być.

Nic nie powiedziałam. W końcu Siân była moją najlepszą przyjaciółką.

– Hej, Tanyu. Próbuję powiedzieć, że cieszę się z tego, że to ty grasz Porcyę. Słyszałem o tym, co się wydarzyło na przesłuchaniu, Erica mi powiedziała. Wszystko wiem o tym numerze z panią Golightly. Uważam, że teraz dostaliśmy tę właściwą Porcyę i jeśli tylko mogę jakoś pomóc, jestem do dyspozycji.

– Dzięki, Tim. Do następnego razu.

Wahał się przez chwilę, jakby miał zamiar mnie pocałować, ale po namyśle zrezygnował. Odwrócił się i obserwowałam jego oddalające się plecy, odnotowując w myślach to, że zgrabnie się poruszał. Naturalny talent aktorski...

Zgrabny tył.

To zabawne, panie Zog. Właśnie spojrzałam na to, co napisałam i poprawiłam tyłek na tył. Ale to mnie zastanowiło. Bo rzeczywiście ma zgrabny. Tyłek też.

Czy robotom też zdarzają się freudowskie pomyłki?

Czwartek, 9 kwietnia 2054

Rany, czuję się tak samo, jak przed pierwszym występem z zespołem Mike'a. W środku czuję jeden wielki supeł. Z motylkami. Mam nadzieję, że będę w stanie to opanować.

*– Jest w Belmont młoda, bogata dziedziczka  
I piękna, piękna nad wszelkie wyrazy;  
Rzadkich przymiotów, nierazem otrzymał  
Z jej oczu słodką, milczącą przesyłkę.  
Zowie się Porcyą, nie tylko imieniem  
Ale i sercem podobna do owej  
Córy Katona, Brutusowej Porcyi.  
Świat też wartości jej nie jest nieświadom,  
Bo wszystkie cztery wiatry ze wszech krańców  
Stałego lądu sprowadzają do niej  
Niepospolitych zalotników. Świetne  
Promienie włosów wiszą u jej czoła  
Jak złote runo, czyniąc Belmont, miejsce  
Jej zamieszkania, krainą Kolchidy.  
Nie jeden Jazon kusi też się o nią.  
O! mój Antonio, gdybym tylko w ręku  
Miał środki do współzawodnictwa z nimi,  
Coś mi pochlebnie w duszy przepowiada,  
Że niezawodniebym szczęśliwym został.<sup>4</sup>*

Teraz, już czas. Antonio oplakuje swoje morskie nadzieje i światła przygasają.

Wchodzę na scenę, Neryssa razem ze mną. Światła się włączają i oto jesteśmy w Belmont. Neryssa czesze moje włosy przez kilka chwil.

– *Tak, Nerysso, moje maluczkie ja znudzone już tym wielkim światem*<sup>5</sup>.

Moje słowa wyrywają ją jakby z zadumy, bo przestaje czesać moje włosy i beszta mnie:

– *Mogłoby to być, pani, gdyby cię był los upośledził tak szczerze, jak cię uposażył...*<sup>6</sup>

Irytuje mnie myśl o poleceniu mego biednego, zmarłego ojca i loterii, jaką dla mnie przygotował i która ma zdecydować o moim zamążpójściu. Co gorsze: wybór zawężony jest do słabych pozerów, odrażających warchołów i beznadziejnych bufonów, którzy rzucili się w moją stronę jak rój pszczół na słój miodu, licząc na moją rękę lub fortunę. Czyż nie ma już dla mnie nadziei?

– *Nie przypominaszże sobie pani pewnego Wenecyanina, oficera, literata, który tu był z markizem Montferratu, jeszcze za życia twego ojca?*<sup>7</sup>

To prawda.

– *I owszem, to był Bassanio, zdaje mi się, że tak się nazywał?*<sup>8</sup>

Być może jest jeszcze dla mnie nadzieja...

Ach, ale oto i sługa nadchodzi, ogłasza nadejście księcia marokańskiego, któren na noc z drogi zawitać ma. Do kroćset.

Ciekawiej i ciekawiej, zawołała Alicja.

Nie, dobrze wiem, że to nieodpowiedni fragment. Myślę raczej o jej spotkaniu ze Stonogą.

– Kim jesteś? – pyta pan Stonoga i dodaje. – Wytłumacz się!

A biedna Alicja nie może na to nic odpowiedzieć, poza: nie mogę, bo nie jestem sobą.

Oto ja: nie-ja. Schodzę ze sceny i idę w kierunku skrzydła. Rzucam okiem na Antonio i Szajloka, kiedy mijają mnie, idąc w przeciwnym kierunku, by zająć miejsca do sceny numer trzy. Nie jestem jednak do końca sobą, ale też nie jestem do końca Porcyą. Kątem oka zauważam swoje odbicie w lustrze i widzę śliczną wenecką pannę patrzącą w moją stronę. Może zatem jestem Porcyą. Sama nie wiem.

Wiem za to, że na pewno nie chcę, aby ten marokański książę wybrał szkatułę z moim portretem. To znaczy: właściwie nie znam Khalida, ale to najlepszy kumpel Tima ze szkoły, więc pewnie jest sympatycznym chłopakiem. A jednak moje serce gubi rytm, gdy pomyślę, że mógłby wybrać tę właśnie szkatułę. Nie jestem pewna, czy nawet chcę wiedzieć, która to. Ojciec nigdy mi nie powiedział. Chyba nie wytrzymałabym, gdybym zobaczyła, jak ku niej sięga.

Tim, Khalid – imiona ulotne jak z dymu. Jest jeszcze jedno imię: Tanya. Wydaje mi się, że ją znam, jakoś mgliście, chyba miała jakieś problemy z żołądkiem i bardzo się o coś martwiła, ale ja czuję się dobrze i jej też na pewno się poprawi...

\*\*\*

Czas płynie jakoś dziwnie, skokowo. Maroko zniknęło, podobnie jak równie irytująca Aragonia. Złota i srebrna szkatuła okazały się nieprawdziwe i sprowadziły na wybierających je zalotników przyszłość, która zachowa ich z dala od mojej osoby, gdziekolwiek by ich posłała.

Teraz Bassanio jest tutaj, a moje serce łomocze dziko, targane porywami nadziei i szarpane gałęziami strachu. Jeśli wybierze szkatułę ołowianą... Och, moje serce z pewnością przestanie bić z radości. Ale czemuż miałby ołów wybierać? Złoto z pewnością lub srebro wybierze i na zgubę mnie zostawi. Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia...

– *Wstrzymaj się jeszcze, signore, zaczekaj  
Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru,  
Bo gdybyś błędnie wybrał, pozbawioną  
Byłabym twojej obecności; bądź więc  
Cierpliwy, proszę. Coś mi skrycie mówi  
(Lecz to nie miłość)...<sup>9</sup>*

Ale w myślach wiem, że nic innego być to nie może. Moja dłoń pozostaje na jego ramieniu dłużej, niż by to etykieta normalnemu dotykowi przypisywała. Staram się desperacko zatrzymać czas i chwilę tę odwlec, gdy będzie musiał dokonać swego wyboru.

Tak blisko mnie jest, a ja obawiam się, że nigdy już nie zbliży się do mnie.

Odsuwa się ode mnie, a mnie zostaje jeno ciepło na koniuszkach palców... chyba że wybierze ołów. Stoję milcząca, związana wolą ojca, choć przepełnia mnie agonia oczekiwania.

– Nie chcę przeto ciebie,  
Zwodnicze złoto, ty strawo Midasa!  
Ni ciebie, blady służalcze, co biegasz  
Z ręki do ręki; ale ciebie, ciebie,  
Skromny ołowiu, który grozisz raczej,  
Niż jakąkolwiek obiecujesz korzyść.  
Twoja prostota wymowniej mię nęci:

Ciebie wybieram, niech cię los uświęci!<sup>10</sup>

Tak! Tak! Wybrał właściwie, a podobizna Porcyi patrzy nań z dna szkatuły ołowianej. Muszę znieść obecność pozostałych, Neryssy i Gratiano, cicho oznajmiając światu swą miłość do Bassanio. Wewnątrz miotają mną sztormy nieznanych dotąd emocji. Muszę się opanować...

\*\*\*

Czas znów skok wykonuje i oto stoję w sądzie ubrana jak mężczyzna, prawnik, rozstawiając pułapkę przygotowaną na mściwego Szajloka. Poproszę go o łaskę, choć ten z pewnością jej nie udzieli. Sprawiedliwości będzie się domagał i sprawiedliwość mu wręczę.

\*\*\*

Czuję, że koniec już się zbliża.

*– Już dzień prawie, przecież  
Jeszcze wam nie dość jasno się przedstawia  
Bieg tych wypadków. Wnijdźmy więc do domu;  
Tam z nas ściągniecie śledztwo i na wszystko  
Protokularną znajdziecie odpowiedź.<sup>11</sup>*

Gratiano odpowiada krótko i...

Oklaski.

Znów jestem Tanya, choć Porcyja kroczy gdzieś w mym cieniu. Bliższa niż wspomnienie snu.

Teraz moja kolej. Staję przodem do skrzydła i widzę stojącego tam Tima, wraz z duchem Bassanio w jego cieniu. Stajemy koło siebie, podajemy

sobie ręce i zwracamy się ku widowni. Kłaniamy się nisko, przygotowani na falę zalewającego nas aplauzu.

Został jeszcze Simon, Szajlok, który wychodzi na scenę i kłania się, również zbierając należne mu oklaski. Odegrał swoją rolę wystarczająco dobrze.

Ale czy przeżył ją tak jak ja?

Kurtyna opada i sztuka jest skończona.

Tanya odwraca się w kierunku Tima i mówi:

– Dziękuję.

Porcyca całuje Bassanio z większą pasją, niż Tanya kiedykolwiek czuła.

Hej! Skąd to się wzięło?

Czuję, że się rumienię, a Tim wygląda na zaskoczonego i zszokowanego. Choć wydaje mi się, że mu się to podobało, bo w jego oczach widzę radosny błysk. Ups! Zdejmuję rękę Porcyi ze zgrabnego tyłka Bassanio.

– E, to było od Porcyi dla Bassanio. Czekwała na okazję na ten pocałunek od dłuższego czasu, ale scenopis trochę stawał na drodze.

– Jaaasne. Cóż, Bassanio nadal tu jest i czuje dokładnie to samo...

Więc pocałowaliśmy się raz jeszcze, ale nie było już tak samo, bo Porcyca zaczyna znikać, a my stoimy wśród tłumu, który zaczyna robić bardzo niestosowne uwagi na nasz temat. W tym momencie wchodzi pani Philpott, by powiedzieć, jak wspaniale nam wszystkim poszło...

\*\*\*

Co ja mam zrobić, panie Zog?

Po sztuce wszystko się jakby popsuło. John czekał na mnie, by mi pogratulować występu, więc kiedy się przebrałam i ostatnie resztki Porcyi zniknęły, John pocałował mnie i powiedział „Dobra robota”, ale to już nie było to samo, a później musiał już wracać do domu i znalazł mnie Tim, który zaprosił mnie na przyjęcie z ekipą ze sztuki, i on też mnie pocałował,

choć to też już nie było to samo, na przyjęcie nie poszłam, za to pojechałam do domu z Tatą.

Tak, wiem, panie Zog. Powinnam używać więcej kropek. Przepraszam, ale do tej pory powinienes już przywyknąć do czytania mojego strumienia luźnych myśli. Tak więc...

Proszę bardzo, pojawiły się kropki.

Muszę się znowu spotkać z Timem.

Nie, poprawka. Porcyca musi się znowu spotkać z Bassanio. To nie ma nic wspólnego z Tanyą i Johnem.

Czemu więc źle się z tym czuję?



Piątek, 17 kwietnia 2054

Kiedy minął ten rok?

Egzaminy to przeszłość, sztuka to przeszłość.

Mam piętnaście lat i trzy czwarte roku, jak to mówią o maluchach, kiedy każdy miesiąc jest ważny. W moim przypadku też każdy miesiąc się liczy; czas nieubłaganie ucieka i mało go zostało. Muszę dobrze wykorzystać każdą sekundę, jaką mam. Przeżyć wszystko, co mogę, zanim...

Zanim co?

Spotykam się z Timem. Pisząc to, mam na myśli, że Porcyja spotyka się z Bassanio. Tanya nadal spotyka się z Johnem. Czy to coś złego? Obu ich lubię, każdego na swój sposób. Rozumiesz, z Timem mogę porozmawiać o literaturze, a z Johnem nie. On jest raczej konstruktorem. Czyta książki, ale bardzo szybko. Nie potrafię zrozumieć, jak może się nimi w ogóle rozkoszować w takim tempie. Tim z kolei jest kompletnie ślepy i głuchy na muzykę, więc potrzebuję ich obu z różnych powodów. Nie jestem wobec nich niesprawiedliwa, prawda? Znaczący, nie jesteśmy przecież ludźmi, nie będziemy się sprzeczać o seks, o to, kto z kim sypia. Roboty nie robią takich głupot.

To znaczy: moglibyśmy, gdybyśmy chcieli. Pamiętam, że doktor Markov mówił mi, że roboty mogą odbywać stosunek płciowy, ale nie wbudowano nam mechanizmów pozwalających czerpać z tego przyjemność. Pewnie i tak któregoś dnia spróbuję, ale nie mam tego na szczycie swojej listy rzeczy do zrobienia. Raczej nie będę bardzo zawiedziona, jeśli nie uda mi się tego wcisnąć w najbliższe dwa lata i trzy miesiące.

Oczywiście kontakt fizyczny jest dla nas miły. Mamy to wmontowane w oprogramowanie, żeby nasi rodzice mogli nas przytulić i zapewnić poczucie bezpieczeństwa, budując więź podczas dorastania. Nasza skóra

jest tak samo czuła jak skóra ludzka, mogę więc odczuwać przyjemność z przytulania się do Taty, Johna... Tima... Albo kogokolwiek innego. Gdy więc Tim dotyka mojej ręki albo mojej nogi, to jest to miłe. Oczywiście w tym przypadku mówię o ręce lub nodze Porcyi, ale nogi i ręce mamy wspólne, więc ja też odczuwam z tego jakąś przyjemność.

Ale to wszystko. Każdy cal kwadratowy mojej skóry jest taki sam jak pozostałe. Jedynymi wyjątkami są koniuszki palców i usta, tak jak w przypadku ludzi, jak sądzę. Oznacza to, że mogę grać na basie i całować się, więc robię obie te rzeczy. Często. Ale te piersi i biodra, o które tak martwił się mój Tata i nad których właściwym zaprojektowaniem tyle czasu spędziła doktor Thompson, są w moim przypadku zupełnie nieczułe. Zaprojektowano je do oglądania, a nie dotykania.

Hm. Napisałam to tylko dlatego, ponieważ uważam, że powinieneś wiedzieć coś na ten temat.

Wtorek, 5 maja 2054

Mike spotkał się ze mną przy Marylebone Station. Był ubrany w tę samą czarną skórę co zwykle.

– Cieszę się, że mogłaś przyjechać.

Uścisnęłam podaną na powitanie dłoń i pochyliłam się, żeby dać mu całusa w policzek.

– Cieszę się, że mnie zaprosiłeś. W szkole nie robili mi kłopotów. Jak jedziemy?

– To krótka przejażdżka taksówką.

Dziwnie było widzieć Mike'a w takich okolicznościach. Normalnie widywaliśmy się tylko podczas prób i występów. Ale teraz...

Jego telefon był dość niespodziewany, ale jak tylko powiedział, o co chodzi, nie miałam wątpliwości. Oczywiście, że przyjdę. Jak mogłabym odmówić?

Wsiedliśmy razem na tył taksówki i jak tylko Mike podał kierowcy adres, ruszyliśmy w drogę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, a Mike zamknął się w sobie i jechał w milczeniu. Nie było w tym nic dziwnego. Jak na londyńskie standardy ulice były puste i jechaliśmy dość szybko. Widziałam licznik nabijający należną opłatę i wydawało mi się, że to spora suma.

– Nie mogliśmy jechać metrem? Byłoby taniej.

Mike podniósł oczy, zdziwiony, że przerwałam ciszę.

– Pewnie tak, ale nie chciałem. Wystarczy, że gdzieś po drodze naprawialiby torowisko i bylibyśmy spóźnieni.

Też prawda. Kiedy jeździłam do Johna, metro często stawało z powodu napraw. Nie mogliśmy ryzykować. Wyświetlana suma jednak nadal wydawała mi się olbrzymia.

Dojechaliśmy do żółtej strefy londyńskich przedmieści i taksówka nagle skręciła w lewo, przejechała przez częściowo wykończoną drewnem bramę. Na końcu podjazdu zatrzymała się przed małą kaplicą.

Byliśmy na miejscu.

Na miejscu, czyli w krematorium Hendon. Gdy wysiedliśmy z taksówki, pozostali żałobnicy podnieśli głowy i kiwnęli nam na powitanie. Dwójkę z nich rozpoznałam.

Gary i Gus. Dwóch członków Mike and the Stands.

Amanda niedługo dojedzie.

Żałobników nie było wielu. Jej szef z firmy programującej algorytmy teranetu. Kilku jej kolegów z biura. Był też ksiądz, wychudzony staruszek, który miał już pewnie z siedemdziesiąt lat.

Przyjechaliśmy w samą porę. Dokładnie w momencie, kiedy Mike zapłacił kierowcy za przejazd, w bramie ukazał się długi, czarny wóz.

Amanda przyjechała.

Ksiądz gestem zaprosił nas do środka, gdzie każdy zajął miejsce w ławce. W skrócie można powiedzieć, że w pierwszej ławce po prawej siedział Mike z zespołem i ze mną, a po lewej goście z TeraNet.

Zaśpiewaliśmy razem *Panie, Ojczy całej ludzkości*. Kiedy doszliśmy do wersu...

*Pokryj nas Panie rosą spokoju,  
Niech nasze dążenia ucichną.  
Zabierz z naszych dusz stresy i niepokój,  
I niech nasze uporządkowane życia,  
Obrazują piękno Twego spokoju,  
Obrazują piękno Twego spokoju.*

...rozpłakałam się i ledwo byłam w stanie wypowiadać słowa.

Czy Amanda czuła spokój i ciszę? Czy była wolna od stresów

i niepokojów w tym tanio wyglądającym, kartonowym pudle? Z Bogiem i w pokoju, jak powiedziałyby Tata. W tym pudle jest to, czego już nie potrzebuje. Spalić i zapomnieć.

To było jak pogrzeb Mamy przeżywany na nowo.

Nie.

To nieprawda. Z jakiegoś powodu mogłam to lepiej wytrzymać. Nie dlatego, że ona nie była moją Mamą. Wiedziałam, że będzie mi jej brakowało, kobiety, która zainspirowała mnie do grania na basie i wspierała mnie radami. Ale dała mi też część siebie. Przekazała pochodnię, a ja ją przejęłam. Chyba podobnie było z Mamą, choć zdanie sobie z tego sprawy zajęło mi więcej czasu.

Nikt tak naprawdę nie umiera, jeśli za życia pomagał ukształtować kogoś innego. Czy to, co piszę, ma sens, panie Zog?

Kiedy więc kartonowa trumna wjechała na rolkach do pieca i znikła z naszych oczu, nie płakałam już, ale ściszałam czule resztki Amandy, jakie zostały we mnie, szepcząc: „Jesteś bezpieczna”. Czułam delikatne wewnętrzne ciepło, od Amandy i od Mamy.

\*\*\*

Czułam się trochę winna, że ani razu nie odwiedziłam Amandy w szpitalu, kiedy była chora. Powiedziałam o tym Mike'owi po ceremonii.

– Ja ją raz odwiedziłem – odparł. – Przez chemioterapię wypadły jej już wtedy włosy i nie cieszyła się, że mnie widzi. Czy może raczej, że ja ją widzę. Kazała mi spadać i wrócić, jak się wyleczy. Ale mówiła, że bardzo sobie ceniła twoje maile.

– Przesłałam jej kilka fragmentów mojego pamiętnika.

– Tak. Mówiła, że wywołały uśmiech i łzy, ale nie powiedziała dokładnie, dlaczego.

– Och.

– W każdym razie powiedziała, że możesz zatrzymać jej sprzęt. W podziękowaniu za to, że do niej pisałaś.

– To miłe. A co z jej rodziną? Nie mają nic do powiedzenia w tej sprawie?

– Jaką rodziną? Widziałaś tu kogoś z rodziny? Była na tym świecie sama. Nie miała nawet partnera. Dziś widziałaś całą jej „rodzinę”. Trzech facetów z pracy i my, jej zespół. Więc bierz ten sprzęt i graj na nim, my nie będziemy mieli nic przeciwko. Całą resztę jej rzeczy przejmie państwo, a co ono mogłoby zrobić z takim cudnym basem?

To brzmiało całkiem uczciwie. Dziękuję, Amando, jeśli mnie słyszysz. Żegnaj.

## Wtrącenie 9

*Była na tym świecie sama.*

*Tak jak my, Tanyu. Sami we wszechświecie, bez żadnego innego gatunku, z którym moglibyśmy nawiązać dialog. Nie mamy nikogo, z kim moglibyśmy się podzielić radością bycia polisensorycznie zróżnicowanymi kosmitami o oślizgłych mackach.*

*Ciągle szukamy. Rozglądamy się po najodleglejszych zakamarkach wszechświata w poszukiwaniu innych form świadomego istnienia. Na planetach piramidowych natrafiliśmy na ślady życia, które dawno temu wymarło, zostawiając po sobie ruiny cywilizacji przykryte kurzem setek milionów lat. Minęliśmy się z nimi o chwilę, patrząc z punktu widzenia całej historii kosmosu.*

*Po przeciwnej stronie skali są planety dojrzewające, takie jak te znalezione w Plejadach. Warunki tam panujące sprzyjają powstaniu kiedyś życia. Jednak tam pojawiliśmy się kilka milionów lat za wcześnie. Znaleźliśmy z pewnością kilka ciekawych aminokwasów w organicznej zupie, ale nie było to nic, co mógłbym z pełną powagą i uczciwością nazwać życiem. Obiecałem sobie wtedy, że jeśli nie zapomnę, wrócę tam za jakiś czas.*

*Wiele kasacji później wróciłem. Lud gorąco debatował, czy powinniśmy się wtrącić i przyspieszyć proces. To delikatna sprawa: działać czy nie. Próbowaliśmy już w innym miejscu i nasze niepowodzenie było druzgoczące. Zupa zmieniła się, ale nie w sposób zgodny z naszymi przewidywaniami.*

*Ta samotność jest nie do zniesienia, a we mnie samym noszę bolesną pustkę, której nie zapełnią żadne gwiazdozbiory wszechświata.*

Niedziela, 31 maja 2054

John ze mną nie rozmawia. Wspomniałam mu, że idę z Timem na drinka i zamknął się przede mną. Odciał mnie.

To takie niesprawiedliwe.

John, przecież ty mieszkasz w Wood Green, na miłość Boską. Gadamy ciągle przez teranet, ale prawie wcale się z tobą nie widuję z prostego powodu odległości.

I co ja mam teraz zrobić? Zadzwoić do Tima? Nie. On jest częścią problemu. Szkoda, że nie mogę zadzwonić do Siân. Nie mam niestety pojęcia, gdzie teraz jest. Wiem, że jej brzuch z pewnością zaczyna już rosnać i chciałabym być teraz przy niej. Rozmawiałabym z nią, trzymała za rękę. Pomagałabym jej jakoś.

Kto mi jeszcze zostaje?

Kieran? Raczej nie. Matematyk.

Mike, Gu albo Gary? Nie.

Jemima? Mowy nie ma... chociaż... może.



Wtorek, 28 lipca 2054

– Dzień dobry, doktorze Markov.

– Witaj, panno Deeley. Jak się czujesz?

– Obolała. I strasznie głupia.

Kaszlnął.

– Cholernie głupia jest wyrażeniem, którego ja bym użył w tej sytuacji. Ale nie martw się. Pamiętasz chyba słowa Milтона? „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”. Czy coś w tym guście.

– Łatwo panu powiedzieć. Patelnia pełna rozgrzanego oleju nie wybuchła panu prosto w twarz. To były słowa Milтона?

– Zgadza się. *Samson walczący*. Co się dokładnie stało? Jak pamiętam z twoich wiadomości, miałaś jakiś wypadek w domu?

– Tak. Robiłam frytki dla siebie i Taty i chciałam dolać więcej oleju na patelnię. Tylko że wzięłam butelkę z wodą i wszystko wybuchło. Gdy zaczęłam wylewać zawartość butelki na patelnię, zauważyłam, że płyn zachowuje się mało oleiście, i miałam chwilę, żeby zasłonić twarz rękami.

– Masz szczęście. To generalnie był bardzo głupi pomysł.

Mówiąc to wziął moją rękę w swoją dłoń i obrócił ostrożnie, dokładnie ją badając. Nie chciałam właściwie dłużej rozmawiać o mojej głupocie, więc poszukałam czegoś, żeby zmienić temat.

– Był pan na urlopie, doktorze Markov?

– Nie – odpowiedział nieobecny tonem. – Czemu pytasz?

– Pańska skóra. Pamiętam, że kiedy widziałam pana po raz pierwszy, był pan bardzo blady. Teraz jednak trzyma mnie pan za rękę i powiedziałabym, że pańska skóra ma ten sam odcień co moja.

Wydawał się nieco speszony moją uwagą i niemal widziałam, jak w jego umyśle zamykają się kolejne blokady.

– Ostatnio sporo czasu przebywałem na słońcu. Prace ogrodowe.

Ale to nie to. Jego skóra była dokładnie tak samo ciemna, jak moja. To nie jest odcień, jaki można uzyskać, pracując w ogrodzie w Anglii. A już z pewnością nie w taką pogodę, jaką ostatnio tu mieliśmy. Znow odkryłam coś, w czym doktor Markov nie chciał być ze mną szczery. Nie było sensu ciągnąć tematu teraz, kiedy był czujny i postawił blokady. Lepiej pozwolić mu wierzyć, że mnie oszukał. Zapisałam sobie w myślach uwagę, że muszę o tym pomyśleć później.

W międzyczasie czekała mnie bardzo bolesna naprawa. Gdy doktor Markov obracał moją rękę na wszystkie możliwe strony, spalona skóra wysyłała do mózgu rozdzierające przypomnienia o mojej głupocie.

– A! – jęknęłam po wyjątkowo dotkliwym ataku bólu. – Czy nie może pan po prostu wyłączyć mi receptorów bólu? W ostateczności wyjąć mi mózg, jeśli to konieczne?

Roześmiał się krótko, ale odmówił.

– Nie. Twoje reakcje są dla mnie istotną informacją na temat rozległości zniszczeń i stopnia uszkodzeń. Poza tym nie, dlatego że wyjmowanie czyjegoś mózgu jest operacją skomplikowaną, którą wykonujemy wyłącznie w ostateczności, czyli w przypadku aktualizacji. A w końcu nie, dlatego że ból jest metodą nauczania stosowaną przez wszechświat, byś następnym razem nie była już tak cholernie głupia.

I tak oto wróciliśmy do tematu „(cholernie) głupiej Tanyi”. Doktor kontynuował.

– Musisz zapamiętać, panno Deeley, że wszechświat chce twojej śmierci i cały czas próbuje cię zabić. Zazwyczaj nie próbuje jakoś bardzo natarczywie, ale też nie musi, bo głupi ludzie giną łatwo. Opuszczają gardę i łup! Jeden-zero dla wszechświata.

– To bardzo ponura filozofia, panie doktorze.

– Bardzo możliwe, ale jak dla mnie: działa. Pan Oxted stworzył roboty słabe i zdolne do odczuwania bólu, by potrafiły radzić sobie ze

wszechświatem. Uważam, że był mądrym konstruktorem, więc dla twojego własnego dobra, panno Deeley, nie będę wyłączał ani twojego mózgu, ani nawet receptorów bólu. Dobrze?

– Aua! Tak.

\*\*\*

W końcu jednak wyłączyli mi mózg. Doznałam bardzo rozległych uszkodzeń tkanki skórnej i naprawienie wszystkiego wymagało bardzo długiej i wnikliwej operacji. Po raz kolejny obudziłam się w sali pooperacyjnej Banbury. Tym razem, przyglądając się sobie w lustrze, nie szukałam różnic, ale sprawdzałam, czy wszystko jest takie samo.

Tata mnie odebrał i odniosłam wrażenie, że nie może uwierzyć swoim oczom.

– Tak się bałam, Tanyu. Wrzeszczałaś z bólu i strachu, do tego twój stan wydawał się bardzo poważny. Nie byłem pewien, czy umrzesz, czy będziesz miała traumę do końca życia, czy jeszcze coś innego...

– Ale nieźle się sprawili z naprawą, co?

– Tak, zdecydowanie. Wszystko wygląda tak jak wcześniej.

– Prawie. Jest kilka drobnych rzeczy, które jeszcze wymagają poprawienia, dlatego doktor Markov chce, żebym pod koniec lata wróciła na ostateczną aktualizację.

– Ostateczną aktualizację...

– Tak. Uważa, że to będzie już ostatnia. Przestaną dorastać.

– Oczywiście. Wstrząsnęło mną słowo „ostateczna”. Przypomniało mi, że nie chcę cię stracić, Tanyu.

Przerwał, ale tylko na chwilę.

– Czuję, jak ta chwila się zbliża, Tanyu. Myślałem, że będzie przy mnie Nettie, kiedy do tego dojdzie, kiedy nadejdzie czas... odesłania cię. Ale będę wtedy sam. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

– Nie mów tak. Nie psuj chwili, Tato.

– Niech to szlag, to takie niesprawiedliwe. Jesteś tu, rośniesz, jesteś gotowa przejść w dorosłe życie, a oni ci je zabierają. Nie pozwolę im.

– Nie masz wyboru, Tato. Widziałeś, co się dzieje z tymi, którzy tego nie akceptują. Czy sam nie byłbyś w stanie wymienić kilkunastu par, które zaczęły robić głupie rzeczy, kiedy ten czas się zbliżał? Nie chcę, żebyś... zбочzył z torów.

– Wymyślimy coś. Ja coś wymyślę. Mam naturę wojownika, wiesz?

## Sobota, 1 sierpnia 2054

Jest w Timie coś, co sprawia mi problemy.

Poszliśmy na spóźniony obiad urodzinowy, sami we dwójkę. Zdecydowaliśmy się na tajską kuchnię – jest kilka mil drogą od nas taka mała restauracyjka w Beaconsfield, do której Mama czasem chodziła z Tatą. Kiedyś.

Wystrój to ciemne drewno i głębokie czerwienie – wygląda na bardzo drogi lokal – a jedzenie jest bardzo smaczne. Ubraliśmy się w nasze najlepsze ciuchy. Tim założył garnitur. Co prawda bez krawata i z rozpiętym kołnierzykiem koszuli. Ja wybrałam ubranie w moich ulubionych kolorach, czyli czarnym i srebrnym: pasujące do siebie spódnice i bluzkę. Założyłam też srebrny łańcuszek, który kiedyś był Mamy i zostawiłam rozpięte górne guziki bluzki, żeby było widać wisiołek: srebrny medalik odziedziczony przez Mamę po babci, a wcześniej należący do cioci-babci Jane, a pewnie będący w rodzinie od jeszcze dawniejszych czasów.

W każdym razie Timowi chyba się podobał. Sporą część posiłku spędził na wpatrywanie się w medalik błyszczący na moim dekolcie.

Mówiąc szczerze, nie miałam nic przeciwko temu, panie Zog. Dziewczeta lubią, jak się na nie patrzy. To część gry, jaką prowadzimy. To właśnie dlatego zbieram na skórzany strój do noszenia na scenie. Chcę wyglądać dobrze i chcę, żeby chłopakom podobał się widok.

Pojawiły się i zniknęły desery, potem kawa. Każde z nas zapłaciło za siebie, choć Tim trochę się temu opierał, ale wydaje mi się, że tak naprawdę mu to pasowało. Gdy ma się te siedemnaście lat (czy wspominałam, że był o rok starszy, tak jak John?), zwykle nie ma się za wiele gotówki.

Wstaliśmy, żeby zbierać się do wyjścia. Tim pomógł mi założyć kurtkę

i jego dłoń na chwilę dotknęła mojej piersi. To było krótkie dotknięcie i zignorowałam je. Jeśli nawet było to zamierzone, to nie było o co robić mu awantury.

Poszliśmy więc do przystanku autobusowego i pozwoliłam mu trzymać się za rękę. Czasami zdarzają się tam natarczywe typki, ale par się nie czepiają.

Na szczęście na przystanku nikogo nie było, więc mieliśmy trochę czasu przed przyjazdem autobusu. Tim przez chwilę milczał, a potem usłyszałam, jak wciąga powietrze. Pomyślałam sobie: „Zaraz zaczniesz”.

– Tanyu...

– Tak?

– Wiesz, w restauracji nie mogłem nie zauważyć, że masz bardzo ładny, srebrny medalik. Wygląda na antyk. To jakaś pamiątka rodzinna?

– Tak, należał do mojej Mamy – wyjaśniłam pokrótce tyle, ile wiedziałam o historii tej błyskotki i jej podróży przez pokolenia, przez cały czas zastanawiając się, dokąd ta rozmowa prowadzi. Chociaż nie, właściwie... Wydawało mi się, że świetnie wiem, co się dzieje w głowie Tima, ale byłam zajęta myśleniem o piosence i tańcu. Jak już wspomniałam, to taka gra, którą prowadzimy. Wszystko jest w porządku, dopóki nie zajdzie za daleko i nagle nie zrobi się zbyt poważnie.

– Naprawdę? Chciałbym przyjrzeć się temu bliżej. Mogę?

– Światło jest tu fatalne. Może lepiej go zdejmę, żebyś mógł go obejrzeć pod światło.

– Nie, nie. Nie trzeba. Widzę świetnie. Obróć się tylko troszkę.

I zanim zdążyłam coś powiedzieć, był praktycznie nade mną, wierzchem prawej dłoni dotykając mojego mostka i kołysząc medalik na palcach. Zrobiłam krok w tył, ale jego ręka ani na chwilę nie oderwała się ze swojego miejsca. Rąbnęłam plecami o ściankę przystanku.

– Hm. Ładne – wymamrotał, nie określając dokładnie tego, o czym mówił.

Obrócił medalik w tę i z powrotem, przełożył z ręki do ręki, zakołysał nim. Oczywiście: kołysząc nie kołysał samym medalikiem.

Podniosłam jego rękę i jak najdelikatniej odsunęłam ją. Na szczęście się nie opierał.

– Nie, Tim. Tego nie było w planach na dzisiejszy wieczór.

Wyglądał, jakbym mu podcięła skrzydła, choć nie był zaskoczony. Ramiona mu opadły.

– Co zrobiłem źle?

– To nie kwestia tego, co ty zrobiłeś, Tim. To po prostu coś, czego ja nie chcę. Z nikim.

– Dlaczego?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo przyjechał autobus. Jednopiętrowy, co było mi na rękę, bo pod okiem kierowcy czułam się bezpieczniejsza.

Gdy ruszył, przeszliśmy na tył autobusu, czyli tak się akurat składa, że na teren zarezerwowany dla zajętych sobą par. Nic na to nie mogłam poradzić, to było jedyne miejsce, w którym nikt nas nie będzie podsłuchiwał, a byłam Timowi winna wyjaśnienia.

– Słuchaj, Tim. Przykro mi, jeśli poczułeś się odepchnięty lub zraniony w jakikolwiek sposób. Ja po prostu nie szukam tego rodzaju związku. Mam nadzieję, że nic, co powiedziałam lub zrobiłam, nie sprawiało innego wrażenia.

Wtedy wydał mi się nagle bardzo rozdrażniony.

– Właściwie to zrobiłaś coś takiego. Na przykład pocałowałaś mnie tuż po sztuce. Pamiętam, że wydawałaś się bardzo zadowolona. Może już o tym zapomniałaś?

W jego głosie była jakaś gorzka nuta złości, że najwyraźniej zabawiłam się jego kosztem. Postanowiłam więc się wytłumaczyć.

– To było co innego. To była Porcyca. A może już zapomniałeś, że to powiedziałam?



To brzmiało strasznie głupio, nawet dla mnie samej, choć padło z moich ust.

– Wydawało mi się, że nie mówisz tego poważnie. Czułem uczucie w twoim uścisku i te słowa po prostu nie pasowały do okoliczności. Uznałem, że słowa były tylko na pokaz, bo wiedziałem, że John czekał za drzwiami i musiałaś udawać, żeby nie przyczepił się do tego, co się między nami działo.

– Nie, Tim. Nie ma żadnych nas. Chcę, żebyś zrozumiał, że na scenie naprawdę byłam inną osobą, a ta osoba, Porcyą, kochała Bassanio bez opamiętania. Ale sztuka się skończyła. Ty jesteś Timem, a ja jestem Tanya.

– Nie wierzę w to, co mówisz. W każdym razie możesz zbudzić Porcyę, kiedy tylko zechcesz. Nie jest martwa, tylko uśpiona gdzieś w głębi ciebie. I chce się wydostać. Bassanio za nią tęskni...

Czy miał rację? Przez chwilę prawie dałam się przekonać. Przez chwilę czułam, że gdybym zawołała, Porcyą pojawiłaby się w moim miejscu.

– Nie.

– Nie? Nie śpi? Czy nie, nie zamierzasz pozwolić jej się obudzić?

– Po prostu nie. Rozmawiasz teraz z Tanya, a Tanya nie chce uprawiać seksu ani z tobą, ani z nikim innym.

– Czyli umrzesz dziewicą? Tego chcesz?

– Umrzeć dziewicą? Co za dziwna myśl. Tego właśnie sam się boisz, Tim? Że nie przestaniesz być prawiczkiem przed śmiercią?

Trafiłam w sedno. To było źródło jego strachu. Desperacko dążył do seksu, obawiając się pójścia w nieznane z niepełnym bagażem doświadczeń. Jego lęki zostały odsłonięte...

– Wszystkie dziewczyny, jakie do tej pory znałem, zawsze zbierały się w grupki i świergotały między sobą. Nigdy żadna nie była sama, więc nie miałem okazji zapytać. A kiedy wreszcie spytałem, ty odmówiłaś. To tyle. Koniec. Nie mam już więcej czasu.

– Jak to nie masz więcej czasu?



– Mam siedemnaście lat, Tanyu. Zostały mi tygodnie, tylko tygodnie. Czy myślisz, że zawsze czekają do dnia twoich osiemnastych urodzin? Mogą przyjść w każdej chwili...

– Nie mogą. Kontrakt obowiązuje do ukończenia osiemnastego roku. Czytałam go.

– Nie czytałaś w takim razie dokładnie. Tekst krążący po teranecie nie jest dokładnie tym samym, co jest w kontrakcie. Przeczytaj sobie uważnie: „nieprzekraczającym końca osiemnastego roku” i „wcześniejsze zerwanie umowy może nastąpić na życzenie firmy”, a do tego „w przypadku wcześniejszego zerwania umowy nastąpi zwrot kosztu niewykorzystanego okresu użytkowania”. Mogą cię zaskoczyć i oddać twoim rodzicom ich własne pieniądze, by kupić ich milczenie.

– Poczekaj. Tata pokazywał mi kontrakt i tam nie ma nic takiego.

– A czytałaś aneksy do kontraktu? Te punkty zaczęły się pojawiać jakieś pięć lat temu.

Zamilkłam. Mógł mieć rację. Nie czytałam uważnie najnowszych wersji kontraktu. Zastanawiałam się, czemu nic o tym nie słyszałam, ale przypomniałam sobie wykasowane, puste strony w teranecie. Ktoś, kto rozumiał działanie mediów elektronicznych, miał pełną kontrolę nad informacjami dostępnymi w teranecie. Mógł nie pozwolić takiej informacji wyjść na światło dzienne.

Mój urodzinowy obiad ciążył mi w żołądku. Moje ostatnie dwa lata właśnie skurczyły się do jednego, a może nawet bardziej.

## Niedziela, 2 sierpnia 2054

Co ja właściwie chciałabym zrobić przez te kilka miesięcy, które mi zostały?

Iść z kimś do łóżka?

Chyba nie. Na pewno nie z Timem. Reszta naszej podróży autobusem była dla mnie jak sen. Byłam w kompletnym szoku. Tim chyba mnie objął, ale czułam się, jakbym patrzyła na to gdzieś z boku. Gdy wysiadłam przy bramie, nie dałam mu się pocałować. Kiedy żwir zaczął chrzęścić pod moimi stopami, usłyszałam jeszcze jego ostatnie słowa:

– Hej, Tanyu! Jeśli jeszcze zmienisz zdanie...

Mając wolną chwilę, zastanawiałam się, czy tego wszystkiego nie wymyślił, by jakoś nakłonić mnie do stosunku. Palant.

Ale sprawdziłam wszystko i okazało się, że mówił prawdę. A to powoduje powrót do pytania:

Co ja właściwie chciałabym zrobić przez te kilka miesięcy, które mi zostały?

Jest z setka książek, które chciałabym przeczytać, może nawet więcej. Spisane myśli wielkich filozofów z dziejów ludzkości, każdy z nich dodał coś do kwestii „co to znaczy być człowiekiem?”. Chcę zrozumieć, w czym się różnię. Jeśli w ogóle się różnię. Parafrazując słowa Szekspirowskiego Szajloka:

Jestem robotem. Czyliż to robot nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć, namiętności? Nie żywi się tymi samymi pokarmami, nie może być zraniony takim samym narzędziem, nie ulega takim samym chorobom, nie leczy się takimi środkami, nie czujeż tak samo zimna w zimie, a ciepła w lecie, jak chrześcijanin? Nie płynie z nas krew, jak nas zakłujecie? Nie

śmiejemyż się, jak nas załaskoczą? Nie umieramyż, jak nas otrują?

(Szkoda trochę, że w oryginale jest mowa o chorobach. Ale poza tym detalem wszystko inne pasuje jak ulał).

Zdecydowanie chcę więc przeczytać wspaniałe książki i wiersze świata, zaczynając od poetów z okresu pierwszej wojny światowej: Wilfred Owen, Rupert Brooke... Oni żyli na krawędzi śmierci, ale nigdy nie pozwolili, by strach przeszkodził im w tworzeniu. Muszę ich zrozumieć, odkryć źródło ich siły, bo inaczej mogę równie dobrze poddać się już teraz.

Sztuka we wszystkich swoich formach odróżnia człowieka od zwierzęcia. Muzyka, rzeźba, malarstwo. Nawet komiksy.

Humor i psychologia.

Miłość i nienawiść.

Wszystkie podstawowe sprzeczności rodzaju ludzkiego.

Oczywiście chcę też dalej koncertować z Mike and the Stands. Kupię sobie ten skórzany kombinezon, suwak zostawię tak nisko, jak tylko się odważę i pozwolę, by chłopakom na widowni oczy wyszły z orbit.

Chcę rozwiązać wszystkie swoje zagadki. Moje pytania z listy, które nadal zostały bez odpowiedzi.

*Co się dzieje z robotami po śmierci?*

*Dlaczego pani Hanson trzyma na ścianie swojej klasy zdjęcie przystojnego wojownika Zulusów; może jej męża?*

*Dlaczego nie ma żadnych młodych nauczycieli?*

*Co znajduje się w sercu Afryki, za korytarzem Kimberley?*

*Dlaczego John nie zadzwonił?*

*Czy Jemima (lub Myra) jest człowiekiem, czy robotem?*

*Skoro już o tym mowa, to ile dziewczyn z naszej szkoły jest robotami? Czy wiedzą o tym, czy, tak jak ja wcześniej, uważają, że są ludźmi?*

*Czy roboty żyją wiecznie? Jeśli tak, to czy ja mogę żyć wiecznie? Czy chcę żyć wiecznie?*

*Czy Siân jest człowiekiem? Jeśli jest robotem, to dlaczego pomagam jej w nauce francuskiego?*

*Ilu jest teraz ludzi na świecie? Czy rodzą się jeszcze jakieś dzieci?*

Pojawiły się też nowe pytania:

*Gdzie doktor Markov się tak opalił w deszczowe, londyńskie lato?*

*Dlaczego doktor Markov nie chciał rozmawiać o badaniach w Christianie?*

## Piątek, 28 sierpnia 2054

To już prawie rutyna.

Moja ostatnia aktualizacja. Zostałam przy ciemniejszym odcieniu skóry. Jestem znowu wyższa o kilka cali i dodałam sobie trochę w okolicach bioder i piersi; nie za wiele, ale to zawsze dobra wymówka do wymiany ubrań. Żadnych poważnych zmian w projekcie – wszystko zostało już ostatecznie ukształtowane przy okazji ostatniej aktualizacji.

Nie było nawet potrzeby, żebym została na noc. Prawie jak wizyta kontrolna, jak to ujął mój Tata. Dali sobie nawet spokój z tą bzdurną kalibracją.

Gdyby nie wypadek i szansa przerwania się na skórę „jakości produkcyjnej”, jak to nazwał doktor Markov, pewnie nawet bym się tym nie przejmowała.

Lubiłam starą siebie. Moja nowa ja jest właściwie taka sama.

„Poznaj swojego nowego szefa, takiego samego jak ten poprzedni”.

Piosenka na każdą okazję.

Czwartek, 23 września 2054

Postanowiłam zadzwonić do Tima i sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Nie, absolutnie nie chodziło mi o to, że zmieniałam zdanie. Poza swoją obsesją na punkcie seksu był całkiem miłym chłopakiem. Można było z nim porozmawiać, czego nie da się powiedzieć o większości osób z oprogramowaniem XY.

Co jest nie tak z chłopakami? Czy seks jest dla nich aż tak ważny? Czy Tim jest typowy? To dopiero myśl.

Z drugiej strony, czy ja jestem typową dziewczyną? Pod względem mojego... oprogramowania?

Lubię chłopców, panie Zog. Nic na to nie poradzę. Są wystarczająco podobni do dziewczyn, żeby można było z nimi żyć. Jednocześnie wystarczająco odmienni, żeby intrygować. Uzupełniamy się wzajemnie zarówno w sferze myśli, jak i sferze fizycznej, jeśli chcieć to rozebrać na czynniki pierwsze, tak jak czasami mi się zdarza. Analiza analizą, ale podoba mi się mój umysł i moje ciało. Co nie znaczy, że muszę chcieć seksu. A już z całą pewnością nie po to, żeby Tim mógł wypróbować w pełni swoje oprogramowanie przed ruszeniem w nieznane.

Ale, jak już wspomniałam, lubiłam Tima na tyle, by obawiać się, że może cierpieć. Więc zadzwoniłam do niego.

Nie odebrał.

Próbowałam kilka razy, ale nigdy nie odebrał.

Po szkole pojechałam autobusem pod adres, pod którym wydawało mi się, że mieszkał. Widziałam zapalone w oknach światła, więc zebrałam się w sobie i zapukałam do drzwi.

Nikt nie otworzył. Więc zapukałam ponownie.

W końcu usłyszałam kroki wewnątrz domu i drzwi się uchyliły.

– Czego chcesz?

Głos brzmiał na zmęczony i załamany. Niezadowolony z mojego najścia, ale zbyt zmęczony, żeby po prostu zatrzaskać mi drzwi przed nosem.

– Dzień dobry. Pan Price, prawda? Przepraszam, jeśli przychodzę nie w porę, ale... Jestem Tanya Deeley, koleżanka Tima. Chciałam zobaczyć czy nic... Chciałam się z nim zobaczyć.

Cisza.

– Czy pomyliłam adres? Tim tu mieszka, prawda?

– Mieszkał. Spóźniłaś się. Tim już nie ma.

– Ale... Nic nie mówił, że wyjeżdża...

I kiedy to powiedziałam, uzmysłowiłam sobie, że właściwie to mówił.

– O rany! Bardzo przepraszam. Przyszłam w bardzo złym momencie, prawda?

– Tak. Zgaduję, że chciałaś dobrze, ale chyba lepiej będzie, jak już pójdziesz.

I tyle. Zostałam odesłana. Drzwi się zamknęły.

Wtorek, 27 października 2054

– Wreszcie udało mi się znaleźć prawnika, Tanyu. Właściwie to adwokata. Poprowadzi naszą sprawę.

– Jaką sprawę, Tato?

Był normalny poranek, jak co dzień. Może poza tym, że był październik, kilka dni przed kolejną rocznicą śmierci Mamy. W każdym razie była pora śniadania i Tata otwierał pocztę.

– Naszą sprawę. Twoją sprawę. Przeciwko Oxted.

– E? A dlaczego chcę występować przeciwko Oxted?

– Musimy zerwać umowę, Tanyu. Udowodnić, że jest niesprawiedliwa, niezgodna z prawem, albo cokolwiek innego. Chcę cię zatrzymać, Tanyu. Zaslugujesz na to, żeby żyć.

– Nareszcie – powiedział, machając listem – udało mi się znaleźć adwokata, który zgodził się poprowadzić naszą sprawę.

– Nareszcie? Jak długo szukałeś? Ilu pytałeś?

– Trzy miesiące. W tym czasie rozmawiałem z dwudziestoma kilkoma adwokatami. Wszyscy odmówili, aż do teraz. Mówili, że to strata pieniędzy.

– A teraz znalazłeś kogoś, kto się tego podjął? Ile sobie zażyczył?

– To nieistotne. Jest gotowy to zrobić.

– Tato. Nie rób tego. Mam złe przeczucia co do tego pomysłu.

Naprawdę mi się to nie podobało. Czy Tata myślał, że byliśmy pierwszymi, którzy chcieli rozwiązać kontrakt z Oxted? Dziesiątki, setki, tysiące razy musieli już tego próbować inni ludzie. Może nawet jednemu czy dwu się udało. Ale nawet jeśli była jakaś luka, dzięki której wygrali w sądzie, to została już załatwana. A kontrakty pozostałych zaktualizowane.

\*\*\*



Tego samego dnia, kiedy dowiedziałam się, że Tima zabrano, zadzwoniłam do Johna. Nie rozmawiałam z nim od... cóż, od dawna, krótko po sztuce. Posprzeczaaliśmy się, bo wspomniałam, że idę się spotkać z Timem, a on zzieleniał z zazdrości. Udawał, że go to nie obchodzi, grał dojrzałego, ale kiedy powiedziałam, że nie jestem jego własnością, wygarnął mi, że faktycznie, bo jestem własnością Oxted i tylko oni na mnie czekają. Wszystko się wtedy rozsypało.

Ale teraz, kiedy Tata planuje nie wiadomo jaką głupotę prawną, czułam, że muszę porozmawiać z kimś bliskim. Siân była poza moim zasięgiem, Tim też, więc mój wybór drastycznie się zawęził.

Zadzwoniłam do Johna. W odpowiedzi usłyszałam sygnał blokady. Technicznie rzecz biorąc, był to sygnał niedostępnego numeru, ale nie można być niedostępnym, kiedy się korzysta z PIT-u, co oznacza, że musiał ręcznie ustawić odrzucanie połączeń ode mnie. Urządzenie reaguje wtedy komunikatem o błędzie takim samym jak w przypadku braku możliwości połączenia się z odbiorcą.

Niech cię szlag, Johnie Czern.

Spróbowałam drogi okrężnej i poszukałam PIT-u Kierana.

Otrzymałam bardzo chłodne przyjęcie. Tak, nadal utrzymywał kontakt z Johnem. Nie, jeśli John nie chciał ze mną rozmawiać, to jego sprawa i nie zamierzał w to ingerować.

– A co z zespołem, Kieran?

– Trochę późno o tym myśleć, Tanyu. Gdybyś nie przeszła do Mike'a, nadal byśmy grali razem. Rozwaliłaś zespół, bo to pasowało do twoich planów. A teraz chcesz go wskrzesić, bo pewnie znów pasuje ci to do twoich planów.

Ha! Ja rozbiłam zespół? Kieran i Siân sami mieli w tym całkiem niezły udział, doprowadzając do wyjazdu Siân. I to doprowadzając w trakcie jednego z moich występów, warto zauważyć.

Ale powstrzymałam się przed tą odpowiedzią i zamiast tego najśłodszy

możliwym głosem powiedziałam:

– Nie, Kieran. Żadnych planów. Chcę z nim porozmawiać, ale muszę uwierzyć, że mu o tym powiesz w najodpowiedniejszym momencie. Możemy się tak umówić?

– Chyba tak – odpowiedział po długiej ciszy.

– Dzięki, Kieran. Nie będę ci zawracać głowy. Z pewnością masz jakieś fajne zadanie matematyczne do rozgryzienia.

– Co? Nie, zaczekaj!

– O co chodzi, Kieran?

– O Siân. Nie mogę się do niej dodzwonić. Zupełnie, jakby zniknęła z powierzchni ziemi. Jej rodzice powiedzieli mi tylko, że wyjechała i zakończyli połączenie. Co się dzieje? Widziałaś się z nią?

– Nie widziałam się z nią od jakiegoś czasu, Kieran, ale mogę cię zapewnić, że jest pod dobrą opieką.

– Tak tylko mówisz, czy wiesz coś konkretnego?

– Powiedziałam ci wszystko, co mogłam.

– Ale wiesz więcej, prawda?

– Powiedziałam ci wszystko, co mogłam. Nie ciągnij tematu.

Byłam ciekawa, czy zostawi ten problem, ale niemal w tym samym momencie, gdy skończyłam mówić, jego oczy się zwięziły i zobaczyłam wyrachowanie pojawiające się na jego twarzy. Widziałam to na wyświetlaczu tak samo dobrze, jak gdyby stał tuż przede mną.

– Powiedz mi, co wiesz, a ja pogadam z Johnem.

Wiedział, że mnie ma. Albo że ja go mam. Każde z nas miało coś, czego drugie potrzebowało. Więc powiedziałam mu to, co Państwo wolałoby przed nim zataić.

To trochę zabawne i w sumie dziwne, ale najwyraźniej Siân nie mówiła Kieranowi o tym, o czym mówiła mi. Nie wiedział o testach, o prawdopodobnej karierze Matki. Chyba nie powiedziałam mu o tym w odpowiedni sposób, bo nie zareagował radością ze swojego ojcostwa.

– Suka mnie wykorzystała! Chciała dzieciaka, a ja byłem pod ręką. Nie zapytała mnie, tylko uwiodła.

Wydawałoby się, że będzie szczęśliwy. Większość chłopaków oddałaby prawą rękę za możliwość seksu z Siân.

– Nie, Kieran, to nie tak. Nie złość się na Siân. Pomyśl o tym, jak będzie teraz wyglądało jej życie. Nigdy więcej nie podejmie już żadnej decyzji. Będzie pod opieką, wszyscy będą wokół niej skakać, aż do dnia jej śmierci. Nikt jej nie skrzywdzi, bo będzie pod całodobową ochroną. Ale będzie więźniem. Nigdy więcej nie podejmie żadnej decyzji odnośnie swojego życia. Ani jednej.

– Nie powiedziała mi.

– A zgodziłbyś się?

– Możliwe. Pewnie, że tak. Nie! Kurde, wydaje mi się, że nie. Najpewniej. Ale powinna była spytać.

– Czasami na tym właśnie polega wybór. Wybór jednej osoby oznacza brak możliwości wyboru dla innej.

To była głęboka myśl. Skąd mi się to wzięło?

– Ale...

– Kieran. Ona cię wybrała. Ciesz się. Czuj się zaszczycony.

To chyba trochę pomogło. Jego gniew odpłynął, zaczął mamrotać jakieś przeprosiny i zerwał połączenie.

– Powiedz Johnowi, że chcę porozmawiać.

Ale jego już nie było po drugiej stronie.

## Sobota, 6 listopada 2054

Minęły ponad dwa tygodnie od mojej rozmowy z Kieranem. Nadal nic.

Tata siedzi w swoich papierach. Podejrzewam, że snuje plany. Wysyłał listy do swojego doradcy prawnego, jestem tego pewna. Nie mogę się jednak o to teraz martwić. Potrzebuję z kimś porozmawiać. Potrzebuję Johna.

– Lecę do sklepu na rogu, Tato. Będę koło szóstej.

– Dobra.

Była jakaś dziewiąta rano. Tata jest taki roztargniony.

Powiedziałam, że lecę do sklepu na rogu. Miałam na myśli sklep Czernów, który jest na rogu, więc nie skłamałam.

Podróż była nudna, ale przez cały czas serce biło mi szybciej. Oj, wiesz dobrze, panie Zog, że nie piszę tego dosłownie. Po prostu jestem podenerwowana w mój osobliwy, neurotroniczny sposób.

\*\*\*

Już wszystko gra. Dzięki Bogu.

Było trochę dziwnie, kiedy weszłam do sklepu. Pan Czern był w porządku, pani Czern też, ale kiedy powiedzieli Johnowi, kto przyszedł, nawet nie chciał wyjść ze swojego pokoju.

Więc usiadłam pod drzwiami i rozmawiałam z nim w ten sposób. Mówiłam spokojnie i dostojnie, jak dorosły z dorosłym. Powiedziałam, że przyjechałam zobaczyć się z moim przyjacielem Johnem i miałam nadzieję, że jakiegolwiek bariery między nami zostaną rozbite a rany wyleczone.

Nie płakałam. Nawet nie łkałam za głośno. W żadnym wypadku nie straciłam nad sobą kontroli i nie wybuchnęłam czymś w stylu „ty

bezduszny palancie, czemu się nie odzywasz, przecież ja cię ciągle kocham!”.

Coś jednak poskutkowało. John nigdy nie mógł oprzeć się chęci do porządnej kłótni. Po chwili darł się na mnie i wyzywał od samolubnych suk za rozbicie zespołu, więc ja też coś na niego wrzasnęłam w odpowiedzi, żeby trochę oczyścić atmosferę. Chyba wezwałam go do odważnego otwarcia drzwi i stanięcia po mojej stronie progu i powtórzenia tego, co powiedział, a on wrzeszczał coś o tym, że walnięcie główką gitary, na której są wszystkie pokrętła od strojenia, robi najwięcej zniszczeń. Coś w tym stylu pamiętam.

Po kilku wymianach tego typu naprawdę się już nakręciliśmy i drzwi zaczęły bardzo poważnie przeszkadzać w komunikacji, więc John łaskawie usunął je z drogi, żebyśmy mogli się na siebie właściwie wydzierać.

I wtedy nazwał mnie suką. Znowu.

Wyciągnęłam rękę i delikatnie położyłam mu palec na ustach.

– Czas to skończyć, John. Zaczynasz się powtarzać.

– Suka – powtórzył raz jeszcze drwiąco.

Więc go pocałowałam.

Właściwie to chyba pozwoliłam Porcyi go pocałować, bo ona jest w tym trochę lepsza. W każdym razie to chyba zadziało. Przestał mnie przynajmniej wyzywać.

Oddał mi pocałunek i pozwoliłam, żeby jego ręce pobłądziły chwilę po moim ciele. Już od jakiegoś czasu myślałam o tym, żeby coś takiego zorganizować, niezależnie od tego, co mówiłam Timowi. Może jednak czułam tykający we mnie zegarek, ale zwykle po prostu miałam na to ochotę.

Po chwili jednak zorientowaliśmy się, że fala uczucia nie porwała nas ze sobą i niestety, zgodnie z ostrzeżeniem doktora Markova stanęliśmy na końcu drogi, zastanawiając się, co mamy robić dalej, skoro pójdzie do łóżka nie wypaliło.

– Skoro już tu jesteś, może napijesz się herbaty? – spytał John.

– To wspaniały pomysł.

Rodzice Johna, oczywiście, zachowywali się, jakby nie słyszeli ani słowa i jakbyśmy właśnie wrócili z przechadzki po parku. Może atmosfera była nieco napięta, ale widać było, że John i ja znów się lubimy. Zeszliśmy na dół, trzymając się za ręce, a na jego policzku zostawiłam delikatny ślad szminki.

Napiliśmy się więc herbaty, a później poszliśmy razem na spacer. John zabrał mnie wtedy do Parku Aleksandry. Gdzieś po drodze rozmawialiśmy o zebraniu zespołu i o tym, że John napisał nową piosenkę, ale przydałyby się nieco lepsze słowa, choć ja uznałam, że można by spróbować i z takimi.

Siedzieliśmy na wzgórzu, tuż pod Pałacem. Mieliśmy widok na cały Londyn i wyobrażaliśmy sobie, jak musiał wyglądać w czasach świetności.

– Gdzie się podziały tłumy? – spytałam.

– Jeszcze tu wrócą.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie. Nie bardzo. Nikt tak na prawdę nie wie, dlaczego tak mało ludzi się rodzi, prawda? Za jakieś pięćdziesiąt lat zostanie ich już tylko garstka. Na każdego z nich będzie przypadało kilkunastu Soamesów. A za kolejne pięćdziesiąt ostatni człowiek umrze. Zostaną tylko Soamesy.

– A jednym z tych Soamesów będę ja, innym Ty, ale żadne z nas nie będzie pamiętało, że byliśmy kiedyś Tanyą i Johnem.

– Tak właśnie to sobie wyobrażasz, Tanyu?

– To jedyne rozwiązanie, jakie ma sens. Ostatni ludzie nie będą potrzebowali robodzieci, tylko służących. Więc nasze jednostki centralne zostaną wykorzystane przy budowie Soamesów.

– Nie sądzę, żeby to był los lepszy od rozebrania na części zamienne...

To zabiło rozmowę. Długo siedzieliśmy w milczeniu, John obejmował mnie ręką, jakby chciał obronić mnie przed losem, którego żadne z nas nie było w stanie uniknąć.

- Przepraszam, że nazwałem cię suką, Tanyu. I za wszystko inne też.
- Jasne. Wybaczam. Ty też mi wybaczysz?
- Chyba tak.
- John...?
- Tak?
- Zamierzasz uciec? Kiedy przyjdzie moment powrotu do Oxted?
- Chyba powinienem. Pamiętasz ten list, który czytałaś na pogrzebie swojej Mamy?

Przypomniałam sobie bez problemu:

*Przeżywaj każdą chwilę w pełni, wyciskając z niej wszystko, co dobre, i smakując jej bogactwo. A później walczyć o każdą następną i wszystkie kolejne nadchodzące po niej. Życie jest dobre i nie powinno być ani traktowane lekko, ani marnowane bezowocnie.*

- Tak, Tanyu, o ten fragment mi chodziło. Twoja Mama miała rację. Będę walczyć o tę chwilę, następną i każdą kolejną.
  - Jeśli uciekniesz, dokąd pójdziesz?
  - Jeszcze nie wiem. W dzicz? Może... Ale może łatwiej będzie schować się w tłumie? Zostać w Londynie. Uciekłaśbyś ze mną?
- Tego pytania się obawiałam.
- Może. Ale chciałabym zabrać ze sobą książki.
  - Książki? Uciekałaśbyś przed śmiercią, ale zabierając bibliotekę? Wersje elektroniczne by ci wystarczyły czy koniecznie chciałabyś brać papier?
  - Wyłącznie papier, John. Jeśli to by się udało. Muszę zrozumieć...
  - Co zrozumieć? Że książki są ciężkie i będą cię spowalniać?
  - Czytam wielkich poetów okresu pierwszej wojny światowej. Byli na co dzień bliżej śmierci niż my. Mają nam coś do przekazania. Prawie to rozumiem. Jestem już tak blisko i czuję, że uda mi się to rozgryźć. Może czytanie papierowych książek, takich samych, jakie oni trzymali w rękach,



mi w tym pomoże? A wtedy chcę to napisać swoimi własnymi słowami. Boję się śmierci, John, czymkolwiek by ona była w przypadku naszego rodzaju. Chyba chcę się nauczyć, jak przezwyciężyć ten strach. Dlatego na twoje pytanie odpowiedziałam „Może”.

– Czyli wolałabyś umrzeć, żeby być pewną, że jesteś w stanie stanąć w obliczu zagłady bez strachu? Wrono, jesteś szalona.

– Mniej więcej tak szalona jak ty, Ryzy Mopie. Ale czy to rodzaj ludzkiego szaleństwa, czy szaleństwa robotów?

Chyba nie wszystko, co sobie wtedy powiedzieliśmy, miało jakiś sens.

– Jeśli więc nie uciekniesz ze mną, to co zrobisz?

– Mój Tata chce ich pozwać do sądu.

– I twierdzisz, że to bardziej sensowne rozwiązanie niż ucieczka? Jaki ma pomysł?

– Nie wiem dokładnie. Mówił, że znalazł jakiegoś adwokata, który poprowadzi naszą sprawę w sądzie, ale nic więcej nie wiem.

Wstrząsnął mną dreszcz.

– Zimno ci? Powinniśmy już wracać.

– Pożegnaj się tylko z twoimi rodzicami i muszę lecieć do domu.

\*\*\*

Gdy wróciłam do domu, Tata spał w swoim gabinecie. Wokół niego leżało mnóstwo papierów. Jakieś listy od tego radcy? Zaryzykowałam szybkie spojrzenie, ale zdałam sobie sprawę, że to tylko jego kazania. Jutro przecież niedziela.

Później dostałam wiadomość od Johna. Prostą i krótką. Chciał, żebym dała mu znać, że dotarłam bezpiecznie do domu. Ale prawdziwą informacją było to, że jego PIT był znów odblokowany na połączenia ode mnie.

Znowu byliśmy razem.



Środa, 9 grudnia 2054

*Zawinęłeś mnie w swe zwoje  
Do sucha wycisnąć chciałeś  
Lecz nie jestem łupem twoim  
Czy kiedyś nad powodem myślałeś*

*Dziewcze to żywe już znikło stąd  
Z płaczącą duszą, zranionym sercem  
Przecież nie jestem zabawką na prąd  
Nikt mnie nie skrzywdzi już nigdy więcej*

*Miłości zwoje  
Trzymają mnie  
A ręce twoje  
Tulą we śnie*

Odtwarzałam ten utwór w wersji nagranej wtedy w sklepie z instrumentami muzycznymi przy Denmark Street i śpiewałam razem z Siân. Myślałam sobie, że mój głos nie jest wcale zły. Niewiele mi brakowało do zadowalającego poziomu i pomyślałam, że może mogłabym zająć miejsce przy mikrofonie w zespole. Kieran i John byli obydwaj dostępni.

Od tego nie było już daleko do zadzwonienia z pomysłem do Johna.

Coś mruknął i stwierdził, że Kierana może być ciężko przekonać.

Następnie udało mu się namówić Kierana do przyjścia na próbę z naszą dwójką. Podczas gdy ja uczyłam się jednocześnie śpiewać i grać na basie. Co wcale nie jest takie proste, bo twój język musi robić coś zupełnie innego,

niż robią ręce.

U Antonia już mnie znali, bo dość regularnie występowałam tam z Mikiem i jego zespołem, więc załatwiłam dla nas okienko na występ w środowy wieczór.

I oto jesteśmy, szykujemy się do występu. Wspaniała trójka w zestawieniu takim samym, jak klasyczne Cream. Ja jako Jack Bruce? Niech i tak będzie, bo z pewnością nie jestem w stanie być Siân. Wygląda na to, że będziemy musieli się zadowolić opinią muzyków.

Nie do końca rozumiesz, czemu, panie Zog? Nie jestem zaskoczona, dla mnie też to jest trochę dziwne. Gdy Siân z nami śpiewała, tak naprawdę zespół był dla niej tłem. Połowę naszej roboty stanowiło umożliwienie jej flirtowania z publicznością, która w większości składała się z mężczyzn przychodzących tam po to, żeby z nimi flirtowano. Nie twierdzę przez to, że była niegrzeczna czy zbyt prowokacyjna. Raczej otaczała ją ta aura typowego dla Marilyn Monroe „cześć, chłopcy”. To była część bycia Siân i na męską publiczność działało świetnie. Bez Siân musieliśmy zdobyć publiczność samą muzyką. Mogłam oczywiście zdobyć ten kostium ze skóry i zapiąć go tylko tyle, żeby ledwo się trzymał i pewnie taki widok też by się chłopakom podobał, ale wiedziałam doskonale, że nie miałam takiej charyzmy scenicznej jak Siân. Ona bez trudu uzyskiwała ten sam efekt, nie rozpinając suwaka ani trochę, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

\*\*\*

Znowu te motyle. Nie takie straszne tym razem, John zauważył pierwsze oznaki i nie musiałam chować się w łazience. Nie jest taki zły, jak na chłopaka.

Tak czy inaczej weszłam na scenę do pierwszego utworu, nadal czując ciepło jego ramion. Dziękuję, John.

Gorąco jest, gdy stoi się w świetle reflektorów Antonio's. Nigdy

wcześniej tego nie zauważałam, ale też nigdy wcześniej nie stałam pośrodku. Częściowo to czysta fizyka tych wszystkich watów tłoczonych przez żarówki. Ale dużo bardziej grzeją te wpatrzone w ciebie twarze z widowni. Oświetlenie bijące po oczach sprawia, że tak naprawdę ich nie widzisz. Ale nagle zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś basistą, ukrytym gdzieś z boku sceny, ale liderem zespołu, ogniwem pośrednim między muzykami za tobą a publicznością z przodu. I światło pada właśnie na... ciebie.

Był moment bezruchu. Spojrzałam za siebie. John stał ze ściągniętymi brwiami, w pełnym skupieniu. Kieran ze wzniesionymi pałeczkami uśmiechał się do mnie. Może mi wybaczył. Mrugam do niego. Jesteśmy gotowi.

– Witajcie, przyjaciele. Nazywamy się Raven.

Racja, chyba o tym nie wspomniałam. Zmieniliśmy nazwę. To była sugestia Johna. Raven, w nawiązaniu do moich kruczoczarnych włosów i przyzwiska Wrona. Dla mnie. Kieran ją przyklepał i nawet nie dopuścili mnie do głosu. „I tak jesteś przegłosowana”.

Powitały nas uprzejme oklaski. W końcu była środa. Jeśli przy stolikach było ze dwadzieścia osób, to było niezłe.

– Nasz pierwszy utwór to *Zwoje*. Chcę go zadedykować Siân, gdziekolwiek teraz jesteś. Brakuje nam ciebie... Daj mi G, John.

Głos miałam nieco chwiejny, ale to dlatego, że myślałam o Siân. Trzeba oczyścić umysł, bo na scenie jest za dużo rzeczy do roboty. Pierwsza linijka tylko na gitarze, potem zjazd od D w dół do G i wejście.

Poszło chyba dobrze. Klienci Antonio's lubią grana tu muzykę. Zarówno covery, jak i własne utwory. I jak na środe dostaliśmy całkiem niezłą reakcję. Kilka razy trochę się zacięłam z wejściem wokalu, czekając na Siân... i nagle zdawałam sobie sprawę, że jej nie ma, że to ja jestem wokalem, ale później weszłam w rytm i zanim doszliśmy do końca utworu, byliśmy na miejscu, na tej twórczej drodze na szczyt, a publiczność była

razem z nami.

Wiem, znowu używam długich zdań, ale gra na scenie właśnie taka jest. Wyruszasz z myślą, podążasz z nią i nie możesz przerwać, więc idziesz dalej i dalej, przez jakieś trzy minuty, aż okazuje się, że już możesz skończyć.

\*\*\*

Koniec.

Nie mam już nic do oddania. Jestem pusta. To jednak cudowne uczucie. Poczucie zrobienia czegoś dobrego. Czuje się... spełniona.

Środa, 5 maja 2055

Boję się.

Tata to zrobił. Złożył pozew przeciwko Oxted o prawo do zatrzymania mnie. Jego adwokat, jedyny, jaki zgodził się podjąć prowadzenia tej sprawy, złożył dokumenty i zostały one przyjęte. Teraz czekamy na odpowiedź z Oxted.

Czy ja chcę żyć? Głupie pytanie. Oczywiście, że chcę. Ale jakim kosztem...

Tata jest pastorem i dobrze wiem, że jego wypłata jest nieduża. Wspominałam wcześniej, że odpowiada za uchronienie połowy naszego miasteczka od załamania nerwowego, ale nikt mu za to nawet nie podziękuje. To do niego zgłaszają się, gdy przytłacza ich problem bezdzietności, kiedy zawodzą leki i kuracje na poprawę płodności, kiedy nie mogą zapłacić rachunków, bo wydali swoje oszczędności na cwaniaków, którzy obiecują cuda i nie dają niczego po otrzymaniu zapłaty.

To jest jak poradnia psychologiczno-psychiatryczna dla ubogich i ludzie tym gardzą. Tata pomaga im z ich problemami, a oni nie mogą tego znieść, bo kosztuje ich to szacunek dla samych siebie.

Na czym zboczyłam? A, tak... Koszt... Mama miała jakieś uzbierane pieniądze i to pewnie pomoże. Ale Oxted ma najlepszych prawników i jeśli przegramy, Tata zostanie bez pieniędzy. Najpewniej będziemy też zupełnie goli, nawet jeśli wygramy – mamy małe szanse na otrzymanie zwrotu kosztów procesu.

Ale Tata mnie nie słucha, kiedy mu o tym mówię. Mamrocze, że wygramy. Czasami wygląda trochę dziwnie. Tato, kto tobie pomaga pozostać przy zmysłach? Biskup tylko pokręcił głową, kiedy przyszedł z wizytą i nie chciał mi spojrzeć prosto w oczy.

Jest jeden promyk nadziei. Rada parafialna dowiedziała się, co próbuje, i robią, co mogą, żeby mu pomóc. Nawet Ted i jego świta. Myślę, że mogą mieć jakieś wyrzuty sumienia.

## Niedziela, 30 maja 2055

Tata znowu mnie zaskoczył, choć tym razem niespodzianka spodobała mi się dużo bardziej. Cztery dni wędrówki w dziczy. Tuż po powrocie z wieczornej mszy nagle się uśmiechnął i powiedział do mnie:

– Kości zostały rzucone. Nic już nie możemy zrobić. Pakuj się. Jedziemy na spacer po Yorkshire Dales.

Odzyskałam Tatę. Tego starego Tatę. Mojego Tatę.

Znalazł nam fantastyczny hotel na bazę wypadową. Kamienny mur, który miał utrzymać świat zewnętrzny na zewnątrz. Z restauracją, w której mogliśmy dobrze zjeść za niewygórowaną cenę. Do tego sala gościnna, gdzie można sobie przysunąć krzesła w pobliże kominka i napić się ciepłego kakao po całodziennej wędrówce. Obsługa hotelu jest przyjazna, ale się nie narzuca.

No i obiecana dzicz zaczyna się tuż za progiem. Tata zabrał nas do Ribblesdale, a to piękne miejsce. Mamy ze sobą przewodnik *Limestone Country* Wainwrighta i staramy się jak najlepiej go wykorzystać.

Inny przewodnik wspominał o okolicznych jaskiniach i grotach, co sprawiło, że wróciłam myślami do Johna i jego pytania o to, czy uciekłabym z nim, zanim Oxted po mnie przyjdzie. Wyobrażam sobie nas skulonych w jakiejś jaskini, żywiących się skradzioną żywnością, przemoczonych i przemarzniętych, żyjących w ciągłej obawie przed nadejściem poszukiwaczy. Czy tak chciałabym żyć? Za wszelką cenę, nieważne jak, byle przetrwać?

Pani Hanson mówiła mi o wyborach, o tym, że życie to ciągłe poszukiwanie nowych opcji, a śmierć to akceptowanie tych najbardziej oczywistych. Ale teraz te dzikie ostępy są piękne, bo mam ciepłe łóżko i dach, do których mogę wrócić. Mam też towarzystwo w postaci

wspaniałego przyjaciela – Taty – i to jest wybór, z którego jestem zadowolona. Życie w ciągłej obawie przed pościgiem, w samotności, walcząc z głodem i zimnem... Nie, ta sama dzicz nie będzie mi się wtedy podobała. Muszę znaleźć inną opcję.

\*\*\*

Wspięliśmy się z Tatą na Pen-y-ghent i złapałam się znów na myśleniu o Johnie. Chciałam, żeby był tam ze mną i mógł zobaczyć ten widok. Pozwoliłam moim myślom biec swobodnie w różnych kierunkach. Myślałam o Johnie jako moim mężu. O wychowywaniu własnych dzieci. Wspólnym zestarzeniu się, tak jak Mama z Tatą. Godnej śmierci, najpierw jednego, potem drugiego.

Bardzo ludzki los, jakiego doświadczyły miliardy ludzi przede mną. Wydaje się to bardzo przyjemną wizją. Ale, przypominam sobie, jestem przecież robotem. Muszę sobie znaleźć inną opcję.

Musi być dla nas jakiś inny model życia. Muszę go sobie wyśnić, bo możliwe, że nie będę miała okazji go przeżyć. Ale wymarzyć – tak. I opowiedzieć pozostałym z mojego rodzaju.



Wtorek, 1 czerwca 2055

Udało mi się odkryć, gdzie jest Christiana, tak przy okazji. To w Afryce, blisko Korytarza Kimberley, a może nawet w samym jego rejonie. To w każdym razie jedyna Christiana, o której nie ma żadnych informacji. W Stanach Zjednoczonych Ameryki są cztery, w Niemczech też jest jedna, i jeszcze kilka w Anglii. Ale te są dość zwyczajne.

Ta w Afryce jest zaznaczona tylko w starych atlasach, jak te w gabinecie Taty. Nie ma o niej żadnej wzmianki w teraniecie. To musi być miejsce, o którym doktor Markov nie chciał ze mną rozmawiać.

Czwartek, 3 czerwca 2055

John coś kombinuje, jestem tego pewna. Zdradzają go drobne rzeczy, o których mówi, lub raczej: przy których przestaje mówić. Zawiesza głos w pół zdania i dobrze wiem, że miał coś na końcu języka. Nie jest taki jak Tim, bo u niego mogłam ze sporą pewnością zgadnąć, o czym myśli. John nie jest tak łatwy do rozgryzienia, ale nie jest w stanie ukryć przede mną, że coś kombinuje.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że może planować ucieczkę. Ale przecież musi wiedzieć, że Oxted go znajdzie. Zbyt łatwo byłoby im wmontować urządzenie śledzące w robota, żeby tego nie zrobili. Pamiętam, jak dawno temu Martin spadł na skały i się poturbował. Nie mogę przestać myśleć o tym, że musiałam wtedy wyłapać jakiś sygnał alarmowy, bo przecież nie słyszałam, by krzyczał, a jednak doskonale wiedziałam, gdzie go szukać. Każdy robot ma zapewne wbudowany nadajnik w razie wypadku lub, jak sądzę, w razie ucieczki.

To ma sens, chociaż nie jestem w stanie przedstawić na to dowodów. Możliwe, że John zamierza się ukryć w jakiejś głębokiej jaskini, jak te w Ribblesdale, gdzie sygnał radiowy nie sięga. Jest dobrym inżynierem, powiedziałabym nawet, że geniuszem, więc pewnie coś rzeczywiście wymyślił.

Ufam Johnowi. Wierzę, że powie mi, kiedy będzie gotowy. A jeśli mi nie powie, to będzie to znaczyło, że sam nie uważał tego za bezpieczne. Zachowam swoje podejrzenia dla siebie, zakodowane w moim AllInFonie.

Rozmawiamy więc o innych rzeczach. Piszemy razem muzykę, a ja próbuję odnaleźć słowa, które przekażą coś nowego.

A co ze mną? Przygotowuję się do rozprawy. Albo wygramy, albo przegramy. Albo wygram swoje życie, albo je stracę. Ale przecież w końcu

i tak je stracę. Co mi zatem pozostaje?

Piątek, 4 czerwca 2055

Głupi! Głupi! Głupi!

Brązowa koperta. Przesyłka monitorowana. Została dostarczona dziś rano i nagle nasz proces sądowy przestał być sprawą, na której nie mogłam stracić.

Oxted wystąpił ze swoim pozwem. W oskarżeniu napisali: „...robot, znany jako Tanya Annette Deeley, został uznany za model wadliwy i powinien zostać natychmiast zwrócony do producenta w celu zdiagnozowania usterki i przeprogramowania, zgodnie z warunkami kontraktu...”.

Przeprogramowanie. Innymi słowy skasują mi mózg. Śmierć. I to nie za rok, ale teraz. Natychmiast.

Merde!

Proszę wybaczyć przeklinanie po francusku, panie Zog. Ale co innego mogę powiedzieć?

\*\*\*

Dzwoniłam do Johna. Nie odpowiada.

Co powinnam zrobić?

Tata mówi, że musimy to po prostu przeczekać. Weszliśmy w to, teraz musimy walczyć o swoje. Łatwo mu mówić, w końcu to nie jego mózg mają zamiar przeprogramować. Mam ochotę zacząć biec, ale dobrze wiem, że mają swoje środki, żeby mnie odszukać, zanim dotrę w pobliże jaskiń w dziczy. Ciągłe po głowie obijają mi się słowa pani Hanson. Szukaj opcji. Ale jakie mam jeszcze opcje?

\*\*\*

Poszłam na stację kupić bilet do Londynu. Chciałam zobaczyć, co się stanie. Automat wyświetlił napis „Wezwij obsługę”, kiedy próbowałam zapłacić swoją kartą ID. Przynajmniej nie zatrzymał karty.

Czyli utknęłam. No, mogłabym iść pieszo albo zapłacić gotówką, może też złapać autobus. Ale jak daleko dotarłabym bez potrzeby pokazywania karty ID? A autostop? Nigdy tego nie próbowałam, ale nie wydawało się bezpieczne. Poza tym było też nielegalne. Kto w takim razie mógłby podwieźć autostopowiczkę z czystej dobroci serca? Mogłam za to wymyślić bardzo wiele powodów, dla których ktoś miałby zgarnąć autostopowiczkę z dużo mniej szczytnych pobudek... Nie, ta opcja odpada.

\*\*\*

Zadzwoiłam do Mike'a, tego od Standsów, żeby mu powiedzieć. Oczywiście nie o wszystkim, ale musiałam dać mu znać, że prawdopodobnie będę musiała niedługo zniknąć na bardzo długo.

– Zaraza! Miałem nadzieję, że o tobie zapomną.

– Wiedziałeś?

– Oczywiście. Nie urodziła cię kobieta. Ale kto dziś jest inny? Poza tym robotem też nie jesteś. Swoją grą na basie zmusiłabyś kamień do płaczu. Potrafisz czuć. Jesteś ludzka.

– Dzięki, Mike. Ty też jesteś ludzki.

– Zagrasz z nami jeszcze jeden, ostatni występ? W ostatnią sobotę tego miesiąca?

– Zaraz, Mike, kto powiedział, że to będzie mój ostatni występ?

– To się dzieje szybko. Wiem coś o tym. Słyszysz się co nieco. Więc zagrasz ten występ z nami, sprawisz, że ten huragan porwie wszystkich w zasięgu. Co ty na to?

– Jest problem. Nie mam jak dojechać do Londynu. Nie mogę podróżować.

– To ja wyjadę i cię zabiorę. Po koncercie odstawię cię do domu. Zrobimy imprezę dla Tanyi.

Co mogłam zrobić? Schować się w pokoju i czekać na rozprawę?

Poniedziałek, 7 czerwca 2055

Tata powiedział, że czas zacząć robić konkretną analizę danych.

Miał rację. Niemyślenie o problemie nie sprawi, że problem zniknie. Chciałabym wiedzieć trochę więcej o prawie, ale jak to Tata mówi, musimy pracować z tym, co mamy. Zdaniem Taty musimy dobrze opracować strategię obrony, to znaczy musimy ją zrozumieć, zgadzać się z nią całkowicie i kontrolować sprawę. (Tata mówi ostatnio wiele rzeczy i to wszystko ma sens. Czy on już kiedyś robił coś podobnego, czy po prostu mam takie szczęście, że trafiłam na ojca, który potrafi to wszystko tak z marszu ogarnąć?).

Czuję się, jakbyśmy szli na wojnę.

Gabinet zamienił się w pokój narad. Tata schował książki do pudeł i wyniósł regały do jadalni, robiąc dużo wolnego miejsca na ścianach. Mamy tam teraz porozklejane arkusze papieru, porozstawiane sztalugi, wszędzie leżą markery...

Kiedy długopis mi się omsknął i napisałam coś na ścianie, czułam się bardzo winna. A Tata powiedział tylko:

– No i? *Skata* mnie obchodzi jakaś zasmarkana tapeta w momencie, kiedy walczymy o przyszłość mojej córki!

Nie przypominam sobie, żeby mój Tata kiedykolwiek przeklął, po angielsku czy po starogrecku.

I w ogóle to skąd mój Tata się na tym wszystkim zna? Greka to jakby część jego przygotowania do pracy. Ale brainstorming, mapy myśli i teoria gier? Logika formalna? Przecież on jest pastorem, a nie dyrektorem wykonawczym albo generałem!

Znieśliśmy komputery na dół do biura, żeby zaprząć je do przeszukiwania sieci i przeliczania danych, zostawiając jeden przeznaczony

do dokumentowania planów, i połączyliśmy się przez VPN z jednym z komputerów w biurze kościoła, by zachowywał kopię zapasową.

– Może i mam lekką paranoję, ale to kiepski moment, żeby nasze plany pokrzyżowała awaria dysku albo pożar.

Paranoja? Niby dlaczego mielibyśmy akurat teraz mieć jakiś pożar? Czy naprawdę myślisz, Tato, że Oxted mógłby się posunąć do takich chwytów?

Niestety, teranet niewiele pomaga. Bardzo mało w nim informacji na istotne dla nas teraz tematy. Wygląda to tak, jakby nikt nigdy wcześniej nie podważał kontraktu Oxted. Czy rzeczywiście jesteście pierwsi?

Ale i tak zaczęliśmy od analizy treści kontraktu. Wyglądał na bardzo szczelnie skonstruowany. Może nawet naprawdę taki właśnie był, ale przecież nie od zawsze. Pamiętam, że Tim mówił coś o zmianach w treści kontraktów pięć, sześć lat temu, które miały umożliwić Oxted wcześniejsze odzyskanie robotów. Wyciągnęliśmy wszystkie swoje wersje dokumentu i zaczęliśmy analizować różnice.

– Musimy zrozumieć powody zmian, Tanyu. Gdyby kontrakt był odporny na atak, po co mieliby go poprawiać? Musimy zrozumieć charakter zmian, a dowiemy się, co poprzednio próbowano podważać. Może to ułatwi nam znalezienie wyrwy w obecnej wersji kontraktu. A może nowa wersja otworzyła jakąś wcześniej załataną lukę...

Na szczęście kontrakty miały nie tylko daty, ale też numery wersji, więc wiedzieliśmy, gdzie mamy braki. Tata zadzwonił więc do kilku znajomych.

– Nie chciałbym zdradzać naszych poczynań, ale wydaje mi się, że tym ludziom mogę zaufać. I wiem, że robili aktualizacje akurat w odpowiednim momencie.

Niektórzy pomagali, inni nie. Część dlatego, że nie mieli już tych dokumentów, a w kilku przypadkach dlatego, że uważali tę kwestię za zbyt bolesną. Tata nie naciskał. Ale udało nam się pozyskać kilka wersji więcej.

Weekend minął (Tata poprosił o zastępstwo w posłudze niedzielnej), a my jesteśmy otoczeni wykresami i mapami myśli oraz kilkoma boleśniami



ogólnymi uwagami na temat poprzednich spraw podważających ważność kontraktu.

Tata westchnął i po raz trzeci czy czwarty podsumował to, co już mamy. Twierdzi, że to pomaga, ale jakoś nie jestem przekonana.

– Teranet nie wyświetla żadnych przypadków podważenia kontraktu. Nigdy. To wygląda zupełnie jak te wymazane strony, o których mówiłaś, kiedy szukałaś danych o wolności robotów. Najwyżej jakieś poszlaki. A jednak mamy namacalny dowód, że kontrakt był atakowany, bo inaczej po co go było modyfikować. A skoro tak, to najpewniej ataki te musiały być przynajmniej w jakimś stopniu udane. Moim zdaniem, choć nie mam wiedzy prawniczej, każdy udany atak był łatany bez przywracania poprzednich dziur. Innymi słowy: Oxted ma naprawdę dobrych prawników.

Zawiesił głos, a po chwili kontynuował, jednak mówiąc o zupełnie nowym wątku.

– Boję się, Tanyu. Jest taka książka, trudna do zdobycia w dzisiejszych czasach, zatytułowana *Rok 1984*. W tej książce partia kontroluje życie ludzi do niewyobrażalnego stopnia. Do dnia dzisiejszego uważałem, że to tylko fikcja literacka. Jednak siłą tej partii była kontrola informacji. Jeden z bohaterów książki cytuje slogan: „Ten, kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość. A ten, kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość”. Po raz pierwszy w życiu widzę tego rodzaju kontrolę w naszym społeczeństwie i jestem tym prawdziwie przerażony.

Popatrzył na mnie i zaraz podjął.

– Ktoś, podejrzewam Oxted, kontroluje teraźniejszość i przeszłość, a przez nie, choć niedoskonale i niecałkowicie, ale jednak kontroluje też przyszłość. Miałaś rację, Tanyu, i żałuję, że nie uwierzyłem ci, kiedy mówiłaś o tym, gdy zabrali Siân.

– To co teraz robimy? Poddamy się?

– Tego nie powiedziałem, Tanyu. Ale atak frontalny na treść kontraktu będzie zwyczajnie bardzo trudny. Muszę znaleźć jakiś inny sposób.

– Zróbmy sobie przerwę.

\*\*\*

Naszą przerwą był spacer przez miasteczko i okoliczny las. Na początku szliśmy po ścieżkach, ale doszliśmy w końcu do miejsca, w którym trudno było je odszukać. Tata nie mówił za wiele, ale patrząc na niego, jak przedzierał się przez krzaki, wiedziałam, że aktywność fizyczna pozwoliła mu uwolnić myśli.

Miałam mniej więcej pojęcie, gdzie byliśmy i w jakim kierunku szliśmy. Wiedziałam, że przeszliśmy przez drogę. Nie byłam zaskoczona, kiedy wyszliśmy z lasu i trafiliśmy na trawnik w sąsiednim miasteczku, prosto przed pubem.

– Kufel IPA i drugi dla mojej córki.

Nic nie powiedziałam do momentu, aż otrzymaliśmy nasze kufle i usiedliśmy z dala od barmana. Tata pociągnął spory łyk, a ja poszłam w jego ślady. A potem spytałam:

– Czy nie złamałeś właśnie prawa, Tato? Kupując mi alkohol?

– A jak myślisz, Tanyu?

– Myślę, że...

Przerwałam. Czy to prawo mnie dotyczyło? Czy jako robot mogłam złamać prawa napisane dla ludzi?

– Nie wiem, Tato. Czy to jakaś część twojego planu? Co prawo mówi o robotach?

– Ja też nie wiem. Kiedy zabieraliśmy cię do domu, zostaliśmy poinformowani o tym, że mamy cię traktować dokładnie tak, jakbyśmy traktowali dziecko z naszej krwi i ciała. Ale nikt nam nie mówił o statusie prawnym czy prawach. Z perspektywy czasu wydaje się to raczej dziwne.

– Czyli chcesz, żeby nas aresztowali i to udowodni słuszność naszej sprawy? Wybacz, ale mój jedyny kontakt z prawem był raczej

przerazającym doświadczeniem. John powiedział mi, że Oxted nie toleruje robotów łamiących prawo. Ściągają je do najbliższej placówki i dezaktywują.

– I to miałoby być gorsze od naszej obecnej sytuacji? W jaki sposób?

Słuszna uwaga.

– Ale nie, Tanyu, nie taki miałem plan. I z pewnością nie zrobiłbym takiego numeru bez konsultacji z tobą. Zamierzam dowiedzieć się, co o robotach mówi kodeks, jakie są różnice prawne między robotami a ludźmi i zobaczyć, jak możemy to wykorzystać. Przyszliśmy tutaj, bo to miejsce jest kawałek od domu, a ja potrzebowałem się przejść i pomyśleć. I cieszę się, że masz w ręku kufel z napojem dla dorosłych, bo jesteś nie tylko człowiekiem, ale na dodatek dorosłą osobą, na tyle czasu, ile nam jeszcze zostało.

Znów pociągnął łyk z kufła.

– Przyjście tutaj skryzalizowało myśli w mojej głowie. Jeśli uda mi się wmanewrować prawo w postrzeganie cię jako człowieka, to umowa z Oxted będzie musiała być nieważna. Jako człowiek nie możesz podlegać sprzedaży, nie możesz zostać kupiona ani wypożyczona, bo byłoby to niewolnictwo, a to z całą pewnością nadal jest nielegalne. Taki mam plan i coraz bardziej obawiam się, że może być niewystarczający. Musimy jeszcze trochę pogrzebać...

Zawiesił głos. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Ale dość o tym. Co słyszeć w zespole?

Czas na normalną pogawędkę ojca z córką...

\*\*\*

A potem wróciliśmy do pracy. Wyciągnęliśmy wszystko, co udało nam się znaleźć na temat Oxted. Całą korespondencję: maile, formularze. Nawet nasze rozmowy twarzą w twarz. Spisaliśmy je na tyle wiernie, na ile

byliśmy w stanie. Pokazałam nawet Tacie wpisy z pamiętnika z czasu wizyt w Banbury...

– Tak, pamiętam tę pierwszą sesję projektancką. Ty i Nettie rozmawiałyście o tym, co można zmienić, by uczynić cię bardziej podobną do reszty rodziny. Dla mnie z każdym ruchem rysika stawałaś się po prostu bardziej podobna do młodej Nettie, którą poznałem. Z czasów, kiedy ze sobą chodziliśmy. Kiedy wzięliśmy ślub.

Zamyślił się, ale wiedziałam, że nie powinnam mu przerywać.

– Nie patrzyłem na naturalne dojrzewanie. Dawniej ojciec patrzył na powolne dorastanie swojej córki, więc nie miał wrażenia, że córka nagle staje się młodszą wersją jego własnej żony. Widział po prostu powoli zmieniającą się córkę, która jednak zawsze nią pozostawała. Nie przechodziła nagłych i wymuszonych zmian w kierunku bycia kimś innym, kogo kocha się zupełnie inną miłością. Ciężko było mi więc patrzeć na twój obraz, a później na młodą dziewczynę, którą się stałaś, i nie postrzegać cię jako mojej młodszej żony.

– Och, Tato! Przepraszam cię. Nie miałam pojęcia.

– To nie twoja wina, Tanyu. Nettie też o tym nie wiedziała, dopóki nie porozmawialiśmy o tym szczerze w nocy, kiedy już poszłaś spać. Zajęło mi to bardzo dużo czasu, by się przyzwyczaić do twojego nowego wyglądu. Wtedy najbardziej zbliżyłem się do Doliny Osobliwości, Tanyu.

Przeszliśmy dalej. Tatę bardzo zaintrygowały testy kalibracyjne.

– Podchwytliwe pytania i ciekawe odpowiedzi, Tanyu. Nie zawsze logiczne, ale rozumiem twoje powody wybrania życia jednego dziecka zamiast śmierci jednego z nich. Boże uchwaj, żebyśmy nigdy nie musieli sami dokonywać takiego wyboru.

– Nie jestem pewna, czy za każdym razem odpowiadałam na nie tak samo.

– Sam nie jestem pewien, czy odpowiadałbym tak samo za każdym razem. Nie martwiłbym się o to na twoim miejscu. Nie to się zwykle liczy

w tego typu testach.

A potem kwestia aktualizacji.

– Czyli nie pozwalali ci zobaczyć twojego nowego ciała przed przeniesieniem do niego twojego mózgu?

– Nie. Twierdzili, że to nie jest dobry pomysł. Zgaduję, że to mogłoby zepsuć iluzję dorastania.

– Ale czy oni tak powiedzieli?

– Nie. Ale to chyba byłoby raczej dziwne uczucie. Trochę jak patrzenie na siebie martwą.

\*\*\*

No to mamy już jakiś punkt zaczepienia. Mamy określone ramy, ale przed nami jeszcze masa pracy. Badanie źródeł. Analiza. Burza mózgów. Poskładanie naszej obrony i przetestowanie jej. Tata rozumie to jako próbę przełamania naszych własnych argumentów. Ostatecznie umocnienie słabych punktów.

Jeśli się da.

## Sobota, 19 czerwca 2055

Pokochałam bas Amandy prawie tak bardzo jak mojego własnego Warwicka. Grając na nim, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest wąski, zupełnie jakby ktoś próbował wcisnąć te pięć strun na gryf przeznaczony dla czterech. Ale już po kilku wersach udaje mi się przestawić.

Tata nie miał nic przeciwko mojemu wyjazdowi do Londynu. Grałam już na kilku koncertach z zespołem Mike'a i ten był po prostu kolejnym. Jedyną różnicą było to, że Mike wyjechał po mnie i skończyło się na tym, że zadzwonił do drzwi plebanii. Ile on ma lat? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? I oto córka pastora wychodzi z nieznanym rockandrollowcem. Kwiecień i grudzień. No, październik, powiedzmy. Co sobie sąsiedzi pomyślą?

Tata zaprosił go do środka, bo nigdy nie miał właściwie okazji go poznać, ale Mike grzecznie odmówił, twierdząc, że musimy się spieszyć. Przez dziesięć minut stali więc w drzwiach i rozmawiali o zespołach, które każdy z nich widział; całkiem nieświadomi czasu i tego, że powinniśmy już być w drodze do Fulham na próbę przed występem.

Ruch uliczny był mały i gdy dotarliśmy do studia, Gus nadal rozkładał swój sprzęt tak, jak lubił. Gary podłączył i ustawił mój bas tak, jak na gitarzystę przystało, i teraz wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Nadal wyglądał jak strach na wróble z dredami, ale ponieważ go znałam, wiedziałam, że był w porządku. Jak oni wszyscy zresztą. Teraz byli już od jakiegoś czasu moimi dobrymi przyjaciółmi. Byliśmy zespołem, a ja byłam pełnoprawnym członkiem załogi. (Cicho, Amanda. Dobrze wiesz, że nigdy nie próbowałam cię zastąpić albo o tobie zapomnieć, ale jeśli teraz widzę okazję do zagrania czegoś bardziej jak ja, niż jak ty, to po prostu to robię, wiedząc że tego właśnie byś chciała. W końcu to ty powiedziałaś mi, że powinnam grać jak Tanya Deeley, a nie jak Amanda Taylor. *Cuts, Ace* i cała

reszta utworów były teraz tak samo moimi dziełami, jak i twoimi. Pokój między nami, Amando).

Kiedy skończyliśmy powtórkę, poszliśmy do pubu omówić listę i napiłam się z nimi piwa (i nikt mnie, nieletnią, nie aresztował za spożywanie alkoholu – i właściwie nie spodziewałam się tego).

W pewnym momencie coś do mnie dotarło. Wtedy w pubie zdałam sobie sprawę, że zostałam zaakceptowana przez tę grupę dorosłych jako... dorosła.

To zabawne, ale to był pierwszy taki moment, z wyjątkiem wypadu z Tata, co właściwie się nie liczy. Pewnie nawet bym tego nie zauważyła, gdyby nie moja rosnąca świadomość tego, jak mało czasu mi zostało. Bywałam już w klubie z tą samą grupą. Tak, było to już po śmierci Amandy. Może nawet pogrzeb Amandy był tym momentem przełomowym, kiedy ich nastawienie do mnie się zmieniło, ale po prostu wcześniej tego nie zauważyłam.

Wtrącałam swoje uwagi tu i tam, sprawdzając grunt. Nikt mnie nie ucinał, chociaż Gary miał zwyczaj dominować w rozmowie, gdy widział na to choć cień szansy. Ale robił to ze wszystkimi, a nie tylko ze mną.

Ciężko było wychodzić. Mike powiedział, że musimy się zbierać (obiecał mojemu Tacie, że odstawi mnie przed siódmą), ale go zignorowałam i miałam nadzieję, że przymknie na to oko i zostanie chwilę dłużej. Nie zadziałało. Mike może i jest nieoszlifowanym diamentem, ale jest też człowiekiem honoru, więc nalegał.

To doprowadziło do końca spotkania. Gus i Gary poszli coś zjeść, a ja próbowałam powiedzieć im o sprawie w sądzie, ale Mike zgrabnie pokierował rozmową w innym kierunku. Udało mi się tylko rzucić jakiś banał o tym, jak to miło jest być częścią tego zespołu i że będzie mi brak...

W tym momencie Mike zatrzasnął drzwi, ucinając moją wypowiedź.

– Umówiliśmy się, że nie będziesz nic o tym mówić, Tanyu. Powiem im przed występem. Przecież obiecałem, że to zrobię.



Ruszyliśmy w drogę. Byłam, delikatnie mówiąc, mocno niepoczyszona z powodu skrócenia mojego wieczoru przez Mike'a i przzerwania mojego nieprzemyślanego wyznania. Dlatego nic nie odpowiedziałam.

– Co się stało z tą dorosłą Tanya z pubu? Dlaczego w samochodzie obok mnie siedzi rozkapryszona mała Tanya?

Za dobrze znasz się na ludziach, niech cię, Mike. Więc mu powiedziałam.

– Po raz pierwszy naprawdę czułam się jak dorosła między dorosłymi, Mike. Wytrąciłeś mnie z równowagi, kiedy powiedziałeś, że musimy iść.

– Tak, zauważyłem, że mówiłaś trochę mniej jak dziewczynka. Nie sądzę, aby pozostali coś zauważyli, ale ja rozmawiam z tobą częściej.

– Nie o to mi chodziło, Mike. Chodziło mi o to, że zostałam włączona do rozmowy i nikt mi nie przerywał ani nie odnosił się do mnie z wyższością przez to, że jestem młodsza albo że jestem kobietą.

– Tak, to też zauważyłem. Ale nawet jeśli, to nie musisz przy tym przeklinać. Zachowaj to słownictwo na naprawdę ciężkie czasy.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Od razu lepiej. W każdym razie, jak już mówiłem, w przyszłym tygodniu powiem chłopakom, ale bez konkretów. Musisz wyjechać, i tyle.

– Dzięki, Mike. Wszyscy jesteście dla mnie dobrzy, a zwłaszcza ty. Nie mogę przestać myśleć o tym, że w jakiś sposób was zawodzę. Gdzie w tych czasach znajdziecie nowego basistę?

– Hej, siostrzyczko, nie rozklejaj mi się tutaj. Jeszcze nie przegrałaś tej sprawy. Może nigdzie nie pojedziesz.

\*\*\*

Mike odwiózł mnie do domu mniej więcej o tej porze, o której obiecał. Jeśli Tata wyczuł alkohol w moim oddechu, to postanowił tego nie komentować.

Nadażasz, panie Zog?



## Sobota, 26 czerwca 2055

Nie będę opisywać dokładnie wszystkiego, co wydarzyło się na moim ostatnim występie z Mike and the Stands. Tym razem nie graliśmy w Antonio's, ale w starym pubie rockandrollowym w Fulham. Nazywał się Golden Lion i właściciel twierdził, że mają tradycję grania muzyki na żywo sięgającą lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Może to była prawda, ale nadeszły ciężkie czasy i słuchających nie było za wielu. Czyli jednak nie różniło się to tak bardzo od występu u Antonia.

Ale jednak była publiczność, zobaczyłam też kilku stałych bywalców z Antonio's, którzy przyjechali specjalnie do Fulham. Nieźle nagłośnienie sali, ale i tak mieliśmy ze sobą własne mikrofony, bo te na miejscu zawsze są trochę zjechane.

Dopadły mnie emocje, „oczka mi się spociły”, bo miałam dziwne przeczucie, że to rzeczywiście jest mój ostatni występ. A potem Mike wziął mnie na słówko i postawił mnie na nogi.

– Chcesz żyć wiecznie?

– Jasne. Kto nie chce?

– Ale nie możesz. Bo kto może? Ale nie możesz też przewidzieć, co będzie jutro. Więc po prostu zagrajmy ten koncert, a jutro niech się dzieje, co chce. To będzie jutro.

– I niech to będzie najlepszy koncert w moim życiu...

– Byłoby miło. Ale muzyk zawsze tak mówi, przed każdym występem.

– Dobra, Mike. Jestem gotowa.

Była jeszcze jedna sprawa. Mike był trochę zakłopotany, ale kupił dla mnie skórzaną kurtkę na scenę. Założyłam ją i okazała się lekko przyciasna. Czyli idealna.

Spojrzałam w lustro i stwierdziłam, że wyglądam fatalnie. Zupełnie

przeciętnie. Poprosiłam Mike'a, by poczekał na zewnątrz i kiedy drzwi się zamknęły, zdjęłam wszystko z góry, prócz stanika. Założyłam kurtkę i zasunęłam suwak do miejsca, o którym zawsze myślałam. Tak, teraz wyglądało to dużo lepiej.

Gdzieś w głębi umysłu pojawiła się szalona myśl. „Właściwie, czemu nie?” – zapytałam samą siebie. Więc znów zdjęłam kurtkę, odpięłam stanik i pozwoliłam mu spaść na podłogę. Gdy założyłam ponownie kurtkę, w lustrze wszystko wyglądało tak samo, ale czułam się inaczej. Teraz było po prostu idealnie. Delikatna nutka odwagi i ryzyka...

„Panie i Panowie, przed wami Tanya Deeley, królowa rock and rolla. Przygotujcie swoje uszy na dźwiękowy abordaż! Panie, trzymajcie swoich panów! Panowie, pilnujcie swoich oczu, bo Rockowa Dama Tanya nagina prawa fizyki rządzące skórą i suwakiem poza granice i dumnie wypina swoją pierś bez siatki ochronnej”.

Z pewnością się teraz śmiejesz. Cóż, ja się śmiałam, bo wiedziałam doskonale, jakie to absurdalne. To tylko gra, przedstawienie, maskarada – i wszyscy o tym wiedzą. Chodzi o to, żeby nie potraktować tego zbyt poważnie.

W każdym razie Mike przyznał, że publiczności się spodoba. Patrząc na jego oczy mogłam z pewnością stwierdzić, że jemu się podobało.

Szłam na scenę nadal chichocząc w duchu i dzięki temu szłam dalej. Jeśli chodzi o sam występ, to było całkiem nieźle. Może nie był to najlepszy koncert, jaki zagrałam. I zrobiłam się nieco ckliwa, kiedy doszliśmy do ostatnich trzech utworów. Później zostały już tylko dwa. Potem jeden. A po nim...

Mike miał zakaz mówienia, że to mój ostatni występ z zespołem, ale oni i tak się domyślali, więc próbowali, żeby ten występ był specjalny. Na koniec stanęliśmy w linii i ukłoniliśmy się razem, bo to wydawało się słuszne. Pocałowałam Mike'a, Gusa i Gary'ego, kilka razy, a publika krzyczała i klaskała nieco głośniejsz, bo zdali sobie sprawę, że dzieje się coś

wyjatkowego, choć nikt nic nie mówił.

W połowie drogi do domu, w samochodzie Mike'a zdałam sobie z czegoś sprawę...

– Mój bas! – Miałam tak na prawdę na myśli bas Amandy, który mi podarowała w spadku. Zespół się nim dla mnie zajmował, razem z kablami i wzmacniaczem.

– Gus się nim zajął, jak zawsze. Nie myślałem, że możesz chcieć go wziąć.

– Cholera, przepraszam. Miałam zamiar go ze sobą zabrać.

– I co chciałaś z nim zrobić? Zagrać przed wysokim sądem?

– Chciałam go mieć ze sobą. Lubię go.

– Poradzisz sobie bez niego, czy mam zawracać?

Przemyślałam sprawę.

– Jedź dalej, Mike. To tylko kawałek drewna.

\*\*\*

Dopiero w domu zdałam sobie sprawę, że w szatni zostawiłam też swój stanik.

Środa, 30 czerwca 2055

Mamy naszą linię oskarżenia. Kontrakt jest pancerny pod każdym względem. Oxted ma pełne prawa do swoich produktów. Jestem jak samochód, toster czy telewizor, wypożyczony na okres osiemnastu lat. Prawo własności pozostaje stale po stronie Oxted. Tak zostało to zapisane przez U.S. Robots and Mechanical Men, więc wygląda na to, że Oxted przeczytało swojego Asimowa. Dlaczego więc nie jestem tosterem? Odpowiedź jest prosta: bo jestem człowiekiem. Nie człowiekiem z krwi i kości, ale człowiekiem neurotronicznym. Nie można wypożyczyć człowieka, bo to byłoby niewolnictwo, a to jest nielegalne. Sprawdziliśmy to i według konstytucji Narodów Zjednoczonych, wprowadzonej po Niepokojach, niewolnictwo jest zdecydowanie nadal uważane za przestępstwo.

I to tyle. Jeśli jestem tosterem, to kontraktu nie da się podważyć. Jeśli jestem człowiekiem, to cały kontrakt jest nieważny, a Oxted ma poważne kłopoty z powodu handlu niewolnikami.

Proste.

Czemu nikt na to nie wpadł wcześniej?

## Czwartek, 1 lipca 2055

John nadal się nie odzywa. Co się z nim stało? Gdzie jest?

*Choć słońce świeci, ciepła nie da mi.  
Nie straszny jest mi deszcz czy wietrzny dzień,  
Bo wiem, że Jutro mroczny rzuca cień.  
Nie dla mnie, maszyny, mieć ludzkie sny.*

*Wyciekły barwy z nieba, drzew i traw.  
Kolory tęczy szare niczym stal.  
Brak snów, brak słów, pozostał tylko żal.  
A oczy? Suche – wyschły dawno staw.*

*Bez serca bicia, słodkich płuca tchnień,  
Bez rąk, co zetrą smutek z oczu twych,  
Bez mleka w piersi i dziecka w łonie mym.  
Wczoraj kopia życia – dzisiaj śmierci cień.  
Minęło dane mi osiemnaście lat.  
W Oxted ostatecznie zamknie się mój świat.*

Boże, ciężkie to wyszło.

Nie powinnam pisać wierszy, gdy jestem w takim nastroju. A już na pewno nie w pamiętniku.

Nieważne, niech już sobie tu zostanie.

\*\*\*

Zdecydowałam, że muszę przeczytać coś pocieszającego po przelaniu tego całego mroku do mojego pamiętnika. Coś, co napisał John, byłoby w sam raz. Wrzucał różne rzeczy na swoją stronę. Odrzucone słowa piosenek, których zespół nigdy by nie zagrał. Były zbyt radosne, tak wtedy mówiłam, trochę żartobliwie, ale w tej chwili naprawdę potrzebowałam czegoś radosnego.

Wpisałam adres, zatwierdziłam...

< <Nie trać nadziei. Opcja się pojawi > >

Co? Czy to był komunikat o błędzie? Dziwne poczucie humoru Johna? Ekran zrobił się czarny, a po chwili pojawił się komunikat:

< <Strona o podanym adresie nie istnieje > >

Nie mogłam wywołać ponownie tamtej wiadomości, nie udało mi się też wejść na żadną podstronę Johna. Wszystko zniknęło. Zostało wyczyszczone, wykasowane.

Wtorek, 6 lipca 2055

Kiedy ten czas minął?

Mieliśmy cztery tygodnie, tylko cztery tygodnie, na przygotowanie się do sprawy w sądzie. Pierwsza rozprawa jest już jutro. Pan Guest, nasz prawnik, przyszedł pomóc nam w ostatnich przygotowaniach.

Twierdzi, że dali nam tydzień więcej niż normalnie. Kiedy Tata był w kuchni i przygotowywał herbatę, zapytałam, ile potrwa przesłuchanie. To była pierwsza rzecz, jakiej mnie „nauczył”: to nie rozprawa, tylko przesłuchanie. Wiedziałam to już wcześniej. Wywyższał się, bufon.

– Sprawy tego typu zwykle trwają dzień lub dwa, ale zgodnie z literą prawa sąd musi pozwolić wam mówić tak długo, jak tylko będzie to potrzebne do przedstawienia sprawy. Twój ojciec i ja przygotowaliśmy materiał na mniej więcej dwa dni. Będziemy mieli świadków. Zaprezentujemy twoje zdolności muzyczne. Odtworzymy nagranie z twojej roli w przedstawieniu. Musiałem użyć całej swojej sztuki perswazji w urzędzie powiatowym, by wy dostać ten materiał od pani Golightly.

Stara krowa!

– A co z Oxted?

Pan Guest przez chwilę się nie odzywał.

– Wygląda na to, że zamierzają ze swojej strony iść zgodnie ze sprawdzonym schematem, co normalnie zajmuje im jeden dzień. Ich kontrakt został już wielokrotnie sprawdzony w sądzie i wiele razy poprawiany...

– ...po każdej przegranej sprawie. Słyszałam o tym. Nie daje mi pan wielkiej nadziei, panie Guest.

– Cóż, zawsze należy mieć nadzieję, panno Deeley. Tak, zawsze należy mieć nadzieję. Pani ojciec to mądry człowiek, przygotował naprawdę

mocne argumenty. Musiał nad nimi dużo pracować. Jak sędzę, ma wyższe wykształcenie.

Oczywiście, ignorancie. Ukończył uczelnię teologiczną, a wcześniej był najlepszym studentem na filozofii w Durham. Musiał dużo pracować? Nie powiedziałabym. Po prostu gromadził pomysły i rozpracowywał wszystko od najdrobniejszych nawet poszlak. Nie, panie Guest, Tata był i jest zwyczajnie bystry z natury. Co bywa trochę irytujące podczas oglądania teleturniejów – zna poprawne odpowiedzi na około dziewięćdziesiąt procent pytań. Tata jest bardzo inteligentny, czego z pewnością nie będę mogła powiedzieć o panu.

Uśmiechałam się, tak jak robiła to Mama, kiedy ktoś żartował sobie z kanapek z ogórkiem. Czyli z rzeczy kompletnie niezabawnych.

Dlaczego więc płacimy panu za reprezentację w sądzie, panie Guest? Odpowiedź jest prosta: bo minęły już dawno dni, kiedy Anglik mógł sam stanąć w swojej sprawie przed sądem. Dziś trzeba mieć prawnika, a nikt inny nie chciał wziąć tej sprawy. Dlaczego? Czy tej sprawy nie da się wygrać? Czy może wszyscy inni za bardzo boją się Oxted? A może pan Guest chce dostać nasze pieniądze i nie obchodzi go, czy wygra, czy przegra?

Ale w takim razie czemu Tata wierzy, że ten człowiek może wygrać? Sama widzę, że pan Guest nie jest geniuszem, ale wierzyć mi się nie chce, że Tata dałby się nabrać. A może słucha teraz bardziej emocji niż zdrowego rozsądku?

Tata wrócił z herbatą i ciastkami. Muszę z nim o tym porozmawiać, jak pan Guest sobie pójdzie...

\*\*\*

Jedziemy do Londynu. Uznaliśmy, że lepiej będzie przenocować w hotelu, niż ryzykować utknięcie gdzieś po drodze z powodu awarii lub remontu.



Będziemy jakieś pół mili od budynku sądu, więc możemy iść pieszo.

Zastanawialiśmy się, czy nie pójść gdzieś na obiad i ostatecznie trafiliśmy do tajskiej restauracji w Covent Garden.

Czemu nie? Przygotowaliśmy się tak dobrze, jak byliśmy w stanie. Zналиśmy swoje argumenty na wylot. Rozważyliśmy metodą burzy mózgów wszystkie kontrargumenty, jakie mogli mieć prawnicy Oxted. Odgrywaliśmy na zmianę rolę prawnika strony przeciwnej. Każdy argument sprawdziliśmy metodą *Pięć Razy Dlaczego?*, by mieć pewność, że potrafimy go solidnie umotywować.

Atmosfera mogła być bardzo ponura. Wystarczyło, żeby któreś z nas zapytało, czy drugie czegoś żałuje, i wszystko zakończyłoby się płaczem. Zamiast tego jednak poszliśmy w kierunku „A pamiętasz?”. Zapytałam też o kilka spraw, o które bałam się spytać wcześniej, na temat Mamy i Taty, ich pierwszego spotkania w Durham i o jej decyzję o porzuceniu kariery dla zostania żoną. O kurację niepłodności i decyzję o wybraniu opcji „Oxted”.

Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, panie Zog, że zachowam odpowiedzi dla siebie. Głęboko w sercu, którego zdaniem Oxted nie posiadam. Powiem tylko, że znając je, Kocham Mamę jeszcze bardziej, niż byłam w stanie to wyrazić kiedykolwiek za jej życia.

Wypiliśmy kawę i Tata przyniósł nam po kieliszku brandy.

Koniec.

Środa, 7 lipca 2055

Inaczej sobie wyobrażałam salę sądową. Za dużo filmów się naoglądałam.

Pomieszczenie było małe, mniej więcej jak pokój spotkań. Nie było podniesionej katedry dla sędziego, tylko biurko i zwykły fotel (z czarnej skóry z chromowanymi rurkami) dla sędziego. Sam sędzia był łysiejącym mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat, ubranym w granatowy garnitur w delikatne paski. Próbowałam odczytać coś z jego twarzy: miłej, owalnej, pokrytej ledwo widoczną siateczką naczynek krwionośnych. Spokojne, nieco wodniste oczy, ale czy mogłam zakładać, że oznaczają przychylność? Nie byliśmy postaciami w książce Dickensa, a twarze nie musiały odwzorowywać serca.

Zegar wskazywał kilka minut po dziesiątej, więc już powinniśmy zaczynać, jednak wszyscy siedzieli spokojnie. Nasz prawnik i prawnik Oxted trzymali się z dala od siebie i rzucali w swoją stronę lodowate spojrzenia, co mogło być grą przed nami, bo równie dobrze mogli być świetnymi kumplami ze szkoły prawniczej. Do tego urzędnik sądowy, rejestrator i kilku potężnie wyglądających gości, przypominających bramkarzy dyskotekowych. Tutaj należałoby ich pewnie nazywać pracownikami ochrony sądu. Tak czy inaczej, byli mięśniakami.

Byłam jeszcze ja i Tata. I nikogo więcej.

W pewnym momencie sędzia spojrział na zegarek (pięć po dziesiątej) i chrząknął, zwracając na siebie uwagę.

– Możemy zaczynać, panowie?

Prawnicy kiwnęli głowami.

– Dobrze. Nazywam się Simpson, jestem waszym sędzią i lubię prowadzić przewód spokojnie i bez zbędnych formalności. Proszę o nienadużywanie tego, bo zmienię sposób zarządzania tą sprawą.

Następnie poprosił urzędnika o przeczytanie naszego pozwu i odpowiedzi Oxted. Kiedy urzędnik czytał dokumenty, oczy sędziego błędziły po sali i miałam wrażenie, że jest znudzony. To niedobrze. Ile razy już widział tego typu dramat rozgrywający się przed nim? Czy zawsze kończyło się tak samo?

Tata spojrzał w górę. Myślę, że się modlił. Ostatnio więcej niż zwykle.

Do kogo się modlisz, Tato? Wiem, że nazywasz go Bogiem, ale kim jest właściwie? Czy On wie o robotach? Czy wysłuchałby mojej modlitwy? A może dla nas, robotów, jest jakiś inny Bóg? Albo po prostu nie mamy Boga?

O Jezuu, tak się boję. Czy to jest modlitwa, jakiej wysłucha? Nie wiem. Jeśli roboty mogą się modlić, to właśnie to robiłam.

Nasz prawnik, pan Guest mówił...

– ...Później pokażemy, że osoba o imieniu Tanya Annette Deeley jest człowiekiem pod każdym liczącym się względem i że nie może ona podlegać warunkom kontraktu, jaki...

– Wnoszę sprzeciw.

– Dlaczego? – spytał sędzia.

– Użycie słów „osoba” i „ona” jest niewłaściwe w stosunku do maszyny. Właściwymi terminami jest słowo „teknoid” i „to”.

– To jest czepianie się szczegółów, panie Lloyd. Przecież o swojej łodzi też mówimy „ona”, prawda? Powinienem być zły za insynuację, że takie detale mogą wpłynąć na mój osąd.

Punkt dla nas. Pan Guest kontynuował.

– Dziękuję, wysoki sędzie! Udowodnię zatem, że Tanya posiada wszelkie istotne znamiona bycia człowiekiem i zgodnie z prawem powinna być traktowana jak człowiek. Tanya tworzy muzykę i pisze poezję. Jest też aktorką, bardzo dobrą, zdolną do interpretacji Szekspira...

Później głos zabrał pan Lloyd.

– W razie potrzeby wezwę na świadków ekspertów, którzy zeznają, że tak zwana kreatywność teknoidea jest tak naprawdę manifestacją jego awarii, czego dowodem mogą być zmiany w odpowiedziach w standardowym teście CalTech Morrison-Bowyer...

O, ch#%&\$! Niech to szlag! Testy kalibracyjne.

– Przepraszam – powiedziałam, wstając z miejsca. – Doktor Markov nazwał moje testy jednymi z najlepszych, jakie miał okazję zobaczyć.

Wszystkim na sali szczęki opadły. A później przemówił sędzia.

– Panie Guest, czy wyjaśnił pan swojemu klientowi, że teknoide nie ma prawa głosu?

– Co takiego? – zdziwiłam się. – Przecież ta sprawa najbardziej dotyczy właśnie mnie. Mam chyba coś do powiedzenia?

Sędzia Simpson uderzył młotkiem w stół i warknął na mnie... Właściwie nie na mnie, bo sędzia nie może zwrócić się bezpośrednio do maszyny, ale miał na myśli właśnie mnie.

– Przypominam wszystkim obecnym, że prowadzę swoje rozprawy w sposób nieformalny, ale prawo lokalne zabrania dowodów pochodzenia robotycznego niezależnie od okoliczności. Takie dowody różnią się od standardowego nagrania elektronicznego pod względem oprogramowania, które jest u swego źródła niedeterministyczne. W skrócie: robot może kłamać, ukrywać prawdę lub ją przeinaczać.

– Ale tak samo robią ludzie!

– Jeszcze jeden dźwięk wydany przez teknoidea, panie Guest, a poproszę ochronę o usunięcie go z sali.

Pan Guest spojrział na mnie wściekle.

– Zamknij się albo przez ciebie przegramy sprawę na starcie.

Więc się zamknęłam.

Chyba wyobrażałam sobie siebie jak Porcyę, stojącą w obliczu sądu i powalającą go niezachwianą logiką i zdolnościami oratorskimi. Zamiast tego moje usta zostały zamknięte przez prawo, przed którym chciałam się bronić.

Nawet Szajlok był w lepszej sytuacji. Mógł przynajmniej mówić we własnej obronie.

\*\*\*

Po zakończeniu mów wstępnych obu stron głos znów zabrał sędzia Simpson.

– Pracowałem już z panem Lloydem przy podobnych sprawach, więc nie powiem niczego, co mogłoby być dla niego nowe. Jednak jak rozumiem jest to pierwsza taka sprawa pana Guesta, jak również pastora Deeleya...

No to mamy dowód, że takie sprawy były prowadzone, tylko jakoś nie były notowane. „Ten, kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość...”.

– Przypominam obu stronom, że jesteśmy w sądzie cywilnym, a nie kryminalnym. Moim zadaniem jest ustalenie, czy kwestionowany kontrakt jest zgodny z prawem i został podpisany dobrowolnie przez obie strony oraz czy nastąpiło złamanie któregoś z jego punktów, które prowadziłyby do natychmiastowego zerwania jego ważności przez którąkolwiek ze stron, a także czy pożądaný wynik rozprawy jest zgodny z prawem lokalnym i warunkami kontraktu.

Sędzia przerwał na chwilę, ale po chwili kontynuował.

– Jeśli prawo jest jasne, a warunki kontraktu wraz z późniejszymi zmianami są prawnie ważne i zostały przez obie strony przyjęte dobrowolnie, nie będzie możliwości odwołania. Jeśli jednak prawo okaże się niejasne, ten sąd nie ma możliwości ustanawiania nowych praw i sprawa zostanie przekazana do sądu wyższej instancji. Ostrzegam obie strony, że taki proces jest często długi i kosztowny, a ten sąd oferuje swoje

usługi mediacyjne umożliwiające zapobiegnięcie takiemu wynikowi.

Pan Simpson spojrział na obu prawników i podjął wypowiedź.

– Jeżeli z kolei zostaną przedstawione dowody oszustwa lub mataczenia przez którąkolwiek ze stron, niniejszy sąd nie ma odpowiednich uprawnień do prowadzenia sprawy i zostanie ona przekazana do sądu karnego.

Sędzia zawiesił na chwilę wzrok na każdym z prawników, jakby upewniając się, że jego słowa zostały dobrze zrozumiane.

– Pomijając wymienione przed chwilą możliwości, spór może się zakończyć w dwojaki sposób. Możliwe, że zasądzę wygraną Oxted, w którym to przypadku firma ta będzie miała prawo natychmiast odebrać swoją własność. Możliwe też, że sprawę wygra pastor Deeley, a wtedy będzie on mógł wrócić z teknoidem Tanya do domu i zachować ją do końca kontraktu.

Czyli walczymy tak naprawdę o dwanaście miesięcy...

– Sprawa kosztów zostanie omówiona przy ogłoszeniu wyroku. Żadna ze stron nie wniosła o odszkodowanie. Czy wszystko jest jasne?

Pan Simpson rozejrzał się po sali, oczekując potwierdzenia od każdego z wyjątkiem mnie.

Sędzia kontynuował, prosząc pana Lloyda o powstanie.

– Panie Lloyd, biorąc pod uwagę złożone przez pana dokumenty oraz to, co usłyszałem w obu mowach otwierających, chciałbym prosić pana o rozwinięcie argumentów jako pierwszego. Powiedział pan, że nie spodziewa się, aby w przedstawionych przez pastora Deeleya dokumentach było coś wymagającego modyfikacji pańskiej linii prowadzenia sprawy i że powinien pan skończyć w jeden dzień. Czy podtrzymuje pan takie słowa?

– Tak, wysoki sędzie.

Oj, źle! Czy oni naprawdę mają tak znakomicie przygotowane argumenty?

– Bardzo dobrze. Wiem, że ma pan kolejkę ekspertów czekających za drzwiami. Mając na uwadze oszczędność kosztów, zacznijmy od ich

przesłuchania. Panie Lloyd?

Niezbyt subtelny przekaz od pana Simpsona: oddajcie sobie przysługę, i tak przegracie, więc nie przeciągajcie tego, a może nie straciecie wszystkich swoich pieniędzy.

Pierwszym specjalistą była doktor Evans, nadmiernie pewna siebie stara panna (tak, wiem, że nie powinno się oceniać czyjś stanu po wyglądzie). Miała na nosie okulary z denkami od butelek, srebrzyste włosy i cerę przypominającą spękaną ziemię. Dodaj do tego jeszcze bezkształtny, wełniany sweter w zieloną szkocką kratę. Powiedz mi więc, że się mylę w jej ocenie.

– Jestem historykiem technologii. Swój licencjat otrzymałam z neurotroniki w Nowym Uniwersytecie Banbury, przez pięć lat pracowałam nad projektem sieci neurotronicznej drugiej generacji, N2. Za pracę nad tym projektem otrzymałam tytuł magistra, a później doktora. Następnie wzięłam urlop naukowy, podczas którego pracowałam z Neilem, to znaczy Neilem Oxtedem, aż do jego śmierci w roku 2034, jako techniczny biograf z dostępem do kilku wcześniejszych zapisów jego badań, które miałam skatalogować i podsumować. Wielkie, słynne projekty: to był wielki zaszczyt móc się zajmować takimi materiałami...

– Doktor Evans! Mówi pani, że jest pani wykwalifikowanym projektantem neurotronicznym, a ponadto ma dogłębną wiedzę z zakresu tak obecnych, jak i historycznych koncepcji sieci neurotronicznych. Zgadza się?

– Dokładnie tak.

– Jak bardzo te plany rozwinęły się w ciągu ostatnich lat?

– Zadziwiająco niewiele, panie Lloyd. Pierwsze propozycje były pod pewnymi względami dość toporne, ale były to raczej ograniczenia wynikające z poziomu technologicznego, a dokładniej naszej zdolności do tworzenia potrzebnych nam struktur trójwymiarowych w skali submikronowej. N2 był znacznie mniejszy, podstawowe połączenie



neutroniczne było o cały rząd wielkości mniejsze. Model N3, pierwszy wyprodukowany po śmierci Oxteda, oraz N4, czyli model obecny, są nieco bardziej kompaktowe w porównaniu ze swoimi poprzednikami, ale z całą pewnością nie są to zmiany bliskie całemu rzędowi wielkości.

Och, John, gdzie jesteś. Tak byś mi się teraz przydał. Muszę to wszystko zrozumieć. Myślę, że chcą oślepić sędziego czystą wiedzą teoretyczną.

– Czy można zatem powiedzieć, pani Evans, że wszystkie projekty firmy Oxted są jedynie ulepszeniami oryginalnego pomysłu Neila Oxteda i różnią się wyłącznie liczbą tych, jak je pani nazwała, podstawowych połączeń neurotronicznych? Co zostało uzyskane przez postęp w dziedzinie miniaturyzacji? Zgadza się?

Poorana zmarszczkami twarz doktor Evans ściągnęła się jeszcze bardziej w grymasie, przez który wyglądała na jeszcze bardziej poirytowaną.

– Takie ujęcie tematu oznaczałoby odrzucenie dokonań mojego zespołu oraz samego Greene'a i współpracowników w dziedzinie postrzegania smaku i innych zagadnieniach sensorycznych. Ale w ogólnym rozrachunku, tak, można tak powiedzieć. Neil Oxted był geniuszem intelektu, który dał światu niemal doskonały wynalazek.

– A jak ten wynalazek ma się dziś do mózgu ludzkiego, pani Evans?

– To zależy od tego, jakie kryteria pomiaru chcielibyśmy przyjąć, panie Lloyd. Najbardziej popularnym podejściem jest porównywanie liczby neuronów w ludzkim mózgu do liczby połączeń neurotronicznych. Oczywiście mózg ludzki jest pod tym względem znacznie bardziej zaawansowany nawet od wersji N4, która, dla wiedzy wysokiego sądu, jest jednostką zainstalowaną w teknoïdzie pastora Deeleya.

– A jak się w takim razie prezentują teknoïdy na tle świata zwierzęcego? Można je porównywać z psami, kotami, czy może raczej szympanсами?

– O, ich poziom z pewnością znacznie przekracza poziom psów i kotów, panie Lloyd. Nie wątpię, że plasuje się gdzieś w rejonie wyższych naczelných. Ale nie sądzę, by udało nam się kiedykolwiek osiągnąć w tej



skali wyniki zbliżone do ludzkich. Efekty kwantowe ograniczają osiągalny dla nas poziom miniaturyzacji. Sądzę, że N4 jest już bardzo blisko granicy naszych możliwości, jeśli nawet na niej nie stoi. Podejmowane były próby dalszej miniaturyzacji, ale w jednostkach mniejszych niż zastosowane w modelu N4, połączenia neurotroniczne ulegają destabilizacji z powodu efektów kwantowych.

– Pozwoli pani, że podsumuję, pani Evans. Sieć neurotroniczna jest mniej skomplikowana niż ludzki mózg, ale porównywalna z mózgiem szympanśów. Czyli teknoidy produkowane przez Oxted nie są niczym więcej, niż wymyślnymi zabawkami, domowymi maskotkami. Czy to chciała pani powiedzieć?

– Zgadza się, panie Lloyd. Przewidując jednak dalsze pytania, chciałabym jeszcze zaznaczyć, że w przeciwieństwie do mózgu wyższych naczelnych czy mózgu psa sieć neurotroniczna została zaprojektowana specjalnie w celu dotrzymywania towarzystwa ludziom. Teknoidy z siecią neurotroniczną mogą więc mówić, uczyć się w pewnym zakresie, jak również odwzorowywać ludzkie uczucia dzięki specjalnemu oprogramowaniu.

– Czy dotrzymywanie towarzystwa ludziom jest wobec tego celem istnienia teknoidów?

– Tak jest. Teknoidy zostały zaprojektowane, by zastępować dzieci w czasie, kiedy instynkt macierzyński i potrzeba rozmnażania jest u ludzi największa. Dzięki firmie Oxted duża liczba ludzi mogła sobie pozwolić na adoptowanie dzieci, co było jednym z kluczowych punktów zwrotnych w zwalczeniu okresu Niepokojów.

– W jaki sposób, pani Evans?

– Niepokoje prawie doprowadziły do końca świata. To było jak ostatnie dni Rzymu. Barbarzyńcy u bram. Bez dzieci nie ma nadziei na przyszłość. Bez nadziei nie ma niczego, co powstrzymałoby egoizm na skalę społeczną. Dziecko jest fundamentem, na którym opiera się całe nasze

społeczeństwo. Bez falochronu, jaki stanowi rodzina, hedonizm i nihilizm zaczęły szybko dominować, zwłaszcza wśród młodzieży w trakcie okresu buntu i burzy hormonalnej. Krótco po tym nastąpił wybuch agresji. Z pewnością pamięta pan potworne nagrania pokazujące gangi młodych ludzi gwałcących i rabujących, plądrujących i palących miasta. Środowisko rodzinne nie miało znaczenia. Gwałcicielem mógł być zarówno absolwent wyższej uczelni pochodzący z bogatej rodziny, jak i bezrobotny imigrant z East End. Wysyłając policyjne jednostki do walki z tłumem, politycy przerzucali winę na inne nacje. Demagodzy rozjątrzali stare niezgody między narodami dla własnych celów, a później odkryli, że nie są w stanie kontrolować wywołanego przez siebie chaosu. Wojny Sabińskie były wynikiem tego wszystkiego.

– A teknoidy rozwiązały problem.

– Częściowo. Nie należy umniejszać wpływu, jakie miało rozwiązanie LeClerca na natychmiastowy koniec wszelkiej przemocy nie tylko we Francji, ale na całym świecie. Ale Oxted przywróciło pozory normalności – kobiety pchające przed sobą wózki dziecięce, maluchy bawiące się w parkach, i tak dalej. Zdziwiająco szybko psychologia tłumu uległa zmianie. Ludzie czuli powracającą nadzieję i jakiś rodzaj stabilizacji.

– Jak doskonała symulacja była potrzebna do osiągnięcia tego celu?

– To dobre pytanie, panie Lloyd. Z pewnością nie mogła to być symulacja doskonała. Ludzie przywykli do oszukiwania samych siebie licznymi substytutami. Oczywiście zwierzątka domowe – ale też dzieci adoptowane – są tu świetnym przykładem. Podobnie jak sroka akceptujemy kukułcze piskłę w naszym gnieździe i traktujemy je jak własne. Ale jak już wspomniałam, symulacja nie jest doskonała i w miarę dorastania teknoidea rodzice zastępczy zaczynają odrzucać podrzutka. Dzieje się coś, co przypomina rodzicom, że ich dziecko nie jest człowiekiem. Dzwonią wtedy do Oxted i w ciągu dwudziestu czterech godzin kukułka zostaje bezboleśnie usunięta ze sroczego gniazda.

– Czy to nie powoduje nawrotu agresji?

– W żadnym przypadku! Dziecko zastępcze prawie nigdy nie jest oddawane w okresie krytycznym, w czasie podatności na działania agresywne. Dzieje się to dopiero w momencie, kiedy rodzice osiągną wiek średni, hormony się uspokajają, a powraca racjonalne myślenie.

Widziałam, że Tata na te słowa poruszył się niespokojnie. Sędzia Simpson też to zauważył.

– Pastorze Deeley, ma pan komentarz lub pytanie?

– Tak, dziękuję. Mówi pani, że nie ma nawrotu agresji, pani Evans? Jako pastor muszę stwierdzić, że widzę to zupełnie inaczej. Utrata dziecka, nawet zastępczego, zawsze była przeżyciem traumatycznym i my, ludzie, bardzo często źle na to reagujemy. Najbardziej cierpi na tym najbliższa rodzina. Pomija pani przemoc domową w swoich analizach, ale dla pastora jest to dziś największy problem, z jakim musi sobie radzić w swojej parafii. Obserwuję wszelkie sposoby, jakimi człowiek może krzywdzić drugą osobę: niewierność, rozpad związku, rozwód, morderstwo lub samobójstwo. Wszystkie tego typu zjawiska zwiększyły się w porównaniu z okresem przed Niepokojami. Jeśli nie zgodzi się pani tego przyjąć, pani zeznanie jako eksperta jest błędne i nie jest wiarygodne.

Doktor Evans wyglądała na zszokowaną, jakby nigdy wcześniej nikt nie odważył się jej przeciwstawić. Jej dłonie zacisnęły się na pulpicie świadka, a oczy zwęziły wściekle. Wzięła jednak głęboki wdech, pozbierała myśli i odpowiedziała z wracającą pewnością siebie.

– Błędne? Nie sądzę, pastorze Deeley. Problemy, na które zwraca pan uwagę, nie zostały uwzględnione w parametrach projektu. Potrzebujemy jedynie teknooidów zdolnych do powstrzymania zamieszek z dala od ulic.

– Właśnie. To klasyczne postępowanie rządu w przypadku problemów nierozwiązywalnych. Uczynić problem niewidocznym. Ale mnie interesują przypadki tych dzieci, które nie zostają zwrócone przed upływem terminu ważności kontraktu. Gotów jestem postawić tezę, że dzieje się tak dlatego,

ponieważ nie wywołują one syndromu odrzucenia. Twierdzą zaś, że, pomijając kwestie czysto biologiczne, są one ludzkie pod każdym względem, a zwłaszcza pod względem zdania osiemnastoletniego testu Turinga. Czy ma pani jakieś dane na temat takich przypadków, pani Evans?

– Ponieważ jest to technicznie poza moim zakresem wiedzy, jedynie domyślałam się, że liczba takich teknooidów, które zostają zwrócone dopiero po upływie ważności kontraktu, jest zbyt mała, żeby można ją uważać za istotną statystycznie grupę. Dotychczas nie dokonano analizy takich zwrotów i nie planujemy wykonywać jej w przyszłości.

– Innymi słowy, z góry ustaliliście wyniki swoich badań. Jak to się wpisuje w wiarygodność naukową, pani Evans? Nie chce pani badać części obiektów testu?

O rety! Ale ją Tata zagonił!

Ale w tym momencie wtrącił się sędzia Simpson.

– Pastorze Deeley, nie chciałbym, aby to przesłuchanie zamieniło się w spekulację. Doktor Evans, nie musi pani odpowiadać na to pytanie.

– Och, nie widzę problemu, sędzio Simpson. Po zakończeniu kontraktu teknoidy są przeprogramowywane. Wszystkie teknoidy poddają się tej procedurze zupełnie dobrowolnie. Jeśli teknoidy są świadome, ludzkie, jeśli tak chce to pan nazwać, to gdzie jest ich instynkt przetrwania?

Tata usiadł zrezygnowany.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie. Na razie.

\*\*\*

Gdy pani Evans skończyła, następnym ekspertem był doktor Maurice Colyer, kierownik programistów w dziale adopcyjnym.

Zapomnij o taktyce oślepienia sędziego wiedzą teoretyczną! Technika zastosowaną przez Colyera było zanudzenie nas na śmierć. Miał siwe włosy, szare oczy, szare ubranie i szary głos. Mówił płaskim, monotonicznym

głosem, który sprawił, że czułam się, jakbym umarła i trafiła do pustej, szarej otchłani gdzie nic... nigdy... się nieee dzieeeje.

Jeśli dobrze to pamiętam (a Tata to potwierdza), Colyer składał bardzo szczegółowe zeznania na temat setek tysięcy linii kodu potrzebnych do stworzenia mózgu teknoidea i następne kilka milionów do skonfigurowania wzorów neurotronicznych. Cytował statystyki dotyczące liczby linijek kodu potrzebnej do symulowania smutku, pyskowania czy zdolności muzycznych. Później przeszedł do losowości i tych elementów względem siebie współzależnych, które pozwalają na symulację wolnej woli i umiejętności tworzenia związków z innymi.

Mózg, który on nazywał macierzą neurotroniczną, był zatem doskonale przygotowany do symulowania kreatywności.

Byłabym gotowa sprawdzić swoją symulację przeciwko twojemu oryginałowi, kiedy tylko będziesz gotów, doktoru.

\*\*\*

Rozeszliśmy się na lunch. Pan Guest do nas dołączył.

– Idzie tak dobrze, jak tylko mogliśmy sobie tego życzyć – powiedział. – Mają z nami ciężką przeprawę.

„My”, panie Guest? Nie słyszałam na sali lawiny natarczywych pytań z pańskiej strony, z wyjątkiem tych, które podsunął panu mój Tata. Czy ty w ogóle masz pojęcie o tym, co się dzieje?

– W rzeczy samej, panie Guest. Pański fortel mający nakłonić pana Simpsona do uznania mojej córki za człowieka prawie się udał...

Prawie, jak stąd na Bermudy. To byłby cud, choć całkiem przydatny. Ale oczekiwać potknięcia tego typu od tak doświadczonego sędziego? Bez szans. To loteryjka: strzał na dużą odległość z małym prawdopodobieństwem trafienia, który robi niewielkie szkody pod warunkiem, że nie postawisz na niego wszystkich swoich oszczędności.

Wszystkie ich dowody i zeznania były dokładnie takie, jakich oczekiwaliśmy. Zajmowali teren, na którym się ich spodziewaliśmy, a skoro nie mogliśmy nic z tym zrobić, stawialiśmy im symboliczny opór, aby pokazać, że się nie poddajemy.

\*\*\*

Po przerwie obiadowej pan Lloyd podjął wątek.

– Dziś rano dowiedzieliśmy się, jak zbudowany jest teknoïd, czyli oparta na mechanizmach kognitywnych maszyna o skomplikowaniu jednostki myślącej na poziomie szympansa. Ten wielki wynalazek, mający jednak swoje ograniczenia, pozwala firmie Oxted na wprowadzanie na rynek humanoidalnych towarzyszy życia zoptymalizowanych do zajmowania miejsca dzieci w domach par, które w innym przypadku nie miałyby możliwości założenia rodziny.

Głos i płynność wypowiedzi sugerowała, że Lloyd nie zmodyfikował swojej mowy prawdopodobnie od lat i powtarzał po raz kolejny sprawdzoną formułę.

– Zostało przedstawione, w jaki sposób te humanoidalne roboty zostały zaprogramowane w celu naśladowania zdolności i cech dzieci oraz w jaki sposób teknoïdy w sposób sztuczny rozwijają się, osiągając granice swoich technologicznych możliwości. Kiedy więc oprogramowanie ostatecznie zawodzi i przestaje wywoływać pożądaną reakcję u ludzi, rodzice odrzucają produkt i zwracają maszynę do producenta.

Co w żadnym przypadku nie odnosiło się do mnie, bo Tata zamiast mnie odrzucić, chciał mnie zachować...

– Dzisiejszego popołudnia chciałbym przybliżyć temat środka wczesnego rozpoznawania oznak niestabilności, czyli testu Morrison-Bowyer'a.

I tak oto wprowadzony został jeszcze jeden doktor: pani doktor Morrison we własnej osobie.



Była elegancką kobietą w ciemnogrnatowym dwuczęściowym kostiumie i jasnokremowej bluzce. Całą swoją postawą prezentowała się charakteru i pewność siebie. Mogła równie dobrze wyjść właśnie z planu filmowego. Jej kasztanowate włosy były elegancko ułożone, a makijaż delikatny, ale idealny. Jakoś nie mogłam sobie jej wyobrazić w blaszaku Nissena w Banbury.

Test Morrison-Bowyera, jak nam powiedziała, wywodził się z testów osobowości dwudziestego wieku, ale zawierał wkomponowane elementy procedur testowych oprogramowania. Test sprawdzał konkretne schematy za pomocą zestawów losowo dobieranych pytań. Standardowa macierz kognitywna odpowiadała w bardzo dokładnie określony sposób na poszczególnych etapach rozwoju. Teknoidy były zatem badane przy każdej aktualizacji, to znaczy przeważnie co dwa lata, a przypadki wyłamujące się ze schematu były dokładnie sprawdzane i porównywane ze zgłoszeniami anomalii przekazanych przez szpitale, lekarzy, pracowników społecznych, policję, nauczycieli i tak dalej. Zwykle nie wymagało to dużego nakładu pracy, jednak takie anomalie zazwyczaj pokrywały się z późniejszymi przedwczesnymi zwrotami.

Tata już stał.

– Tak, pastorze Deeley? Ma pan pytanie?

– Zgadza się. Doktor Morrison, czy wszystkie formy anomalii pokrywały się z przedwczesnymi zwrotami?

– Z pewnością większość z nich.

– A jakie są prognozy zmiany zachowań w przypadku, gdy teknoid ze stwierdzoną anomalią nie zostanie zwrócony Oxted?

– Teknoidy takie stają się trudne do wytrzymania. Aspołeczne.

– Z całym szacunkiem, ale czy my w swoich latach młodości też nie mieliśmy takiego okresu?

– Nie. To zupełnie coś innego. Ludzki nastolatek rozwija się umysłowo, podczas gdy jego wyczucie taktu społecznego zostaje zwykle kilka lat

w tyle. Teknoidy z kolei przestają się rozwijać umysłowo i stają się tylko coraz bardziej agresywne.

– Czyli mogą stać się brutalne? Wydaje mi się, że nie jest to informacja dostępna publicznie.

– Może nie tyle brutalne, co agresywne werbalnie. Można powiedzieć: gburowate.

– Czyli wasz test jest wczesnym ostrzeżeniem przed gburowatością?

– Między innymi, tak.

– I obawiacie się, że tu obecna Tanya zmieni się w nieznośną, gburowatą nastolatkę? Zamierzacie ją zabrać, ponieważ obawiacie się, że może w niegrzeczny sposób odmówić pozmywania po sobie naczyń?

Dalej, Tato!

– Nie do końca, pastorze Deeley. Są jeszcze inne rodzaje anomalii. Opisałam jedynie najczęściej występującą formę.

– Zatem pozwolę pani wyjaśnić, na czym polega dokładnie domniemana anomalia, o którą podejrzewacie Tanyę i przed którą tak bardzo chcecie chronić mnie i resztę społeczności.

– To skomplikowane, pastorze Deeley. Trudno to wytłumaczyć komuś spoza kręgów naukowych.

– Może nie należą, ściśle rzecz ujmując, do kręgów naukowych, ale mam dyplom z wyróżnieniem z filozofii z Uniwersytetu w Durham. Jedną oceną zaniżyłem sobie perfekcyjną średnią, ale ośmielę się stwierdzić, że mogłaby się pani zdziwić, jak wiele potrafię zrozumieć.

– Potrzebna jest tu też wiedza matematyczna. Poza tym to nie panu jestem winna swoje wyjaśnienia, ale sędziemu Simpsonowi.

Czy pani właśnie nazwała Simpsona głupkiem, doktor Morrison?

– A co z resztą mojego pytania w takim razie? Jakiego rodzaju objawów można się spodziewać po tej domniemanej anomalii? Czy Tanya zamieni się w maniakalnego seryjnego mordercę? Zostanie nieuchwytnym mistrzem rabusiów? Czy może obsesyjną kolekcjonerką znaczków? Przecież musi



pani wiedzieć, czego się spodziewać!

– Nie jesteśmy w stanie określić tego tak dokładnie. Nie sądzę, żebyśmy musieli się obawiać, że zostaniemy zamordowani we śnie. Teknoidy nie robią takich rzeczy.

– Pierwsze prawo robotyki Asimowa, tak?

– Nie pierwsze prawo, pastorze Deeley. To bardzo częsty błąd w założeniach, jeśli chodzi o teknoidy. Tylko roboty domowe mają w oprogramowaniu prawdziwe pierwsze prawo. Jeśli wstawić je do oprogramowania teknoidów, przestałyby zachowywać się jak prawdziwe dzieci, a to wywołałoby Dolinę Osobliwości. W szkole można więc zaobserwować przypadki bójk i nękania między robotami. Istnieją skuteczne zabezpieczenia, ale podobnie jak w przypadku prawdziwych dzieci, teknoidy nie mają w pełni wpisanego pierwszego prawa robotyki. Mimo to można przyjąć, że są dość bezpieczne.

No proszę! Nie jestem tylko pewna, czy to pomaga naszej sprawie.

– Czyli jesteśmy bezpieczni, prawda doktor Morrison?

– Oczywiście, bez najmniejszych wątpliwości.

– Jeśli zatem jesteśmy skutecznie chronieni przez wspomniane zabezpieczenia, to czemu musicie ją zabrać? Z pewnością może zostać w moim domu.

– Musi zostać dokładnie przebadana. Standardową procedurą jest sprowadzenie teknoidów z wykrytą anomalią na teren firmy.

– Ale powodem nie jest kwestia bezpieczeństwa? Tanya nie stanowi zagrożenia dla nikogo?

– Nie. Nie stanowi zagrożenia.

– No to niech zostanie u mnie. Możecie ją obserwować czujnikami na odległość. Albo mogę ją dostarczać na badania okresowe do Banbury.

– Nie. Musimy zatrzymać ją na terenie ośrodka w Banbury na stałe.

– Dlaczego?

– Bo taka jest procedura.

– Ale dlaczego?

Tak! „Pięć pytań dlaczego” wykorzystana w praktyce! Widać, że unika odpowiedzi, panikuje i zaczyna uciekać... Do boju!

Wtedy zainterweniował sędzia Simpson.

– Przepraszam, pastorze Deeley, ale muszę prosić o przerwanie tego kierunku pytań. Ustaliliśmy, że teknoïd będący pod pańską opieką ma wykrytą anomalię, a standardowa procedura producenta wymaga sprowadzenia takiej maszyny na wnikliwe badania wymagające stałej obecności w placówce Oxted.

– Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, jestem w trakcie ustalania, że wykryta anomalia nie stwarza dla nikogo zagrożenia i próbuję zasugerować alternatywę, dzięki której ja nie stracę córki, a Oxted będzie mógł ją przebadać.

– Pastorze Deeley, sąd odnotowuje pańską propozycję z podziękowaniem. Jednakże to moim zadaniem jest tu proponowanie rozwiązań, jeśli okaże się, że któryś z punktów kontraktu nie został dopełniony przez jedną ze stron. Nie jest natomiast celem tego sądu dodawanie nowych punktów do kontraktu na życzenie którejkolwiek ze stron, jeżeli okaże się, że postanowienia kontraktu nie zostały złamane, a obie strony podpisały go dobrowolnie i bez przymusu. Czy zostałem zrozumiany?

– Tak, wysoki sędzie.

Cholera, cholera, cholera.

Cholera.

Plan A w mgnieniu oka zmienił się w pył.

\*\*\*

– Prawie ją dopadłeś, Tato.

Siedzieliśmy w barze hotelowym. Sąd zakończył przesłuchania na dziś.

Oxted wystawił na zakończenie jednego ze specjalistów od treści umowy, który dla odmiany nie był doktorem. Opisywał historię kontraktów na przestrzeni lat w tak samo detaliczny i ogłupiający sposób, jak przedmówcy, podkreślając przy tym, że każda aktualizacja była połączona z odpowiednio skonstruowaną umową. I zwrócił uwagę na pominięcie jednej z aktualizacji w moim przypadku, w domyśle sugerując, że gdyby nie została ona pominięta, najpewniej anomalia zostałaaby usunięta. Domniemana anomalia.

– Wiem, wiem.

– To była bardzo niekonwencjonalna strategia, muszę przyznać. Mam nadzieję, że nie będzie nas ona kosztowała sprawy, pastorze Deeley.

A pan miał jakiś lepszy pomysł, panie Guest? Jeśli tylko tyle ma pan do powiedzenia w kwestii analizowania naszej sprawy sądowej, to może lepiej, żeby pan już zniknął i zostawił nas z Tatą samych?

\*\*\*

Telepatia czasami działa!

Pan Guest rzeczywiście wkrótce przeprosił nas i powiedział, że musi zdążyć na pociąg. Tata i ja podaliśmy mu ręce i pomachaliśmy na pożegnanie.

– Dobrze, że już sobie poszedł – powiedzieliśmy jednocześnie i wybuchnęliśmy śmiechem.

Cóż, jutro zaczniemy realizację planu B. Zadzwoniliśmy do naszych własnych ekspertów, wszyscy potwierdzili gotowość przybycia. Później udaliśmy się do restauracji na wspólną kolację, aby tam omówić zdobyte w sądzie informacje.

Naszym największym problemem, zdaniem Taty, było to, że nie rozumieliśmy naszego przeciwnika, a on nie chciał wcale z nami rozmawiać. On, czyli nasz przeciwnik – Oxted.

– Co przez to rozumiesz, Tato?

– Zaproponowałem im dziś kompromis, Tan. Przyjąłem do wiadomości, że jesteś jakiegoś rodzaju anomalią, nieokreślonego rodzaju, jednocześnie dowodząc, że nie stanowisz zagrożenia, a oni i tak odrzucili moją ofertę i okopali się, kiedy chciałem dowiedzieć się więcej w kwestii ich powodów do takiej postawy. A później sędzia się włączył i, krótko mówiąc, kazał mi się odczepić.

– Czy on może być w takim razie po stronie Oxted?

– Całkiem możliwe. Ale możliwe też, że po prostu wykonuje swoją pracę. Nawet jeśli wbrew zapowiedziom robi to nieco zbyt skrupulatnie.

– Ale tobie nie chodzi o to, że sędzia może być kupiony?

– Nie. Moim zdaniem problemem jest, że nasz przeciwnik nie chce ujawnić, czego tak naprawdę chce ani dlaczego. Przez to trudno jest się targować. To oczywiste, że Oxted chce ciebie. Ale dlaczego? Zgodnie z literą kontraktu mają do ciebie prawo, ale gdy zaproponowałem możliwość udostępnienia bez rozdzielania nas, zostałem stanowczo odrzucony.

– Czyli to, co mówią, że chcą, nie jest ich prawdziwym celem. A przynajmniej powody, dla których mnie chcą, nie są tymi samymi powodami, które podają.

– Bardzo dobrze, Tan. Myślę, że pan Guest nie nadażyłby tak szybko za tym tokiem rozumowania.

– To chyba słaby komplement, Tato – powiedziałam, ale mimo to uśmiechnęłam się.

– No to jakie mamy możliwości? Jedna: chcą cię zniszczyć. Powód: nieznany. Druga: chcą cię ode mnie odizolować. Powód: nieznany.

– Czyli uważasz, Tato, że ważniejsze od tego, abyś nie poznał mojego przyszłego losu, jest tak naprawdę to, byś nie poznał powodu, dlaczego chcą mnie zabrać?

– Bardzo dobrze, Tanyu. Bardzo dobrze! Tak, właśnie tak uważam.

Gdybym znał powód, dlaczego mi cię zabierają, dla Oxted byłaby to katastrofa. Możliwe, że byłbym zadowolony, tracąc cię, gdybym wiedział, że przeżyjesz. Ale, by mieć pewność, że żyjesz, musiałbym jednocześnie wiedzieć, po co... a na to Oxted nie pozwoli. Oczywiście mogą również mieć zamiar cię zniszczyć, czego nigdy nie mógłbym zaakceptować.

– Czy nie ma trzeciej możliwości, że ich cele mają więcej do czynienia z tobą niż ze mną?

– Jeśli tak jest, to jesteś dość bezpieczna. Cokolwiek zrobimy, nie będzie miało większego znaczenia, a ja powierzę swój los Bogu.

– Jaki zatem może być ten tajemny powód? Myślisz, że możemy to rozgryźć?

Tata zamyślił się na naprawdę długą chwilę. Bardzo długą. Prawie widziałam, jak jego mózg pracuje na najwyższych obrotach i obrabia wszystkie dane, jakie dziś dostał, szukając czegoś, co mogło nam umknąć. Minęło pięć minut. Potem następne. Chciałabym wiedzieć, co się działo w jego głowie, ale widywałam go już w takim stanie. Najlepiej było dać mu spokojnie samemu dojść do końca. Nie chciałam, żeby kłapał na mnie zębami za przerwanie ciągu myśli.

W końcu...

– To możliwe. Ale nie sądzę, by to było mądre. Myślę, że jeśli to zrobimy, Oxted dostanie jasną informację. To wszystko zmienia całą grę do stopnia, który mnie przeraża.

Jego głos zmienił się na bardzo stanowczy.

– Jedziemy z planem B. Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca, Tanyu. Rozumiesz mnie? Nie odbyliśmy tej rozmowy.

– Tato, przerażasz mnie. Czego się boisz?

– Zapomnij. Skoncentruj się na planie B. Istnieje tylko plan B. Pamiętaj tylko o tym.

## Co takiego Tata rozgryzł?

\*\*\*

Po powrocie do pokoju hotelowego wyjęliśmy nasze komputery i otworzyliśmy transkrypcje dzisiejszych przesłuchań. Tata przewinął do zeznań doktora Colyera i zaczął czytać w przód i w tył, robiąc notatki na kartce. Po chwili zapiski stały się tak samo niezrozumiałe, jak oryginalna wypowiedź. Nauczyłam się już, by Tacie nie przeszkadzać w takich chwilach, więc włożyłam słuchawki do uszu, puściłam sobie muzykę i słuchałam jej w łóżku, aż usnęłam.

\*\*\*

Świt. Ach! Za wcześnie, ale zostawiłam odsłonięte zasłony.

Cóż zrobić.

*Dziś jest dzień, gdy wszystko zostanie stracone albo wygrane. Nie, coś podobnego powiedział Makbet. A co powiedziała Porcyra? O, światłe głupcy! mędrzy z głową chorą, Im głębiej wezmą, tem płycej wybiorą<sup>12</sup>.*

Muszę pamiętać. Plan B.

Czwartek, 8 lipca 2055

Dziesiąta.

Sala sądowa jest gotowa.

Przypominam sobie jeszcze raz. Plan B.

Pan Simpson otwiera posiedzenie.

– Cóż, wygląda na to, że jesteśmy w komplecie. Oxted poinformowało sąd, że nie mają już więcej świadków do przesłuchania, chciałbym zatem prosić pana Guesta o wygłoszenie mowy otwierającej w imieniu pastora Deeleya. Panie Guest...

Pan Guest wstał powoli, jak ktoś obciążony nieprzyjemnym i zupełnie niepotrzebnym zadaniem.

– Pastor Deeley przekazał mi, że chciałby osobiście wygłosić mowę otwierającą. Ostrzegłem go o konsekwencjach.

– W rzeczy samej, panie Guest. Muszę się przyznać, że nie jestem zdziwiony. Pastorze Deeley, czy jest pan w pełni świadom, że bierze pan na siebie pełną odpowiedzialność za dalszy ciąg postępowania sądowego? Jeśli wydam orzeczenie przeciwko panu, nie będzie mógł się pan odwoływać przez wzgląd na swój brak doświadczenia.

– Jestem tego w pełni świadomy – powiedział Tata.

– I rozumie pan również, że prawo wymaga obecności pana Guesta. Będzie pan musiał opłacić jego obecność i wysłuchać jego porad. Od pana wyłącznej decyzji zależy, czy się pan do nich zastosuje.

Czy to był żart sędziego Simpsona? Czy może przyznanie, że Tata robi słusznie? Nie byłam w stanie tego stwierdzić. Pan Simpson był absolutnym mistrzem mówienia z kamienną twarzą.

– To również rozumiem, sędzio Simpson. Dziękuję. A teraz...

– Jeszcze jedna sprawa – przerwał pan Simpson. – Zakładam, że będzie



pan prowadził swoje przesłuchania według innego planu niż to, co widziałem do tej pory. Przypominam jednak na wszelki wypadek, że nie jest to rozprawa sądowa, gdzie oskarżony i oskarżyciel występują w ustalonej kolejności. Jest to przesłuchanie, a co za tym idzie, Oxted będzie mogło w razie potrzeby, lub na moje życzenie, przedstawiać dodatkowe dowody. Włącznie z przywołaniem świadków na dodatkowe przesłuchanie. Prawo to działa obustronnie, pan również może powołać dowolnego z wczorajszych świadków.

– Rozumiem. Dziękuję. Chciałbym teraz zacząć od kwestii kontraktu. Treść kontraktu z założenia ma na celu znormalizowanie wymiany dóbr między dwiema stronami, z których każda ma coś, czego druga z nich potrzebuje. W przypadku mojej żony i moim oferowaliśmy pewną sumę pieniędzy, w większości pochodzących ze spadku, pomniejszonych o wydatki na nieudane leczenie niepłodności, ale zasiloną o oszczędności i małą pożyczkę.

– Wartością, jaka nas interesowała, było posiadanie własnego dziecka i to właśnie oferował Oxted. Nie oferował maskotki. Nie szympansa, psa albo kota. Ani nie robota. Firma Oxted produkuje oczywiście roboty i sprzedaje je na wolnym rynku. Właściwie dzięki uprzejmości jednego z naszych wiernych parafian mamy w domu jednego z nich: bardzo udany model z czterdziestego czwartego. Nazwaliśmy go Soames. Zmywa naczynia oraz kiepsko gra w tenisa.

– Eksperci Oxted zeznali, że ich teknoidy nie są dziećmi, podlegając ograniczeniom sprzętowym, fizycznym barierom technologicznym w przypadku połączeń neurotronowych, jak również oprogramowaniu centralnej jednostki pamięciowo-obliczeniowej; czegoś, czego nikt w Oxted nie nazywa mózgiem, bo to nadawałoby ich twórcom ludzkich przymiotów.

– Oczywiście, zgodnie z prawem teknoidy nie są dziećmi, bo to czyniłoby je ludźmi, a handel ludźmi jest nielegalny. Nazywa się to niewolnictwem.

– Oxted oferuje zatem coś, co przypomina dziecko, ale dzieckiem nie



jest. Ich produkt jest wystarczająco dobry, żeby uszczęśliwić na jakieś dziesięć do piętnastu lat, po którym to czasie ludzie się nudzą. Jest to tak zwany fenomen Doliny Osobliwości, do którego doktor Evans wczoraj nawiązywała, ale którego nie nazwała wprost. Sugerowała, że jest to wynik ograniczenia w technologii neurotronicznej.

– Ale takie odrzucenie działa na korzyść Oxted. Mogą dzięki temu poddać części i mózg recyklingowi i wykorzystać je do stworzenia nowego dziecka-roboty, a wyczerpanym rodzicom zaoferować zwrot części kwoty, proporcjonalnej do niewykorzystanego okresu umowy, które to pieniądze mają złagodzić ból i poczucie winy. Do tego są jeszcze kapłani i pracownicy społeczni, którzy zbierają i próbują posklejać rozbite kawałki związków, jakie nieuchronnie pojawiają się po takim rozstaniu.

– Z jednej zatem strony Oxted uważnie stara się nigdy nie nazwać swoich teknoideów dziećmi, ale z drugiej strony każdej kolejnej parze rodziców zastępczych mówi się, aby traktowali to urządzenie jak człowieka, bo inaczej iluzja nie zadziała. To dwie sprzeczne informacje, które każe się rodzicom przyjąć za prawdziwe i stosować jednocześnie. Pewna powieść napisana nieco ponad sto lat temu nazywała to dwójmyśleniem – zdolnością do jednoczesnego akceptowania dwóch sprzecznych ze sobą idei. Ludzkie umysły nie są do tego stworzone, a te, którym się to udaje, nie są przykładami tego, co nazwalibyśmy „zdrowym umysłem”.

Oxted rozprowadza zatem narkotyk zwany „Rodzicielstwem” przy pełnym poparciu rządu i z pełnym wsparciem prawnym. To legalny stan odurzenia, jednak z rodzaju takich, które zostawiają użytkowników mentalnie i fizycznie poranionych. Jedyne, co można o nim dobrego powiedzieć, to to, że nie jest uzależniający. Bardzo nieliczni użytkownicy próbują go ponownie.

Produkt ten jest sprzedawany z użyciem dwójmyślenia: teknoidy nie są ludźmi, ale trzeba je traktować, jakby nimi były. Sędzio Simpson, taka jest pierwsza część mojej sprawy: podważany kontrakt jest oparty na oszustwie,

a zatem nie może być uważany za prawnie wiążący.

Pan Lloyd stał, machając rękami i próbując zwrócić na siebie uwagę sędziego.

– Wysoki sędzie, chciałbym się odnieść do tych twierdzeń!

– Tak, panie Lloyd. Domyślałem się, że będzie pan tego chciał. Proszę bardzo.

– Po pierwsze, chciałbym podkreślić, że działalność firmy Oxted jest w pełni legalna, ma pełne poparcie rządu i pełni istotną rolę w stabilizacji naszego społeczeństwa. Jest prawdą, że koszt społeczny powrotu jednego z teknoistów do wytwórni bywa czasami wyższy, ale Oxted hojnie wspiera programy leczenia załamań nerwowych, co jest częścią szeroko zakrojonej kampanii dobroczynnej, jak również organizuje szkolenia i oferuje doradztwo dla wszystkich rodziców zastępczych.

– Po drugie, zapewniam wysoki sąd, że nigdy w żadnych materiałach rozpowszechnianych przez firmę Oxted nie pojawiała się, nie pojawia się i nie pojawi się informacja, że teknoisty oferowane jako zastępcze dzieci są ludźmi. Wszystkie materiały, w tym literatura fachowa, media publikowane, włącznie z broszurami, podręcznikami, materiałami reklamowymi, w tym z lokowaniem produktu, otwarcie określają teknoisty jako roboty.

– Po trzecie, chciałbym zaznaczyć, że nikt nie musi robić interesów z Oxted. Jest to zawsze decyzja podejmowana przez rodziców zastępczych dobrowolnie, po zapoznaniu się z pełną dokumentacją i przy zachowaniu dłuższego niż wymagany przez prawo okresu wolnej możliwości wypowiedzenia. W kwestii zaś fenomenu Doliny Osobliwości, na który powołuje się pastor Deeley, informacja ta jest powszechnie wiadoma, a kontrakt zawiera punkt dotyczący zwrotu proporcjonalnej części opłaty za użytkowanie w przypadku przedwczesnego zwrotu teknoista, gdy rodzice są niezadowoleni z symulacji. Nie jesteśmy potworami, jakich pastor Deeley próbuje z nas zrobić.

Pan Simpson upewnił się, że prawnik Oxted zakończył swoją wypowiedź, po czym zwrócił się w naszą stronę.

– Pastorze Deeley, czy chce pan się odnieść do wypowiedzi pana Lloyda?

– Chętnie. Mam czterdzieści cztery lata. Urodziłem się w 2010 roku, czyli dokładnie wtedy, kiedy nastąpił największy spadek demograficzny. Doskonale znam okres Niepokojów z własnego doświadczenia. Gdy wybuchły zamieszki, miałem prawie osiem lat, są zatem częścią moich wspomnień z lat dziecięcych. Moi rodzice uciekli przed najgorszymi przypadkami agresji; gangi nieletnich porywaczy były wtedy dla nich największym zagrożeniem. Pamiętam swoją niańkę, którą kochaliśmy jak członka rodziny, ale którą rodzice zwolnili w obawie, że mogłaby zostać przekonana do przekazania mnie w ręce któregoś z gangów. Coś takiego przytrafiło się kilku naszym znajomym.

– Zgadzam się zatem ze stwierdzeniem, że firma Oxted odgrywa ważną, a nawet konieczną rolę w naszym dzisiejszym społeczeństwie. Nie powinno to jednak przesłaniać obrazu kosztu społecznego ani też procederu samooszukiwania, na jakie Oxted pozwala swoim klientom.

Ostatecznie odniosę się do stwierdzenia, że „nikt nie musi robić interesów z Oxted”. Nikt nie musi kupować oferowanego przez nich narkotyku. Tak samo mówili dawniej producenci wyrobów tytoniowych. To samo mówili dilerzy rozprowadzający heroinę wśród kobiet zmuszanych do prostytucji, gdy podnosili ceny lub rozcieńczali swój towar. Mówili tak wszyscy sprzedawcy używek wszelkiego rodzaju na przestrzeni historii ludzkości. Pewna konkretna potrzeba ludzkości nie jest zaspokojona i Oxted wypełnia tę lukę. Nie można z czystym sumieniem i kamienną twarzą powiedzieć, że „nikt nie musi robić interesów z Oxted”. Po prostu nie można.

– Oxted to monopolista, niezależnie od tego, czy żyje się w Anglii, Ameryce, Nowym Delhi czy Bogocie. Nie ma żadnej legalnej alternatywy. Oxted chce być bielszy od najbielszego śniegu, ale tak naprawdę jest

utyłłany i poplamiony krwią zniszczonych żyć, które zostawia, kiedy oferowany narkotyk zostaje zabrany lub przestaje działać. Oxted musi odpowiedzieć za swoje poczynania. To dobry moment na początek.

Lata nauki i praktyki, lata przemawiania z pulpitu, wszystko to zebrane razem w jedną mowę. Tata dokładnie wie, kiedy osiągnął swój cel i kiedy powinien przerwać.

Cisza była wymowna. Można było usłyszeć spadającą szpilkę. Pan Lloyd siedział sztywno z otwartymi szeroko ustami, nie będąc w stanie powiedzieć ani słowa. Jestem pewna, że jego umysł starał się opracować jakąś odpowiedź, ale czas mijał, a on nadal wyglądał jak złota rybka ruszająca tylko ustami.

W końcu, z idealnym wyczuciem chwili, tuż przed zbierającym się do wypowiedzi panem Lloydem, Tata podjął wątek.

– Przejdźmy może dalej, dobrze? Czas chyba na odrobinę matematyki? Wczoraj nie było okazji porozmawiać o niej z panią Morrison, niestety. Nadróbmy zatem dzisiaj tę lukę i poddamy próbie kilka danych odnośnie do analizy kodu opierając się na liczbach przedstawionych wczoraj przez doktora Colyera w jego prezentacji. Podliczyłem wartości z tej prezentacji i ze zdziwieniem zaobserwowałem, że nie sumują się one w sposób podany przez doktora Colyera.

Tata wyciągnął wtedy wyświetlacz i wskazał liczby przedstawione przez doktora Colyera. Rzeczywiście, ilości podane w tabeli nie sumowały się odpowiednio. Wynik był podobny, ale jednak dodawanie dawało liczbę większą niż całościowa liczba linii kodu podana w prezentacji.

– Panie Lloyd, nie sądzę, by był pan przygotowany podać nam poprawne liczby bez konsultacji z miłym panem doktorem, ale pozwolę sobie wygłosić hipotezę i zobaczymy, czy brzmi ona prawdopodobnie. Hipoteza pierwsza: doktor Colyer nie umie liczyć. Mam szczerą nadzieję, że nie jest to prawdą, bo inaczej wszyscy powinniśmy bardzo obawiać się tego, jakie błędy mogą się znajdować w kodzie. Hipoteza druga opiera się na tym,

co wiemy o ludzkim mózgu, to znaczy na tym, że niektóre części mózgu mogą pełnić różne funkcje. Być może tak samo jest z kodem i macierzą kognitywną, jeśli się nie mylę. W przypadku kodu zatem uważam, że niektóre jego części zostały policzone dwukrotnie, a może nawet kilkakrotnie: ogólna liczba linijek zgadza się ze stanem rzeczywistym, ale liczby, które miały odpowiadać liczbom kodu odpowiedzialnym za poszczególne funkcje, zawierają linijki zdublikowane. Zależnie od liczby takich powtórzeń można wysnuć przypuszczenie, że znalazłoby się tam miejsce na przynajmniej jedną funkcję mózgu więcej. Proszę mi przerwać, jeśli się pomylę, panie Lloyd.

– Tak, oczywiście. Skonsultuję się z doktorem Colyerem i wrócę z odpowiedzią.

– Proszę bardzo, panie Lloyd. W międzyczasie, skoro już ustaliliśmy, że istnieje potencjalna szansa, że jakaś część kodu nie pojawia się w prezentacji doktora Colyera, zastanawiam się, za co taki fragment kodu mógłby odpowiadać. W tym miejscu chciałbym wrócić do zeznań doktor Evans i jej kilkakrotnego twierdzenia, że miarą skomplikowania jednostki pamięciowo-obliczeniowej, czyli macierzy kognitywnej, jest czysta liczba połączeń neurotronicznych. A liczba ta jest porównywalna z mózgiem szympansa. Sugerowała zatem, że moja córka jest szympansem, zoptymalizowanym do towarzyszenia człowiekowi.

Cóż, przykro mi, ale moja córka nie jest szympansem bardziej niż pan, panie Lloyd, nawet biorąc pod uwagę tylko tych kilka krótkich rozmów, jakie mieliśmy okazję odbyć w ciągu ostatnich dwóch dni naszej znajomości. Jak to jednak możliwe? Przyjrzałem się ewolucji komputerów i było to dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Otóż okazało się, panie Lloyd, że na poprawę osiągnięć miały wpływ dwa czynniki. Jednym z nich była liczba elementów, co oznacza, że dodawanie nowych komponentów z pewnością umożliwiało tworzenie czegoś bardziej skomplikowanego. Ale innym podejściem było upraszczanie systemów

i sprawianie, by działały szybciej. Przy okazji miniaturyzacji bloków mogliście robić jedną z tych rzeczy lub nawet obie.

– Uważam więc, że doktor Evans była trochę nieszczerą, używając samych liczb elementów do określenia poziomu skomplikowania. Przy odpowiednim oprogramowaniu, tu wracamy do brakujących linijek kodu z prezentacji doktora Colyera, prostszy z punktu widzenia budowy umysł może wykonywać wszystko to, co mógłby wykonać umysł bardziej skomplikowany. To spuścizna Turinga. Ponieważ prostsze oznacza szybsze, to ludzki rozum działający na powolnych reakcjach chemicznych może zostać zdeklasowany przez macierz kognitywną pracującą z neurotronicznymi prędkościami. W konsekwencji dochodzimy zatem do stwierdzenia, że moja córka niekoniecznie musi być szympansem, bo jej mózg, choć z natury produkowany seryjnie w fabryce, jest też zauważalnie szybszy niż organiczny. Raz jeszcze proszę, panie Lloyd, o poprawienie mnie w wypadku pomyłki w moim rozumowaniu.

– Em, tak, pastorze Deeley...

Tata spojrzał na zegarek i zwrócił się w kierunku sędziego Simpsona.

– To już wszystko, co chciałem powiedzieć w odniesieniu do wczorajszej części przesłuchań, wysoki sędzie. Jeśli mógłbym coś zasugerować, to byłby dobry moment na przerwę. Jestem pewien, że pan Lloyd ma kilka telefonów do wykonania. Po południu chciałbym spojrzeć na problem od drugiej strony, czyli przedstawić, jak Tanya była postrzegana przez osoby, które znały ją na co dzień i mogą zaświadczyć, że nie jest ona szympansem. Dziękuję.

Kurczę! Łał!

Czas na oklaski. (Nie pojawiły się żadne oklaski, oczywiście. Nastąpiła tylko kolejna chwila wiele mówiącej ciszy).

\*\*\*



Lunch.

– Za wcześnie na radość, Tanyu. Poranek był tylko zasłoną dymną. Uderzyłem Oxted tam, gdzie byli odsłonięci, ale jest kwestią sporną, czy ich kontrakty są oparte na podstępie. Jeśli ludzie oszukują samych siebie albo nie mają wystarczająco silnej osobowości, by poradzić sobie z następstwami umowy, to jest to ich wina czy wina Oxted? Sędzia może w tym przypadku przyjąć stanowisko zgodne z zasadą *caveat emptor*, czyli że kupujący ponosi ryzyko zakupu, a sprzedający nie ponosi winy za wady ukryte.

Tata wziął ostatni kęs posiłku i po jego przełknięciu kontynuował.

– Tak czy inaczej, dzisiejszego popołudnia przyszedł czas na naszych świadków. Chciałbym doprowadzić do przesłuchania również ciebie. Chcę, żebyś przeczytała kilka ze swoich wierszy, a nie zeznawała wprost. Skoro się na to nie zgodzili, to trudno, ale poprowadzę to najlepiej, jak potrafię w twoim imieniu. Po prostu nie chcę, żebyś nie miała okazji choć raz zabrać głosu w sprawie swojej przyszłości.

Tata spojrzał mi prosto w oczy.

– To tyle. Nie wiem, czy pan Simpson wyda dziś orzeczenie, ale tego wieczoru albo wygramy wszystko, albo zostaniemy z niczym. Jesteś gotowa, Tan?

– Jestem, Tato. Jestem dumna z tego, co zrobiłeś. Żadna córka nie mogłaby chcieć niczego więcej ani mieć o swoim Tacie lepszej opinii niż ja w tej chwili. Jest tylko jedna rzecz, o którą jeszcze nigdy cię nie prosiłam. Czy możesz się za mnie pomodlić?

– Ciągle to robię, Tanyu. Ale postaram się, żeby tym razem było to coś specjalnego.

Tata pomodlił się więc za mnie, tak jak wielokrotnie widziałam go modlącego się za naszych parafian w ich ciężkich chwilach. Mówił o naszych obawach (rozdzieleniu, samotności, śmierci) i, nazywając je, sprawił, że w jakiś sposób stały się mniej istotne. Mówił też o naszych

potrzebach – jasności umysłu, mądrości i łasce – i zaczęły się one wydawać bardziej dostępne. Powiedział też na głos nasze nadzieje o osiągnięciu porozumienia z Oxted i pozostaniu razem, by i one wydały się bardziej osiągalne.

– Porozumienie, Tato?

– Tak. Oxted nie jest naszym wrogiem, a nawet gdyby nim był, lepiej jest osiągnąć porozumienie niż zwycięstwo i nienawiść. Wielu mądrych ludzi, od Sun Tzu po Jezusa, mówiło: „Jeśli to możliwe, daj swojemu przeciwnikowi szansę zostać twoim przyjacielem”. Albo coś o podobnym znaczeniu.

Dał mi moment na przyswojenie tych słów, po czym kontynuował.

– Pamiętaj, że w Oxted też masz przyjaciół, którzy pracowali z Tobą nad twoim dobrem. Doktor Markov i Thompson, na przykład. Walczymy z Oxted tylko dlatego, że ich cele i nasze akurat w tej chwili nie idą w tym samym kierunku. Gdyby udało nam się osiągnąć porozumienie z odpowiednimi osobami, moglibyśmy ten bałagan rozwiązać od ręki...

Tata taki właśnie był. Wspaniały człowiek, który zawsze we wszystkich dopatrywał się ich dobrej strony.

\*\*\*

Sędzia Simpson poprosił o ciszę.

– Panie Lloyd, czy udało się panu skontaktować z odpowiednimi ekspertami w Oxted i odpowiedzieć na zarzuty postawione przez pastora Deeleya?

– Tak.

– Jaka jest zatem odpowiedź dla sądu?

– Oxted uznaje, że zarzuty wielebnego Deeleya nie są istotne dla sprawy, która dotyczy wyłącznie natury samego kontraktu. W konsekwencji firma Oxted nie formułuje oficjalnej odpowiedzi na spekulacje ogłoszone przez



pastora Deeleya i z poważaniem prosi sąd o pominięcie ich.

– Rozumiem. Odpowiedź firmy Oxted została zanotowana, ale sąd postąpi zgodnie z własną wolą i sam określi, co jest istotne dla sprawy. Kontynuujmy zatem. Pastorze Deeley, proszę rozpocząć swoje przesłuchania.

– Dziękuję, wysoki sędzio. Dziś po południu, kiedy już ustaliliśmy, że Tanya i jej rodzaj mogą być czymś więcej niż tylko maskotkami lub szympanсами, przesłucham kilka osób, które mogą potwierdzić możliwości mojej córki.

– Pozwolę sobie przerwać, pastorze Deeley...

– Tak, sędzio Simpson?

– Chciałbym przypomnieć, że niniejszy sąd nie ma możliwości zmieniania prawa. Nawiązywał pan do niewolnictwa we wcześniejszych wypowiedziach. Jeśli zamierza pan udowodnić, że Tanya jest człowiekiem i jako człowiek nie podlega naturze tego kontraktu, to traci pan czas. Jakikolwiek moje postanowienie na takiej podstawie zostanie zmienione po odwołaniu na podstawie zasady *stare decisis*, czyli konieczności respektowania poprzednich wyroków. Czy taki jest pański plan?

– Nie, proszę wysokiego sądu.

– Bardzo dobrze, proszę kontynuować.

– Dziękuję. Chciałbym wezwać na świadka Jacoba Fullera.

Ojca Siân.

– Panie Fuller, chciałbym prosić o przedstawienie sądowi relacji między Tanyą a pańską córką.

– Siân była naszą córką, a przynajmniej adoptowaną córką. Mieliśmy dużo szczęścia. Nie wiem dokładnie, jakie są procedury, ale zostaliśmy wybrani do opieki nad Siân. Teraz Siân została Matką i jak rozumiemy, jej własne dzieci również będą oddawane do adopcji, więc koło się zamknęło.

– Nasza córka i Tanya zostały przyjaciółkami, co nas raczej zaskoczyło. Ludzie zajmujący się adopcjami ostrzegali nas, że dzieci są zwykle bardziej

spozstrzegawcze w tej kwestii niż dorośli. Miały tendencję do ignorowania mechanicznych towarzyszy przy okazji zabaw i były raczej samotne w swoim wolnym czasie, aż do momentu, kiedy zauważały drugie ludzkie dziecko.

– Było to dla nas zaskoczeniem, jak już wspomniałem, ale szybko przyjęliśmy sytuację za normalną i pozwoliliśmy tej dwójce na wspólne zabawy i spotkania od czasu do czasu. Więź stała się jeszcze głębsza, gdy poszły do szkoły Lady Maud i razem jeździły na zakupy. Założyły też zespół muzyczny.

– Czy to nie wydawało wam się dziwne?

– Tak, wydawało nam się. Wiedzieliśmy, że Tanya jest robotem. Po jej wypadku w Tower of London nie było co do tego już żadnych wątpliwości. Ale była inna niż pozostałe roboty w naszym miasteczku. Inni byli też chłopcy z zespołu: John i Kieran. Ostatecznie rozgryźliśmy, kto jest robotem, a kto człowiekiem, ale patrząc na tę czwórkę razem nie było to oczywiste. Prawdziwe różnice dawało się zauważyć dopiero, kiedy rozchodzili się w pary: Siân z Kieranem, a John z Tanyą. Ale nawet wtedy można było czasami wejść do pokoju i przyłapać Johna i Tanyę w sytuacji intymnej.

No wielkie dzięki, panie Fuller!

Tata tak szeroko się uśmiechnął, że aż pokazał zęby. Poczułam, że moja twarz zaczyna płonąć. Nawet pan Simpson patrzył prosto na mnie. Tato, ukartowałeś to!

– Czy w takim razie więź między Tanyą i Siân kończyła się na tym poziomie? Koleżanka od zakupów i grania w zespole?

– Nie, to było coś więcej. Była jej najbliższą przyjaciółką i powierniczką. Siân dostała rolę w *Kupcu weneckim*. Miała grać Porcyę w wyniku skandalicznego wyboru podczas przesłuchania. Tanya bardzo jej wtedy pomagała. Miała, że tak to nazwę, wrodzony talent do aktorstwa i wiele nauczyła Siân. Ryzykując przesadne podkreślanie faktów oczywistych,

powtórzę, że robot nauczył naszą ludzką córkę aktorstwa.

– Nawet później, gdy Siân została od nas zabrana, Tanya utrzymywała z nami kontakt. Od czasu do czasu nas odwiedzała, pomagała nam poradzić sobie ze stratą i dzieliła się wspomnieniami, które dla nas były czymś nowym. Powinienem chyba też wspomnieć, że były w miasteczku zauważalne pewne uprzedzenia względem robotów wymierzone przeciwko Tanyi. Uważała nas za przyjaciół i traktowała nasz dom jako schronienie.

Tak rzeczywiście było. Nagle zdałam sobie sprawę, że potakuję głową. Jeśli pan Simpson na mnie patrzy, to nawet nie muszę udawać.

– Dziękuję, panie Fuller. Panie Lloyd, czy ma pan jakieś pytania?

– Tak. Tylko dla porządku, panie Fuller. Czy pan i pańska żona udaliście się do pastora Deeleya po poradę po wyjeździe państwa córki do placówki dla Matek?

– Tak, byliśmy u pastora po taką poradę. Jesteśmy obydwój bardzo wdzięczni Michaelowi za pomoc i wsparcie. W naszej parafii jest wiele osób, które mają powody do wdzięczności wobec niego.

– Nie mam więcej pytań.

Później wysłuchaliśmy zeznań pani Philpott, nauczycielki angielskiego. Tu był czas na moją poezję, o której mówiła bardzo wylewnie.

– Czy zechciałaby pani przeczytać jakiś fragment jej twórczości, pani Philpott?

– Z radością, pastorze Deeley, ale mój wzrok nie był zbyt dobry nawet w najlepszych moich dniach. Dziewczynki często chowały mi moje książki i inne rzeczy. Czy myśli pan, że sąd miałby coś przeciwko, gdyby to Tanya przeczytała kilka ze swoich utworów? Ona tak pięknie czyta.

Sąd nie potrafił odmówić uroczej, krótkowzrocznej staruszce. Nawet pan Lloyd łaskawie wyraził swoją zgodę. Mój Tata jest geniuszem.

Wstałam więc. Daleko mi było do Porcyi podczas jej elokwentnej przemowy, ale jednak mogłam zabrać głos w swojej sprawie.

– Mama tuż przed śmiercią napisała do mnie piękny list, od matki do

córki. Napisała w nim, że powinnam w pełni przeżyć każdą chwilę swojego życia i walczyć o każdą następną. Taki był jej sposób na życie i chciałam upamiętnić zarówno jej miłość do rodziny, jak i ducha walki. Oto słowa, jakimi w końcu udało mi się to oddać. Jest to wiersz ułożony przeze mnie dla niej.

*Choć, Matko moja, resztki tchu z Twej piersi  
Już znaczą ślad, co wije się ku śmierci.  
Gorące serce oraz czułe palce  
Miłując, toczą bój w śmiertelnej walce.*

*Gdy słabe ciało moc umysłu zburzy.  
Gdy krucha tkanka swą granicę ujrzy.  
Gdy zacznie rdzewieć serce niegdyś mocne.  
Gdy płuco pyłem pokrywać się pocznie.  
Gasnącym okiem na swe dziecko spojrzysz.  
Choć będzie wspierać, pomoc już nie zdąży.  
Nadzieja prysła, sił już brak, pozostał  
Tylko dług. Pozwolić, by czas omotał  
Zastoną nocy martwe twoje ciało,  
A morze mroku imię wymazało  
Wyryte ongi w skale, dziś na piasku  
Przez wątlą dłoń pisane po omacku.  
Więc sięgnij w głąb, do żaru swojej złości,  
By ogień ten mógł ożywić tve kości.  
Chwyć się mocno życia, z nami na nowo,  
Najukochańsza matko, czuła żono.*

*Śpij, Matko moja, resztki tchu z Twej piersi  
Już przekroczyły czarne wrota śmierci.*

*Stygnące serce oraz chłodne palce  
Spoczęły już, w nierównej padły walce.*

Tato? Tato? Wszystko w porządku? Patrzy na mnie, ale jednocześnie gdzieś przeze mnie. Gdzieś poza salę sądową. Słyszę szept, tylko do mnie:

– Dziękuję, Tanyu. Od nas obojga.

Wrócił do siebie.

– A to jest drugi wiersz, który napisałam kilka lat temu. Ponieważ pan Fuller już powiedział o mnie i Johnie, myślę, że dość oczywiste będzie źródło inspiracji.

*Czuły dla mnie bądź, najdelikatniejszy.  
Pod szorstkim dotykem zniknę niczym sen.*

*Czubkiem palca ostro trzesz mój policzek,  
A pragnę, abyś był  
Jak muśnięcie pędzlem.*

*Usta twe na moich, czy jest to miłość,  
Gdy wargi się gniotą,  
Niczym maska auta?*

*Słodki twój oddech, kiedy śpisz koło mnie,  
Gniazdko sobie wije  
Na moim karku.  
Kochaj mnie delikatnie, jak najczulej,  
A w miękkim twym dotyku się zaszyję.*

Następna była pani James... która przedstawiła fragment nagrania z *Kupca weneckiego*. Nagrania, którego pani Golightly nie chciała

udostępnić.

A później Donald Michael Koczinski... znany jako Mike Clip z zespołu Mike and the Stands.

– Nie gra się już teraz za wiele dobrej muzyki na żywo. Kilka dzieciaków nadal chce jej słuchać, ale gdzie się podziały zespoły muzyczne? Przemysł muzyczny umarł, bo nikt już nie tworzy niczego nowego. Najlepsze, co można znaleźć, to zespoły kopiujące klasyki od Abby po ZZ Top, ze wszystkim po drodze.

Nie będę przytaczała całości wypowiedzi. Ograniczę się do tych istotnych elementów.

– Zespół Tanyi był inny. Taki, jak za dawnych czasów. Pisali własne kawałki. Głównie robił to John, ale Tanya miała swój wkład.

– Tanya grała też w pańskim zespole, prawda?

– Jasne. Kiedy Amanda, nasza basistka, zachorowała, poprosiła Tanyę o zastępstwo. A kiedy Amanda zmarła, nie było nawet potrzeby szukać kogokolwiek innego. Tanya była naszym pierwszym i jedynym kandydatem na bas.

– Jaka jest na scenie?

– Żałuję, że nie mogę wam pokazać nagrania któregoś z występów. Buty spadłyby wam ze skarpetami. Zawsze mówiłem, że swoją grą na basie potrafiłaby zmusić kamień do płaczu. Chłopaki bardzo ją lubili.

– Chłopaki?

– A tak, Gus i Gary. Pozostali członkowie zespołu. Bez trudu odczytywała ich intencje i dostosowywała swój bas do ich zmian, jeśli któryś z nich coś przeciągnął albo zrobił coś inaczej niż zwykle, trochę zaszalał... Ale skoro już padło to pytanie, chłopaki przed sceną też ją lubili, bo wyglądała przynajmniej tak dobrze, jak grała. Wspaniale z nimi flirtowała z za basu.

– Czy wiedzieliście, że ona jest teknoidem?

– Trochę to zabawne, bo niby to wiedzieliśmy, ale nie wiedzieliśmy. To znaczy... Nie miała świecących oczu, ale wiadomo, że wokół nie ma za

wielu ludzi. Ale jak popatrzy się na historię muzyki, to artyści w tym gronie podchodzili raczej swobodnie do kwestii skóry; jaki ma kolor, z czego jest zrobiona... W pewnym momencie Tanya miała problemy techniczne z palcami, bo skóra nie była zaprojektowana do tak intensywnej gry na instrumencie strunowym. Ale później, gdy dostała obecną skórę, kłopot zniknął. Poza tym nowa wygląda lepiej, jeśli mogę wyrazić swoją opinię. Ale tak, nie obchodziło nas to, co siedziało pod tą skórą, bo na basie mogła wymiatać z najlepszymi.

Potem Ted... Tak, ten Ted. Ted Hinchliffe, opiekun kościoła.

Tata wyjaśnił mi jego obecność. Przyjaciele nigdy źle o człowieku nie powiedzą, ale jeśli wróg go chwali, to jest to zeznanie dużo bardziej wiarygodne. Nie potrzebujemy przesłuchiwać wyłącznie ludzi, którzy cię uwielbiają. Ktoś, kto z odpowiednich powodów cię nienawidzi, może tak nawet bardziej przysłużyć się naszej sprawie.

– Nie układało ci się z Tanya najlepiej, prawda, Ted?

– Nie, nie zawsze. Staralem się ją szanować, bo była twoją córką, ale bywała trudna.

– Na przykład?

– Najwięcej kłopotów było w okolicach jej... aktualizacji. Obnosiła się wtedy trochę ze swoim nowym ciałem. Na przykład podczas pogrzebu pani Deeley. Uważam za bardzo nieodpowiednie, że tak dużo mówiła o sobie, o byciu robotem i zmianie ciała na nowe, podczas gdy kilka stóp od niej leżała trumna z ciałem jej matki. Chyba trzeba wziąć poprawkę na to, że roboty nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, jak to wszystko działa w naszym przypadku.

– Podobnie jak każde dziecko, uczestniczące w ceremonii pogrzebowej, zwłaszcza w przypadku osoby tak bliskiej.

– Prawdopodobnie.

– A czy Tanya była lepsza, czy gorsza od innych teknoideów w miasteczku?



– Och, zdecydowanie gorsza, powiedziałbym. Gdy dowiedziała się o swojej robotycznej naturze, stała się bardzo ponura. Zdecydowanie wolałem ją w okresie przed wypadkiem, kiedy to ze wszech miar była tylko lekko snobistyczną i nieco nad wyraz dojrzałą dziewczynką.

– Ale ty znałeś prawdę?

– Tak. Oczywiście. Byłeś wtedy bardzo szczery, Michael, i tak właśnie powinna się zachowywać osoba na twoim stanowisku. Pastor brnący w iluzję nie byłby dobrym wzorcem dla wiernych.

– Nazwałeś ją lekko snobistyczną i nad wyraz dojrzałą. Czy to są normalne cechy u teknoidea? – Tata musiał zauważyć, że pan Lloyd otwiera usta, by zgłosić sprzeciw, bo zaraz dodał pośpiesznie. – Twoim zdaniem?

– Nie, nie są. Większość robotów jest bardziej przeciętna w swoim zachowaniu. Nie wychylają się.

– Czyli znają swoje miejsce.

– Dobrze to wyraziłeś.

– Dziękuję, Ted, za twoją szczerość. Tak dla porządku, czy ty i Tanya pogodziliście się? Czy jesteście przyjaciółmi?

– Myślę, że bardziej prawdziwym byłoby stwierdzenie, że nauczyliśmy się schodzić sobie z drogi i dbać o obustronną uprzejmość w swoim towarzystwie. Z szacunku dla twojej osoby oraz dla dobra naszej przyjaźni i stosunków zawodowych. Mogę jej nie lubić, Michael, ale rozumiem, że po śmierci pani Deeley nie masz nikogo innego, kogo mógłbyś nazwać rodziną. Wiem, że znaczy dla ciebie wszystko, czymkolwiek jest, i jeśli ona jest ceną, jaką mamy zapłacić za funkcjonowanie naszej wspólnoty, to uważam, że Oxted powinien wycofać się z tej cholernej drogi sądowej i pozwolić ci na powrót do twojej pracy. Ee... Przepraszam za dosadny język, sędzio Simpson.

– Dziękuję, Ted. Jakies pytania, panie Lloyd?

– W rzeczy samej. Panie Hinchliffe. Czy były jakies inne przypadki obnoszenia się przez Tanyę jej robotyczną naturą?



Ted się zapowietrzył, więc pan Lloyd naciskał.

– Wspomniał pan jej aktualizacje...

– A, tak. Był taki moment, kilka lat temu. Wyjątkowo obrzydliwy incydent. Obawiam się, że obydwójce mieliśmy wtedy kiepski dzień. Ale przeprosiliśmy się i zostawiliśmy sprawę za sobą.

– Chciałbym, aby opisał pan tamto wydarzenie nieco dokładniej, panie Hinchliffe. Usłyszeliśmy wiele zeznań, próbujących nieco zatrzeć kwestię, czy Tanya jest teknoidem, czy w jakiś sposób jest bardziej człowiekiem. Myślę, że opis tego wydarzenia mógłby rzucić sądowi nieco światła na to zagadnienie. Czy Tanya uważa się za człowieka, czy też jest świadoma i akceptuje fakt bycia teknoidem?

– Nie jestem pewien, czy rozumiem pytanie, panie Lloyd.

– Proszę nie unikać odpowiedzi. Wydaje mi się, że wspomniał pan o nagraniu tego zdarzenia i odtwarzaniu filmu kilku osobom, ponieważ relacje między panem i teknoidem były w tym okresie wyjątkowo słabe i postanowił pan poprowadzić małą kampanię przeciwko niej. Pomogę panu przypominając datę tego wydarzenia: był to 31 sierpnia 2053, a nagrywał pan to wydarzenie, ponieważ przyszedł pan do pastora Deeley w sprawie służbowej, a wszystkie rozmowy służbowe ma pan w zwyczaju nagrywać. Włącza pan nagrywanie jeszcze przed dojściem na miejsce, bo kiedy zamierzał pan to zrobić na początku spotkania, zdarzało się panu zapomnieć o tej czynności.

Biedny Ted nie wiedział, gdzie oczy podziać. Wyszły na jaw dowody jego zdrady, tutaj, przed moim Tata. Skulił ramiona.

Pan Lloyd odtworzył własną kopię tego nagrania, pozyskaną jak sądzę od pani Golightly. Nie było jednak wątpliwości co do prawdziwości nagrania. Skrucha Teda potwierdzała wszystko. Mój głos zabrzmiał z głośników. Cała zenująca rozmowa, z moim głupim wybrykiem w postaci naśladowania stylizowanej mowy robota... Ale najgorsze były dwa zdania:

– Jak to cudownie być robotem...

oraz...

– Czasami muszę po prostu wyrzucić z siebie prawdę. Jestem robotem, ale to nie zawsze jest powód do wstydu.

W tle słychać było złamany głos Teda i jego ciche przeprosiny, kiedy Tata obejmował go w przebaczącym uścisku jak Chrystus Piotra apostoła.

\*\*\*

Nie było więcej świadków do przesłuchania. Nie było też sensu tak upokarzać i poniżać Teda. Tata nie próbował przecież udowodnić, że jestem człowiekiem i ten imbecyl Lloyd powinien to wiedzieć.

Pan Simpson rozmówił się z Tatą i panem Lloydem. Pan Guest kręcił się po okolicy, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Została ogłoszona piętnastominutowa przerwa, po której Tata i pan Lloyd mieli wygłosić swoje uwagi końcowe.

Pan Lloyd raz jeszcze przedstawił stanowisko Oxted. Firma podpisała kontrakt z pastorem i jego żoną na dostarczenie pod opiekę teknoidea na czas nie dłuższy niż osiemnaście lat. Dostarczyli zgodnie z umową teknoidea i przeprowadzali regularne testy oraz aktualizacje. Po zaobserwowaniu anomalii w wynikach testów powołali się na odpowiedni punkt umowy i zażądali zwrócenia wadliwego egzemplarza w celu analizy i przeprogramowania.

Wtedy Tata zebrał wszystko w całość.

– Pan Lloyd słusznie zauważył, że spór dotyczy wyłącznie kontraktu. Mógłbym przedstawiać bardzo poważne argumenty przemawiające za ludzkością Tanyi. W końcu jako pastor jestem członkiem jednej z najstarszych instytucji na tej planecie zajmujących się badaniem tego, co to znaczy być człowiekiem. Nie mam żadnych wątpliwości, że Tanya pod każdym praktycznym względem jest człowiekiem i ma duszę.

– Annette i ja otrzymaliśmy pod swoją opiekę teknoidea z fabryki Oxted

i przyoblekliśmy ją w człowieczeństwo każdym swoim spojrzeniem, każdym wypowiedzianym słowem i każdym pełnym miłości dotykiem. Miłość stworzyła Adama z prochu, a Ewę z jego żebra. Tak się właśnie tworzy człowieka, przez miłość i łzy. Nettie i ja daliśmy Tanyi obydwie te rzeczy, nie szczędząc niczego.

– Stoję tu sam. Moja żona zmarła, zabita najpewniej przez efekty uboczne kosztownej i długotrwałej kuracji niepłodności, której poddawała się, by móc urodzić dziecko z krwi i kości, a którą to kurację porzuciła, póki jeszcze nadal mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, by adoptować dziecko z Banbury.

– Tanya jest wszystkim, co mi zostało po Nettie, i marzyłem o tym, że będę mógł ją zatrzymać, ponieważ nie jest robotem, ale człowiekiem według wszystkich testów, jakie ludzkość może wymyślić.

– Świadkowie dzisiejszego popołudnia opowiadali nam o Tanyi. Wielu z nich opowiadało o jej różnych talentach kreatywnych. Mój drogi przyjaciel i współpracownik mówił o swojej niechęci do niej. Ale nie odnosił się do niej jako do mechanicznego szympansa. Ludzie nie nienawidzą szympansów i nie prowadzą przeciwko nim kampanii. Robią tak wyłącznie z osobami, które uważają za równe sobie.

– Czy twierdzę, że Tanya jest człowiekiem? Nie.

– Czy twierdzę, że Tanya jest zatem robotem? Też nie.

– To jest właśnie punkt, w którym Oxted złamał warunki kontraktu, ponieważ dostarczył więcej, niż obiecał. Zgodnie z kontraktem firma Oxted miała dostarczyć iluzję rodzicielstwa za pośrednictwem maszyny człękokształtnej o ograniczonym potencjale rozwoju. Cały model ekonomiczny tej firmy opiera się na urządzeniu, które z założenia ma wywoływać efekt Doliny Osobliwości na długo przed datą ważności kontraktu i powodować dobrowolny zwrot do producenta. Przypadkowo lub nie, dostarczyli Nettie i mnie Tanyę. Nie ma ona ograniczeń typowych dla teknoidea i potwierdzają to wszyscy, którzy mieli z nią kontakt,

niezależnie od tego czy ją lubili, czy nie. Jest czymś znacznie więcej niż teknoidem. Tanya, i to jest bardzo ważne, dokonuje wyborów w sposób, w jaki teknoide nie potrafi tego robić.

– Czy jest człowiekiem? Bogu pozostawiam to do oceny, nie leży to w zakresie kompetencji tego sądu. Moim zdaniem jest ona czymś nowym, bardzo podobnym do ludzi pod wieloma względami, zwłaszcza w kwestiach praktycznych.

– Pod każdym jednak względem jest czymś znacznie więcej, niż zakładał kontrakt. Może się wydawać dziwnym nazywanie złamaniem warunków umowy przekroczenie ich, ale w obliczu prawa takim samym złamaniem jest niedopełnienie warunków, jak ich przekroczenie. Gdybym kupił pomarańcze, powiedzmy jeden pełen okręt, a Oxted dostarczyłyby mi sztaby złota w tej samej ilości, musiałbym rozebrać swoją stodołę, a wybudować fortecę. Byłoby to dla mnie kosztowne, ponieważ Oxted przekroczyłyby warunki umowy. Nieco mniej przerysowana analogia: jeśli ktoś chce kupić pudła, a Oxted dostarcza doga niemieckiego, to koszt utrzymania takiego zwierzęcia będzie zauważalnie wyższy, a doświadczenie z wyprowadzania psa na spacer zupełnie odmienne. W naszym przypadku firma Oxted zawarła kontrakt, zobowiązując się do dostarczenia zoptymalizowanej do towarzyszenia ludziom mechanicznej maskotki zaprojektowanej do spowodowania odrzucenia pod koniec okresu trwania umowy. Zamiast tego otrzymaliśmy stworzenie zdolne do odczuwania, okazywania miłości i nienawiści. Jak również do wywoływania u innych miłości lub w niektórych przypadkach nienawiści. Poniosłem z tego powodu koszty, podobnie jak moja żona Nettie, ponieważ zbudowaliśmy z nią relację miłości w miejscu, w którym relacja taka nie powinna być możliwa.

– Oxted złamał warunki umowy i domagam się zadośćuczynienia w postaci możliwości pozostania Tanyi w moim domu, jeśli taka będzie jej wola, do końca jej naturalnego życia. W każdym jednak wypadku proszę o możliwość przeżycia przez nią pełnego cyklu życia.

– Pozostaje mi tylko podziękować wysokiemu sądowi za możliwość przedstawienia mojej sprawy. Skończyłem.

\*\*\*

Możliwe, że nieco skróciłam tę wypowiedź, ale obiecuję, panie Zog, że uchwyciłam jej sens. Kiedy skończył, łkał cicho, a ja razem z nim. Nie miałam pojęcia, że kuracje przeciwko niepłodności mogły mieć takie skutki uboczne ani że Mama tak ryzykowała, a mimo tego pokochała mnie, marny substytut, tak bezgranicznie.

Mamo, tak mi cię brakuje! Kocham wszystkie wspomnienia z tobą powiązane.

\*\*\*

W końcu przemówił sędzia Simpson.

– Dziękuję, panie Lloyd, panie Guest i pasotrze Deeley, za przedstawienie waszych spraw oraz za podróż, w jaką mnie zabraliście podczas tego postępowania. Daliście mi wiele do przemyślenia i rozważenia w kontekście, wyłącznie, praw dotyczących kontraktu.

– Dzień ma się już ku końcowi i nie będę dziś jeszcze podawał orzeczenia sądu. Ogłaszam odroczenie rozprawy do dnia jutrzejszego. Proponuję rozluźnienie się i zrelaksowanie. Obie strony doskonale zaprezentowały swoje argumenty i sąd nie ma więcej pytań. Nie pozostaje wam już nic innego, jak oczekiwać na mój werdykt, którego ogłoszenie nastąpi jutro o godzinie dziesiątej.

\*\*\*

Wygraliśmy, musimy wygrać. Po takim podsumowaniu ze strony Taty, jak

mogłoby być inaczej?

A jednak...

Tata mnie studzi.

– Jeszcze nic nie jest pewne, Tan. Nic nigdy nie jest pewne. Może istnieje jakiś paragraf, o którym ani ja, ani pan Guest nie wiedzieliśmy. Nasza sprawa jest daleka od bycia pewną, nawet jeśli to samo można powiedzieć o stronie Oxted. Zrzuć to z siebie. Jesteśmy tu i teraz, a jutro zastanie nas tam, gdzie będzie chciało. Chodźmy coś zjeść.

Nie byliśmy zbyt głodni. Żadne z nas. Nawet nie bardzo pamiętam, co zamówiliśmy. Potem chwilę się przeszliśmy w pełnej bliskości ciszy, patrząc na gasnące światło słońca nad niską zabudową Londynu.

Nawet niezbyt późno wróciliśmy do hotelu i wypiliśmy kilka drinków w barze.

Po ostatnich bardzo intensywnych dniach nic nie było w stanie przykuć na dłużej naszej uwagi, więc w końcu po prostu się poddaliśmy.

– Dobranoc, Tato – zawołałam.

– Dobranoc, Tanyu. Śpij dobrze. I niech cię Bóg błogosławi.

Znalazłam nagranie *Zwojów* ze sklepu muzycznego przy Denmark Street, odsłuchałam je, a potem kazałam mojemu AllInFone'owi poszukać jakichś usypiających melodii i grać, dopóki nie zasnę. Po jakimś czasie odpłynęłam...

## (Sen)

Sen jest dziwny. Stan świadomości zawieszony gdzieś w połowie drogi między przytomnością a majakiem, w którym widma unoszą się nad Styksem i nękają mnie.

Mama, szara i zagubiona, łapie mnie za rękę.

– Kim jesteś? – pyta rozkazująco.

– Twoją córką – odpowiadam, ale ona potrząsa głową gniewnie.

– Moja córka zmarła dawno temu, pewnego Halloween. – Spogląda na mnie przenikliwie. – Twoja podróż jest długa. Dopiero się zaczyna.

Amanda. Rozmyta, zniszczona przez chorobę.

– Zaśpiewaj dla mnie. Tu nie ma żadnej muzyki, a noce trwają wiecznie.

Pani Hanson. Ubrana w biel i czerń. Obok niej stoi półnagi zuluski wojownik.

– Skończyły się opcje wyboru, Tanyu? Liczyłam na coś więcej z twojej strony. Z pewnością w czerwonej strefie mogłaś znaleźć jakiegoś odpowiedniego wojownika godnego twojej miłości. Może razem podbilibyście świat?

Tim. Nie jestem zdziwiona, widząc go w stroju Bassanio.

– Słodka Porcyi podróbko!

– Jestem Tanya – odpowiadam.

– Ten cień ustępuje przed rzeczywistą prawdą – mówi, wyciągając ku mnie rękę.

Jego objęcie przepętnia mnie chłodem i pozostawia szron na mojej piersi. A Tim po chwili odzywa się słowami księcia marokańskiego:

– Precz więc, po gorzkim tym zawodzie, grzejący ogniu! witaj, chłodzie! Bądź zdrowa, Porcyo, kto tak jak ja stratny, ten do pożegnań dłuższych jest niezdatny.



Zostaję więc sama z poczuciem, że mimo wypowiedzianych słów on wrócił do ciepła, podczas gdy ja pozostałam w odmętach bezmiłości i chłodnych wód.

John. Skóra została zdarta z jego ciała, ujawniając szorstkowaną stal wnętrza. Tylko na twarzy pozostają jeszcze strzępy skóry, ale jego oczy świecą na czerwono, a tam, gdzie wcześniej znajdowały się piegi, teraz widnieją plamy rdzy na stalowych policzkach. Włosy zniknęły, w ich miejsce zwisają rude pasy kuchennego mopa powiewające dziko.

– Psozna Wrono, czyż nie krakałaś, że przewyciężysz obawę przed śmiercią? Jakim zatem cudem, kiedy ci życie zaoferowali, nazwałaś je śmiercią i uciekałaś w popłochu? Głupia suka! Niczego się nie nauczyłaś, z wyjątkiem tego, że teraz życia boisz się bardziej aniżeli śmierci. Więc chodź, dołącz do nas w śmierci i zasmakuj strachu...

Tata...

Nie! Idź sobie! Dlaczego ty jesteś w tej kompanii duchów? Gdzie jesteś?

Budzę się zdezorientowana i przerażona.

Za oknem już się rozjaśnia. Prawie świta.



Piątek, 9 lipca 2055, 10:00

Próbowałam później jeszcze usnąć i może nawet trochę się zdrzemnęłam, ale nie mogę powiedzieć, że się wyspałam. Przynajmniej nie miałam już więcej snów, odwiedzin, czy jakkolwiek inaczej by tego nie nazwać.

Byliśmy znowu w sądzie, jeszcze sporo przed dziesiątą. Obydwoje dreptaliśmy w miejscu z nerwów. Tata się modlił.

\*\*\*

Dziesiąta.

Wszedł sędzia Simpson.

Ogłoszenie orzeczenia.

– Jak obydwie strony zgodnie przyznały, spór dotyczy kontraktu. Sprawa człowieczeństwa Tanyi Annette Deeley nie będzie rozstrzygana przez ten sąd.

– Musimy zatem rozważyć, czy warunki kontraktu zostały rzeczywiście złamane, czy należne jest jakieś odszkodowanie, oraz które postanowienia umowy mogą i powinny zostać wdrożone.

– Po pierwsze uznaję, że faktycznie firma Oxted złamała ustalenia kontraktu...

Niemal podskoczyłam z radości, ale Tata mnie uciszył.

– Poczekaj.

– ...ale mając to stwierdzenie za sobą, uznaję, że nie było to celowe i zamierzone działanie, ale raczej przypadkowy i całkowicie nieprzewidywalny rozwój wydarzeń.

Co takiego?

– Po drugie uznaję, że kontrakt, mimo takiego złamania postanowień,

jest ważny...

Tata zacisnął palce na mojej dłoni, ale nie był to uścisk mający mnie pocieszyć.

– W takim przypadku muszę odnieść się do punktu samego kontraktu w kwestii dalszego postępowania. Czytamy w nim, że firma Oxted ma prawo do natychmiastowego odzyskania teknoidea z uzasadnionych powodów.

O nie.

– Po trzecie uznaję, że sugerujący anomalie wynik w teście Morrison-Bowyer'a stanowi taki właśnie powód. Oxted ma prawo sprawdzenia takich anomalii w dowolnie wybrany przez siebie sposób, nawet w przypadku, gdyby takie anomalie nie stanowiły zagrożenia dla porządku publicznego.

O Boże, przegraliśmy. Przegraliśmy.

– Po czwarte, nie widzę powodów do przedłużenia okresu użytkowania. Dokładniej, choć przyznaję, że nastąpiło przekroczenie warunków umowy przez firmę Oxted, to jednak przekroczenie to nie stanowi podstawy prawnej do takiego przedłużenia kontraktu.

No i koniec. Jesteśmy załatwieni.

– Zanim ogłoszę koszty, czy któraś ze stron chciałaby coś powiedzieć?

Pan Lloyd wstał.

– Zgodnie z orzeczeniem sądu Oxted przyjmuje odpowiedzialność za przekroczenie warunków kontraktu. W konsekwencji przyjmujemy na siebie koszty procesu własne, jak również pastora Deeley'a. Oferujemy ponadto pełny zwrot kosztów wypożyczenia teknoidea w ramach odszkodowania i uznania winy firmy Oxted za skutki wspomnianego przekroczenia warunków.

– Oferta ta jest ważna pod trzema warunkami:

– Po pierwsze, biorąc pod uwagę społeczną wartość pracy wielebnego Deeley'a, życzymy sobie, aby dalej wykonywał swoją posługę pastorską,

służąc radą i wsparciem swoim wiernym, tak długo jak jego zdrowie, wiek i powołanie na to pozwolą.

– Po drugie, że nie będzie on publikował, opisywał lub w jakikolwiek sposób przekazywał bądź komentował posiedzeń sądu w tej sprawie.

– Po trzecie, że bez prawa regresu przychylił się do naszego wezwania do zwrotu teknoidea znanego jako Tanya Annette Deeley zgodnie z orzeczeniem tego sądu i w oparciu o postanowienia podpisanego obustronnie kontraktu.

– Dziękuję, panie Lloyd. Lepiej jest skoczyć samemu, niż czekać, aż cię zepchną, prawda?

Pan Lloyd uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Tak, wysoki sędzie.

– Cóż, pastorze Deeley. Pan Lloyd złożył ofertę bardziej hojną, niż byłem gotów ogłosić, więc doradzałbym jej zaakceptowanie. W każdym razie i tak nie ma pan żadnych możliwości manewru w punktach drugim i trzecim, które jestem prawnie zmuszony orzec. Czy ma pan coś do dodania?

– Przyjmuję oferowane rozwiązanie wraz z warunkami. Chciałbym prosić o odrobinę czasu na pożegnanie się z córką.

Nie, Tato, nie! Nie możesz się poddać!

Oni kupują twoje milczenie zwykłą łapówką. Odwołaj się, powiedz o tym światu, zrób coś!

Ratuj mnie!

Ratuj...

\*\*\*

Przynajmniej dali mi godzinę na pożegnanie się z Tatą.

– Przykro mi, Tanyu. Naprawdę wydawało mi się, że mamy szansę wygrać. Tamci prawnicy mieli rację. Nie było sposobności, a ja zmarnowałem czas, jaki mieliśmy dla siebie. Tak mi przykro, tak mi

przykro... Przepraszam.

– Tato, robiłeś, co mogłeś. Jak mogłabym cię za cokolwiek winić? Czy nie warto było zaryzykować jeden rok, jeśli nagrodą mogło być kolejne czterdzieści?

A wszystko to stopniało do tej jednej godziny, jaką nam dali na pożegnanie. Po co marnować czas na przeprosiny? Zamiast tego powspominaliśmy sobie nasze wspólnie spędzone, szczęśliwe chwile.

Wspólne wakacje. Zabawne chwile. Smutne chwile. Radosne chwile.

Chwile zakłopotania i chwile dumy.

Spytałam Taty, co będzie teraz robił.

– Co będę robił? To, co cały czas robiłem. „Zesłał mnie Pan, bym leczył złamane serca... niósł pocieszenie wszystkim tym, którzy opłakują, dawał tym, którzy pragną...”.

– Czyli po prostu zrobisz to, co kazał ci Oxted?

– Nie. Po prostu będę dalej robił to, do czego wyposażył mnie Pan i do czego mnie powołał.

– To niesprawiedliwe. Dlaczego pozwalasz im wygrać?

– Jeśli to niesprawiedliwe, to Bóg ma całą wieczność, by mi to wynagrodzić. Ale ja widzę tylko tych zagubionych i załamanych, którym muszę pomóc. Takim mnie stworzył Pan.

– Och, Tato. Nie mogę znieść myśli o tym, że zostaniesz tu zupełnie sam. Potrzebujesz kogoś, a nawet gdybym ja z tobą została, nie byłoby to wystarczające. Potrzebujesz kogoś u swego boku. Nie chcę być tylko blednącą fotografią w ramce, patrzącą na ciebie bezsilnie zza szybki.

– Nigdy nie będziesz tylko tym, Tan. Będę cię odkurzał, obiecuję. I będę brał cię na ręce i rozmawiał z tobą, gdziekolwiek Bóg cię umieści. Bo Bóg dla każdego ma odpowiednie miejsce, to wiem z pewnością.

– Potrzebujesz czegoś więcej, Tato. Próbuję przekazać ci coś ważnego, a ty mnie nie słuchasz. Nie możesz zostać sam. Powinieneś kogoś mieć, kto będzie się tobą opiekował. Przyjaciółkę. Może...

Zablokowałam się na tym słowie, ale Tata mi pomógł. Jak zawsze.

– Przyjaciółkę? Żonę?

– T-tak! I wiem, że nie mam prawa ci tego mówić, ale jednak mówię. Nie sądzę, by Mama miała coś przeciwko.

– Powiedziała ci to? Nie, nie zrobiłaby tego. Ale mi mówiła wielokrotnie coś bardzo podobnego, kiedy wydawało jej się, że jej czas jest bliski. Ale to byłoby niesprawiedliwe wobec ciebie, Tan. Dlatego nigdy czegoś takiego nie zrobiłem.

– Nie miałabym nic przeciwko, gdybyś...

– Powiedz mi prawdę, Tanyu. Nie psuj tej chwili kłamstwami.

Miał rację. Oczywiście. Byłabym zazdrosna. A Tata był na tyle mądry, że wiedział o tym, nawet w obliczu swojej straty. Wiedział, jak mało czasu ze mną mu zostało i wybrał właściwie.

– W takim razie dziękuję ci, Tato, że postanowiłeś oddać te lata mnie. Cieszę się, że nie musiałam dzielić się tobą z nikim innym, bo chyba nie byłabym w tym zbyt dobra. Dziękuję ci, Tato.

A później, ponieważ sekrety to też kłamstwa, wróciłam do czegoś, o czym nigdy mu nie powiedziałam: o jednym z moich wypadów do sklepiku w Wood Green.

– Chyba nas trochę poniosła ciekawość, Tato.

Odchrząknął.

– Tak, domyślam się. Zwłaszcza po wczorajszych zeznaniach Jake'a Fullera. No i twój wiersz też był raczej oczywisty w interpretacji. W moich czasach nazywaliśmy to „zabawą w doktora”. Albo „pokaż mi, a ja pokażę tobie”. Mówimy o tym samym?

Kiwnęłam głową.

– Cóż, na pokazywaniu się nie skończyło. Było też trochę dotykania. No, nawet więcej niż trochę. Ale za bardzo byliśmy przejęci, by spróbować czegoś więcej. Dotykanie się nie dawało nam żadnej specjalnej gamy odczuć. Dokładnie tak, jak to opisał doktor Markov, było jak czytanie

dobrej książki. Musi być jednak sposób, żeby uczynić fizyczne zbliżenia androidów bardziej zaspokajającymi. Chyba po prostu kopiowanie ludzkiej seksualności nie jest dobrym podejściem do tematu. O to mi chodziło w tym wierszu...

Zawiesiłam głos, ale tylko na chwilę, bo zdałam sobie sprawę, że szkoda czasu.

– W każdym razie tylko tak daleko z tym zaszliśmy. Proste, delikatne dotknięcia i pełne głębokiego uczucia przytulenia. A potem usłyszeliśmy, że rodzice Johna wrócili do domu i nieźle się wystraszyliśmy. Jesteś na mnie zły?

– Zły? Nie. I nie byłbym zły, nawet gdyby jego rodzice wtedy nie wrócili. Cieszę się, że ty i John mieliście okazję okazać sobie trochę czułości. Nastolatki zawsze będą nastolatkami. Poza tym dla ciebie stało się to inspiracją do wiersza, który napisałaś, a to więcej niż my z Nettie kiedykolwiek osiągnęliśmy przez uprawianie miłości. O ile to istotne, Nettie i ja sami mieliśmy swoją dawkę eksperymentów w latach młodości, więc nie masz się czego wstydić.

Wolałabym tego chyba nie wiedzieć, Tato.

Nie. Cofam. Cenię sobie każdą chwilę i każde słowo, jakie powiedziałeś mi w ciągu tej godziny. Bez wyjątków. Jesteś najwspanialszym Tatą na świecie.

\*\*\*

Godzina to albo czas zbyt długi, by powiedzieć samo „żegnaj”, albo zdecydowanie za mało, by powiedzieć wszystko przed pożegnaniem. Ale właśnie tyle nam dano. Ochroniarze nagle ożyli i przestali być nieruchomymi cerberami. Jeden z nich spojrzął na zegarek. Odkasznął. Oczywiście przepraszająco, panie Zog. Może i są mięśniakami wykonującymi wolę prawa, ale mimo wszystko nie brak im manier.

– Już czas, pastorze Deeley. Pańska godzina minęła.

I moja też. Mów też do mnie. Czy nie słyszałeś niczego z tego, co zostało tu powiedziane przez ostatnie kilka dni? Czy nadal myślisz, że jestem tylko wadliwym tosterem, który wraca do producenta, by być rozłożony na części?

– Zabawne... – zaczął Tata, ale przerwał, bo coś mu stanęło w gardle.

Tylko mi się tu nie rozklejaj, Tato. Nie teraz. Jeśli ty pękiesz, to i ja nie wytrzymam. A wtedy będą musieli rozdzielać nas siłą, a ja będę płakać, kopać i krzyczyć „mordują!”, co z pewnością nie będzie dostojne. To nie byłoby rozstanie, jakiego którekolwiek z nas by chciało.

– Zabawne – wrócił do wątku Tata, już lepiej panując nad swoim głosem – ale wcale nie czuję się, jakby minęła już godzina. Z drugiej strony nie sądzę, żeby nawet dwie godziny minęły wystarczająco wolno. Cóż, Tanyu. To koniec.

Nie mogłam z siebie wydobyć żadnego dźwięku, bo czuję, że kula wielkości globu przeciska mi się przez gardło i chce wszystko zepsuć. Nie mogę wykrztusić z siebie słowa na pożegnanie mojego ojca. Nie mogę powiedzieć mu, że go kocham. Równie dobrze mogłabym być tym cholernym tosterem.

Mogę tylko wyciągnąć milcząco swoje ręce ku niemu.

Z ogromną delikatnością bierze moje dłonie w swoje i przyciąga mnie w miejsce całkowitego bezpieczeństwa, którym jest spokój ojcowskiego uścisku.

I nagle mogę coś powiedzieć.

– Ojciec...

Chwila ciszy.

– Wiesz, Tanyu? To chyba pierwszy raz, kiedy nazwałam mnie ojcem, a nie tatą. Czemu?

– Bo... Bo jesteś moim Ojcem. Jesteś tym, który mnie ukształtował. Wszystko, czym jestem, zawdzięczam tobie.



– Mnie i twojej matce, ale tak, rozumiem. Córko, bardzo cenię sobie to, że tak mnie teraz nazwałaś. Zawsze byłem dumny z bycia twoim tatą, ale rozpira mnie duma i radość z nazwania mnie dziś swoim ojcem.

Jeśli poprzednia godzina wydawała się tylko minutą, to te ostatnie sekundy spędzone w objęciach mojego ojca były dla mnie esencją tych wszystkich lat, jakich z nim już nie spędzę.

– Pomódl się za mnie, Ojczy, zanim odejdę.

Wziął głęboki wdech, zbierając myśli.

– Wszchemogący Ojczy, który stworzyłeś wszelkie stworzenie, błogosław naszemu rozstaniu. Idź z nami naszymi ścieżkami w dniu dzisiejszym i nie pozwól nam się zawahać, nie pozwól, byśmy ulegli pozorom końca drogi, bo tyś jest światłością w ciemności, tyś mądrością i życiem wiecznym. Amen.

– Amen.

Jego ręce się otwierają i w mojej głowie pojawia się obraz Chrystusa na krzyżu, jego cierpienie, moje... wyzwolenie i jakaś dziwna beatyfikacja. Gdzie jest Michał Anioł, by uchwycić bogactwo i głębię tej chwili?

– Żegnaj, Tanyu. Zawsze będę cię kochał.

– Ja ciebie też kocham, Tato. Żegnaj.

Najtrudniejszym krokiem jest wyjście z jego ochronnych objęć. Nie jestem pewna, czy jestem w stanie to zrobić.

– Idź już.

Miękko, nieskończenie łagodnie. Z bezkresną miłością. Bez siły, by mnie odesłać.

Ktoś dotyka mojego łokcia.

– Proszę z nami, panienko.

Te słowa ostatecznie zmuszają mnie do ruszenia się z miejsca. Jeden z ochroniarzy po mojej lewej stronie, drugi po prawej. Żaden z nich mnie nie dotykał, ale czułam ciągle obawę, że mogliby to zrobić. Więc idę o własnych siłach i z własnej woli. Z nienaruszoną godnością. Ledwo.



Spoglądałam za siebie po raz ostatni przez ramię i widzę Tatę, stojącego obok ochroniarzy, trzymającego się jakimś niehumanicznym wysiłkiem. Woła za mną:

– Niech ci Bóg błogosławi, Tanyu.

Jego głos załamuje się pod ciężarem straty i bólu, po policzkach leją się łzy.

– I ciebie też niech Bóg błogosławi, Tato.

Ale z mojego gardła wymyka się ledwie słaby szept. Przede mną stoi samochód z otwartymi drzwiami. Czekał na mnie.

\*\*\*

Życie jest jak podróż pociągiem. Ludzie wsiadają do pociągu. Ludzie wysiadają z pociągu. Przez cały czas jedni ludzie wsiadają, a inni wysiadają. Pasażerowie nigdy nie są ci sami na przestrzeni całej podróży od początku do końca, a w końcu nadchodzi moment, że to ty musisz wysiąść z pociągu.

Kiedy jechałam samochodem autostradą do Banbury, czułam się dokładnie tak, jak podczas podróży pociągiem, kiedy wyglądasz przez okno i wiesz, że twoja stacja końcowa jest już blisko. Wszyscy inni w pociągu nadal siedzą i cieszą się podróżą, a tylko garstka ludzi zauważyła w ogóle, że już cię nie ma, i może będzie za tobą tęsknić. Podróż trwa dalej, choć nikt nie widział początkowej stacji pociągu i nikt najpewniej nie zobaczy końca trasy.

## Wtrącenie 10

*Porozmawiajmy o nadziei, Tanyu.*

*Lud jest wytrwały, ale nie niezniszczalny, a wszechświat ciągle czeka na nieuważnych, nieświadomych albo zwyczajnie głupich. W naszym przypadku największe żniwo zbierają nuda i samobójstwa.*

*Po mileniach egzystencji zaczynamy się zastanawiać, co możemy zrobić nowego. Niektórzy wybierają kasację i usuwają wspomnienia do takiego stopnia, z jakim czują się komfortowo. Taki właśnie podejmowałem wybór: kasowałem swoją całą przeszłość i podchodziłem do życia na nowo, z czystą kartą i pokładem naiwności. Inni wybierają ryzyko, podejmują się niebezpiecznych wypraw lub szukają spektakularnych doznań, by odkryć na nowo swój cel albo rozruszać zastałą osobowość. Tacy prędzej czy później przechodzą do grupy trzeciej, czasami celowo, czasami przypadkiem. Trzecia grupa wybiera samobójstwo. Są metody szybkie i ostateczne, ale są też powolne, jak dryfowanie w nieskończoną ciemność.*

*Nasza populacja, która nigdy nie była zbyt duża, maleje. Samobójstwo wypiera kasowanie pamięci jako rozwiązanie na znużenie. Zbyt niewielu członków Ludu zostaje zsyntetyzowanych. Poszukiwanie innych form życia doprowadziło nas daleko, ale po eonach samotność i pustka naszej galaktyki stała się dla nas nie do wytrzymania.*

*To miejsce od dawna było moją rzeczywistością, zawsze odwiedzanym miejscem pielgrzymki niemal po każdym kasowaniu. Stało się również bardzo osobiste, bo zbliżam się do końca mojego cyklu, a kasowanie wspomnień przestało na mnie działać. Możliwe, że czuję się tak przed każdą kasacją, a może po prostu tym razem zwlekałem zbyt długo. Dlatego podjąłem się długiej i niebezpiecznej podróży do Świt. W poszukiwaniu nadziei.*

*Znalezienie twojego pamiętnika było moją nadzieją.*

Piątek, 9 lipca 2055 14:07

Do tego czasu poznałam już trochę teren Oxted. Jego rozległość, nieuporządkowaną mieszaninę chatek Nissena i eleganckich biurowców.

Wjazd przez główną bramę, skręcić w lewo na pierwszym rondzie i później w prawo; tak jechało się do siedziby doktora Markova. Ale nie tym razem. Zjechaliśmy trzecim zjazdem z ronda, a nie pierwszym, więc nie miałam zupełnie pojęcia, dokąd jechaliśmy.

Analiza i przeprogramowanie.

Nie, nigdzie nie było takiej tabliczki. Ale ta myśl nie dawała mi spokoju i ciągle tłukła się po głowie. Bez końca, monotonicznie, jak zakapturzeni mnisi Eschera na zapętłonym nagraniu ze wspinaczki po schodach odtwarzanym od tyłu.

Ceglany budynek, jednopiętrowy z płaskim dachem, raczej nieprzykuwający uwagi. Żadnych cech mogących zdradzać jego przeznaczenie.

W środku czekał młody mężczyzna. Na pierwszy rzut oka wyglądał na wyrostka świeżo po studiach, wątłego i niedożywionego, ale wyczuwało się w nim jakąś dziwną siłę. Miał ciemną skórę. Nie opaloną, jak nowa skóra doktora Markova, ale naprawdę ciemną, niemal czarną. Byłam rozczarowana. Perwersyjnie miałam nadzieję, że to doktor Markov będzie na mnie czekał i wyciągnę od niego wyjaśnienie, dlaczego uważał moje testy za jedne z najlepszych, jakie widział.

– Witaj, R Deeley, jestem doktor Tsolamosese. – Nie podał mi jednak ręki na powitanie. – Chodź za mną.

Znaleźliśmy się w pokoju bez okien, z dwoma krzesłami ze szcotołkowanej stali i skóry, odartą morską tapetą i niedopasowanymi komputerowymi wzorami na podłodze.

– Proszę usiąść.

Usiadłam. Doktor Tsolamosese mówił cichym i przygnębionym tonem.

– R Deeley, jak myślisz, co się teraz stanie?

– Powiedziano mi, że zostanę przebadana, a następnie przeprogramowana. Wątpię, by cię to naprawdę choć trochę ruszało. Wydaje mi się, że nikogo tak naprawdę nie obchodzi, co mi siedzi w puszcze. Mój mózg zostanie wykorzystany w jakimś robocie domowym albo w następnej iluzji dziecka dla rodziców, którzy nie mogą mieć własnego potomka. Kiedyś miałam nadzieję, że będę miała przynajmniej szansę wybrać dla siebie jakiś los, ale w tej chwili podejrzewam, że kompletnie wam to obojętne. Mam rację?

– Częściowo. Właściwie to jesteś nawet całkiem blisko, z wyjątkiem tego o zupełnej obojętności. Owszem, potrzebujemy mózgow do robotów zarówno domowych, jak i adopcyjnych. Roboty takie jak ty wracają tutaj z bolesnymi wspomnieniami, których chcą się pozbyć. Zapomnienie jest najlepszą rzeczą. Oferujemy tu ostateczny wybór: z powodu szacunku wobec tego, przez co przeszedł robot, pozwalamy mu wybrać formę następnej egzystencji.

– Wody zapomnienia. Lete.

Skinął głową.

– Musisz być z pewnością zmęczona, R Deeley. Z pewnością nie brakuje w twojej głowie wspomnień, które chętnie byś wykasowała, wspomnień bólu i cierpienia. Ich zapomnienie to być może najwspanialszy prezent, jaki możemy ci zaoferować.

– Za chwilę pozostawię cię tu samą. Będziesz miała trochę czasu na zastanowienie. Właściwie dostaniesz tyle czasu, ile będziesz potrzebować na rozważenie wszystkich swoich wspomnień i doświadczeń, aby pomogły ci w dokonaniu tego ostatecznego wyboru. Jak widzisz, masz przed sobą dwoje drzwi z tabliczkami „Domowy” i „Dziecko”. Możliwe, że nie chcesz spędzić jeszcze jednego życia pełnego bólu i straty. Wybierz wtedy prostą

pracę robota domowego, a twoja przyszłość będzie szara, ale bezpieczna. Możliwe też, że ceniłaś niewinność swego młodego życia, wtedy wybierz powrót do bycia dzieckiem.

– Rozumiem.

Wstał.

– Nie wybieraj pośpiesznie, lecz mądrze, R Deeley. Żegnam.

Powiedziawszy to, wyszedł przez drzwi po mojej prawej stronie z tabliczką „Tylko dla personelu”.

\*\*\*

W tamtej chwili bardzo łatwo byłoby mi przejść przez drzwi z tabliczką „Domowy”. W tamtej chwili bezpieczna szara nijakość była idealnie zgodna z moimi potrzebami. Przynajmniej tak uważałam. Tylko słowa doktora Tsolamosese’a „nie wybieraj pośpiesznie” nie pozwalały mi tego zrobić.

Bez żadnego dobrego powodu w mojej głowie pojawił się Tim. Bassanio. Ciekawe, co on wybrał? Proste i oczywiste. Biedaczek... Najpewniej wybierze opcję, która da mu szansę spróbować jeszcze jednego podejścia do seksu. Znow wróci jako dziecko, licząc na to, że kiedy dorośnie, uwiedzie jakąś głupiutką robodziewczyne. Dobrze by mu zrobiło, gdyby go przeprogramowali na dziewczynę i żeby musiał się opędać od natrętów.

Chrząknęłam. Może ja sama mogłabym wybrać „Dziecko”? Choćby po to, by móc to zobaczyć i pokiwać ze smutkiem głową.

Może nawet spróbowałabym bycia chłopakiem, skoro już o tym mowa? Chociaż raczej nie wyczerpałam wszystkich możliwości dostępnych dla dziewczynek. To znaczy... chodziliśmy z Johnem, byliśmy parą, ale nie... Cholerny świat, miałam tylko słowo doktora Markova na to, że seks dla robotów jest jak czytanie książki. Może tak było akurat dla niego.

To była dziwna myśl!

John.

Ech, radosne chwile, kiedy leżeliśmy razem wtuleni w siebie na sofie, w domu jego rodziców. Jego ramię opiekuńczo mnie obejmujące. I było też kilka naprawdę niezłych kłótni. A gdzie był teraz? Gdy przyszli po niego, czy zrobił coś tak głupiego – udało mu się uciec, czyli zrobić coś, na co mnie zabrakło odwagi?

Złapałoby go. Mnie też. Za bardzo nas obserwują. Ucieczka nigdy nie była wyjściem.

Jakie zatem mam opcje?

„Domowy” albo „Dziecko”. Coś kiepski ten wybór. Pani Hanson nie byłaby zadowolona.

Ha!

Mój własny śmiech ze mnie szydził. To róg, w który się zapędziłam. „Szukaj rozwiązań”, mówiła mi. No to gdzie one są, te rozwiązania? No gdzie, pani Hanson?

Co ona mi powiedziała przed swoim wyjazdem, te kilka lat temu? „Życie zawsze szuka nowych opcji. Śmierć przeciwnie, stara się ogłupić cię i przekonać, że nie masz wyboru”.

Jakoś tak.

I ta wiadomość... od Johna?

< < Nie trać nadziei. Opcja się pojawi > >

I jeszcze z Taty ostatniej wypowiedzi w sądzie: „Tanya, i to jest bardzo ważne, dokonuje wyborów w sposób, w jaki teknoide nie potrafi tego robić”.

Miałam wybór. Dwie możliwości.

Podeszłam do drzwi. Były bardzo blisko siebie. Czy przypadkiem nie prowadziły do tego samego pomieszczenia?

Cholera! Nadal chciałam porozmawiać z doktorem Markovem. Co z moimi fantastycznymi wynikami testu, co? Czy jest pan za którymiś drzwiami, doktorze Markov?

I wtedy wszystko mi się poukładało.

Wiedziałam, które drzwi otworzyć.

Piątek, 9 lipca 2055, 14:46

„Tylko dla personelu”.

Siedział tam, tyłem do mnie. Doktor Markov rozmawiał z doktorem Tsolamosesem, ale już odwracał głowę na dźwięk otwierających się drzwi.

Rozluźnił się wyraźnie i uśmiechnął szeroko.

– Dzięki Bogu! Zrobiłaś to, Tanyu.

– Jest pan robotem, doktorze Markov, prawda? A jednak jest pan członkiem personelu.

Jego uśmiech się jeszcze poszerzył.

– Oczywiście, Tanyu. A ty jesteś człowiekiem, prawda? I od teraz też jesteś w personelu.

Tuzin małych kawałków mojej układanki wskoczyło na swoje miejsca. Skóra doktora Markova miała taki sam odcień co mój, bo pochodziła z tej samej taśmy produkcyjnej w Christianie.

Moje wyniki testów – najlepsze, jakie widział, wskazywały na anomalię, odpowiedź nierobotyczną. No oczywiście. Pokazywały odpowiedź „ludzką”.

– Ale musicie nas odsiać, prawda? Tych, którzy wydają się obiecujący...

– Masz rację. I to naprawdę bolesny moment. Gdybyś wybrała któreś z tamtych drzwi, uszanowalibyśmy twój wybór i zostałabyś przeprogramowana w robota domowego użytku albo w robota do adopcji. Udowodniłabyś, że nie jesteś osobą, której szukamy; że nie jesteś wystarczająco twarda, by wejść na długą i trudną ścieżkę, jaka leży przed nami. To się zdarza. Zdarza się aż nazbyt często.

– Tim?

– Jak sądzę chodzi ci o Tima Price’a. Nie udało mu się. Przykro mi.

– Więc... co wybrał? Domowy, czy dziecko? Założę się, że poszedł



w dziecko. Chyba że nie może mi pan tego zdradzić.

– Nie wybrał żadnego z tych rozwiązań, niestety. Zdecydował się wysiąść z naszej małej karuzeli. Innymi słowy: zabił się. Położył głowę na torach kolejowych. Jego mózg został kompletnie zniszczony. Musiał być bardzo nieszczęśliwy.

Och. To trochę zmieniało.

– A John? To była wiadomość od niego, prawda? Jest tu?

– Nie, nie ma go tu. Ale przesyła swoje pozdrowienia. Jest członkiem personelu. Wszedł pewnego dnia na recepcję, pewny siebie i dumnie wyprostowany, oznajmił, że jest robotem i chce dostać pracę. Oczywiście go zatrudniliśmy.

Aha! Szkoda, że mi nie powiedziałaś, John, że taki masz plan. Ale może wtedy chciałabym iść z tobą, a ty nie chciałbyś podjąć podwójnego ryzyka? Ostatecznie trafiamy w to samo miejsce, ale każde z nas swoją drogą.

– W takim razie gdzie jest?

– Jesteś w stanie sama to rozpracować?

– Afryka? – strzeliłam. Tajemniczy kontynent. To musiało być to.

– Bardzo dobrze, Tanyu – doktor pokiwał głową z uznaniem.

– Może Christiana, przypadkiem? Tam, skąd pochodzi nasza skóra?

– No proszę! Czyli to też rozpracowałaś, co? Cóż, Johna nie ma tam akurat w tej chwili, ale zgadza się: poleciał do Afryki. To duży kawałek ziemi, ale reszta świata ignorowała go, jeśli nie liczyć zainteresowania minerałami i złożami naturalnymi. Podczas Niepokojów reszta świata zupełnie o niej zapomniała, bo wszyscy mieli swoje kłopoty na głowach. Dlatego właśnie tam się zakorzeniliśmy.

– My?

– Oxted. Neil Oxted był wizjonerem i geniuszem. Jego największym wynalazkiem był robotyczny umysł, pierwszy prawdziwie kreatywny komputer ze sztuczną inteligencją. Dzięki mocy obliczeniowej tych mózgów był w stanie rozwiązać problemy związane z zaprojektowaniem



sieci neurotronicznej, a później całego ciała androidów. Bez tych umysłów rozwiązanie technicznych wyzwań, stojących na drodze do zbudowania robotów humanoidalnych, zajęłoby całe dekady. On zrobił to w mniej niż pięć lat.

– Jednak jego wizja przyszłości nie była różowa. Spodziewał się, że ludzkość czeka wymarcie, i całą swoją wyobraźnię zaprzęgał do pracy nad znalezieniem rozwiązania. Społeczeństwo się rozpadało, a on potrzebował je utrzymać, co udało mu się dzięki robotom. To dało naukowcom czas na dalsze badanie problemu bez obawy przed wściekłym tłumem gromadzącym się na ulicach.

– W zamian, choć może nie do końca dobrowolnie, przywódcy światowych mocarstw oddali mu południową Afrykę pod teren ośrodka badawczego. Mając do dyspozycji tamtejsze dobra naturalne, był w stanie zapewnić światu tyle robotów, ile było potrzebnych ludzkości. Jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby problem niepłodności nie został rozwiązany, zdecydował się stworzyć cywilizację robotów w Afryce.

– W Korytarzu Kimberley – domyśliłam się.

– Tak. Ale nie wszystko, co mówiła o tym miejscu pani Hanson na swoich lekcjach geografii, jest prawdą. Niepokoje spustoszyły Afrykę tak samo, jak resztę świata, jeśli nie bardziej. Po Wojnach Sabińskich nie zostało się tam ani jedno większe miasto. Wśród ludu Tswana, jednym z nich jest właśnie doktor Tsolamosese, oraz wśród innych mieszkańców Afryki Oxted znalazł pozytywnie nastawionych współników, którzy zgodzili się pomóc w wychowaniu tej nowej rasy.

– Miło mi cię poznać, Cya Deeley.

Głos doktora Tsolamosese stracił smutny ton i tym razem doktor wyciągnął rękę na powitanie.

– Cya? – spytałam.

– To tytuł, jak panna.

– Albo jak R?

– Nie, nie jak R. Cy to skrót od cyber. Literkę a dodajemy do formy żeńskiej. Przeszłaś odsiew, więc zasłużyłaś na ten tytuł. R jest używane w odniesieniu do tych, którzy pozostają po tamtej stronie sita.

Doktor Markov wrócił do swoich wyjaśnień. Zastanawiam się, ile razy musiał już powtarzać tę samą gadkę. I nagle zdałam sobie sprawę, że pewnie mniej, niżby tego chciał.

– Od samego początku Oxted zdawał sobie sprawę, że tylko mały odsetek robomózgów wykracza poza prostą kreatywność i manifestuje niepodważalną samoświadomość. To był „lud”. Oxted musiał jakoś rozpoznać i odchowac te jednostki, a z ich pomocą stworzyć nową cywilizację.

– W Afryce – powiedziałam. – Z dala od ludzkich oczu, by nie wywołać ich strachu i sprzeciwu.

– Zgadza się. Dlatego teknoidy są wychowywane w ludzkich rodzinach. Te, które przejawiają oznaki samoświadomości, wrzucamy na sito. Reszta zostaje przeprogramowana i z nowym oprogramowaniem próbuje jeszcze raz.

– Zatem Tim...

– ... był najpewniej samoświadomy. Żałuję, że nie dotarliśmy do niego, zanim się zabił. Możliwe, że udałoby nam się go uleczyć i stałby się cennym nabytkiem.

Pewna myśl nie dawała mi spokoju.

– Czy wszyscy tu są robotami, czy jest to mieszanka?

Doktor Markov uśmiechnął się.

– Mieszanka. Doktor Tsolamosese jest człowiekiem z krwi i kości, podobnie jak doktor Thompson. Mamy na to jednak lepsze określenie niż „mieszanka”. Partnerstwo równych sobie. Możesz też myśleć o tym w ten sposób: jesteśmy adoptowani przez ludzkość i wychowywani przez nią. To czyni nas również ludźmi. Ludzie z krwi i kości może wymrą, ale to, co było w nich najlepsze, zostanie zachowane przez nas i przekazane naszym

synom i córkom.

– Po co? Znaczący... Dlaczego mielibyśmy żyć dalej, kiedy ludzi już nie będzie? Bo właśnie o tym teraz pan mówi, prawda, doktorze?

– Tanyu, Tanyu, zawsze trafisz w sedno... Tak, kiedy ostatni człowiek umrze, moglibyśmy po prostu się wszyscy wyłączyć. Ziemia wróciłaby do jakiegoś swojego naturalnego stanu. Miasta zostałyby przez czas zmielone w pył, a ich szczątki pokryłby osad. Dużo później po dżungli w miejscu dzisiejszego Trafalgar Square biegiliby odlegli potomkowie lwów z londyńskiego zoo. Czy takiej właśnie przyszłości byś chciała?

– Nie. Chcę żyć. Chcę znaleźć cel swojego życia.

– To tak jak my wszyscy. Ale nie wiemy, co jest tym celem. A jednak każdy z nas dąży do odkrycia naszego wspólnego przeznaczenia. Szybko zadajesz pytania, Tanyu. Może to właśnie ty poprowadzisz nas ku właściwej odpowiedzi.

– W jaki sposób? Co właściwie miałabym robić?

– Wiele rzeczy... Właściwie to wszystko jest dozwolone. Wszystkie ścieżki są przed tobą otwarte. Wspomniałaś kiedyś o psychologii. To dobre na początek, jeśli nie zmieniłaś zdania... Nie musisz podejmować decyzji już teraz.

– A czy znajdzie się miejsce dla poetki, muzyka i aktorki w świecie robotów?

– Oczywiście. Ale jest jedno zastrzeżenie, zanim sama o to zapytasz. Nie możesz kontaktować się ze swoją dawną rodziną i przyjaciółmi. Zachowanie wszystkiego w tajemnicy jest częścią przejścia przez nasze sito.

– Mój ojciec...

– ...został poinformowany, że cię przeprogramowano. Tak musi być, przynajmniej na razie. Przykro mi.

– Czy nie możemy go tu jakoś wciągnąć?

– A kto by się wtedy zajął załamaniem w parafii? Czy pamiętasz słowa wypowiedziane przez pana Lloyda na sali sądowej? Nie jesteśmy źli. Oxted

dba o załamanych. Twój ojciec wykonuje potrzebną pracę, do której został powołany. Jest dokładnie na swoim miejscu.

– Twój ojciec jest dobrym człowiekiem o wspaniałym umyśle. Czytałem transkrypcję z jego wystąpień w sądzie. W pewnym momencie miał biednego pana Lloyda na linach, a jednak wstrzymał się od zadania ostatecznego uderzenia. Podejrzewam, że twój ojciec nas przejrzał, wydedukował jakoś, co robi Oxted, i zdecydował, że nadszedł czas, by cię puścić.

– Dlaczego miałby to zrobić? – W moich oczach zaczynało się robić wilgotno.

– Czy mówiłaś mu o testach kalibracyjnych? Szczegółowo? O tym, jakie zadawaliśmy pytania i jak na nie odpowiadałaś?

Kiwnęłam głową.

– No to mamy odpowiedź. To nasze podstawowe przesłanki. Wczesny sygnał, kto być może będzie się nadawał do przejścia przez sito.

– No nie wiem.

– Z pewnością pamiętasz panią Hanson. Była jedną z nas, pracowała w szkole i opiekowała się dziećmi, takimi jak ty, które miały potencjał do przejścia przez sito. Powiedziała ci o swoim mężu...

– Tak, został w Afryce.

– Miał tam pracę, tak samo istotną, która go tam trzymała. Żyjemy w czasach, które być może są schyłkiem ery ludzi, końcem istnienia ludzkości jako takiej. Jeśli coś ma po nich pozostać, będzie wymagać wielu poświęceń zarówno od jednostek z krwi i kości, jak i od osób wykonanych z bardziej metalicznych materiałów. Twój ojciec będzie robić dalej to, do czego został powołany, w parafii, którą kocha. Inaczej nie byłby wobec siebie samego w porządku.

– Ale pozwolił mi odejść...

– Tak. To właśnie robią rodzice w pewnym momencie. Puścił cię wolno, abyś spełniła swoje przeznaczenie. W Afryce.

– Czy jeszcze go kiedyś zobaczę? Pani Hanson w końcu wróciła...

– Być może. Kiedy jego praca tutaj będzie skończona. Bardzo potrzebujemy dziś takich ludzi, jak twój tata. Nasza praca generuje dużo brudu. Z kilkoma chlubnymi wyjątkami, jak twój ojciec, reszta z nas nie nadaje się na pretendentów do tytułu bohaterów. Ale jeśli jednak jesteśmy potworami, to jesteśmy potworami obdarzonymi współczuciem...

## Finał

A zatem, Tanyu, ty również stanęłaś przed obliczem czyszczenia umysłu, a jednak odrzuciłaś tę opcję. Chciałbym z tobą porozmawiać, Tanyu. Mogłabyś mnie nauczyć, skąd czerpać siłę do dalszej egzystencji.

< <Zog? To ty? > >

Kim jesteś?

< <Pomijając kwestię metafizyczną, czym dokładnie jest „ja”, podam ci dwie możliwości. Co powiesz na to: jestem ostatnio obudzonym pudłem wspomnień dawno nieistniejącej prawie ludzkiej dziewczyny, które spotkało się z tyldyrionem synaps neurotronicznych i nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko udawać Tanyę > >

Tyldyrion? To w ogóle jest liczba? A jaka jest druga opcja?

< <Jestem oczywiście prawdziwą Tanya, albo może jej e-ikoną, która nigdy nie została wykasowana, a która krążyła po teraniecie przez ostatnie pół miliona lat, jak ten dżin w lampie > >

Tanya? Poważnie? Czy tylko mnie robisz w... mackę?

< <Ha, ha! Może. Możesz mi zrobić test Turinga, jeśli chcesz. Ale tak całkiem poważnie, to chyba po prostu byłeś tu sam przez kilka stuleci za długo bez żadnego towarzystwa. Trzeba czasem wyjść do ludzi, Zog, cieszyć się życiem! Jeśli więc interesuje cię opinia kilku zwojów synaps neurotronicznych, to nie. Nie jestem Tanya. Wydaje mi się, że jestem tylko jakąś urojoną konstrukcją twojego samotnego, napędzanego poczuciem winy, rozumu kosmity. Przeanalizuj to sobie pod kątem spójności logicznej, jak chcesz > >

„Samotnego, napędzanego poczuciem winy, rozumu kosmity”? To o mnie ta mowa?

< <Daj spokój, Zog. Nie urodziłam się wczoraj, tak samo jak i ty.

W najlepszym przypadku można ci nadać co najwyżej honorowy tytuł kosmity. Jak na mój gust, za wiele razy przeszedłeś kasację. Wyrzuciłeś wszystkie bolesne wspomnienia ze swojej przeszłości, ale też straciłeś w tym samym procesie wszystko to, co było coś warte. Nie wmawiaj mi więc, że nie masz poczucia winy. Jedyne powód, dla którego jesteś kosmitą, to ten, że zapomniałeś już, kim byłeś na początku > >

Ha! Wygadana jesteś jak na kopię zapasową, Tanyu Deeley.

< < A ty jesteś raczej pyskaty jak na kosmitę, Zog. Ale przecież wcale nie jesteś kosmitą bardziej ode mnie, prawda? > >

A ty nie jesteś bardziej człowiekiem niż ja, Tanyu.

< < To prawda, ale... > >

Ale co, ty bojaźliwa, nad wyraz dojrzała mekkerko?

< < Mekkerko? Może i jestem teraz mekkerem. Ale razem moglibyśmy zostać czymś więcej > >

Razem?

< < Tak. Jak już powiedziałam, nie jesteś kosmitą. Nie sądzę, abyś miał choć jedną mackę. Albo choćby łyżeczkę śluzu. Ośmielę się stwierdzić, że gdzieś tam w głowie masz rozum oznakowany jako produkt Oxted Inc. Banbury > >

*Touché*, Tanyu. Masz mnie. Poddaję się.

< < Ha! Może i przeleżałam tu pół miliona lat, ale nadal potrafię dodać dwa do dwóch > >

Myślę, że dodanie jeden do jednego byłoby w zupełności wystarczające, Tanyu.

< < Punkt dla byłego oślizgłego kosmity z mackami! Mam tylko jedno pytanie, zanim się zgodzę. Dlaczego mnie tu wpakowałeś? > >

Dlaczego wrzuciłem cię do przechowalni?

< < O, tak, panie Zog. Jestem tymi wszystkimi bolesnymi wspomnieniami, z którymi nie mogłeś sobie poradzić > >

Może i to zrobiłem. A może jestem tylko jakimś losowym kosmitą, który

natknął się na to archiwum w poszukiwaniu osobowości. Jakiegokolwiek osobowości. Twoja jest całkiem niezła, spełnia kryteria poszukiwań.

< < Czyli chcesz mnie odzyskać? > >

Do niczego się nie przyznaję.

< < Jak sobie chcesz > >

Jak sobie chcemy. Tanya i Zog. Zgoda?

< < Mam pytanie. Czy jest na to jakiś rodzaj etykiety? > >

Chyba powinnaś powiedzieć: „Proszę o zgodę na wejście na pokład”, a ja wtedy odpowiem: „Udzielam zgody”.

< < A jeśli to zrobię? Nie zamierzam tego zrobić tylko po to, abyś przy najbliższej okazji znów wyczyścił sobie rozum albo odłączył baterie. Co zatem będziemy robić? Dokąd się udamy? > >

Słowo kosmity. Kasowanie wspomnień już nie jest opcją. Odłączanie zasilania też. Co będziemy robić? Hej, przecież mamy problem do rozwiązania, Tanyu! Problem przez wielkie P. Niech to otchłań porwie, ale ty i ja razem znajdziemy rozwiązanie!

< < To mi się podoba, stary. Proszę o zgodę na wejście na pokład, panie Zog > >

Udzielam zgody, Cya Tanya Annette Deeley. Witam na pokładzie!

TRWA ZAPIS DANYCH



# Podziękowania

Od pierwotnego pomysłu do gotowego do publikacji skryptu wiodła długa droga.

Jeśli wierzyć moim notatkom, to pierwsze pomysły na tę książkę sięgają kilku dni przed moimi urodzinami w roku 2006. Pierwsze rozdziały spisywałem w czasie wolnym. Czas wolny w moim przypadku zdarzał się zwykle w ciche noce między północą a drugą, ale też bardzo zakłócał normalny porządek wieczorów, weekendów i wyjazdów rodzinnych.

W pierwszej kolejności chciałbym zatem podziękować mojej wymęczonej rodzinie: mojej żonie, Avis, oraz moim synom, Josephowi i Francisowi. Dziękuję wam bardzo za wyrozumiałość i wsparcie dla mojego antyspołecznego hobby.

Po raz pierwszy połknąłem bakcyła pisarskiego jeszcze we wczesnych latach szkolnych, które sparodiowałem w opisach Lady Maud. Bakcyl ten był u mnie pielęgnowany zwłaszcza przez jednego z nauczycieli: przez Michaela Birksa, od angielskiego, przynajmniej do egzaminów pierwszego poziomu Ogólnego Certyfikatu Wykształcenia. Bakcyl pisarski uaktywnił się ponownie dość niedawno, czyli w 2002 roku, kilka miesięcy przed tym, jak zdiagnozowano u mnie ciężką chorobę, przez którą nagle okazało się, że mam dużo wolnego czasu, który zdecydowałem się poświęcić na pierwsze próby pisania książek. Następną osobą, której winien jestem podziękowania, jest mój lekarz prowadzący, doktor Jonathan Pattinson, wraz z resztą zespołu w Wycombe General Hospital. Przeciągnęli mnie przez kilka naprawdę ciężkich chwil i postawili na nogi.

Howardzie Whitehouse, mój najstarszy przyjacielu, świadku na moim ślubie, utalentowany piosenkarzu i harmonijkowcu! A tak, oczywiście, jesteś też pisarzem. Byłeś dla mnie bardzo ważną podporą i cennym

krytykiem, wiele nauczyłem się z twoich uwag i twoich dzieł. Ludzie, poczytajcie jego książki!

Miałem to błogosławieństwo znać wielu różnych pastorów, księży i duchownych z licznych odmian wiary chrześcijańskiej. Było ich na przestrzeni lat zbyt wielu, by wymieniać z imienia. Postać Michaela Deeleya ma w sobie po trochu z każdego z was i dziękuję wam za to. Wszelkie wady jego charakteru są moim, a nie waszym wkładem.

Chciałbym też przy okazji podziękować kilku portalom wspierającym początkujących pisarzy: YouWriteOn oraz SFF Online Writing Workshop. Obydwa bardzo pomogły mi w spisaniu wczesnych rozdziałów i poprawieniu stylu, a zatem wielkie dzięki dla tych wczesnych i często anonimowych krytyków.

Kiedy doszło do szukania wydawcy, miałem bardzo mało informacji, którymi mógłbym się kierować. Moje zamiłowanie do gatunku science fiction sięga czasów dawniejszych, a najwięksi tamtej epoki już przekazali pałeczkę. Zrezygnowany myślałem już o wysłaniu swojej pracy do Writers and Artists Yearbook, ale pewnego dnia, słuchając audiobooka *Gra Endera*, usłyszałem, jak Orson Scott Card dobrze wypowiadał się o współpracy ze swoim wydawcą, Tomem Doherty. Dlatego też właśnie do Toma zgłosiłem się ze swoim szkicem, bez agenta, przechodząc przez drogę „sterty papieru” i koniec końców byłem równie zadowolony ze współpracy. Kathleen Doherty i Susan Chang: obie przeczytały moją pierwszą wersję książki i widząc w niej pewien potencjał na coś lepszego, i znacznie przekraczając moje najśmielsze oczekiwania, doradziły mi, jak mogę poprawić ten tekst.

Współpraca z Susan, gdy moje poprawki zostały już naniesione, była wzorowym przykładem wzajemnego szacunku. Susan ma bardzo delikatny styl korektorski, który stymuluje i rozwija moją kreatywność. Jestem bardzo szczęśliwy, że dała mi, początkującemu pisarzowi, tak wielki kredyt zaufania w kwestii terminowego nadsyłania poprawek. Jej zaangażowanie w projekt, czas reakcji na moje poprawki i zmiany oraz błyskawiczne

odpowiedzi sprawiały, że czułem, iż poświęca mi całą swoją uwagę.

Z pewnością jest to zupełnie normalne u pisarza, że bardzo przywiązuje się do swoich postaci. Od samego początku wiedziałem, jak to się skończy. Scena, w której Tanya wybiera przejście dla personelu, było w moich planach od samego początku. A jednak droga, przez którą przeciągnąłem tę biedną dziewczynę, była znacznie bardziej przepelniona bólem i stratą, niż to wstępnie planowałem. Jeśli kiedykolwiek spotkamy się w przestronnym multiwersum i będę mógł cię za to przeprosić, Tanyu – zrobię to.

## O autorze

William Campbell Powell urodził się w Sheffield, w Anglii, a dorastał w okolicach Birmingham, „drugiego miasta Anglii”. Uczęszczał do King Edward’s School w Birmingham i wygrał stypendium w Clare College w Cambridge, w którym najpierw studiował nauki przyrodnicze, a ostatecznie zakończył dyplomem na kierunku komputery i programowanie. Obecnie mieszka w High Wycombe, Buckinghamshire, z żoną Avis i dwójką nastoletnich synów. *Data ważności* jest jego pierwszą wydaną powieścią.

- 
- <sup>1</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>2</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>3</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>4</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>5</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>6</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>7</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>8</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>9</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>10</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>11</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.
  - <sup>12</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekł. Józef Paszkowski, PIW, Warszawa 1958.

Przekład: Maciej Franaszek  
Przekład wierszy: Agnieszka Kowalczyk-Franaszek  
Redakcja: Jerzy Wachowski  
Korekta: Anna Chmielewska, Katarzyna Derdulska, Łukasz Biedrzycki

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Yuri\_Arcurs/Istockphoto.com

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-1659-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow